

DICK FRANCIS

Dowód

Przekład: Hanna Pawlikowska-Gannon

Rozdział pierwszy



Rozpacz jest towarzysko nie do przyjęcia. Nie powinno się płakać. A zwłaszcza nie powinno się tego robić, jeśli wygląda się nie najgorzej i ma się trzydzieści dwa lata. Kiedy żona nie żyje od sześciu miesięcy, a wszyscy inni uporali się już z żałobą.

Mówią: w porządku, przejdzie mu. Zawsze znajdzie się jakaś ładna kobieta. Czas wszystko leczy, powiadają. Któregoś dnia znowu się ożeni.

Niechybnie mają rację.

Ale, dobry Boże... ta pustka w moim domu. Rujnująca, ponura, ostateczna samotność. Ciszą zamiast śmiechu, zimny kominek, którego wesoły ogień kiedyś witał mnie wieczorem; permanentny chłód łóżka.

Po sześciu miesiącach nieustannego cierpienia miałem wrażenie, że moja nagła śmierć nie byłaby wielkim nieszczęściem. Połowa mojej istoty przepadła; udana, pogodna inwestycja sześćioletniej miłości zniknęła w ciemnościach. A to, co pozostało, było jedynie cierpieniem... choć zachowało normalny wygląd.

Z przyzwyczajenia rozglądałem się na obie strony, przechodząc przez jezdnię; nadal prowadziłem sklep, sprzedawałem moje wina, uśmiechając się, bez przerwy uśmiechając się do klientów.

Rozdział drugi



A klientów miałem najróżniejszych, od uczniów kupujących chrupki i colę, bo sklep znajdował się obok przystanku autobusowego, do kantyny z pobliskich koszar; od emerytów oszczędzających z poczuciem winy na małe buteleczki dżinu do rozrzutnych koneserów nie żałujących sobie portu. Klientów przychodzących raz do roku i zjawiających się codziennie, laików i znawców, szukających szczęścia i komfortu, ponurych i nietrzeźwych. Wszyscy oni, na podobieństwo drinków, mieścili się w skali od słodczy do goryczy.

Moim najważniejszym klientem w chłodny poranek pewnej październikowej niedzieli był trener koni wyścigowych, który niezwykle hojnie podejmował około setki gości na mniej więcej dorocznej uroczystości z okazji gonitw wygranych przez jego stajnię w minionym sezonie biegów płaskich. Każdej jesieni, kiedy jego nazwisko pojawiała się na wysokim miejscu listy zwycięzców, starał się to uczcić, zapraszając właścicieli, dżokejów i rozlicznych przyjaciół, by dzielić z nimi minione radości i planować zaczęcie wszystkiego od nowa najbliższej wiosny.

Co roku we wrześniu telefonował, jak zwykle mocno zaaferowany.

- Tony? W niedzielę za trzy tygodnie, pamiętasz? Pod namiotem, jak zawsze. Załatwisz szkło? I oczywiście zwrot tego, co zostanie, prawda?

- Prawda - odpowiadałem, a zanim zdążyłem odetchnąć, już się rozłączał. Zazwyczaj to jego uśmiechnięta żona Flora przychodziła później do sklepu, żeby uzgodnić wszystkie szczegóły.

Toteż w tę niedzielę pojechałem do nich o dziesiątej rano i zaparkowałem możliwie najbliżej dużego, niegdyś białego namiotu naciągniętego sztywno na trawniku ogrodu na tyłach. W tej samej chwili wybiegł z domu rozgorączkowany gospodarz, jakby na mnie czekał, co wcale nie było wykluczone. Jack Hawthorn miał koło sześćdziesiątki, był niewysoki, pulchny i przebiegły.

- Dobra robota, Tony. - Lekko poklepał mnie po ramieniu, bo zwykle tak mnie witał, ponieważ zazwyczaj unikał powszechnie przyjętego obyczaju podawania ręki. Nie wynikało to, jak początkowo przypuszczałem, z lęku przed zarazkami; raczej chodziło o to, że - jak mi wyjaśniła pewna zjadliwa bywalczyni wyścigów - jego „uścisk przypominał rozmarzającą meduzę”, więc z przykrością obserwował potem ludzi wycierających dłoń uwolnioną z tego uścisku.

- Doskonały dzień na przyjęcie - powiedziałem. Rzucił okiem na błękitne niebo.

- Potrzebny jest deszcz. Ziemia przypomina beton. - Trenerzy koni wyścigowych, podobnie jak farmerzy, nigdy nie są usatysfakcjonowani pogodą. - Przywiozłeś jakieś napoje bezalkoholowe? Przyjeżdża szejka z całą swoją świtą abstynentów. Zapomniałem cię uprzedzić.

- Szampan, napoje bezalkoholowe i cała skrzynka różności - powiedziałem, kiwając głową.

- Dobrze, w porządku. Zostawiam cię. Kelnerki przyjdą o jedenastej, goście o dwunastej. Ty naturalnie zostaniesz, prawda? Jako mój gość. To chyba oczywiste.

- Twój sekretarz przysłał mi zaproszenie.

- Naprawdę? To się nazywa sprawność! Aż trudno uwierzyć. Gdybyś czegoś potrzebował, przyjdź do mnie.

Skinąłem głową, a on oddalił się pospiesznie, tak jakby całe życie zamierzał przebiec truchtem. Bez względu na sekretarza - raczej powolnego z butnie zadartym nosem, nad wyraz dokładnego w swej pracy - Jack nigdy nie nadążał z wykonaniem tego, co chciał zrobić. Jego pogodna i spokojna żona Flora wyznała mi kiedyś: „To Jimmy (sekretarz) zgłasza konie do poszczególnych gonitw, Jimmy wysyła rachunki, samodzielnie prowadzi całą papierkową robotę. Jack nie musi nawet przykleić znaczka pocztowego. Cały ten pośpiech to tylko przyzwyczajenie.”

Mówiła to jednak z sympatią, bo właściwie o Jacku Hawthornie wszyscy wyrażali się z sympatią; zresztą może to właśnie nagromadzona w nim energia udzielała się koniom i kazała im wygrywać.

Zawsze zapraszał mnie na swoje przyjęcia, oficjalnie lub nie, bez wątpienia częściowo dlatego, że bym był na miejscu i mógł natychmiast rozwiązać ewentualne problemy płynności alkoholowej, ale także dlatego, że ja również pochodziłem ze świata wyścigów i dalej traktowano mnie tak, jakbym do tego świata należał, mimo mojej niewytłumaczalnej ucieczki w detaliczną sprzedaż alkoholu.

„Nie wdał się w ojca”, mówili ci niezbyt życzliwi. A osoby bardziej bezpośrednie kwitowały to stwierdzeniem: „Brak rodzinnego bigla.”

Mój ojciec jako wojskowy zdobył medal za zaszczytną służbę, ale także Złoty Puchar Armii, bo z równym zapałem atakował płotki na torze co terytorium nieprzyjaciela. Jego odwaga na wszystkich polach bitew była wręcz przerażająca, toteż zginął skręciwszy sobie kark na torze wyścigowym w Sandown Park, zresztą na moich oczach, a miałem wówczas lat jedenaście.

On sam miał wtedy czterdzieści siedem i naturalnie takim go zapamiętano w środowisku koniarzy: pozostał na zawsze wysokim, wyprostowanym, roześmianym, nieustraszonym mężczyzną, nietkniętym, jak mi się nadal zdawało, przez nieszczęścia tego świata. Choć nie miał idealnej postury dżokeja, bez wahania poszedł w ślady swego ojca, a mego dziadka, tego tytana z przeszłości, który raz przyszedł drugi w Wielkiej Narodowej, zanim okrył się militarną sławą w pierwszej wojnie światowej. Krzyż Wiktorii zdobyty przez dziadka spoczywał obok medalu ojca w specjalnej gablotce, którą odziedziczyłem. Nie przekazali mi natomiast swojego wigoru, wyczucia i brawury.

„Będziesz taki jak twój ojciec, co?” - wielokrotnie w dzieciństwie słyszałem to przyjazne, pełne nadziei pytanie. Dopiero po jakimś czasie, stopniowo i powoli dotarło do mnie, jak i do pozostałych, że nie, nie będę taki. Nauczyłem się jeździć konno, ale niezbyt błyskotliwie. Poszedłem do Wellington, szkoły dla synów żołnierzy, ale nie kontynuowałem nauki w Sandhurst, żeby samemu też przywdziać mundur. Mama zbyt często powtarzała „nie szkodzi, kochanie”, szlachetnie znosząc nazbyt liczne rozczarowania, a we mnie rozwinął się głęboki i silny kompleks niższości, który gdzieś tam jeszcze się czał na przekór zdrowemu rozsądkowi.

Dopiero Emma sprawiła, że stracił znaczenie, ale teraz po jej odejściu powrócił, słaby acz uporczywy. Odrzucone przyzwyczajenie wkraadało się podstępnie w niestrzeżone zakątki. Żalósne.

Sekretarz Jimmy nigdy mi nie pomagał. Teraz też wynurzył się z domu z rękami w kieszeniach i obserwował, jak wyciągam z furgonetki trzy cynkowane wanny.

- Do czego to? - zapytał.

Pomyślałem, że chyba trudno mu nie zadzierać nosa, skoro ma dobrze ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Chodziło raczej o to, że podobnie brzmiał ton jego głosu.

- Do lodu.

- O - skomentował, a zabrzmiało to bardziej jak dyftong „ou”.

Wniosłem wanny do namiotu; w jednym jego końcu stały rzędy stołów na stojakach nakrytych obrusami, a wokół podstawy dwóch pali podtrzymujących całą konstrukcję liczne donice chryzantem. Żywą trawę przykryto praktycznymi matami, a szare ściany namiotu w regularnych odstępach zdobiły pęki czerwonych i złotych wstęg medalowych. W kącie stała niewłączona dmuchawa do ogrzewania. Prawdę mówiąc, dzień nie był wystarczająco zimny. Namiot robił niemal świąteczne wrażenie. Niemal. Jack i Flora nigdy nie tracili prawdziwych pieniędzy na rzeczy niepotrzebne, czego zresztą nikt nie mógł im mieć za złe.

W powietrzu nic nie zadrżało. Żadnego wstrząsu. Żadnej zapowiedzi okropności, która wkrótce miała się tu wydarzyć. Panował spokój, niewątpliwie pełen wyczekiwania, ale i pogody. Potem przypomniałem to sobie wyjątkowo wyraźnie.

Jimmy nie przestawał mnie obserwować, kiedy wniosłem do namiotu skrzynkę szampana, wypakowałem butelki i ustawiłem je pionowo w jednej z wanienek na podłodze przy ścianie za stołami. Ta praca nie należała do mnie, ale w przypadku Jacka Hawthorne'a wyjście poza ramy przewidziane umową przychodziło jakoś całkiem bez trudu.

Pracowałem w koszuli z krótkimi rękawami, ogrzewała mnie jasnoniebieska kamizelka wycięta w szpic (typowy strój w środowisku związanym z wyścigami). Marynarka czekała w furgonetce na moment, w którym przemienię się w uczestnika bankietu. Jimmy dyskretnie olśniewał w płowym cienkim golfie pod granatowym blezerem ze zwykłymi mosiężnymi guzikami, bez żadnych herbów, bez pretensji. Na tym polegał problem. Gdyby okazywał pretensjonalność, mógłbym pewnie nim pogardzać, zamiast podejrzewać, że to on mnie obdarza tym uczuciem.

Wyjąłem drugą skrzynkę szampana i zacząłem ją rozpakowywać. Jimmy pochylił swą niezwykle wysoką postać, wziął do ręki butelkę, wpatrując się w folię i etykietkę z takim natężeniem, jakby widział coś podobnego po raz pierwszy w życiu.

- Co to za sikacze? - spytał. - Nigdy o nich nie słyszałem.

- To autentyk - odparłem spokojnie. - Z Epernay.

- Tyle to widzę.

- To wybór Flory - wyjaśniłem.

Powiedział „ou” z pełnym zrozumieniem i odłożył butelkę. Wziąłem duże plastikowe worki z kawałkami lodu i dokładnie obsypałem nimi stojące w waniencie butelki.

- Przywiozłeś szkocką? - spytał nagle.

- Jest na przednim siedzeniu furgonetki.

Wyruszył na poszukiwanie i wrócił z nieodkorkowaną butelką.

- A kieliszek? - zapytał.

Zamiast odpowiadać, przyniosłem z furgonetki pudło z sześćdziesięcioma szklaneczkami.

- Proszę.

Bez słowa otworzył pudło, które postawiłem na stole, wyjął jedną z wielofunkcyjnych szklaneczek.

- Czy ten lód nadaje się do picia? - pytał z powątpiewaniem.

- Czysta woda z kranu.

Napełnił szklanekę whisky i lodem i zaczął sączyć tę mieszankę.

- Jesteś dziś mocno rozdrażniony - rzekł po chwili. Spojrzałem na niego zaskoczony. -

Słucham?

- Wiesz, że wczoraj w Szkocji ktoś podpieprzył cały ładunek czegoś takiego...?

- Szampana?

- Nie, szkockiej.

Wzruszyłem ramionami. - To się zdarza.

Przyniosłem trzecią skrzynkę i wypakowałem butelki. Jimmy obserwował mnie, pobrząkując lodem w szklaneczce.

- Tony, czy ty dużo wiesz o whisky? - zapytał.

- No... trochę.

- Odróżniłbyś jedną od drugiej?

- Lepiej znam się na winie. - Wyprostowałem plecy po załadowaniu drugiej wanienki.

- Dlaczego?

- Czy zorientowałbyś się - dość nieudatnie usiłowałem nadać rozmowie ton zdawkowy - gdyby zamiast zamówionej słodowej whisky podano ci zwyczajną, taką jak ta? - Uniósł szklaneczkę, kiwając głową.

- Mają zupełnie inny smak.

Leciutko się odprężył, zdradzając tym samym wewnętrzne napięcie, którego istnienia dotychczas nie byłem świadomy.

- A potrafiłbyś odróżnić jedną jęczmienną whisky od drugiej? Popatrzyłem na niego badawczo. - O co ci chodzi?

- Potrafiłbyś? - nalegał.

- Nie. Nie dzisiaj. Nie potrafiłbym podać nazw. Musiałbym poćwiczyć. Może wtedy by mi się udało. A może nie.

- Ale... gdybyś poznał jeden określony smak, potrafiłbyś potem go wyodrębnić spośród wielu próbek? Albo powiedzieć, że wśród nich nie ma tego smaku?

- Niewykluczone. - Patrzyłem na niego wyczekująco, ale nie spieszył się ze swoim niepokojem, zasięgając jakiejś wewnętrznej opinii.

Wzruszyłem ramionami i poszedłem przynieść więcej lodu, wysypałem go do drugiej wanienki, po czym przyniosłem i rozpakowałem czwartą skrzynkę szampana.

- Trochę mi niezręcznie... - zaczął w końcu.

- Co takiego?

- Chciałbym, żebyś zostawił te butelki i posłuchał, co mówię.

W jego głosie brzmiało rozdrażnienie i niepokój, toteż powoli zaprzestałem wypełniania butelkami trzeciej wanienki, wyprostowałem się i skupiłem uwagę.

- Więc mów, proszę.

Był ode mnie kilka lat starszy, a nasza znajomość ograniczała się na ogół do moich wizyt w domu Hawthornów albo w roli dostawcy napojów, albo niezbyt częstego gościa. Zazwyczaj traktował mnie uprzejmie, ale bez serdeczności, co niewątpliwie odplącałem tym samym. Był trzecim synem czwartego syna earla, właściciela koni wyścigowych; dawało mu to arystokratyczne nazwisko, ale nie fortunę, a mówiło się, że praca u Jacka Hawthorne'a wynikała po prostu z braku odpowiednich talentów, by zabłysnąć w City. Chętnie zaakceptowałbym tę ocenę, gdyby nie fakt, że Flora najwyraźniej go podziwiała - jednak nie obchodziło mnie to na tyle, by w ogóle się nad tym zastanawiać.

- Jeden z właścicieli, którego konie Jack trenuje, ma restaurację - wyjaśnił. - „Silver Moondance” w pobliżu Reading. Taka średnia klasa. Kolacja z tańcami. Czasami śpiewający solista. Masowy klient. - Wysławiał się starannie, ale bez kpiny, stwierdzał fakty, nie ferując wyroków.

Czekałem dyplomatycznie.

- W zeszłym tygodniu zaprosił tam na kolację Jacka, Florę i mnie.

- To przyzwicie z jego strony - stwierdziłem.

- Tak. - Jimmy popatrzył na mnie z góry. - Jak najbardziej. - Zamilkł na chwilę. - Jedzenie było w porządku, ale napoje... Posłuchaj, Tony. Larry Trent jest jednym z ważniejszych właścicieli Jacka. Ma tutaj pięć koni. Rachunki płaci regularnie. Nie chciałbym narobić mu kłopotów... ale przynajmniej na jednej z butelek w jego restauracji etykieta nie odpowiadała zawartości.

Mówił to z tak bolesnym niesmakiem, że o mało się nie uśmiechnąłem.

- Nie jest to aż tak niezwykle - powiedziałem.

- Ale nielegalne. - Nie krył oburzenia.

- Oczywiście. Czy jesteś pewien?

- Tak. W każdym razie tak mi się wydaje. Zastanawiałem się jednak, czy zanim powiem coś Larry'emu Trentowi, nie mógłbyś spróbować tych ich trunków? Może personel go oszukuje? Chodzi mi o to... że może mieć sprawę karną, prawda?

- A ty mu nic nie powiedziałaś tamtego wieczoru? Jimmy wydawał się zaskoczony.

- Przecież byliśmy jego gośćmi! To byłoby wyjątkowo nieeleganckie! Chyba rozumiesz?

- Mm - burknąłem chłodno. - To może powiesz mu teraz, na osobności, co myślisz o jego trunkach? Będzie ci chyba wdzięczny. A w każdym razie będzie to dla niego ostrzeżeniem. Nie wyobrażam sobie, żeby od razu zabrał stąd piątkę swoich koni.

Jimmy wydał jakiś zboląły odgłos i wypił łyk whisky.

- Wspomniałem o tym Jackowi. Powiedział, że na pewno się myłę. Ale jestem prawie pewien, że mam rację.

Przyjrzałem mu się uważnie.

- A dlaczego martwi cię to aż tak bardzo? - spytałem.

- Jak to?! - Nie udawał zaskoczenia. - Przecież oszustwo to oszustwo, prawda? Gnębi człowieka.

- No tak - westchnąłem. - A jakie to miały być trunki?

- Wino zdawało mi się nie najlepsze, zważywszy na etykietkę, ale samo to, to za mało, gdy niczego nie podejrzewasz... i gdyby nie Laphroaig.

Zmarszczyłem brwi.

- Ta słodowa whisky z Islay?

- Jak najbardziej. Ciężka słodowa whisky. Uwielbiał ją mój dziadek. Kiedy byłem mały, pozwalał mi pociągnąć łyczek, ku wściekłości mojej mamy. Zabawne, że nigdy nie zapomina się smaków poznanych w dzieciństwie... naturalnie od tamtych czasów zdarzyło mi się pić tę whisky... ale kiedy się pojawiła w restauracji na tacy na kółkach obok kawy, pomyślałem, że się napiję. Nostalgia i tak dalej.

- A to nie był Laphroaig?

- Nie.

- A co?

Zrobił niepewną minę.

- Pomyślałem, że ty mógłbyś to odkryć. Gdybyś spróbował. Pokręciłem przecząco głową.

- Będziesz potrzebował prawdziwego eksperta. Nie był tym zachwycony.

- Mnie się wydawało, że to zwyczajna mieszanka, całkiem zwyczajna, rozumiesz, nawet nie czysta jęczmienna.

- Lepiej powiedz o tym panu Trentowi. Niech sam to jakoś załatwi.

- Będzie tu dzisiaj - oznajmił niepewnie.

- Spokojnie.

- A czy ty nie mógłbyś... nie mógłbyś z nim porozmawiać?

- Nawet na pewno bym nie mógł - stwierdziłem zdecydowanie. - W twoich ustach będzie to przyjacielskie ostrzeżenie, a w moich śmiertelna zniewaga. Przykro mi, Jimmy, ale naprawdę nie mogę.

- Tak myślałem - przyznał z rezygnacją. - Jednak warto było spróbować. - Dolał sobie szkockiej, ponownie dołożył lodu, a ja pomyślałem przelotnie, że dla prawdziwych wielbicieli whisky lód stanowi profanację, toteż zastanawiałem się nad wiarygodnością jego spostrzeżeń o Laphroaig.

Okrążyła i uszczęśliwiona Flora w wiśniowej welnie wkroczyła swoim lekkim krokiem do namiotu. Rozglądała się wokół i z satysfakcją kiwała głową.

- Tony, skarbie, wygląda całkiem miło, prawda?

- Wspaniale - przyznałem.

- A kiedy jeszcze wypełni się gośćmi...

- Tym bardziej - potwierdziłem.

Była osobą konwencjonalną, pełną najlepszych intencji i ciepła, matką trójki dzieci (których ojcem nie był Jack) telefonujących do niej regularnie. Lubiła o nich mówić podczas niezbyt częstych wizyt w moim sklepie; a ilekroć nadchodziły od nich dobre wiadomości, miała tendencję do składania wyraźnie większych zamówień. Jack był jej drugim mężem, nadal łagodniał pod jej skrzydłami, ale podobno był zazdrosny o jej potomstwo. Zadziwiające, co też ludzie opowiedzą swojemu dostawcy win. Wiem bardzo dużo o życiu wielu osób.

Flora zajrzała do wanienek.

- Cztery skrzynki w lodzie? Skinąłem głową.

- I więcej w furgonetce, gdyby zaszła potrzeba.

- Miejmy nadzieję, że nie zajdzie. - Uśmiechnęła się słodko. - Choć nie chciałabym się o to zakładać. Jimmy, skarbie, nie musisz pić whisky. Otwórz szampana. Chętnie się napiję, zanim nas zaleją wszyscy inni.

Jimmy spełnił tę prośbę z leniwym wdziękiem, odkorkował butelkę bez hałasu, przytrzymując korek ręką. Flora z uśmiechem obserwowała pióropusz gazu i podsunęła szklaneczkę, by złapać pierwsze bąbelki. W wyniku jej nalegań obaj z Jimmym też napiliśmy się szampana, choć po jego minie widać było, że nie najlepiej mu to smakuje po szkockiej.

- Wspaniały! - oznajmiła z uznaniem Flora, sącząc szampana, a ja pomyślałem, że jest on jak zwykle zbyt wątki i zbyt gazowany, choć jak na trunek sprzedawany w takich ilościach, całkiem znośny. Sprzedawałem go bardzo dużo na wesela.

Flora pomaszerowała z kieliszkiem w rękę do wejścia, którym nadejdą goście, a które nie wychodziło na dom, tylko na pole, gdzie zaparkują samochody. Dom i stajnie Jacka

Hawthorna stały w kotlinie na wzniesieniu wschodniego skraju Berkshire Downs w miejscu otoczonym wzgórzami, toteż z daleka były niewidoczne. Większość gości przyjedzie główną drogą przez wzgórze naprzeciwko tyłu domu, zaparkuje na polu i dalszą drogę w dół odbędzie piechotą, przechodząc na trawnik przez furtkę w niskim różanym żywopłocie. Po wielu podobnych przyjęciach Flora do perfekcji opanowała sztukę kierowania tłumem, a zresztą dzięki takiej organizacji nikt nie niepokoił koni.

Flora nagle z głośnym okrzykiem rzuciła się w naszą stronę.

- To nieładnie. Szejk już jest. Jego samochód podjeżdża na wzgórze. Jimmy, wyjdź mu na spotkanie. Jack jeszcze się przebiera. Pokaż szejkowi stajnie. Cokolwiek. Naprawdę nieładnie... Powiedz Jackowi, że on już przyjechał.

Jimmy skinął głową, niespiesznie odstawił szklaneczkę i ruszył na spotkanie naftowego księcia i jego świty. Flora kręciła się w miejscu niezdecydowana, nie poszła za nim, za to nie przestawała mówić, dotknięta do żywego i maksymalnie niedyskretna.

- Nie lubię tego akurat szejka. Nic na to nie poradzę. Jest gruby i straszny, a zachowuje się tak, jakby to miejsce należało do niego. Nie lubię, kiedy na mnie patrzy spod półprzymkniętych oczu, jakbym się zupełnie nie liczyła... Tony, skarbie, niczego nie słyszałeś, prawda? Nie podoba mi się sposób traktowania kobiet przez Arabów.

- Ale jego konie wygrywają - wtrąciłem.

- Owszem. - Flora westchnęła. - Bycie żoną trenera to nie same słodycze i blaski. Niektórzy właściciele przyprawiają mnie o mdłości. - Uśmiechnęła się do mnie przelotnie i poszła do domu, a ja tymczasem wyładowałem pozostałe napoje, sok pomarańczowy i colę.

Na wzgórzu szofer w liberii parkował długiego mercedesa z zaciemnionymi szybami, który nieodparcie kojarzył się z szejkiem. Postawił go przodem do namiotu, stopniowo w tym rzędzie pojawiało się coraz więcej samochodów; przyjechały nimi kelnerki i inni pomocnicy, a wreszcie niekończący się sznur aut przywiózł ponad setkę gości.

Przyjechali rolls-royce'ami, rangę roverami, mini i fordami. Jedna para przyjechała furgonem do wożenia koni, inna motocyklem. Niektórzy przywieźli dzieci, inni psy, które na ogół zostawiono w samochodach. W kaszmirach i sztruksach, spódnicach w kratę i z tweedu, w wytwornych strojach i perłach szli goście w dół trawiastego zbocza, mijali furtkę w różanym żywopłocie, robili kilka kroków po trawniku i nie przerywając rozmów, wchodzili do gościnnego namiotu. Obiecująca perspektywa przyjemnego niedzielnego poranka kazała zapomnieć o większości codziennych kłopotów.

Jak zwykle na przyjęciach związanych z wyścigami, wszyscy się znali. Liczba decybeli szybko zaczynała drażnić uszy i tylko pod ścianami namiotu można było rozmawiać,

nie podnosząc głosu. Zauważyłem, że szejek wystrojony w arabskie szaty i otoczony czujnie rozglądającą się świtą ustawił się plecami do ściany, trzymał przed sobą szklanę soku pomarańczowego i obserwował tłum spod półprzymkniętych powiek. Jimmy czynił szlachetne wysiłki, żeby go zabawić, co wynagradzały poważne skinienia głowy. Stopniowo kolejni goście przerywali rozmowy i podchodzili do potężnej postaci w białym turbanie, by zamienić kilka słów, choć nikomu się nie udało zrobić tego w sposób naturalny, nie zbliżyła się też do szejka żadna kobieta.

Po chwili Jimmy uwolnił się i znalazł się tuż przy mnie.

- Ciężka sprawa z takim szejkiem, co? - spytałem.

- To nie jest nawet zły facet - bronił go lojalnie Jimmy. - Tylko pozbawiony talentów towarzyskich w zachodnim stylu i paranoicznie obawiający się zabójstwa. Podobno nie siada nawet na fotelu u dentysty bez tych swoich goryli. Ale na koniach się zna. Kocha je. Trzeba go było widzieć przed chwilą w stajni, to nagle ożywienie w ciężko znudzonym wzroku. - Rozglądał się uważnie i nagle zawołał: - Widzisz tego mężczyznę, który rozmawia z Florą? To Larry Trent.

- Ten od podrobionej Laphroaig?

Jimmy skinął głową, niezdecydowanie zmarszczył brwi i ruszył w zupełnie odwrotnym kierunku. Przez kilka chwil przyglądałem się rozmówcy Flory, był to mężczyzna w średnim wieku, ciemnowłosa, z wąsami, jako jeden z nielicznych ubrany w garnitur z granatowego tenisu, marynarkę miał zapiętą, a z górnej kieszonki wystawał brzeżek jedwabnej chusteczki. Potem parę osób zmieniło miejsce i straciłem go z oczu; jak zwykle przy takich okazjach rozmawiałem z całym szeregiem niezbyt bliskich znajomych, których widywałem raz do roku albo nawet rzadziej - zazwyczaj podejmowało się rozmowę w miejscu jej przerwania, jakby obu spotkań nie dzielił czas. Właśnie jedna z takich osób w najlepszej intencji zapytała: - A jak Emma? Jak twoja śliczna żona?

Sądziłem, że nigdy do tego nie przywyknę, do tego ukłucia szpikulcem w obnażony nerw, do tego zdecydowanie fizycznego bólu. Emma... dobry Boże.

- Nie żyje - odparłem, lekko kręcąc głową, starając się przekazać to łagodnie, oszczędzić rozmówcy zażenowania. Często musiałem mówić to w taki sposób, o wiele za często. Teraz wiedziałem już, jak to robić, nie wywołując zbytniego dyskomfortu. Gorzka, niezwykła umiejętność owdowiałych, odsuwanie przygnębienia od innych, ukrywanie własnego.

- Tak mi przykro - powiedział mój rozmówca i w danej chwili był absolutnie szczery, jak to się zwykle dzieje. - Nie miałem najmniejszego pojęcia. Kiedy...?

- Sześć miesięcy temu.

- Och. - Odpowiednio dopasował poziom współczucia. - Naprawdę bardzo mi przykro.

Skinąłem głową. On westchnął. Świat toczył się dalej. Transakcja zakończona, do następnego razu. Zawsze jest następny raz. Ale przynajmniej nie zapytał „jak to się stało?”, więc nie musiałem mu mówić, nie musiałem myśleć o bólu, utracie przytomności, o nienarodzonej dziewczynce, które zmarło wraz z nią.

Niektórzy goście Jacka byli także moimi klientami, więc nawet na tego typu spotkaniu okazywało się, że rozmawiam zarówno o koniach, jak o winie. Kiedy pełna zapału starsza dama domagała się moich opinii na temat porównania Côtes du Rhone z Côte de Nuits, zobaczyłem, że Jimmy wreszcie rozmawia z Larrym Trentem. On też mnie zauważył i dawał ręką znaki, żebym podszedł, ale nie mogłem tego zrobić, bo jeśli uda mi się przekonać pełną zapału damę, będzie kupowała skrzynkami lepsze wino, więc dałem Jimmy’emu znak „później”, na co zareagował przebaczącym machnięciem ręki.

Kelnerki przeciskały się przez tłum z tacami kanapek i kiełbasek na wykałaczkach. Ocenilem, że stawilo się dobrze ponad sto gardeł i jeśli entuzjazm będzie wzrastał w takim tempie, to pierwszych czterdzieści osiem butelek opróżni się lada moment. Zmierzałem już w kierunku wejścia dla obsługi w pobliżu domu, kiedy sam Jack znalazł się tuż przy mnie i chwycił mnie za rękaw.

- Potrzeba więcej szampana, a kelnerki mówią, że twoja furgonetka jest zamknięta. - W jego głosie wyczuwało się pośpiech. - Nie sądzisz, że przyjęcie jest udane?

- Jak najbardziej.

- Dobrze. Doskonale. Więc liczę na ciebie. - Odwrócił się i odszedł, witając mijane osoby poklepywaniem po plecach, uszczęśliwiony swoją rolą gospodarza.

Sprawdziłem wanienki, w których zostały jedynie dwie stojące butelki w morzu topiącego się lodu. Ruszyłem do furgonetki, szukając w kieszeni kluczy. Po drodze spojrzałem na wzgórze, gdzie czekały wszystkie samochody, range rover, furgon do przewozu koni, mercedes szejka. Żadnych wyrw w szeregu, nikt jeszcze nie odjechał. Na wzgórzu jakieś dziecko bawiło się z psem.

Otworzyłem tylne drzwi furgonetki i pochyliłem się, żeby wyciągnąć trzy dodatkowe skrzynki, które chłodziły się niezbyt skutecznie pod czarnymi workami z lodem. Wyrzuciłem jeden z worków na trawę i podniosłem jedną ze skrzynek.

Dostrzeżony kątem oka ruch kazał mi odwrócić głowę i w ułamku sekundy ten zwyczajny dzień przemienił się w koszmar.

Furgon do przewozu koni toczył się właśnie po zboczu.

Zmierzał prosto na namiot, nabierał szybkości.

Był już zaledwie pół metra od różanego żywopłotu. Przebił się przez delikatne rośliny, rozgniatając ostatnie różowe kwiaty jesieni. Nieubłaganie wjeżdżał na trawnik.

Rzuciłem się do wejścia do namiotu z ostrzegawczym krzykiem, którego w panującym zgiełku nikt nie usłyszał, zresztą i tak było już za późno.

Przez nieruchomy ułamek sekundy dostrzegłem całe nietknięte jeszcze zgromadzenie, tłum ludzi, uśmiechających się, pijących, żywych i niczego nieświadomych.

W tej sekundzie furgon worał się w namiot i wiele rzeczy odmienił na zawsze.

Rozdział trzeci



Absolutne niedowierzenie objawiło się milczeniem, które trwało może pięć sekund, potem ktoś krzyknął i już nie przestawał, wył, co stanowiło histeryczny komentarz do straszliwego horroru.

Furgon przetoczył się przez jedną ze ścian, grzebiąc pod spodem ludzi, następnie uderzył w jeden ze słupów podtrzymujących namiot. Słup nie wytrzymał. Część namiotu przede mną zapadła się do środka, stałem niejako na skraju ruiny.

W miejscu, gdzie przed chwilą widziałem gości, leżało teraz ciężkie szare płótno z niezliczonymi wyrzuceniami, które wykonywały jakieś rozpaczliwe poruszenia.

Pośrodku, niemal nieprzyzwoicie, stał furgon do przewozu koni, gigantyczny, ciemnozielony, nietknięty, bezosobowy i przerażający. Nie było widać nikogo za kierownicą, ale żeby dostać się do kabiny, trzeba było przejść po zmiążdżonych kawałkach żywych i umarłych.

W głębi za furgonem, gdzie stała jeszcze część namiotu, ludzie przepychali się przez to, co pozostało z dawnego wejścia, przedzierali się przez dziury w brezencie, zataczając się wychodzili pojedynczo i padali na trawnik niczym postaci z płaskorzeźbionego fryzu.

Zorientowałem się, że nadal trzymam skrzynkę szampana. Odstawiłem ją i puściłem się biegiem w stronę domu, do telefonu.

Panował tam absolutny spokój, jakby nic się nie wydarzyło. Ręce mi się trzęsły, kiedy podniosłem słuchawkę.

Policja i karetki do stajni Jacka Hawthorna. Lekarz. Dźwig. Już jadą, powiedzieli. Wszyscy jadą. Od razu.

Wróciłem na zewnątrz, mijałem ludzi z nieprzytomnym wzrokiem, którzy również biegli do domu, żeby zadzwonić.

- Już jadą - powiedziałem. - Jadą.

Wszyscy się trzęśli, nie tylko ja.

Wycie umilkło, jednak wiele osób krzychało, mężowie próbowali odnaleźć swoje żony, żony szukały mężów, matki synów. Wszyscy mieli pobladłe twarze, otwarte usta, urywany oddech. Ludzie zabrali się do przecinania brezentu scyzorykami, żeby uwolnić uwięzionych z wnętrza namiotu. Jakaś kobieta metodycznie cięła na kawałki strzepy bocznej ściany małymi nożyczkami, po jej policzkach płynęły łzy. Wszystkie te wysiłki wydawały się nieistotne wobec ogromu zadania.

Wiedziałem, że Flora, Jack i Jimmy znajdowali się w tej części namiotu, która runęła.

Gdzieś w pobliżu rżał koń, walił kopytami w drewno, uświadomiłem sobie ze zgrozą, że odgłosy te dochodzą z wnętrza furgonu. W środku znajdował się koń.

Na sztywnych nogach podszedłem do stojącej części namiotu, wszedłem do środka przez otwór, którym przed chwilą wydostali się tamci ludzie. Jeden ze słupów stał prosto, otoczony jasnością chryzantem w donicach. Wokół pełno było potłuczonego szkła, kilka osób próbowało podnieść ciężkie fałdy zawalonego brezentowego dachu, żeby umożliwić ocalonym wyczołganie się spod spodu.

- Spróbujmy zrobić tunel - powiedziałem do jednego z mężczyzn.

Skinął głową ze zrozumieniem.

Podnosząc jedną fałdę brezentu wspólnymi siłami, zdołaliśmy przy pomocy innych osób stworzyć szerokie i wystarczająco wysokie przejście do zawalonej części namiotu, przez które wydostało się około trzydziestu oszołomionych osób. Z trudem stanęły na nogi. Z twarzy i rąk pokaleczonych szkłem płynęła krew. Tylko nieliczni zdawali sobie sprawę, co się stało. Wśród uwolnionych była dwójka dzieci.

Jedną z osób, do których dotarliśmy niemal na końcu tunelu, była Flora. Dostrzegłem czerwień jej wełnianej sukni na ziemi pod fałdą brezentu, pochyliłem się, żeby jej pomóc. Leżała twarzą na macie, półprzytomna, bliska uduszenia.

Wyniosłem ją na początek tunelu, oddałem komuś stojącemu na zewnątrz i wróciłem do środka.

Tunel stopniowo się powiększał, aż w końcu zamiast słupów znaczną część dachu podtrzymywał krąg ludzi; jedna czy dwie osoby nieustannie penetrowały obrzeża zawalonego namiotu, dopóki nie nabraliśmy pewności, że wszyscy nie znajdujący się w bezpośrednim sąsiedztwie furgonu wydostali się na zewnątrz, żywi i poruszający się o własnych siłach.

Furgon...

Nikt nie chciał się do niego zbliżyć. Mężczyzna, który pierwszy zaczął mi pomagać przy tworzeniu tunelu, patrzył na mnie przez dłuższą chwilę, po czym powiedzieliśmy wszystkim, że kto chce, może już wyjść. Niektórzy posłuchali, ale pozostała trójka czy czwórka razem z nami stworzyła tym razem krótszy i niższy tunel. Posuwaliśmy się w kierunku tego boku furgonu, który wychodził na ocalałą część namiotu, podnosząc mocno napięty brezent, by uwolnić ludzi nadal uwięzionych pod jego ciężarem.

Niemal pierwszą osobą, na jaką się natknęliśmy, był niezwykle ożywiony Arab; w każdych innych okolicznościach wydawałby się nieodparcie śmieszny. Kiedy tylko poczuł się wolny i mógł się poruszać, zaczął coś niezrozumiale wykrzykiwać, wyciągnął spod obszernych szat automatyczny karabin i niebezpiecznie nim wymachiwał.

Pomyślałem, że brakuje nam tylko serii ogłuszających strzałów.

Przypomniałem sobie, że szejk stał pod boczną ścianą, więc za jego plecami nikt się nie czaił.

Po tej stronie znaleźliśmy jeszcze dwie żywe kobiety, niezdolne wymówić słowa, wybladłe, w podartych ubraniach, pokrwawione odłamkami szkła. Jedna miała złamaną rękę. Przekazaliśmy je w bezpieczne miejsce i wróciliśmy.

Czołgając się naprzód, natrafiłem na stopy, ułożone palcami do góry, nieruchome, a potem na nogawki spodni. W półmroku brezentowego dachu bez trudu rozpoznałem granatowy tenis.

Podniosłem jeszcze kawałek materiału, zobaczyłem zapiętą marynarkę, jedwabną chusteczkę w kieszonce i odrzuconą w bok rękę trzymającą ocalałe fragmenty kieliszka. A dalej, w miejscu gdzie powinna się zaczynać szyja, znajdowała się jedynie przygnieciona ciężarem purpurowa masa.

Z uczuciem mdłości opuściłem brezent.

- Na nic - powiedziałem do mężczyzny za mną. - Nie żyje. Ma głowę pod przednim kołem.

Obrzucił mnie spojrzeniem równie przerażonym jak moje, powoli przesuwaliśmy się na tył furgonu, poruszając się z coraz większym trudem na czworakach.

Nad nami we wnętrzu furgonu koń rozpaczliwie wierzgał i rżał, zaniepokojony, podekscytowany i niewątpliwie zaalarmowany zapachem. Konie zawsze niepokoi krew. Mimo wszystko nie wyobrażałem sobie, żeby ktokolwiek mógł otworzyć furgon i wypuścić zwierzę.

Znaleźliśmy kolejnego żywego Araba, leżał płasko na wznak, jedną rękę miał zakrwawioną i modlił się do Allaha. Wyciągnęliśmy go na zewnątrz, a potem, dokładnie na jego miejscu, znaleźliśmy porzucony karabin.

- To szaleńcy - stwierdził mój towarzysz.

- Ale nie ocaliło to ich pana - zauważyłem.

Obydwaj klęczeliśmy, oglądając w milczeniu to, co zostało z szejka: jego głowę nadal przyodzianą w biały turban ze złotymi sznurami. Resztę ciała przykrywał zakrwawiony brezent. Mój towarzysz chwycił mnie za rękę i powiedział: - Niech pan da spokój. Proszę już na to nie patrzeć. To nie ma sensu.

Przemknęła mi przez głowę myśl o policjantach i obsłudze karet, którzy wkrótce będą musieli to oglądać, posłuchałem jednak rady. W milczeniu wróciliśmy do stojącej części namiotu, by rozpocząć formowanie nowego tunelu w kierunku drugiego boku furgonu.

Tutaj właśnie natknęliśmy się na Jacka i Jimmy'ego; obydwaj byli nieprzytomni, mieli jednak wyczuwalny puls, obydwu przygniatał do ziemi gruby słup podtrzymujący przedtem namiot. Znalazły się pod nim nogi Jacka i tors Jimmy'ego. Praktycznie nie ruszyliśmy słupa, ale w wyniku naszych ruchów Jack trochę oprzytomniał i zaczął jęczeć z bólu.

Mój towarzysz zaklął przez zęby, a ja zaproponowałem:

- Zostanę tutaj, a pan niech przyniesie coś do podtrzymania brezentu.

Mężczyzna skinął głową i zniknął, ciężki materiał opadł za nim, zamykając mnie we wnętrzu.

Jimmy wyglądał strasznie, oczy miał zamknięte, a z ust płynęła strużka krwi.

Jack nie przestawał jęczeć. Podtrzymałem na ramionach kawałek namiotu jak Atlas, a tymczasem wrócił mój towarzysz od budowy tuneli, wraz z nim przyszło dwóch ochotników, przynieśli też stół na kozłach w charakterze prowizorycznego dachu.

- Co robimy? - spytał niezdecydowanie jeden z nich.

- Podnosimy słup - zarządziłem. - Jackowi sprawia ból, ale Jimmy'ego może zabić.

Wszyscy przyznali mi rację. Powoli, ostrożnie uwolniliśmy obu rannych od przygniatającego ciężaru i odłożyliśmy słup na ziemię. Jack umilkł, a Jimmy leżał nieruchomo jak kłoda. Obydwaj jednak płytko oddychali, z ulgą stwierdziłem, że u obydwu puls jest wyczuwalny.

Postawiliśmy nad nimi stół na kozłach i ostrożnie poczołgaliśmy się dalej. Po chwili natknęliśmy się na dziewczynę leżącą na wznak, jedną ręką zakrywała twarz. Miała zerwaną spódnicę, zewnętrzna strona uda była rozszarpana, oderwane od kości ciało zwisało od biodra

do kolana. Podniosłem brezent namiotu przykrywający jej twarz i zorientowałem się, że nie jest całkiem nieprzytomna.

- Halo - powiedziałem bez sensu. Spojrzała na mnie niezdecydowanie.

- Co się dzieje? - spytała.

- Doszło do wypadku.

- Tak? - Wydawała się senna, ale kiedy dotknąłem jej policzka, był lodowato zimny.

- Przyniesiemy jeszcze jeden stół - powiedział mój pierwszy pomocnik.

- I koc, jeśli to możliwe - dodałem. - Jest zdecydowanie zbyt wyziębiona.

Skinął głową i wyjaśnił „to szok”. Wszyscy się oddalili, jakby do przyniesienia stołu trzeba było trzech mężczyzn.

Patrzyłem na nogę dziewczyny, która nie należała do najszczuplejszych. Wewnątrz długiej otwartej rany bez trudu można było odróżnić żółtawą, bąbelkową tkankę tłuszczową i zwarty czerwony mięsień, wystawiony na inspekcję jak poszarpana książka. Nigdy nie widziałem czegoś podobnego; zadziwiające, że nie krwawiła obficie, z pewnością nie tak bardzo, jak można się było spodziewać.

Wyłączające się ciało, pomyślałem. Efekty szoku, równie groźne jak same obrażenia.

Nie bardzo mogłem jej pomóc, miałem jednak w kieszeni scyzoryk z małymi nożyczkami. Westchnąłem głęboko, podciągnąłem kamizelkę i wyciąłem kawał koszuli aż do kołnierzyka, z przodu wyglądało to tak, jakbym pod spodem miał całą koszulę. Myślałem przy tym, że moje postępowanie jest śmieszne, mimo to nie przerywałem.

Przód koszuli przedarty na dwa szerokie pasy tworzył niezły bandaż. Wsunąłem obydwie kawałki pod jej nogę i naciągnąłem mięso na miejsce, związując je wokół kości jak pieczeń. Kilkakrotnie spoglądałem z niepokojem na twarz dziewczyny, zdawało się jednak, że nie w pełni czuje moje działania. Leżała z otwartymi oczami, rękę zgiętą w łokciu trzymała nad głową, w pewnym momencie powiedziała tylko: „Gdzie to jest?”, a później „nie rozumiem”.

- Wszystko w porządku.

- Naprawdę? To dobrze.

Pomocnicy powrócili, niosąc stół, koc podróżny i ręcznik.

- Uznałem, że możemy tym podwiązać ranę - powiedział pierwszy z nich - ale widzę, że już pan to zrobił.

Jednak owinęliśmy jej nogę dodatkowo tym ręcznikiem dla pewności, przykryliśmy ją kocem i zostawiliśmy pod osłoną stołu, a sami z niepokojem poczołgaliśmy się dalej. Nie znaleźliśmy jednak nikogo, komu moglibyśmy pomóc. Odkryliśmy natomiast jedną z

kelnerek, leżała martwa na tacy z kanapkami, gładka młoda twarzyczka była kredowobiała; natknęliśmy się też na wystające nogi innego Araba, a pod furgonem widać było straszliwe czerwone kształty, do których nie mogliśmy dotrzeć mimo najlepszych chęci.

Wszyscy czterej wycofaliśmy się zgodnie na błogosławioną świeżość powietrza i w tym momencie rozległy się klaksony i sygnały oficjalnych ratowników zjeżdżających właśnie ze wzgórza.

Podszedłem do Flory siedzącej na kuchennym krześle, które ktoś jej przyniósł; jakieś kobiety próbowały ją pocieszać, ale jej oczy były mroczne i wpatrzone w przestrzeń, a ciałem targały dreszcze.

- Z Jackiem nie najgorzej - powiedziałem. - Przewrócił go słup. Może mieć złamaną nogę, ale poza tym wszystko w porządku.

Spojrzała na mnie niewidzącymi oczami. Zdjąłem marynarkę i okryłem ją.

- Flora... Jack żyje.

- Wszyscy ci ludzie... nasi goście... - Jej głos brzmiał słabo. - Wiesz na pewno... o Jacku?

Nie zabrzmiało w tym żadne prawdziwe pocieszenie. Potwierdziłem moje informacje i wziąłem ją w objęcia, kołysząc w ramionach jak dziecko; w milczeniu przytuliła głowę do mojego ramienia, nadal zbyt wstrząśnięta, by płakać.

Wszystko, co działo się potem, wydaje się niewyraźne; czas płynął szybko, choć nie odnosiło się takiego wrażenia.

Policja przywiozła dużo odpowiedniego sprzętu i w krótkim czasie odkryła brezent namiotu wokół furgonu, zasłaniając to miejsce wysokimi parawanami, aby ukryć całą jego grozę.

Jack, całkowicie przytomny, leżał na noszach, lekko odurzony środkiem przeciwbólowym, bronił się niezbyt energicznie przed jazdą do szpitala, tłumacząc, że nie może zostawić swoich gości, swoich koni, nie może pozwolić, by żona radziła sobie ze wszystkim sama. Protestował jeszcze, kiedy wnoszono go do karetki wraz z nieprzytomnym Jimmym. Karetka powoli odjechała.

Goście snuli się po domu lub siedzieli w samochodach, pragnąc jak najszybciej wrócić do domów. Jednak gdzieś na łączach telefonicznych powstała straszliwa afera z powodu śmierci szejka i mundurowych policjantów poinstruowano, że nikomu nie wolno odjechać przed przybyciem ekipy śledczej.

Uważałem, że cała ta afera jest tak naprawdę nonsensowna. Nikt przecież nie mógł przewidzieć, w którym miejscu namiotu ustawi się szejk. Nikt nie mógł świadomie nacelować

furgonu. Puścili hamulce i stoczył się ze wzgórza... równie wybiórczy wobec swoich ofiar jak trzęsienie ziemi.

Osołomiona para młodych ludzi, którzy przyjechali furgonem i zaparkowali go na wzgórzu, nie mogła opanować łez. Słyszałem, jak mężczyzna powtarzał z uporem: - Przecież zostawiłem go na biegu z zaciągniętym hamulcem... jestem pewien... zawsze bardzo uważam... jak to się mogło stać... w jaki sposób?

Przesłuchiwał ich mundurowy policjant, nie okazujący nadmiernego współczucia.

Powędrowałem z powrotem do mojej furgonetki, obok której zostawiłem skrzynkę szampana. Zniknęła. Podobnie jak szósta i siódma skrzynka ze środka. Podobnie jak zapasowy gin i whisky z przedniego siedzenia.

Obrzydliwe, pomyślałem i wzruszyłem ramionami. Po jatkach złodziejstwo. Odwieczny sposób zachowania ludzi. Nie miało to większego znaczenia, choć wolałbym wszystko rozdać, niż w ten sposób stracić.

Flora była w domu, odpoczywała w pozycji leżącej. Zauważyłem, że ktoś przyniósł moją marynarkę z pokrwawionymi rękawami. Krew była także na mankietach koszuli, na jasnoniebieskiej kamizelce. Wysznięta krew na moich dłoniach.

Ze wzgórza zjeżdżał powoli olbrzymi dźwig na gąsienicach, ustawiono go w pobliżu furgonu. Po pewnym czasie za pomocą łańcuchów uniesiono niezbyt wysoko w powietrze ciężki zielony pojazd, a po chwili już uniósł się wyżej i przehuśtał się na skrawek pustego trawnika.

W końcu sprowadzono po rampie ciągle wierzgającego konia, czym zajął się jeden ze stajennych Jacka, a dwaj policjanci pilnowali furgonu przed okiem ciekawskich.

Niewielka, przerażająca grupka ludzi czekała bez ruchu, wpatrzona w milczeniu w miłosierne parawany. Wiedzieli, musieli wiedzieć, że ci, których oczekują, nie żyją, a jednak stali, nie płacząc, a ich twarze złościła uparta nadzieja. Pięć ton metalu wbiło się w zbity tłum, a oni mimo wszystko mieli nadzieję.

Jeden z czekających odwrócił głowę, zobaczył mnie i niepewnie ruszył w moją stronę, jakby jego stopy podlegały innym prawom niż reszta nóg. Ubrany był w dzinsy i brudną koszulkę trykotową, wyglądem i zachowaniem nie sprawiał wrażenia gościa. Przypominał raczej jednego z chłopców stajennych Jacka podczas wolnej niedzieli.

- Pan był w środku, prawda? - spytał. - Pan jest tym facetem od napojów, tak? Ktoś mówił, że pan był w środku... - Wykonał nieokreślony gest w stronę pozostałości namiotu. - Widział pan moją żonę? Była tam? Widział ją pan?

- Nie wiem. - Pokręciłem głową.

- Roznosiła napoje i tak dalej. Ona lubi tę pracę... widywanie ludzi. Jedna z kelnerek. Zauważył zmianę wyrazu mojej twarzy i zinteretował ją bezzwłocznie.

- Ona tam jest... prawda?

Nie odpowiadałem przez chwilę, dodał więc z jakąś mieszaniną dumy i rozpacz:

- Ona jest bardzo ładna, wie pan. Naprawdę ładna. Skinąłem głową i przełknąłem ślinę.

- Jest ładna.

- O nie! - Jego rozpacz wyraziła się w rozdzierającym krzyku. - Nie!

Wtrąciłem szybko, beznadziejnie: - Moja żona umarła nie tak dawno. Wiem, jak to jest... tak strasznie mi przykro.

Popatrzył na mnie tępo i wrócił do pozostałych, by wpatrywać się w parawany, a ja poczułem się bezużyteczny i niepotrzebny, przytłoczony litością.

Furgon zaatakował tuż przed pierwszą trzydziestą, ale dopiero przed piątą nowa ekipa śledcza pozwoliła ludziom się rozjechać. W końcu rozpowszechniono informację, że wszyscy mogą się oddalić, ale każdy samochód musi zatrzymać się przy bramie, a jego pasażerowie podać swoje nazwiska.

Zmęczeni, głodni, wymiętoszeni, często z zabandażowanymi skaleczeniami w kompletnym milczeniu wjeżdżali na wzgórze goście, którzy tak niedawno zjeżdżali w dół pełni oczekiwań. Jak uchodźcy, pomyślałem. Słychać było chór uruchamianych równocześnie silników, zaczynały się obracać pierwsze koła.

Jakiś mężczyzna dotknął mojego ramienia. Mój pierwszy pomocnik od tuneli. Był wysoki, siwiejący, miał inteligentne oczy.

- Jak pan się nazywa? - zapytał.

- Tony Beach.

- Ja jestem McGregor. Gerard McGregor. - To G wymówił miękko, głosem, w którym pobrzmiwały dalekie, choć niewątpliwe pogłosy szkockiego akcentu. - Cieszę się, że pana poznałem - dodał i wyciągnął dłoń, którą uścisnąłem.

Uśmiechnęliśmy się do siebie, potwierdzając wspólnotę doświadczeń, po czym mężczyzna odwrócił się i otoczył ramieniem przystojną kobietę stojącą obok; obserwowałem, jak przedzierali się przez różaną furtkę. Sympatyczny facet, pomyślałem i na tym się skończyło.

Wszedłem do domu, by sprawdzić, czy przed odjazdem mogę jeszcze w czymś pomóc Florze. Zastałem tam innego rodzaju ruinę. Opustoszałe już pomieszczenia na parterze przypominały obóz wojskowy, przed chwilą opuszczony przez olbrzymią armię. Pobrudzono

chyba wszelkie filiżanki i spodki, całe szkło. Wszystkie butelki w barku były otwarte i puste. Popielniczki przepelnione. Na talerzach leżały resztki jedzenia. Poduszki były mocno pogniecione.

Goście, którzy nie dostali oczekiwanego lunchu, przeszli przez kuchnię jak szarańcza, wyjadając wszystko, co było pod ręką. Na blatach leżały puste puszki po zupach, w zlewie poniewierały się skorupki od jajek, dokładnie objedzone szkielety kurczaków mieszały się z pogniecionymi opakowaniami po herbatnikach i krakersach. Z lodówki zniknęły wszystkie jadalne produkty, a na kuchence zostały brudne garnki.

Usłyszałem cichy okrzyk na progu, odwróciłem się i zobaczyłem Florę, twarz miała poszarzałą i zmiętą, czerwona suknia była mocno pognieciona. Wskazałem gestem pełnym frustracji na cały bałagan, ale ona zdawała się traktować tę sytuację bez najmniejszych emocji.

- Musieli coś zjeść - powiedziała. - Nie ma sprawy.

- Posprzątam.

- Zostaw. Zrobię to jutro. - Weszła do kuchni i ciężko usiadła na jednym z drewnianych krzesel. - To nie ma żadnego znaczenia. Powiedziałam im, żeby coś zjedli.

- Mogli przynajmniej po sobie posprzątać.

- Powinieneś lepiej znać to wyścigowe towarzystwo.

- A chcesz bym w czymś ci pomógł?

- Nie, w niczym. - Westchnęła głęboko. - Czy ty wiesz, ile osób zginęło? - Jej głos był kompletnie pozbawiony życia, zgaszony nadmiarem okropności.

Pokręciłem przecząco głową. I dodałem:

- Szejk i jeden z jego obstawy. Larry Trent. I jedna z kelnerek, która chyba jest żoną waszego stajennego. I inni, których nie znam.

- Chyba nie mówisz o Janey - powiedziała poruszona Flora.

- Nie wiem.

- Młoda i ładna. W lecie wyszła za Toma Wickensa. Mam nadzieję, że to nie ona.

- Obawiam się, że tak.

- O Boże. - Flora pobladła jeszcze bardziej, jeśli było to w ogóle możliwe. - Nie przejmuję się specjalnie szejkiem. To strasznie brzmi, poza tym że stracimy jego konie, ale o jego śmierci wiem już od paru godzin i nie robi to na mnie większego wrażenia. Jednak Janey...

- Myślę, że powinnaś jakoś wesprzeć Toma Wickensa - powiedziałem.

Wpatrywała się we mnie przez chwilę, po czym wstała i wyszła do ogrodu; widziałem przez okno, jak podeszła do mężczyzny w podkoszulku i otoczyła go ramionami. Tulił się do niej rozpaczliwie, przez sekundę zastanawiałem się nawet, komu z nich przynosi to większą pociechę.

Najbardziej widoczne śmieci w kuchni wrzuciłem do kosza, a resztę zostawiłem zgodnie z życzeniem Flory. Potem poszedłem do furgonetki z zamiarem powrotu do domu. Kiedy otworzyłem drzwiczki samochodu, wyrósł obok mnie młodziutki policjant.

- Przepraszam pana - zaczął, trzymając w pogotowiu notes i długopis.

- Słucham?

- Pana nazwisko?

Podaliśmy nazwisko i adres, co skwapliwie zapisał.

- W którym miejscu namiotu pan się znajdował, kiedy wydarzył się ten incydent?

Incydent... wielkie nieba!

- Nie byłem w namiocie, byłem tutaj, przy furgonetce.

- Oo! - Jego źrenice poszerzyły się lekko. - W takim razie, czy zechciałby pan chwilę poczekać?

Oddalił się pospiesznie i po chwili wrócił w towarzystwie mężczyzny w cywilu, który szedł wolno z przygarbionymi ramionami.

- Pan... Beach? - spytał nowo przybyły. Niezbyt wysoki, niemłody. Wyraźnie nieagresywny.

Skinąłem twierdząco głową.

- Był pan tutaj, na zewnątrz, kiedy to się wydarzyło?

- Tak.

- A czy przypadkiem... czy widział pan furgon zjeżdżający ze wzgórza? - Miał spokojny głos, wymawiał każdą sylabę tak starannie, jakby ktoś miał czytać mu z warg.

Ponownie skinąłem głową. Westchnął z wyraźną satysfakcją, jakby takiej właśnie odpowiedzi poszukiwał od dawna, uśmiechnął się do mnie łaskawie i zaproponował, żebyśmy poszli do domu (gdzie będzie cieplej) w towarzystwie policjanta, który będzie protokołował.

Zasiedliśmy w bałaganie salonu, tam też odpowiadałem na pytania.

Mężczyzna powiedział, że nazywa się Wilson. Był zawiedziony, że nie widziałem tego momentu, kiedy furgon ruszył ze wzgórza, odczuwał zawód również z tego powodu, że nie dostrzegłem nikogo we wnętrzu czy w pobliżu furgonu, zanim zaczął się staczać.

- Ale jedno mogę panu powiedzieć na pewno. Furgonu nie zaparkowano na z góry ustalonym miejscu. Obserwowałem przyjazd kilku samochodów. Widziałem, jak przejeżdżały

przez szczyt wzgórza, parkowały w rzędzie w kolejności, w jakiej przyjechały. Podobnie było i z furgonem. - Po chwili dodałem: - Szejk zjawił się dobrą godzinę przed pozostałymi gośćmi, dlatego jego mercedes stoi pierwszy w rzędzie. Zaraz po przyjeździe poszedł do stajni, obejrzeć konie, a kiedy zjawili się inni goście, dołączył do nich we wnętrzu namiotu. Nikt nie ustawiał go w jakimś określonym miejscu. Akurat byłem w namiocie, kiedy się zjawił w towarzystwie Jacka Hawthorna i Jimmy'ego, sekretarza Jacka. To czysty przypadek, że stanął akurat w tym, a nie innym miejscu. Zresztą nie stał przecież zupełnie nieruchomo przez cały czas. Musiał się przemieścić o parę kroków podczas tej godziny przebywania w namiocie.

Przerwałem, zapanowało chwilowe milczenie.

- Zanotował pan to wszystko? - spytał Wilson policjanta.

- Tak jest.

- Z napisu na furgonetce wynika, że jest pan sprzedawcą win, panie Beach. Czy to pan dostarczył napoje na to przyjęcie?

- Ja - przyznałem.

- I jest pan spostrzegawczy. - Powiedział to oschle, niemal z powątpiewaniem.

- No...

- Czy potrafiłby pan z równą dokładnością powiedzieć, gdzie znajdowali się inni goście? W ciągu całej godziny?

- Niektórzy z nich. Szejk zdecydowanie przyciągał uwagę. A kiedy jestem gdzieś z racji mojego zawodu, mam tendencję do pamiętania, gdzie stoją gospodarze i tak dalej na wypadek, gdyby mnie potrzebowali.

Obserwował mnie bez żadnych komentarzy, po czym zapytał:

- Co pił szejk?

- Sok pomarańczowy z lodem i wodę mineralną.

- A jego świta?

- Jeden gazowaną lemoniadę, a dwaj pozostali colę.

- Zanotowane?

- Tak jest.

Wilson przez chwilę wpatrywał się w czubki swoich butów, po czym wziął głęboki oddech jakby na znak powzięcia decyzji.

- Panie Beach, jeśli opiszę panu ubrania, czy potrafi pan dopasować do nich osoby?

- Jeśli je znałem...

- Garnitur z granatowego tenisu... Słuchałem znajomego opisu.

- Mężczyzna o nazwisku Larry Trent - powiedziałem. - Jeden z właścicieli koni w stajni Jacka Hawthorna. Ma... miał restaurację „Silver Moondance” pod Reading...

- Zapisał pan?

- Tak jest.

- Dobrze, panie Beach, a niebieska tweedowa spódnica i żakiet, jasnoniebieska wełniana bluzka, perły na szyi i kolczyki z perłami?

Skoncentrowałem się, usiłując sobie przypomnieć, a on kontynuował: - Zielonkawe, lekko włochate spodnie, oliwkowy sweter i musztardowa koszula. Brązowy krawat w musztardowe pasy.

- Och...

- Zna pan tego człowieka?

- Znam ich oboje. Pułkownik Fulham i jego żona. Rozmawiałem z nimi. Kupują ode mnie wino.

- Kupowali, panie Beach - powiedział z ubolewaniem Wilson. - To byłoby wszystko. Pozostali nieszczęśnicy zostali zidentyfikowani.

Przełknąłem ślinę.

- Ile...?

- W sumie? Osiem trupów. Ale mogło być gorzej. Dużo gorzej. - Wstał i zdawkowo uścisnął mi rękę. - Mogą wyniknąć reperkusje polityczne. Trudno mi powiedzieć, czy będziemy jeszcze czegoś od pana potrzebowali. Sporządę raport. Do widzenia, panie Beach.

Oddalił się tym swoim powolnym krokiem, z przygarbionymi ramionami, za nim pomaszerował mundurowy policjant, a po chwili ja również wyszedłem do ogrodu.

Zapadał zmrok, gdzieś tam zapalały się już światła.

Zwinięto już prostokąt parawanów, dwie karetki szykowały się do wyjazdu przez wyrwę w żywopłocie spowodowaną przez furgon. Ponury rząd siedmiu całkiem zakrytych noszy stał na straszliwie pokrwawionej macie, ósme nosze znajdowały się w pewnym oddaleniu. Pewnie tam spoczywał szejk, bo dwaj pozostali przy życiu Arabowie pełnili nadal upartą wartę przy swoim księciu, jeden w nogach, drugi przy głowie.

W zapadających ciemnościach grupka udręczonych ludzi, wśród których była także Flora, pozbawionych już wszelkiej nadziei, obserwowała w milczeniu, jak załoga karetek podnosiła po kolei siedem noszy, żeby je stąd wywieźć. Podeszedłem powoli do swojej furgonetki, usiadłem w sfoferce, czekając na zakończenie tej ceremonii. Aż w końcu pozostał tylko szejk, osobny po śmierci tak jak w życiu, oczekujący na bardziej godny karawan.

Włączyłem silnik i światła, wjechałem za dwiema karetkami na wzgórze i bardzo przygnębiony zjechałem do doliny, do domu. Do ciemnego, pustego domu.

Poszedłem na górę, żeby się przebrać, ale po wejściu do sypialni po prostu położyłem się na łóżku, nie zapalając światła. Zacząłem płakać, pod wpływem szoku, litości, samotności i smutku.

Rozdział czwarty



Poniedziałkowe poranki zwykle spędzałem na uzupełnianiu zapasów na półkach po weekendowej sprzedaży i sporządzaniu listy zamówień. Popołudniami jeździłem furgonetką do hurtowni po alkohole, napoje bezalkoholowe, papierosy, słodczyce i chrupki. Część wypakowywałem w sklepie, a zapasy umieszczałem w magazynie.

W poniedziałki także sprawdzałem skrzynki win ustawione w magazynie na wysokość człowieka i zamawiałem telefonicznie dalsze zapasy. O piątej w poniedziałkowe popołudnia magazyn był posprzątaný, sprawdzony i gotowy na nadchodzący tydzień. Poniedziałki zawsze były bardzo pracowite.

Tego poniedziałkowego ranka, przygnębiony ostatnimi wydarzeniami, zabrałem się ponuro do pracy, ustawiając dzin Gordona w równe rzędy, wpychając butelki Liebfraumilch w otwory stojaków; licząc butelki whisky Teacher's i Bell's, notując, że zabrakło Moulin a vent. Robiłem to wszystko automatycznie, myśląc o Hawthornach, zastanawiając się, jak się czują Jack i Jimmy i kiedy będę mógł zadzwonić, żeby się o tym dowiedzieć.

Zaraz po założeniu sklepu poznałem Emmę, potem prowadziliśmy go razem, przy czym zawsze towarzyszyło nam poczucie wielkiej przygody. Teraz miałem znacznie bardziej prozaicznych pomocników w osobie niejakiej pani Palissey i jej siostrzeńca Briana, który wyposażony był w całkiem przydatne mięśnie, nie umiał jednak czytać.

Pani Palissey, odznaczająca się nie tylko obfitością biustu, ale i bogactwem plotek, zjawiła się punktualnie o dziewiętej trzydziści i poinformowała mnie z szeroko otwartymi oczami, że widziała w porannym dzienniku telewizyjnym informację o śmierci szejka na przyjęciu.

- Panie Beach, pan przecież tam był, prawda? - Spragniona drastycznych szczegółów wyczekiwała z nadzieją.

Z pewną niechęcią zaspokoilem przynajmniej częściowo jej ciekawość. Niemal dwumetrowy Brian stał tuż za nią z rozdziawioną gębą, chciwie zasłuchany Brian większość

czynności wykonywał z rozdziawioną gębą, co stanowiło zewnętrzną oznakę wewnętrznego zapóźnienia. Pracował u mnie, bo wyblągała to żałośnię jego ciotka.

„Moja siostra dostaje rozstroju nerwowego, kiedy on tak za nią chodzi przez cały dzień, a tutaj mógłby mi pomóc dźwigać, kiedy pana nie ma. Już się postaram, żeby nie sprawiał żadnych kłopotów.”

Początkowo obawiałem się, że natychmiastowe załamanie nerwowe dotknie teraz mnie, kiedy jednak człowiek przyzwyczajał się do ciężkiego dyszenia Briana i towarzyszącego mu stanu ciągłego niepokoju, mógł docenić korzyści płynące z tego, że gotów był przez cały dzień bez najmniejszej skargi dźwigać ciężkie skrzynki, przy czym w ogóle rzadko się odzywał.

- Wszyscy ci nieszczęśni ludzie! - wykrzyknęła pani Palissey, rozkoszując się dramatem. - Biedna pani Hawthorne. Zawsze uważałam, że to taka miła kobieta.

- Owszem - przyznałem. Życie musiało jednak toczyć się dalej. Automatyczne, bezcelowe życie, na które składało się choćby wysłanie Briana do magazynu po kolejną skrzynkę White Satin.

Pokwitował to polecenie skinieniem głowy i nie zamykając ust, powędrował do magazynu, skąd przyniósł właściwą skrzynkę. Może i nie umiał czytać; przekonałem się jednak, że potrafił rozpoznać butelkę i etykietę, jeśli trzy lub cztery razy wytłumaczyłem mu, o co chodzi. Teraz już znał cały podstawowy asortyment. Przynajmniej raz w tygodniu pani Palissey oznajmiała, jak bardzo jest z niego dumna, zważywszy na okoliczności.

Za obopólną zgodą pozostaliśmy z panią Palissey na formalnej stopie, zwracając się do siebie per pan i pani. Tak wypada, oświadczyła. Miała wrodzoną chęć sprawiania przyjemności, była więc dobrą sprzedawczynią, służąc prawdziwą pomocą niezdecydowanym klientom. „Sami nie wiedzą, czego chcą, prawda, panie Beach?” - mówiła po ich wyjściu, a ja zgodnie z prawdą przyznawałem, że rzeczywiście często tego nie wiedzą. Oboje z panią Palissey mieliśmy tendencję do powtarzania tej samej rozmowy wciąż na nowo i raczej o wiele za często.

We wszystkich ważnych sprawach była uczciwa i zupełnie pozbawiona skrupułów w drobiazgach. Nigdy nie oszukałaby mnie przy kasie, ale Brian zjadał znacznie więcej chrupek i batoników Mars, niż dostawał ode mnie, a zapasowe żarówki i do połowy wypełnione słoiki kawy rozpuszczalnej towarzyszyły pani Palissey do domu, jeśli akurat tego jej brakowało. Traktowała to jako „premie”, ale wzięcie butelki sherry uznałaby za kradzież. Szanowałem to rozróżnienie, byłem nawet za nie wdzięczny i płaciłem jej trochę powyżej normy.

Ilekoć byliśmy w sklepie obydwój, pani Palissey obsługiwała klientów, a ja siedziałem w niewielkim kantorku na zapleczu, przyjmując zamówienia telefoniczne i załatwiając papierkową robotę, gotów w każdej chwili włączyć się do pomocy. Niektórzy klienci, szczególnie płci męskiej, przychodzili w równym stopniu na pogawędkę o winach, co po sam produkt, a wiedza pani Palissey w tej materii nie wykaczała poza słodkie, wytrawne, tanie, drogie, popularne...

Nagle dobiegł do mnie męski głos: - Czy jest pan Beach?

Pani Palissey odpowiedziała usłużnie: - Owszem, proszę pana, zaraz tu przyjdzie.

Wstałem zza biurka i wszedłem do sklepu.

Mężczyzna ubrany w beżowy płaszcz od deszczu, ściągnięty paskiem, był może troszkę ode mnie starszy, odznaczał się jednak bardzo autorytatywnym sposobem bycia. Obserwowałem bez wielkiego zaskoczenia, jak sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki po odznakę policyjną i przedstawił się jako detektyw sierżant Ridger z policji Thames Valley. Wyraził nadzieję, że będę mógł pomóc mu w śledztwie.

Z lekkim poczuciem winy przebiegałem w myślach wszystkie możliwe okoliczności jakiegoś niewłaściwego postępu, zanim doszedłem do bardziej rozsądnego wniosku, że jego wizyta może mieć jakiś związek z wypadkiem. I to była w pewnym sensie prawda, choć niezupełnie tak, jak sobie wyobrażałem.

- Czy zna pan niejakiego pana d'Alban? - Wyraźnie szukał w pamięci. - Pana Jamesa d'Alban?

- Znam. Został ranny wczoraj na przyjęciu u Hawthornów. Ale on chyba... przeżył? - W ostatniej chwili wystraszyłem się słów „nie umarł”.

- Zgadza się, proszę pana. O ile mi wiadomo, leży w szpitalu Battle z połamanymi żebrami, przekłutym płucem i wstrząsem mózgu.

Wystarczająco dużo powodów do zejścia, pomyślałem ironicznie. Biedny Jimmy.

Ridger miał krótko i niezwykle schludnie ostrzyżone włosy, czujne piwne oczy, zegarek połączony z kalkulatorem i wyposażony w mnóstwo guzików. Odznaczał się również zupełną nieumiejętnością nawiązywania kontaktów. Powiedział bezbarwnie:

- Pan d'Alban trochę oprzytomniał w karetce w drodze do szpitala i zaczął mówić, beładnie, ale z uporem, o człowieku nazwiskiem Larry Trent i o jakiejś niemożliwej do wymówienia whisky, która nie była taka, jak być powinna, i o tym, że gdyby pan jej spróbował, na pewno by pan wiedział.

Czekałem w milczeniu.

- W karetce z panem d'Alban jechał mundurowy policjant - kontynuował Ridger - który przekazał nam treść tych wypowiedzi, zdając sobie sprawę, że mamy powody, by się nimi zainteresować. Powiedział, że wczoraj pan d'Alban nie był w stanie odpowiedzieć na żadne pytanie, wręcz nie zdawał sobie sprawy, że ktoś się w ogóle do niego zwraca. Wolałbym chyba, żeby Ridger wyrażał się bardziej naturalnie, zamiast imitować czytanie z notesu. Pani Palissey słuchała żarliwie, udając, że nic ją to nie obchodzi, a tuż za nią tkwił Brian, który aż marszczył brwi, usiłując cokolwiek zrozumieć. Ridger spojrzał na nich lekko obruszony i zapytał, czy moglibyśmy porozmawiać bardziej prywatnie.

Zabrałem go do maleńkiego kantorka, gdzie mieściło się jedynie biurko, dwa krzesła i grzejnik, jego powierzchnia nie przekraczała bowiem dwóch i pół metra kwadratowego. Ridger, nie tracąc czasu, zasiadł na krzesło dla gości i zaczął:

- Próbowaliśmy przesłuchać pana d'Alban dziś rano, ale leży jeszcze na oddziale intensywnej opieki i lekarz nie chciał nas wpuścić. - Wzruszył ramionami. - Mówią, że może jutro to się uda, ale dla naszych celów może być za późno.

- A wasze cele... to? - spytałem.

Zdawało się, że po raz pierwszy spojrzał na mnie jak na osobę, nie tylko pomoc w śledztwie; nie byłem jednak pewien, czy ta zmiana mi się podoba, bo pod tym cieplejszym zainteresowaniem kryła się skłonność do manipulacji. Miałem w życiu do czynienia z dziesiątkami przedstawicieli handlowych goniących za klientem, a postawa Ridgera przypominała ich do złudzenia. Potrzebował ode mnie czegoś, co wymagało perswazji.

- Czy potwierdza pan, że pan d'Alban rozmawiał z panem o tej whisky?

- Owszem, wczoraj rano. Ridger nie ukrywał satysfakcji.

- Może nie wie pan o tym, że Larry Trent zginął we wczorajszym wypadku.

- Wiem.

- A więc... - Chrząknął dyskretnie, zniżając konfidencjonalnie głos, rysy jego twarzy złagodniały, tracąc swój naturalny autorytatywny wyraz. - Prawdę mówiąc, mieliśmy już skargi na „Silver Moondance”. Już dwukrotnie przeprowadzano tam inspekcję, za każdym razem robił do Wydział Miar i Wag i Urząd Cła i Akcyzy. Nigdy jednak nie wykryto żadnych wykroczeń.

Zamilkł na chwilę.

- A tym razem? - podsunąłem uprzejmie.

- Tym razem uważamy, że w związku ze śmiercią pana Trenta można by dzisiaj przeprowadzić kolejną kontrolę.

Nie byłem pewien, czy spodobało mu się suche brzmienie mojego głosu, nie dał jednak tego po sobie poznać.

- Mamy powody podejrzewać, że poprzednio ktoś w „Silver Moondance”, być może sam Trent, za każdym razem dostawał ostrzeżenie o nadchodzącej kontroli. Więc moi szefowie z wydziału kryminalnego uznali, że lepiej będzie, gdy sami przeprowadzimy wstępne śledztwo, jeśli pan się zgodzi, to przy pańskiej pomocy jako niezależnego eksperta.

- Aha - rzuciłem z powątpiewaniem. - Dzisiaj, mówi pan?

- Od razu, jeśli byłby pan tak uprzejmy.

- W tej chwili?

- Uważamy, że im szybciej, tym lepiej.

- Ale przecież musicie mieć własnych ekspertów?

Okazało się, że... hm... żaden oficjalny ekspert nie był osiągalny w tak krótkim czasie, a ponieważ czas grał tak dużą rolę... to czyja się zgodzę?

Nie widziałem powodu, żeby odmawiać, wyraziłem więc zgodę i poinformowałem panią Palissey, że postaram się wrócić tak szybko, jak będę mógł. A kiedy już jechaliśmy samochodem Ridgera, zastanawiałem się po drodze, jak dobrego eksperta zrobił ze mnie mający Jimmy i czy w ogóle się na coś przydam, jeśli przyjdzie działać.

„Silver Moondance” znajdowała się w dalszej części tej samej doliny Tamizy, w której leżało niewielkie nadbrzeżne miasteczko, gdzie miałem sklep. Początkowo był to wyjątkowo brzydki budynek na najwyższym punkcie stoku wznoszącego się od rzeki. Przez lata przekształcał się najpierw w szkołę, potem w dom opieki i wreszcie w pensjonat, a każda zmiana dorzucała do budowli kolejne nieudane skrzydło. Ostatnia transformacja okazała się też najbardziej radykalna, toteż niewiele już zostało błyszczących żółto-szarych cegieł, bo ich miejsce zajęły duże płyty szkła. Wieczorem od strony rzeki budowla ta przypominała obficie iluminowany Blackpool, a w dzień widać było z szosy mrugające nad wejściem białe litery szyldu „Silver Moondance”.

- Czy znają pana tutaj? - spytał raczej poniewczasie Ridger, kiedy skręciliśmy na podjazd.

Pokręciłem przecząco głową.

- Nie sędzę. Kiedy byłem tu po raz ostatni, nazywało się to pensjonat „Nadrzeczny” i mieszkali w nim głównie emeryci. Dostarczałem tu napoje.

Jacy byli mili, wspomniałem z nostalgią, chętnie rozkoszowali się płynnymi przyjemnościami.

Ridger coś mruknął, nie wykazując większego zainteresowania i zaparkował na raczej pustym wyasfaltowanym placu. - Już powinni otworzyć - oznajmił z satysfakcją, zamykając drzwiczki. - Jest pan gotów?

- Tak. I sierżancie... zamawianie może zostawi pan mnie.

- Ale...

- Lepiej nie wzbudzać ich czujności - objaśniłem przekonująco - jeśli nie chcemy, żeby wylali Laphroaig do zlewu.

- Co takiego?

- To, czego szukamy.

Zamyślił się. - No cóż, niech będzie.

- Doskonale - odparłem ucieszony i wkroczyłem przez drzwi pod migającym napisem w kiczowaty luksus holu.

Wszędzie paliły się światła, nie było jednak nikogo z obsługi. W recepcji pusto. Duszna atmosfera miejsca, w którym nic się nie dzieje i niczego się nie oczekuje.

Ruszyliśmy z Ridgerem w stronę napisu z kutego żelaza i drewna „Silver Moondance Saloon”, pchnęliśmy drzwi w stylu westernowym i znaleźliśmy się w bardzo dużym pomieszczeniu w kolorach czerwieni, czerni i srebra, w którym nie było nikogo. Przy każdym z licznych stolików stały porządnie cztery krzesła z giętego drewna, w jednym końcu sali zobaczyłem tradycyjny bar, otwarty, choć nie było w nim barmana.

Ridger zdecydowanym krokiem podszedł do baru i zapukał palcami w blat, ja podążałem za nim bez pośpiechu.

Nikt się nie zjawił. Ridger znowu zapukał, głośniejsze i dłużej, przez wahadłowe drzwi w głębi baru wkroczył młody jasnowłosy mężczyzna, wyraźnie spocony, nerwowo zakładał marynarkę.

- Dajcie nam chwilę - powiedział nadąsany. - Jest otwarte dopiero od pięciu minut. - Wytarł palcami spocone czoło i zapiął marynarkę. - Co mogę podać?

- A czy restauracja jest otwarta? - spytałem.

- Co? Jeszcze nie. Otwierają o dwunastej.

- A kelner od win już jest?

Barman spojrział na zegar i pokręcił głową. - Do czego panu potrzebny? Podam wszystko, czego chce się pan napić.

- No to lista win - zacząłem delikatnie. - Czy mógłbym ją zobaczyć?

Wzruszył ramionami i wydobyl spod lady szkarłatny folder w miękkiej oprawie. - Proszę wybierać - powiedział, podając mi listę.

Pomyślałem, że nie jest zdecydowanie niegrzeczny, raczej wytracony z równowagi przez śmierć szefa. Doświadczony, leciutko zniewieściały, twarz miał pokrytą nieszczęsnymi pryszczami, a na przegubie srebrną bransoletkę z napisem „Tom”.

Wyczuwałem, że Ridger zaczyna się niecierpliwić, powiedziałem więc pojednawczo: - Czy mógłbym dostać szkocką?

Barman rzucił pełne rezygnacji spojrzenie na listę win, którą trzymałem w ręku, odwrócił się jednak i odmierzał odpowiednią ilość napoju ze standartowej butelki Bell's.

- A co dla pana? - spytałem Ridgera.

- Sok pomidorowy. Bez sosu Worcester.

Barman postawił na ladzie moją whisky. - Coś dodać? - spytał.

- Nie, dziękuję.

Zapłaciłem za obydwa napoje i usiedliśmy przy stoliku najbardziej oddalonym od baru.

- Nie po to tu przyszliśmy - zaprotestował Ridger.

- Wszystko po kolei - odparłem, wachając whisky. - Zaczynamy od dołu i posuwamy się do góry. Wypróbowana taktyka degustatorów win.

- Ale... - Zastanowił się chwilę i wzruszył ramionami. - W porządku. Niech pan robi po swojemu. Byle nie trwało to zbyt długo.

Wziąłem do ust niewielką ilość whisky i pozwoliłem jej spływać po języku. Nie da się ocenić smaku whisky za pomocą gruczołów na czubku języka przy przednich zębach, można to zrobić jedynie brzegami i środkiem języka. Pozwoliłem, by whisky rozwinęła swój bukiet do końca, zanim przełknąłem, czekając na posmak.

- No i? Co teraz? - dopytywał się Ridger.

- Trzeba zacząć od tego, że to nie jest Bell's. Ridger wydawał się dziwnie zaskoczony.

- Jest pan tego pewien?

- Czy wie pan coś o whisky? - spytałem.

- Nie. Jestem zwolennikiem piwa. Od czasu do czasu wypiję jedną whisky z piwem imbirowym, i to wszystko.

- A chce pan się czegoś dowiedzieć? - Stuknąłem palcem w szklaneczkę. - Czy mam panu wytłumaczyć?

- A dużo czasu to zajmie?

- Niespecjalnie.

- To niech pan mówi.

- Szkocką robi się z jęczmienia. Jęczmień można słodować tak samo, jak to się robi z piwem. Pozwala się, by ziarna zaczęły kiełkować, przy czym kielki nie powinny być dłuższe niż dwa-cztery centymetry. Następnie do wyrobu whisky wędzi się te kielki, zwane sładem, nad płonącym torfem, dopóki nie przejdą smakiem torfu i dymu i nie zrobią się kruche. Wtedy miesza się z wodą i pozostawia, by fermentowały, następnie poddaje się destylacji i zostawia w drewnianych beczkach, gdzie całość dojrzewa przez wiele lat. Otrzymany produkt to czysta słodowa whisky, z pełną gamą rozmaitych smaków.

- W porządku. - Ridger skinął krótko ostrzyżoną głową, najwyraźniej głęboko skoncentrowany.

- Znacznie taniej jest zrobić masę jęczmienną, pomijając proces słodowania i wędzenia, jest to także proces szybszy, bo dojrzewanie wymaga kilku lat mniej. Ten rodzaj whisky zwany jest whisky zbożową i ma znacznie bardziej pospolity smak.

- Rozumiem. I co dalej?

- Dobre standardowe szkockie jak Bell's to mieszanki whisky słodowej i zbożowej. Im więcej w niej słodu, tym bardziej zróżnicowany i subtelny smak. Płyn w tej szklaneczce ma bardzo niską zawartość słodowej whisky albo nie mającej w ogóle, co nie ma większego znaczenia, jeśli chce się ją mieszać z piwem imbirowym, które i tak zabije smak słodu.

Ridger rozejrzał się po pustym pomieszczeniu. - Kiedy jest tu pełno ludzi, pełno dymu, zapachu perfum i imbirowego piwa, kto się na tym pozna?

- Tylko wielki spec - przyznałem z uśmiechem.

- I co dalej?

- Możemy wylać szkocką do pańskiego soku z pomidorów. - Mój gest napelnił go absolutną zgrozą. - Nie mogę tego wypić - wyjaśniłem. - Potrzebny panu pijany kiper? Byłby zupełnie bezużyteczny.

- Pewnie ma pan rację. - Jak na siebie, powiedział to niezbyt pewnie, a ja poszedłem zapytać barmana, czy ma jakąś słodową whisky.

- Jasne - odparł, wskazując ręką cały rząd butelek. - Na przykład Glenfiddich tam na końcu.

- Mmm - mruknąłem z powątpiewaniem. - A ma pan Laphroaig?

- La... co?

- Laphroaig. Mój przyjaciel pił tutaj tę whisky. Twierdził, że była wspaniała. Mówił, że skoro lubię słodową whisky, absolutnie powinienem jej spróbować.

Barman popatrzył na swoje zapasy i pokręcił głową.

- Może jest w restauracji - zasugerowałem. - Chyba wspominał, że pił ją po kolacji. Może jest na tacy z drinkami...

Wyciągnąłem portfel i otworzyłem go wyczekująco, barman obrzucił zaciekawionym spojrzeniem widoczne w nim banknoty i postanowił wyruszyć na poszukiwanie. Wkrótce powrócił z autentyczną butelką Laphroaig i zażądał astronomicznej ceny za niewielki łyk, co zresztą zapłaciłem bez mrugnięcia powieką, dorzucając jeszcze napiwek.

Poszedłem ze szklaneczką w rękę do odległego stolika, gdzie siedział Ridger.

Patrzył, jak smakuję pierwszy łyk.

- No i co? - zapytał w końcu.

- To nie jest Laphroaig.

- Jest pan pewien?

- Absolutnie. Laphroaig ma bardzo dymny smak. Najczystsza słodowa. A w tym, co przed chwilą spróbowałem, w ogóle nie ma słoju. To ta sama whisky co poprzednio.

- Bardzo dziękuję, panie Beach - powiedział z wyraźną satysfakcją. - To wspaniale.

Wstał, podszedł do baru i poprosił o butelkę, z której przed chwilą barman nalał whisky. Barman uprzejmie przesunął butelkę po ladzie, Ridger przytrzymał ją, a drugą ręką wyjął swój identyfikator. Rozwścieczony barman zaczął coś krzyczeć.

Ridger miał w kieszeni radio. Zadzwoił do jakiegoś niewidocznego dowództwa, dostał metalicznie skrzeczącą odpowiedź i oznajmił barmanowi, że policja wstrzyma sprzedaż jakiegokolwiek alkoholu w „Silver Moondance” co najmniej do końca dnia, w czasie kontrolowania zapasów.

- Pomylenieć - wrzasnął barman, a do mnie syknął wściekle: - Oszust!

Dźwięk jego podniesionego głosu sprowadził pomagierów w postaci zatroskanego człowieczka w ciemnym garniturze, który robił wrażenie niezbyt sprawnego pomocnika, i dziewczyny w krótkim, wyzywającym uniformie kelnerki. Miała szkarłatną tunikę, długie smukłe nogi i szkarłatną opaskę na włosach.

Ridger przyjrzał się opozycji i poczuł się w swoim żywiole.

Niezbyt rozgarnięty młodzieniec przedstawił się jako zastępca kierownika, co wywołało spojrzenia pełne pogardy i rozbawienia ze strony kelnerki i barmana. Domyślałem się, że chodzi raczej o zastępcę zastępcy. Ridger raz jeszcze wyjaśnił zdecydowanym tonem, że nie ma mowy o sprzedawaniu alkoholu, dopóki nie zakończy się śledztwo, a cała trójka zgodnie stwierdziła, że nie mają o niczym najmniejszego pojęcia i czy nie moglibyśmy porozmawiać z... no... z...

- Z dyrekcją? - podsunąłem. Tępo potwierdzili skinieniem głowy.

- No więc zróbmy to. Gdzie jest szef?

Zastępca zastępcy kierownika wydukał w końcu, że dyrektor jest na urlopie, a zastępca chory. Centrala ma przysłać zastępstwo tak szybko, jak się da.

- Centrala? - spytałem. - Przecież ten lokal należy do Larry'ego Trenta...?

- Aa - zaczął niepewnie zastępca. - Naprawdę nie wiem. To znaczy pan Trent nigdy nie mówił, że do niego nie należy, więc myślałem, że on jest właścicielem. Ale kiedy przyszedłem tu dziś rano, właśnie dzwonił telefon, i to była centrala. W każdym razie tak powiedzieli. Chcieli rozmawiać z kierownikiem, a kiedy wyjaśniłem sytuację, obiecali, że zaraz kogoś przyślą.

- A kto zarządzał tu wczoraj wieczorem? - spytał Ridger.

- Co? A... w niedzielę wieczorem nie pracujemy.

- A w porze lunchu?

- Był zastępca kierownika, ale dostał grypy. Zaraz po zamknięciu poszedł do domu się położyć. Oczywiście przed otwarciem był też pan Trent, żeby wszystkiego dopilnować, zanim pojechał na przyjęcie do pana Hawthorna.

Wszyscy troje wydawali się zgnębieni, ale przy tym lekko wyzywający, widzieli bowiem w policjancie naturalnego wroga. Sytuacja nieznacznie się poprawiła, kiedy przybyły odwody Ridgera w postaci dwóch mundurowych policjantów obładowanych taśmą i etykietkami do opieczętowania wszystkich butelek.

Nieśmiało zasugerowałem Ridgerowi, żeby objął swoją podejrzliwością także wina.

- Wina? - Z niechęcią zmarszczył brwi. - Jeśli pan koniecznie chce, ale i tak mamy dosyć roboty z mocniejszym alkoholem.

- Mimo wszystko - wymamrotałem, na co Ridger polecił zastępcy, żeby mi pokazał, gdzie trzymają wino, a następnie, żeby pomógł mnie i jednemu z policjantów przynieść do baru wszystkie butelki, które wybiorę.

Zastępca uznał widocznie, że pełna współpraca udowodni jego absolutną niewinność, bo nie stawiał mi żadnych przeszkód. Niedługo po sprawdzeniu listy win powróciliśmy we trzech do baru, niosąc dwa duże kosze wypełnione butelkami.

Wszystkie butelki na miejscu zostały tymczasem zapieczętowane, więc w barze „Silver Moondance” po naszym powrocie panował chwilowy spokój. Ustawiłem te nasze butelki na dwóch stolach, na jednym sześć butelek czerwonego wina, na drugim sześć białego. Z kieszeni marynarki wyjąłem ulubiony korkociąg.

- Chwileczkę! - oponował barman. - Nie może pan tego zrobić!

- Zapłacimy za każdą otwartą butelkę - powiedziałem rzeczowo. - Co to pana obchodzi?

Barman wzruszył ramionami.

- Proszę mi tylko dać dwanaście kieliszków. I jeden cynowy kufel. Odkorkowałem sześć butelek różnych białych win i pod czujnym spojrzeniem sześciu par oczu nalałem do kieliszka trochę wina z pierwszej butelki. Niersteiner, mówiła etykieta, i rzeczywiście był to Niersteiner. Wyplułem wino do kufla ku wyraźnemu oburzeniu audytorium.

- Chcecie, żeby się upił? - wyjaśniał Ridger, zrozumiałwszy wreszcie, na czym to polega. - Świadectwo pijanego kiperera nie ma żadnej wartości.

Spróbowałem wina z kolejnej butelki. Chablis, zgodnie z etykietą. Następne też okazało się w porządku. Pouilly Fuissé. Kiedy skończyłem degustację ostatniego wina, Sauternes, z szóstej butelki, barman wyraźnie się odprężył.

- Wszystko w porządku? - spytał Ridger, niezbyt zaniepokojony.

- Jak najbardziej - przyznałem, wpychając z powrotem korki. - Spróbuję czerwonych.

Wszystkie czerwone wina: St Emillion, St Estèphe, Macon, Valpolicella, Volnay i Nuits St Georges pochodziły z 1979 roku. Starannie obwąchałem i posmakowałem każde z nich, plując i odczekując parę chwil między kolejnymi łykami, żeby kolejne wino naprawdę poczuć na języku. Kiedy skończyłem, wszyscy byli już trochę znudzeni.

- No i co? Wszystkie w porządku? - pytał Ridger.

- Całkiem przyjemne - odparłem. - Tylko że wszystkie jednakowe.

- Co pan chce powiedzieć?

- Chcę powiedzieć, że mimo tych pięknych etykiet, żadne wino w tych butelkach nie jest tym, czym rzekomo ma być. To mieszanka. Powiedziałbym, że głównie jest tu wino włoskie, trochę francuskiego, a może także trochę jugosłowiańskiego. Ale może tu być wszystko.

- Sam pan nie wie, o czym pan mówi - wtrącił niecierpliwie barman. - Ludzie codziennie chwalą jakość naszych win.

- Niewykluczone - rzuciłem zdawkowo.

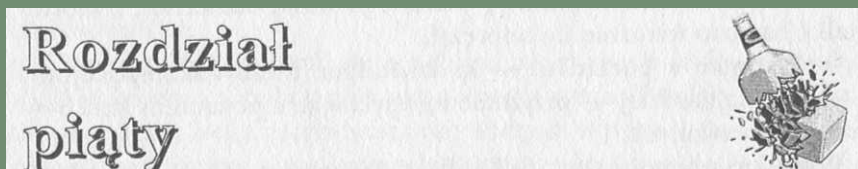
- Jest pan pewien? - dopytywał się Ridger. - To samo we wszystkich butelkach?

- Tak.

Skinął głową, jakby to załatwiało sprawę, i polecił policjantom opieczętować sześć butelek czerwonego wina, opatrzyć datą, godziną i miejscem konfiskaty. Następnie kazał barmanowi dostarczyć dwie skrzynki na wszystkie opieczętowane butelki. Polecenie to zostało wykonane z nieukrywanym rozdrażnieniem.

Dotrzymałem słowa i zapłaciłem za całe wino, a była to jedyna moja czynność, która w całości przypadła barmanowi do gustu. Kazałem mu wyszczególnić każdą butelkę na blankiecie „Silver Moondance” i podpisać „otrzymałem w całości”. Zapłaciłem kartą kredytową i schowałem pokwitowania.

Ridger zdawał się uważać, że płacenie nie było konieczne; razem z policjantem zaczęli pakować wino do jednej ze skrzynek, a whisky do drugiej. I właśnie na tę ponurą scenę trafił przedstawiciel centrali.



Na pierwszy rzut oka mężczyzna z centrali nie wydawał się onieśmielający. Niewysoki, po czterdziestce, ciemnowłosy, średniej budowy ciała, w okularach, wkroczył do baru w samodzielnym garniturze, z pytającą miną, jakby niepewny, czy dobrze trafił.

Ridger, który podobnie jak ja wziął go za klienta, powiedział głośno:

- Bar nieczynny, proszę pana.

Mężczyzna nie zwrócił na to najmniejszej uwagi, ruszył do przodu bardziej zdecydowanym krokiem, dopóki nie znalazł się na tyle blisko, by zauważyć butelki w skrzynkach. Zmarszczył brwi, popatrzył na policjanta; bez trudu zauważyłem u niego radykalną zmianę nastawienia. Napięte mięśnie, wyostrożona uwaga, gotów wybuchnąć w każdej sekundzie.

- Jestem oficerem policji - oznajmił zdecydowanie Ridger, prezentując dokumenty. - Bar nieczynny do odwołania.

- Czyżby? - spytał złowieszczo nowo przybyły. - Może zechce pan łaskawie wytłumaczyć powody.

Pomyślałem, że pierwsze wrażenie było mylące. Ten mężczyzna nie tak łatwo dał się nastraszyć.

- To sprawa policji. - Ridger zamrugął. - Nie pański interes.

- Jak najbardziej mój - odparł krótko mężczyzna. - Przyjechałem z centrali, żeby przejść lokal. Co tu się dzieje? - Był to głos człowieka nie tylko nawykłego do wydawania rozkazów, ale przyzwyczajonego do ich natychmiastowego wykonywania. Jeśli w ogóle dało się odróżnić jakiś akcent, był to rzeczowy angielski, pozbawiony zarówno regionalnych samogłosek, jak i połykanych spółgłosek. Ale pozbawiony był też jakiegokolwiek barwy. Poczciwe stare ziarno, pomyślałem, żadnego słodu.

- Pańskie nazwisko? - ciągnął swoje Ridger, całkowicie ignorując ostry ton, jakby w ogóle go nie zauważył, choć nie miałem wątpliwości, że było inaczej.

Mężczyzna z centrali zmierzył go wzrokiem od góry do dołu, oceniając wymowę krótko ostrzyżonych włosów, płaszcz ściągniętego paskiem, wyczyszczonej butów. Ridger zareagował agresywnie, usztywnił plecy, a zaciśnięte szczęki nieomylnie świadczyły o chęci dominacji. Ciekawe, pomyślałem.

Mężczyzna z centrali przedłużał milczenie, aby dla wszystkich było jasne, że podaje swoje nazwisko po namyśle, a nie na polecenie Ridgera.

- Nazywam się Paul Young - powiedział w końcu z naciskiem. - Reprezentuję spółkę, której filią jest ta restauracja. Może teraz dowiem się, co się tutaj dzieje?

Ridger zachował agresywną postawę, kiedy zaczął informować swoim stylem rodem z policyjnych protokołów, że „Silver Moondance” zostanie postawiona w stan oskarżenia za przekroczenie warunków ustawy o sprzedaży handlowej.

- Pan sobie daruje ten żargon i mówi konkretnie - przerwał mu gwałtownie Paul Young z centrali.

Ridger wbił w niego wzrok. Paul Young zaczynał tracić cierpliwość. Żaden nie miał zamiaru wyraźnie ustąpić, ale w końcu Ridger wyjaśnił, co zawierają skrzynki.

Paul Young słuchał z rosnącym gniewem, który tym razem nie był wymierzony przeciwko samemu Ridgerowi. Teraz skierował swoje zainteresowanie na barmana (który usilnie się starał ukryć za pryszczami) i groźnie pytał, kto odpowiada za sprzedawanie podróbek. Od barmana, a potem od kelnerki i zastępcy uzyskał słabe zapewnienia, polegające na przeczących ruchach głową. Zniknęła gdzieś hardość, z jaką traktowali Ridgera.

- A kim pan jest? - zapytał niegrzecznie, oglądając mnie dokładnie. - Policjantem?

- Klientem - odpowiedziałem cicho.

Nie znalazłszy we mnie niczego, co mogłoby przykuć jego uwagę, ponownie zainteresował się Ridgerem, zapewniając go autorytatywnie, że centrala nie miała pojęcia o tych podróbkach i że oszustwo musiało narodzić się tutaj, w tym budynku. Policja może być pewna, że centrala odnajdzie winnego i sama go ukarze, i że na pewno podobna sytuacja już nigdy się nie powtórzy.

Zarówno dla Ridgera, jak i dla wszystkich pozostałych nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że Paul Young był całkowicie i nieprzyjemnie zaskoczony oszustwem, jednak Ridger z ledwo ukrywanym zadowoleniem oświadczył, że o wyniku całej sprawy zdecyduje policja i sąd, a tymczasem pan Young może mu podać adres i telefon centrali w celu ewentualnego kontaktu.

Obserwowałem Paula Younga, kiedy pisał wymagane informacje na kolejnym blankiecie restauracji dostarczonym przez barmana. Odczułem przelotne zdziwienie, że nie ma wizytówek, co oszczędziłoby mu podobnych kłopotów. Zauważyłem, że miał duże dłonie, bardzo mięsiste i białe, a kiedy pochylił głowę nad kartką papieru, dostrzegłem różowy aparacik słuchowy dyskretnie ukryty za prawym uchem poniżej oprawki do okularów. Zastanawiałem się, dlaczego nie zamówił sobie aparatu wbudowanego w oprawkę okularów.

Co za nieprzyjemność dla macierzystej firmy, znaleźć się bez ostrzeżenia w takiej sytuacji. Myślałem nad tym, kto dokonywał oszustw: kierownik, kelner od win czy sam Larry Trent? Co prawda nie było to myślenie szczególnie intensywne. Tożsamość winnego interesowała mnie znacznie mniej niż samo przestępstwo, w końcu nie tak bardzo wyjątkowe.

Sześć korków od czerwonego wina leżało na stoliku tam, gdzie je zostawiłem. Policjanci zapieczętowali otwarte butelki obfitą ilością taśmy klejącej zamiast wpychać z powrotem oryginalne korki. Schowałem je teraz do kieszeni marynarki niemal bez zastanowienia, pewnie zadziałało moje zamięłowanie do porządku.

Paul Young wyprostował się i wręczył kartkę zastępcy zastępcy, który podał ją mnie, a ja z kolei przekazałem ją Ridgerowi. Ridger rzucił na nią okiem, złożył i schował do jakiejś wewnętrznej kieszeni pod płaszczem od deszczu.

- A teraz proszę zamknąć bar - powiedział.

Barman wbił wzrok w Younga w oczekiwaniu na instrukcje, doczekał się wzruszenia ramion i niechętnego skinienia głową. Zdobna krata zsunęła się od sufitu aż do barowej lady, zamykając barmana w klatce. Przekręcił kilka kluczy i wyszedł tylnymi drzwiami. Nie wrócił już do barowej sali.

Ridger i Paul Young spierali się przez chwilę, kiedy „Silver Moondance” może podjąć pełną działalność, każdy z nich w dalszym ciągu starał się zdominować przeciwnika. Wywnioskowałem, że osiągnęli remis, bo w końcu obaj wycofali się bez żadnych rozstrzygnięć, zachowując nadal agresywną postawę, która jednak sprowadzała się raczej do groźby niż do czynu.

Ridger wycofał swoich policjantów, mnie i skonfiskowane skrzynki na parking, zostawiając Paula Younga na pastwę beznadziejnych pomocników. Po raz ostatni widziałem przedstawiciela centrali, kiedy rzuciłem okiem za siebie, przechodząc przez wahadłowe drzwi saloonu. Zza okularów obserwował puste stoliki rozległych włości w czerwieni i czerni, w kolorach ruletki.

Odwożąc mnie do sklepu, Ridger mamrotał coś pod nosem, a kiedy poprosiłem o pokwitowanie na skrzynkę z winem, którą przewoził w bagażniku, cierpliwość go opuściła.

- Tych dwanaście butelek należy do mnie - przypomniałem. - Zapłaciłem za nie i chcę je dostać z powrotem. Sam pan powiedział, że do postawienia zarzutów wystarczy panu whisky. Wina były moim pomysłem.

Przyznał to niechętnie i wydał mi pokwitowanie.

- Jak mogę się z panem skontaktować? - spytałem.

Podał mi adres swojego komisariatu i bez najmniejszego podziękowania za pomoc, o którą prosił, szybko odjechał. Pomyślałem, że naprawdę niewiele się różni od Paula Younga.

W sklepie pani Palissey niemal zniknęła w tłumie klientów, co zdarzało się czasami w poniedziałkowe poranki. Widać było, że jest zmęczona.

- Proszę iść na lunch - powiedziałem, chociaż było jeszcze wcześniej.

Z wielką wdzięcznością porwała palto, wzięła Briana i udała się do lokalnej kafejki na pasztet w cieście, frytki i porcję plotek ze swoją stałą przyjaciółką z drogówki.

Klienci nadal przychodzili, obsługiwałem ich z niejako automatyczną łatwością, uśmiechnięty, zawsze uśmiechnięty, dostarczając przyjemności jej poszukiwaczom. Przez wiele lat u boku Emmy zdecydowanie lubiłem sprzedawać, znajdowałem satysfakcję w dostarczaniu radości innym. Jednak bez niej dawne ciepło stało się powierzchowne, toteż teraz rozdawałem jedynie warstewkę sympatii, kiwałem głową, uśmiechałem się, właściwie nie słuchając, jedynie czasami słyszałem w głosach klientów niewypowiedziane słowa. Wyparowała gdzieś moja dawna siła, ale prawdę mówiąc, nic mnie to nie obchodziło.

W trochę spokojniejszej chwili zrobiłem listę dla hurtownika, zamierzając udać się do niego zaraz po powrocie pani Palissey. Zauważyłem przy tym, że Brian bez żadnych sugestii z mojej strony uporządkował i zamiótł magazyn. Telefon zadzwonił trzy razy, za każdym razem było to poważne, duże zamówienie, a po sprawdzeniu kasy okazało się, że poranny handel przyniósł całkiem pokaźny zysk. Wszystko jak na ironię...

Weszło dwoje nowych klientów; najpierw obsłużyłem kobietę, przestraszoną damę w średnim wieku, która przychodziła codziennie po butelkę najtańszego dżinu i ukrywała ją sekretnie w olbrzymiej torbie, rzucając ukradkowe spojrzenia za okno wystawowe, czy akurat nie przechodzi ulicą jakiś sąsiad. Dawno temu zapytałem ją, dlaczego nie kupuje skrzynki, bo w ten sposób byłoby taniej, ale wystraszyła się i zaraz zaprotestowała, że nie tak do końca, bo chodzi też o spacer. W jej oczach prócz samotności malował się strach, że zostanie uznana za alkoholiczkę, co nie do końca byłoby prawdziwe. Poczułem wyrzuty sumienia z powodu

swojego okrucieństwa, bo przecież doskonale rozumiałem, dlaczego kupowała za każdym razem tę jedną, sekretną butelkę.

- Miły dzień, prawda, panie Beach? - powiedziała bez tchu, ukradkiem obserwując ulicę.

- Nie najgorszy, pani Chance.

Podawała mi dokładnie odliczone pieniądze, monety rozgrzane w dłoni, banknoty starannie sprawdzone, i nerwowo obserwowała, jak zawijam w miękki papier tę buteleczkę pocieszenia.

- Dziękuję, pani Chance.

Skinęła głową w milczeniu, obdarzyła mnie półuśmiechem, schowała butelkę do torby i wyszła, zatrzymując się w progu, by przeprowadzić szybki rekonesans. Włożyłem pieniądze do kasy i spojrzałem pytająco na mężczyznę, który cierpliwie czekał na swoją kolej. Znalazłem się oko w oko nie tyle z klientem, ile z prowadzącym wczoraj śledztwo Wilsonem.

- Witam, panie Beach - powiedział.

- Dzień dobry, panie Wilson.

Ubrany był dokładnie tak samo, jakby nigdy nie kładł się do łóżka ani się nie golił, co jednak chyba zrobił. Sprawiał wrażenie świeżego i wypoczętego, poruszał się swobodnie tym swoim powolnym krokiem, z przygarbioną posturą, miał wszechwiedzące oczy i zupełnie niekontaktową twarz.

- Zawsze pan wie bez pytania, czego chcą klienci?

- Dość często, ale na ogół czekam, aż to powiedzą.

- Tak jest uprzejmie?

- Zdecydowanie. Milczał chwilę.

- Przyszedłem zadać panu jedno czy dwa pytania. Czy możemy gdzieś porozmawiać?

- Po prostu proszę mówić - powiedziałem tonem usprawiedliwienia. - Przynieść panu krzesło?

- Jest pan sam?

- Tak.

Przyniosłem krzesło z kantorka i postawiłem je przy ladzie, a ledwie zdążyłem to zrobić, weszły trzy osoby po Cinzano, sherry i piwo. Wilson niemal bez zmruczenia powiek czekał, aż obsłuży klientów, a kiedy drzwi zamknęły się po raz trzeci, poruszył się bez oznak zniecierpliwienia i zapytał:

- Czy wczoraj na przyjęciu rozmawiał pan z szejkiem? Uśmiechnąłem się mimo woli.

- Nie, nie rozmawiałem.

- Dlaczego uważa pan, że to zabawny pomysł?

- No... dla szejka to wszystko... - Wskazałem ręką na ściany obstawione półkami pełnymi butelek -...jest zdecydowanie grzeszne. Zabronione. Zgubne. Tak jak dla nas kokaina. W jego oczach jestem dilerem. W jego ojczyźnie siedziałbym w więzieniu albo jeszcze gorzej. Nie odważyłbym się z nim rozmawiać. Chyba że szukałbym pogardy.

- Rozumiem. - Wilson potakiwał głową, jakby rozważając islamski światopogląd. Potem lekko zesznurował usta, zbliżając się, jak podejrzewałem, do pytania, które w ogóle go tu sprowadziło.

- Proszę jeszcze wrócić pamięcią do momentu, kiedy znalazł się pan poza namiotem i furgon się toczył.

- I?

- Dlaczego pan wyszedł?

Wyjaśniłem, że musiałem przynieść więcej szampana.

- A kiedy pan wyszedł, to furgon już się staczał?

- Nie. Kiedy wyszedłem, spojrzałem na samochody i wszystko było w porządku. Pamiętam, bo zwróciłem uwagę na to, że jeszcze nikt nie odjechał... i miałem nadzieję, że przywiozłem dosyć szampana, żeby starczyło do końca.

- A czy koło furgonu ktoś się kręcił?

- Nie.

- Jest pan tego pewien?

- Absolutnie. Nie widziałem tam nikogo.

- Czy już pan wracał do tego, co zanotowała pamięć... zanim przyszedłem?

- Tak, można by tak to określić. - Uśmiechnąłem się. Westchnął i zapytał: - A czy w ogóle widział pan kogokolwiek w pobliżu samochodów?

- Nie. Chociaż... kręciło się tam dziecko z psem.

- Dziecko?

- Ale nie było to w pobliżu furgonu. Raczej bliżej mercedesa szejka.

- Czy potrafi pan opisać to dziecko? Zmarszczyłem brwi. - No cóż... to był chłopiec.

- Ubrany w...?

Patrzyłem bezmyślnie na stojaki z winem, usiłując sobie przypomnieć.

- Ciemne spodenki... może džinsy... i granatowy sweter.

- Włosy?

- Szatyn, chyba. Ani blond, ani czarne.

- Wiek?

Zastanawiałem się, patrząc znowu na niestrudzonego śledczego.

- Malec, taki czterolatek.

- Skąd ta pewność w tej kwestii?

- Nie mam pewności... tyle że jego główka nadal była nieproporcjonalnie duża w stosunku do reszty ciała.

W oczach Wilsona pojawiły się błyski.

- A pies? - zapytał.

Ponownie zapatrzyłem się w przestrzeń, znowu zobaczyłem chłopca na wzgórzu. - Chart.

- Na smyczy?

- Nie... odbiegał i wracał do chłopca.

- A w jakich butach był chłopiec?

- Na miłość boską, przecież widziałem go zaledwie przez kilka sekund.

Wilson zacisnął wargi. Popatrzył na swoje dłonie i przeniósł wzrok na mnie. - Nie widział pan nikogo więcej?

- Nie.

- A szofer szejka? Pokręciłem głową.

- Mógł siedzieć w samochodzie, ale to trudno stwierdzić. Widział pan, że w mercedesie są przyćmione szyby.

Poruszył się, podziękował i już wstawał z krzesła.

- Nawiasem mówiąc - wtrąciłem - ktoś ukradł z mojej furgonetki trzy skrzynki szampana i kilka innych butelek chyba zaraz po wypadku. Muszę zgłosić tę kradzież policji, zanim upomnę się o ubezpieczenie... Mógłbym to zgłosić panu?

- Zanotuję, że pan zgłosił - powiedział, uśmiechając się do mnie.

- Dziękuję.

Wyciągnął do mnie rękę nad kontuarem.

- To ja panu dziękuję, panie Beach.

- Niewiele panu pomogłem.

Uśmiechnął się tym swoim mało komunikatywnym uśmiechem, dobrodusznie skinął głową i poszedł.

Wielki Boże, pomyślałem bez związku, obserwując oddalającą się przygarbioną sylwetkę, skorupy stu pięćdziesięciu szklaneczek leżą w ogrodzie na tyłach domu Hawthornów. Dobrze, że mam ubezpieczenie, ale we wtorek, czyli jutro, powinienem

dostarczyć te same szklaneczki na winno-serowo-dobroczyne świąteczne przyjęcie Towarzystwa Pań z Doliny Tamizy, o czym zupełnie zapomniałem.

Zadzwoiłem więc na numer Hawthornów, nie chciałem Florze zawracać głowy, jednak dobrze byłoby się dowiedzieć, czy zostało jakieś niepotłuczone szkło. Odpowiedziała mi automatyczna sekretarka donośnym, zdrowym i lekko rozmarzonym głosem Jimmy'ego, zachęcając, bym podał nazwisko, numer telefonu i wiadomość.

Posłuchałem tej prośby, zastanawiając się, jak się czuje Jimmy na intensywnej terapii.

Kiedy wróciła pani Palissey, zabrałem Briana do hurtowni, gdzie pomógł mi przenosić niezliczone skrzynki z jednego wózka na drugi, potem pakować je do furgonetki i wreszcie do magazynu na zapleczu sklepu. Po dwunastu latach takich ćwiczeń moje własne mięśnie mogły wykonywać pracę wózka widłowego, ale Brian też zaczynał nieźle sobie radzić. Uśmiechał się przy pracy. Lubił dźwigać skrzynki. Lekceważącym gestem brał dwie naraz, domagał się, żebym dokładał mu trzecią.

Brian nigdy nie był rozmowny, co w pełni doceniałem. W drodze powrotnej siadał potulnie obok mnie w furgonetce, usta jak zwykle miał otwarte, zastanawiałem się często, co też się dzieje w tej jego pustej, wielkiej głowie i jak wiele mógłby pojąć, gdyby ktoś się tym zajął. Zorientowałem się, że podczas tych trzech miesięcy u mnie bardzo dużo się nauczył. W porównaniu z pierwszym dniem pracy stał się teraz niebywale użyteczny.

Po powrocie samodzielnie rozładował furgonetkę i wszystko ustawił w magazynie na właściwym miejscu. Od chwili gdy zaczął u mnie pracować, przeorganizowałem pod niego cały magazyn.

Pani Palissey przyjęła dwa dalsze zamówienia telefoniczne, spędziłem więc jakiś czas, pakując zamówione alkohole w pudła, które Brian zanieśie do furgonetki. Często myślałem, że sprzedawanie win nie jest spokojnym artystycznym zajęciem, raczej ciężką pracą fizyczną.

Kiedy wypisywałem w kantorku rachunki, które należało wysłać wraz z zamówionym towarem, znowu zadzwonił telefon. Sięgnąłem jedną ręką po słuchawkę, nie odrywając oczu od pracy.

- Tony? - pytał kobiecy głos. - Mówi Flora.

- Jak się masz, droga Floro. Jak Jack? Jak wszystko?

- Och - wydawała się zmęczona ponad wszelką wytrzymałość. - Wszystko jest tak straszne. Wiem, że nie powinnam tak mówić, ale...

- Przyjadę po szkło - wtrąciłem, słysząc w jej głosie niewypowiedzianą prośbę. - I zrobię to zaraz.

- Niewiele ocalało... ale przyjedź, jak najbardziej.

- Będę za pół godziny.

Podziękowała cichym głosem i odłożyła słuchawkę.

Spojrzałem na zegarek. Czwarta trzydzieści. Zazwyczaj o tej porze w poniedziałki pani Palissey i Brian wyruszali furgonetką rozwozić zamówienia do miejsc znajdujących się mniej więcej po drodze do ich domu. Następnego ranka kończyli rundę. Zatrudniłem panią Palissey głównie dlatego, że miała prawo jazdy, a ona z kolei cieszyła się, że może korzystać ze starego sklepowego rovera combi. Zamienialiśmy się samochodami w zależności od potrzeby. Zaproponowałem, że sam zajmę się dziś rozwożeniem zamówień, jeśli ona zostanie do piątej, zamknie sklep i pojedzie do domu roverem.

- Jak najbardziej, panie Beach - powiedziała usłużnie. - A jutro rano przyjadę o dziewiątej trzydzieści.

Podziękowałem skinieniem głowy, zebrałem rachunki, zamówienia, wsiałem do furgonetki i ruszyłem na wzgórze do stajni Jacka Hawthorna, gdzie niewiele się zmieniło od poprzedniego dnia.

Ze szczytu wzgórza zobaczyłem, że wielki zielony furgon nadal stoi na trawniku, a za nim zwął brezentu - pozostałość namiotu. Zniknął tylko szejk i jego ochroniarze. Na pokrwawionej macie poniewierały się stoły na kozłach i fragmenty słupa podtrzymującego namiot, a promienie popołudniowego słońca rozbłyskiwały od czasu do czasu na milionach szklanych odłamków.

Podobnie jak poprzednio, zaparkowałem przy kuchennym wejściu i z westchnieniem zamknąłem na klucz drzwiczki furgonetki. Flora wolnym krokiem wyszła mi na powitanie. Ubrana była w szarą spódnicę i zielony rozpinany sweter, pod oczami miała ciemne cienie.

Uścisnąłem ją i pocałowałem w policzek. Nigdy dotychczas nie byliśmy na takiej stopie, ale nieszczęścia czyniły cuda w tej dziedzinie.

- Jak Jack? - spytałem.

- Zoperowali mu nogę... spięli ją, jak mówią. Nadal jest nieprzytomny po operacji... ale widziałam go dziś rano... zanim... - Jej głos drżał tak samo jak przez telefon. - Był w bardzo złym nastroju. Strasznie przygnębiony. Poczułam się okropnie. - Ostatnie słowo wypowiedziała ze szlochem, a całą twarz wykrzywił płacz. - O Boże, o Boże...Objąłem mocno jej drżące ramiona. - Nie martw się. On z tego wyjdzie. Na pewno.

Skinęła głową w milczeniu, pociągała nosem i szukała w kieszeni chusteczki; po chwili powiedziała przez łzy: - On żyje, więc powinnam być wdzięczna choćby za to. Mówią, że już niedługo wyjdzie do domu. Ale to wszystko...

Skinąłem głową.

- Trochę za dużo, co?

Wytarła oczy, jakby powróciła jej energia, a ja spytałem, czy nie przyjedzie któreś z jej dzieci, żeby podtrzymać ją w najcięższych chwilach.

- Są tacy zajęci... sama powiedziałam, żeby nie przyjeżdżali. A Jack naprawdę jest o nich zazdrosny, nie chciałby, żeby tu byli pod jego nieobecność. Nie powinnam tego mówić, sama nie wiem, kochany Tony, dlaczego wszystko ci mówię.

- To tak jakbyś mówiła do tapety - powiedziałem. Uśmiechnęła się nieznacznie, a to już był postęp.

- A jak Jimmy? - zapytałem.

- Nie widziałam go. Mówią, że jest przytomny i że w jego stanie nie ma pogorszenia. Nie wiem, jak sobie poradzimy, jeśli on szybko nie wyzdrowieje... on tu wszystko prowadzi, wiesz... a bez nich obydwu... czuję się taka zagubiona. Nic nie mogę na to poradzić.

- A ja mogę w czymś pomóc?

- O tak - odpowiedziała natychmiast. - Miałam nadzieję... kiedy powiedziałeś, że przyjedziesz... Masz trochę czasu?

- Na co? - spytałem.

- Tony, skarbie, nie wiem, jak wiele mogę od ciebie oczekiwać, ale czy mógłbyś... mógłbyś zrobić razem ze mną obchód stajni?

- Oczywiście - odparłem, zaskoczony. - Jeśli sobie życzysz.

- Chodzi o wieczorny obrządek - wyjaśniła pospiesznie. - Jack bardzo nalegał, żebym zrobiła obchód. Domaga się, bym mu wszystko opowiedziała, bo główny stajenny jest nowy, pracuje u nas dopiero od zeszłego tygodnia i Jack twierdzi, że nie ma do niego zaufania mimo wszystkich referencji, więc musiałam mu obiecać, że zrobię obchód. A wie doskonale, że ja nie mam najmniejszego pojęcia o koniach, i mimo to wymógł na mnie tę obietnicę. Był taki przygnębiony, że mu obiecałam.

- Nie ma problemu. Zrobimy obchód razem, obydwójce będziemy słuchać stajennego, a potem zrobimy notatki, żebyś wiedziała, co powiedzieć Jackowi.

Odetchnęła z ulgą i spojrzała na zegarek. - Wydaje mi się, że już czas.

- W porządku.

Obeszliśmy dom, udając się w kierunku stajni i jej sześćdziesięciu mieszkańców.

Stajnie Jacka składały się z dwóch dużych kwadratowych starych budynków, wzniesionych głównie z drewna, pomalowanych na biało. Drzwi do wielu boksów były otwarte, stajenni krążyli w tę i z powrotem z workami i kubłami, w niektórych boksach

zamknięta była dolna połowa drzwi, a zaciekawione końskie łby wyglądały przez górną połowę.

- Lepiej zacznijmy od młodzieży - zaproponowała Flora. - A potem pójdziemy do klaczy, tak jak robi Jack. Co ty na to?

- Jak najbardziej.

Moja znajomość koni ograniczała się do tego, że wychowywałem się wśród nich, zarówno przed śmiercią ojca, jak i później. Moja matka, całkowicie im oddana, rzadko mówiła o czymkolwiek innym. W młodości startowała w wyścigach przełajowych, uwielbiała też polowanie, które wypełniało jej życie wtedy, gdy ojciec był na służbie. Wypełniało to zresztą i jego życie, ilekroć był w domu i akurat nie startował w wyścigach. Codziennie widziałem radość i zadowolenie na ich twarzach i usilnie się starałem wykrzesać w sobie podobne uczucia, ale ilekroć udało mi się okazać entuzjazm, był on nieszczerzy, miał jedynie zadowolić rodziców. Galopując za psami po błotnistych polach w listopadzie, myślałem jedynie o tym, kiedy można będzie wycofać się do domu, a jedyna część całego rytuału, która rzeczywiście sprawiała mi przyjemność, to czyszczenie i karmienie koni po zakończeniu polowania. Te wielkie stworzenia, zmęczone i brudne, były tak bezkrytyczne. Nigdy nie mówiły, żeby trzymać pięty razem, łokcie do środka, głowę do góry, a plecy prosto. Nie oczekiwały od nikogo niezwykłej odwagi i przeskakiwania największych płotów. Nie miały nic przeciwko temu, że ktoś prześlizgnął się przez furtkę. Zamknięty w jednym boksie z koniem, nuciłem, czyszcząc go z błota i potu; czułem wtedy rodzaj kompletnej milczącej jedności i byłem bardzo szczęśliwy.

Po śmierci ojca matka nadal jeździła na polowania, a przez ostatnie dziesięć lat była jednym z dwójki głównych łowczych lokalnego polowania, co sprawiało jej nieustającą i niesłabnącą satysfakcję. Często myślałem, że kiedy wreszcie wyniosłem się z domu, sprawiło jej to nieklamana ulgę.

Stajenni Jacka Hawthorna byli w polowie popołudniowego programu czyszczenia, karmienia i pojenia koni, co w całym wyścigowym świecie znane jest pod nazwą „wieczornego obrządku”. Zazwyczaj trener w towarzystwie głównego stajennego robił w tym czasie obchód, zatrzymując się przy każdym boksie, żeby obejrzeć konia, sprawdzić, czy ma ciepłe nogi (zły znak) i oczy pełne życia (dobry).

Nowy masztalerz Jacka przywitał Florę z przesadną usłużnością, co nappełniło mnie niesmakiem, a Florze wyraźnie odebrało resztkę pewności siebie. Przedstawiła go jako Howarda i wyjaśniła, że pan Beach będzie jej towarzyszył w obchodzie.

Howard mnie również zaczął traktować uniżenie i rozpoczęliśmy wędrowkę, która zdawała się przebiegać zgodnie z codzienną rutyną. Ze względu na Florę bardzo uważnie słuchałem wszystkich jego uwag.

Zdawało mi się, że niewiele mogło się zmienić od poprzedniego ranka, kiedy w stajni był Jack. Jeden z koni nastąpił na kamień podczas treningu i lekko utykał na nogę. Inny zjadł jedynie połowę południowej porcji. Trzeci otarł sobie skórę na pęcinnie, trzeba będzie na to uważać.

Flora w regularnych odstępach powtarzała „rozumiem”, „przekażę panu Hawthornowi”, a Howard usłużnie podsuwał, że może absolutnie na nim polegać, on się wszystkim zajmie do powrotu pana Hawthorna.

Doszliśmy do koni szejka, które nadal przebywały w stajni, a potem do tryskających zdrowiem koni Larry’ego Trenta. Przez cały sezon wydawały się niepokonane. Zarówno szejk, jak i Larry Trent umieli znakomicie ocenić możliwości koni, ponadto dopisywało im szczęście.

- Pewnie stracimy te konie - zauważyła z westchnieniem Flora. - Jack mówi, że będzie to dla nas duży cios finansowy.

- I co się z nimi stanie? - spytałem.

- Nie wiem. Konie szejka pewnie zostaną sprzedane. Nie wiem, czy on ma jakąś rodzinę. A piątka Larry’ego Trenta wróci oczywiście do swoich właścicieli.

Uniosłem pytająco brwi, ale ze względu na usłużną obecność Howarda nic nie powiedziałem. Dopiero kiedy zmierzaliśmy z Florą do mojej furgonetki, zapytałem, co miała na myśli.

- Konie Larry’ego Trenta? - powtórzyła. - Nie były jego własnością. Dzierżawił je.

- Płacił za nie raty?

- Nie, dzierżawa to rodzaj umowy. Założmy, że ktoś ma konia, ale nie stać go na opłacenie trenera, a ktoś inny chce puścić konia na wyścigach pod swoim nazwiskiem, stać go na opłacenie trenera, ale nie na zakup konia. Więc tych dwoje ludzi zawiera umowę, oczywiście formalnie podpisaną i zarejestrowaną. Zazwyczaj jeśli koń wygrywa, nagroda dzielona jest pół na pół między obu partnerów. Wiesz, że to się zdarza bardzo często...

- Nie miałem pojęcia - wyznałem pokornie.

- Jak najbardziej. Larry Trent zawsze tak robił. Był w tym bardzo sprytny. Dzierżawił konia, powiedzmy, na rok. Jeśli koń dobrze się spisał, przedłużał umowę na następny rok, ale jeśli koń nic nie wygrał, brał kolejnego. Możesz wydzierżawić konia na jak długo chcesz, to sprawa dogadania się. Może to być na rok, na sezon, na trzy miesiące... według życzenia.

Zainteresowało mnie to.

- A jak się załatwia taką dzierżawę?

- Jack ma niezbędne formularze.

- Chodzi mi o to, skąd wiadomo, że ktoś ma konia, którego wydzierżawi, ale nie sprzeda?

- Poczta pantoflowa - odparła niepewnie. - Ludzie po prostu o tym mówią. Czasami dają ogłoszenia. Czasami któryś z właścicieli prosi Jacka, żeby znalazł dzierżawcę, bo w ten sposób oszczędza na kosztach treningu i utrzymania. Najczęściej dzierżawią klacze, bo potem dostają je z powrotem do hodowli.

- Bardzo sprytne - powiedziałem.

Flora skinęła głową. - Larry Trent bardzo lubił ten system, bo dzięki niemu mógł puszczać w gonitwach pięć koni, zamiast mieć na własność tylko jednego. Ten człowiek był wielkim hazardzistą.

- Hazardzistą?

- Tysiąc na tego... tysiąc na tamtego... samo słuchanie o tym było męczące.

Spojrzałem na nią rozbawiony.

- Nie lubiłaś go?

- Chyba był w porządku - powiedziała z powątpiewaniem. - Zawsze przyjacielski. Jack mówił o nim: dobry właściciel. Płacił regularnie i rozumiał, że koń to nie maszyna. Prawie nigdy nie obwinił dżokeja, jeśli przegrał. Choć był jakiś tajemniczy. Nawet nie wiem dlaczego, ale zawsze miałam takie wrażenie. Ale hojny, nie można powiedzieć. W zeszłym tygodniu zaprosił nas na kolację do tej swojej knajpy, „Silver Moondance”. Strasznie głośno grała orkiestra... - Westchnęła. - Ale ty przecież wiesz, że tam byliśmy... Jimmy mówił mi, że opowiedział ci o tej whisky. Radziłam mu, żeby nie zawracał sobie głowy. Jack nie chciał, żeby Jimmy spowodował jakieś kłopoty.

- No, kłopoty i tak się zaczęły, choć nie ma to już większego znaczenia.

- Co masz na myśli?

Opowiedziałem jej o półprzytomnych majaczeniach Jimmy'ego i o mojej wizycie w barze „Silver Moondance” z sierżantem detektywem Ridgerem. Wytrzeszczyła oczy z westchnieniem „wielkie nieba”.

- Ktoś tam dokonuje wielkiego przekrętu - powiedziałem. - Z wiedzą lub bez wiedzy Larry'ego Trenta...

Odpowiedziała dopiero po dłuższej chwili.

- Wiesz, kiedyś zrobił coś, czego nie mogłam zrozumieć. W zeszłym roku byłam na aukcji w Doncaster z przyjaciółmi, u których się zatrzymałam. Jack nie pojechał, miał tu zbyt dużo pracy. Ale był tam Larry Trent. Nie widział mnie, ale ja go widziałam po drugiej stronie padoku, licytował konia, który się nazywał Ramekin. - Na chwilę umilkła. - Wylicytował na swoją korzyść, więc pomyślałam: dobrze, Jack będzie miał nowego podopiecznego. Ale koń nigdy się nie zjawiał, a Larry Trent ani słowem o nim nie wspomniał. Opowiedziałam o tym Jackowi, naturalnie, a on uznał, że musiałam się pomylić. Larry Trent nigdy nie kupował koni, więc nawet nie zamierzał go o to pytać.

- A kto później trenował tego Ramekina? - spytałam.

- Nikt. - Popatrzyła na mnie zaniepokojona. - Nie oszalałam. Sprawdzałam ceny w „Sporting Life”. Został sprzedany za ponad trzydzieści tysięcy funtów. Nie napisali, kto go kupił, ale jestem pewna, że był to Larry Trent, bo pomocnicy licytatora podeszli do niego, by spytać go o nazwisko, kiedy wylicytował tego konia. Ale potem już nic się nie wydarzyło.

- No, ktoś jednak musi go mieć - wydedukowałam logicznie.

- Tak przypuszczam. Ale nie ma go na liście żadnej stajni trenerskiej. Sprawdziłam to, bo wiesz, byłoby nieprzyjemnie, gdyby Larry posłał go gdzie indziej po tych wszystkich gonitwach, które Jack wygrał dla niego. Ale Ramekina nigdzie nie było, nie startował ani razu w ciągu sezonu, bo specjalnie to sprawdzałam. Ramekin po prostu... zniknął.

Rozdział szósty



Flora zaprowadziła mnie do kuchni po szklanki, uchowało się ich wszystkiego dziewiętnaście.

- Bardzo mi przykro - powiedziała.

Wzruszyłem ramionami. - To cud, że zachowało się aż tyle. Nie martw się, ubezpieczenie mi to pokryje.

Pomogła mi zapakować szkło do pudła, na jej miłej okrągłej twarzy malowało się zatroskanie.

- Ubezpieczenie! - wykrzyknęła. - Słyszę to słowo od samego rana. Ale kto może ubezpieczyć od podobnej tragedii? Oczywiście my nie mieliśmy żadnego ubezpieczenia, takiego specjalnego na przyjęcie. A ci biedacy, do których należy furgon... Sally... to znaczy żona właściciela dzwoniła do mnie w czasie lunchu i bez przerwy powtarzała histerycznie, że Peter nigdy, ale to nigdy, nie zapomina o zaciągnięciu ręcznego hamulca i zawsze, ale to

zawsze, zostawia furgon na biegu i że będą zrujnowani, jeśli towarzystwo ubezpieczeniowe udowodni, że to było zaniedbanie. Biedacy. - Popatrzyła na mnie. - Ale wiem, że nie zamknął drzwi. Zapytałam ją o to. Obawiam się, że bardzo ją to rozzłościło. Oświadczyła, że nie zamyka się samochodu, przyjeżdżając do przyjaciół.

Pomyślałem z goryczą o skradzionym szampanie, ale nie odezwałem się.

- Wyjaśniła, że przyjechali furgonem tylko dlatego, że właśnie kupili nowego konia i wracali z nim do domu. Ten koń dalej tu jest, w jednym z naszych wolnych boksów na tyłach. Sally oświadczyła, że już nigdy więcej nie chce go widzieć. Była okropnie roztrzęsiona. To wszystko jest tak niewypowiedziane straszne.

Flora odprowadziła mnie do furgonetki, kiedy odnosiłem szklanki. Widać było, że niechętnie się ze mną rozstaje.

- Nie zrobiliśmy tych notatek dla Jacka - przypomniała, więc wróciliśmy do kuchni.

- Jeśli jutro też będziesz się czuła niepewnie, przyjadę na wieczorny obrządek - zaproponowałem. - Szczerze mówiąc, dzisiaj sprawiło mi to wielką przyjemność.

- Tony, jesteś kochany. Bardzo bym chciała, żebyś przyjechał. - Znowu odprowadziła mnie do furgonetki.

- Przez całe rano policja węszyła wokół furgonu - powiedziała, patrząc na nieruchomego zielonego potwora. - Obsypywali go proszkiem i bez przerwy kręcili głowami.

- Pewnie szukali odcisków palców.

- Chyba tak. Ale cokolwiek tam znaleźli, niezbyt im się spodobało. Ale wiesz, jacy oni są, nie powiedzieli mi ani słowa.

- Poszłaś rzucić okiem po ich odjeździe?

Pokręciła przecząco głową, jakby w ogóle nie wpadła dotychczas na taki pomysł, ale natychmiast ruszyła przez trawnik w stronę furgonu. Poszedłem za nią, zrobiliśmy rundę dokoła pojazdu, oglądając liczne szaro-różowe smugi na całej karoserii.

- Musiały go dotykać setki ludzi - orzekła z rezygnacją Flora.

W tym operatorzy dźwigu, pomyślałem, i ci, którzy wypuścili konia, a wcześniej właściwie dowolna liczba ludzi.

Pod wpływem impulsu otworzyłem drzwiczki od strony pasażera i wszedłem do szoferki.

- Jesteś pewien, że możesz tam wchodzić? - pytała zaniepokojona Flora.

- Przecież nie powiedzieli ci, żebyś trzymała się z daleka?

- Nie... dzisiaj już nie.

- Więc nie ma sprawy.

Rozejrzałem się. We wnętrzu szoferki było dużo więcej śladów proszku, a także mnóstwo odcisków palców, ale tutaj wydawały się mniej zamazane. Przyglądałem się im z ciekawością, ale bez specjalnych nadziei; po prostu nigdy nie widziałem tego naprawdę, jedynie w niezliczonych filmach.

Nagle coś dotarło do mojej świadomości: liczne odciski były bardzo małe.

Odciski maleńkich palców na winylowych obiciach obu przednich siedzeń. Na całej kierownicy, na lewarku biegów i na ręcznym hamulcu. Maleńkie...

Wysiadłem i powiedziałem Florze o tych odciskach i zainteresowaniu detektywa Wilsona, kiedy wspomniałem mu o chłopcu i o psie.

- Chcesz powiedzieć, że dziecko spowodowało cały ten koszmar? - pytała z przerażeniem.

- Tak by się wydawało. Wiesz, jak dzieci się bawią. Uwielbiają samochody. Kiedy rozwożę zamówienia, zawsze wdrapują się do mojej furgonetki. To mali niszczyiele, jeśli tylko się ich nie pilnuje. Przypuszczam, że dzieciak zwolnił hamulec i biegi. A kiedy już uciekł razem z psem, ciężar furgonu sprawił, że zaczął się staczać. Wystarczyłoby nawet najmniejsze pochylenie stoku.

- O Boże. - Flora wydawała się coraz bardziej przygnębiona. - Czyje to było dziecko?

Opisałem chłopca najdokładniej, jak potrafiłem, ale stwierdziła, że nie może pamiętać wyglądu wszystkich znanych dzieci, bo przecież tak szybko się zmieniają.

- Nie szkodzi. Wilson ma adresy wszystkich twoich gości. Znajdzie. A ciebie, Floro, powinno to cieszyć. Bo jeśli to czyjeś dziecko zwolniło hamulec, twoim przyjaciółom, Peterowi i Sally, nie grozi ruina!

- Nie było to ich dziecko, bo są bezdzietni. Ale ten nieszczęsny chłopczyk!

- Jeśli ludzie mieliby trochę oleju w głowie, to nikt mu nie powie, dopóki nie dorośnie, że zabił osiem osób. Choć nie można na to liczyć.

Wracając od Flory, zdołałem dostarczyć jedynie dwa zamówienia, bo mój klient, emerytowany prawnik, był zachwycony (tak powiedział), że załatwiam dostawę osobiście. Wobec tego muszę koniecznie wypić z nim butelkę Château Palmer 1970, którą właśnie otworzył.

Lubiłem go, doskonale znał się na winach po niezliczonych urlopach spędzonych na objeżdżaniu winnic, więc wieczór upłynął na przyjemnych rozmowach o czarodziejskich polach w Pauillac i Margaux, o uniwersalnych zaletach wspaniałej odmiany gron cabernet

sauvignon, które mogą się udać niemal w każdym miejscu na ziemi. Oczywiście pod warunkiem, że poza nędną glebą będzie i dużo słońca.

Okazało się, że żona prawnika wyjechała do krewnych. Zasugerował krwistą wołowinę na zimno i bordo, na co zgodziłem się bez trudu, myśląc o swoim pustym domu. Mój gospodarz uparł się też, żeby otworzyć na później butelkę Cios St Jacques 1982.

- Tak rzadko się zdarza - odpowiadał na moje protesty - żebym miał z kim dzielić mój entuzjazm. Żona mi zwykle towarzyszy, ale nawet po tylu wspólnych latach chętniej wypije zwykle beaujolais czy bezpretensjonalny Mosel. A dziś wieczorem, proszę się nie bronić, bo dzisiaj będzie prawdziwa ucztą.

Podzielałem tę opinię. Wypiłem moją część Château Palmer i Cios St Jacques, którego próbowałem po raz pierwszy przed rokiem, kiedy je sprzedawałem. Z przyjemnością odkryłem, że to wino cudownie zmieniło kolor z młodej purpury na ciemną dojrzałą czerwień burgunda wraz z osiągnięciem dojrzałej mocy i doskonałości. Może się jeszcze polepszyć, pomyślałem, a mój gospodarz obiecał odstawić je może jeszcze na rok.

- Chociaż, mój drogi panie, starzeję się i chciałbym wypić wszystkie moje skarby, zanim będzie za późno.

Tak się zagadaliśmy, że wyszedłem dopiero przed północą. Alkohol rozkłada się we krwi w tempie jednej lampki wina na godzinę, myślałem, jadąc do domu, więc przy odrobinie szczęścia po sześciu lampkach w ciągu pięciu godzin powinienem być legalnie trzeźwy. Nie byłem przesadnie moralny, ale żeby przetrwać w moim biznesie, musiałem mieć prawo jazdy.

Może z powodu wina, a może dlatego, że poprzedniej nocy bezsennie przewracałem się na łóżku, tym razem spałem długo i zdrowo, bez żadnych złych snów. A rano pogodniej niż zwykle powitałem nowy dzień. Zresztą poranki zawsze były lepsze od wieczorów. Rozpoczynanie dnia nie było takie złe, piekłem stawał się dopiero powrót do domu.

Matka radziła mi przez telefon, żebym wszystko sprzedał i zamieszkał w jakimś innym miejscu.

- Tam nigdy nie będziesz szczęśliwy. To się nie udaje.

- Ale ty nie przeprowadziłaś się po śmierci ojca - oponowałem.

- Przecież to był mój dom - odparła ze zdumieniem. - Odziedziczony po rodzinie. To zupełnie co innego, mój drogi Tony.

Nie byłem pewien, na czym polegała różnica, ale nie podjąłem dyskusji. Pomyślałem, że może matka ma rację z tą przeprowadzką, ale nie ruszyłem się. Wszystkie moje wspomnienia o Emmie żyły w tym starym odnowionym domku wychodzącym na Tamizę, opuszczenie go równałoby się porzuceniu jej, byłby to akt ostatecznej zdrady. Wydawało mi

się, że gdybym sprzedał dom, miałbym poczucie winy, nie ulgi, zostałem więc, nocami tęskniłem za nią, a tymczasem spłacałem hipotekę i nie mogłem znaleźć spokoju.

Zamówienia, które zostały mi na rano, miałem dostarczyć w dość rozrzucone miejsca, toteż musiałem sporo kluczyć i kręcić, ale ponieważ bezpłatna dostawa do domu bardzo ożywiła ruch w sklepie, to jeżdżenie nigdy mi nie przeszkadzało.

Złe nowiny podróżują z szybkością dźwięku, więc już o dziesiątej trzydzieści na ostatnim moim postoju usłyszałem o wydarzeniu w „Silver Moondance”.

- To straszne, prawda? - padło z ust uśmiechniętej kobiety, otwierającej mi drzwi kuchenne domku na przedmieściach Reading. - Ktoś włamał się do lokalu dziś w nocy i wyniósł cały alkohol.

- Naprawdę?

Radośnie skinęła głową, rozkoszując się złą wiadomością.

- Przed pięcioma minutami powiedział mi o tym mleczarz. „Silver Moondance” jest niedaleko stąd, wie pan. Jak zwykle poszedł tam z mlekiem, a tam pełno policjantów. Stoją i drapią się po głowach. Tak w każdym razie mówił mleczarz. Nie jest chyba specjalnym entuzjastą policji.

Wniosłem zamówione przez nią pudła do kuchni i czekałem, aż wypisze czek.

- Wie pan, że właściciel „Silver Moondance” zginął w niedzielę w tym wypadku z furgonem do przewozu koni? - spytała.

- Słyszałem.

- To przerażające, żeby go obrabować zaraz po śmierci.

- Przerażające - przyznałem.

- Do widzenia, panie Beach - powiedziała wesoło na koniec. - Czyż nie byłoby nudno, gdyby wszyscy byli dobrzy?

Splądrowana „Silver Moondance”, tak blisko jej domu, znajdowała się bezpośrednio po drodze do mojego sklepu, więc przejeżdżając obok, wyraźnie zwolniłem, nie kryjąc ciekawości. Policyjny samochód stał niemal dokładnie w tym samym miejscu, gdzie poprzedniego dnia zaparkował Ridger. Powodowany impulsem, skręciłem na podjazd i zaparkowałem tuż obok radiwozu.

Nie było nikogo na zewnątrz, również hall wejściowy był pusty. Palilo się znacznie mniej światła niż poprzednio, atmosfera również nie wskazywała na to, że w ogóle cokolwiek się wydarzyło. Pchnąłem wahadłowe westernowe drzwi do baru, jednak w czarno-szkarłatnej przestrzeni panowała ciemność i pustka, spokojnie zbierał się kurz.

Zajrzałem do restauracji po przeciwnej stronie hallu, ale tu także było pusto. Pozostawała jedynie piwnica, więc kierowany doświadczeniami poprzedniego dnia ruszyłem korytarzem do przejścia prowadzącego do drzwi z napisem „Prywatne” i do ukrytego za nimi pomieszczenia dla personelu. Piwnice w rzeczywistości nie mieściły się w podziemiu, składały się z dwóch połączonych ze sobą magazynów, chłodnych i pozbawionych okien, tuż przy sieni, pomiędzy salą jadalną a dawnym gabinetem Larry’ego Trenta. Z sieni na podwórze na tyłach prowadziły drzwi pełne zasuw i zamków. Teraz były szeroko otwarte i rzucały dość dużo światła nie tyle na całą sprawę, co na pochyloną sylwetkę sierżanta Ridgera.

Przeciwdeszczowy płaszcz z paskiem zastąpiło palto zapięte z równie wojskową precyzją, a każdy włos w czuprynie sierżanta nadal zajmował sztywno należne mu miejsce. Nie zmieniły się też obcesowe maniery.

- Co pan tu robi? - zapytał w momencie, kiedy mnie zauważył.

- Przejeżdżałem obok.

Obrzucił mnie kwaśnym spojrzeniem, ale nie kazał mi wyjść, więc zostałem.

- Co tutaj było? - zapytał, wskazując drzwi do piwnicy. - Zastępca kierownika jest beznadziejny. Ale pan widział, co tam było. Przychodził pan po to wino, więc co pan zapamiętał?

Zauważyłem, że dzisiaj traktował mnie mniej obcesowo. Może przesunąłem się w jego ocenie na pozycję „policyjnego eksperta”.

- Dość dużo - powiedziałem w zamyśleniu. - Ale gdzie jest lista win? Tam wszystko było wyszczególnione.

- Nie możemy znaleźć żadnej listy win. Chyba przepadła razem z winem.

- Jest pan pewien? - dopytywałem się zdumiony.

- Nie możemy znaleźć żadnej - powtórzył. - Więc proszę, żeby pan zrobił listę.

Powiedziałem, że spróbuję. Zaprowadził mnie do biura Larry’ego Trenta, urządzonego raczej z pewnym przepychem niż funkcjonalnie: leżał tam bardzo wzorzysty dywan, stało kilka foteli, a na ścianach wisiało dużo oprawionych fotografii. Zauważyłem, że niemal wszystkie zdjęcia przedstawiały finisz gonitw, na których widać było przede wszystkim słupki mety. Larry Trent umiał wybierać konie, mówiła Flora, był także niezłym hazardzistą, którego na koniec opuściło szczęście.

Usiadłem na jego krześle przy mahoniowym biurku i zacząłem pisać na kartce z oficjalnego notatnika Ridgera. Sam Ridger stał wyczekująco, jakby spodziewał się, że lada

moment zjawi się pierwotny użytkownik gabinetu, zresztą przemknęło mi przez myśl, że ja także czułem się tak, jakbym zakłócał prywatność Larry'ego Trenta.

Jego biurko wydawało się zbyt uporządkowane, aby mogło stanowić centrum zarządzania takim lokalem jak „Silver Moondance”. Żadnej faktury, żadnego listu, żadnego papieru firmowego. Żadnych oficjalnych formularzy, ksiąg rachunkowych, segregatorów, maszyny do pisania czy podręcznego kalkulatora. Nie wygląda to jak gabinet do pracy, raczej jak sanktuarium, pomyślałem.

Spisałem skrzynki i ilości wina, które zapamiętałem. Powiedziałem Ridgerowi, że może przypomnę sobie więcej, jeśli pójdę do piwnicy i uzmysłowię sobie, co i gdzie widziałem. Udaliśmy się więc do pierwszego z pomieszczeń, gdzie trzymano większość win, i patrząc na puste stojaki i półki z przegródkami, dołożyłem do mojej listy jeszcze kilka gatunków.

Przez rozsuwane wewnętrzne drzwi przeszliśmy do drugiego pomieszczenia, gdzie znajdowały się zapasy wódek, likierów, piwa w puszkach i dodatków. Piwa i dodatki zostały na miejscu, zniknęły brandy, dżin, wódka, whisky, rum i likiery.

- Dokładna robota - stwierdziłem, nie przestając pisać.

Ridger wymamrotał: - Wyczyścili nawet ruchomy barek w restauracji.

- A sam bar?

- Też.

- Bardzo metodycznie. Centrala pewnie się wścieka. A co miał do powiedzenia nasz znajomek Paul Young?

Ridger spojrzał niechętnie najpierw na mnie, a potem na listę, którą nadal trzymałem w ręku.

- Prawdę mówiąc - wyznał z niesmakiem - telefon, który mi podał, jest chyba zły. Kazałem sprawdzić.

Zamrugalem powiekami. - Przecież zapisał go własnoręcznie.

- Wiem o tym. - Ridger lekko zesznurował usta. - Ludzie czasami popełniają błędy.

Nawet gdybym chciał jakoś to skomentować, i tak przeszkodziłoby mi pojawienie się w otwartych drzwiach sieni młodego człowieka w wełnianej marynarce, który okazał się detektywem w cywilu. Zameldował krótko, że wraz z zastępcą kierownika przeszukał przybudówki i wygląda na to, że stamtąd nic nie zginęło. Dodał, że w razie potrzeby zastępca będzie w pokoju kierownika.

- To znaczy gdzie? - spytał Ridger.

- Niedaleko drzwi wejściowych. Za napisem „Tylko dla personelu”. Tak powiedział.

- Przeszukał pan tam?

- Nie, sierżancie, jeszcze nie.

- No to nie ma na co czekać - polecił oschle Ridger, a detektyw bez mrugnięcia powieką odwrócił się na pięcie i odszedł.

Radio w kieszeni palta Ridgera nagle ożyło, wyjął je i wyciągnął antenę. Metaliczny głos z radia dobiegł do mnie bardzo wyraźnie.

- W odpowiedzi na zapytanie z dziesiątej czternaście informuję, że podany numer telefonu nie istnieje i nigdy nie istniał. Co więcej, dotyczy to również podanego adresu. Nie ma takiej ulicy. Wiadomość przekazano o dziesiątej czterdzieści osiem. Proszę potwierdzić. Koniec.

- Potwierdzam - powiedział ponuro Ridger. - Koniec. - Schował antenę i zapytał: - Przypuszczam, że pan usłyszał?

- Tak.

- Cholera - rzucił dobitnie.

- Faktycznie - potwierdziłem ze współczuciem, co pokwitował raczej niezbyt przytomnym spojrzeniem.

Wręczyłem mu uzupełnioną listę, która nagle stała się nie tyle zwykłą ewidencją przypadkowego włamania, ale świadectwem znacznie dokładniejszej i bardziej celowej operacji. To była jednak jego praca, nie moja.

- Będę u siebie w sklepie, gdyby pan mnie potrzebował. Chętnie pomogę.

- Bardzo dobrze - odrzekł sucho. I dodał już z większą sympatią w głosie: - W porządku. Bardzo dziękuję.

Skinąłem głową i wymaszerowałem przez drzwi z napisem „Prywatne” do hallu wejściowego, zerkając na nierzucające się w oczy wejście „Tylko dla personelu”. Drzwi do tego pomieszczenia zlewały się z dekoracją ścian na podobieństwo kameleona. Podejrzywałem, że kierownik nie chciał, by niezadowoleni klienci mogli go łatwo odnaleźć. W tym momencie drzwi się uchyliły, a przez szparę wycofywał się tyłem zastępca zastępcy, wpatrzony w coś, czego nie dostrzegłem za drzwiami, które się za nim zatrzasnęły.

Słaby i nieudolny mężczyzna z poprzedniego dnia w tej chwili zupełnie zatracił zdolność funkcjonowania, ciężko dyszał i robił wrażenie człowieka, który zaraz zemdleje. Zdążyłem podbiec i przytrzymać go.

- Co się stało? - spytałem.

Jęknął cicho, wzniosł oczy do góry, a jego ciało nabrało ciężaru. Pozwoliłem, by ześlizgnął się na dywan, ułożyłem go płasko i rozluźniłem mu krawat. I wtedy, czując przyspieszenie pulsu i oddechu, otworzyłem drzwi do biura kierownika i wszedłem do środka.

Od razu się zorientowałem, że to tutaj załatwiano prawdziwe interesy. W tym gabinecie, zaiste bardzo funkcjonalnym, znajdowały się wszystkie formularze, segregatory i nieporządne sterty bieżących dokumentów, których brak tak rzucał się w oczy w biurze Larry'ego Trenta. Tutaj stało metalowe biurko, stare i podrapane, na nim sterty papierów, mnóstwo piór i ołówków, a obok plastikowe krzesło.

W pudłach z naklejonymi etykietami mieścił się olbrzymi podręczny magazyn: żarówki, popielniczki, papier toaletowy, mydło. Z otwartej szafy sięgającej aż do sufitu wywalały się papiery i firmowa papeteria. Przez pojedyncze okno widać było kawałek podjazdu, a na nim moją furgonetkę i samochód Ridgera. Solidny sejf wielkości kredensu miał szeroko otwarte drzwi, wewnątrz było pusto; na linoleum siedział policjant w cywilu, plecami opierał się o ścianę, a głowę opuścił między kolana.

Na pierwszy rzut oka nie było w tym pomieszczeniu nic, co mogłoby wywoływać zbiorową utratę przytomności. Dopóki nie podeszło się do krzesła za biurkiem i nie popatrzyło się na podłogę. W tym momencie mnie też zaschło w gardle, a serce rozpaczliwie zaczęło tłuc pod żebrami. Nie było krwi, ale widok był znacznie gorszy, znacznie bardziej poruszający niż przypadkowe jatki w namiocie.

Na podłodze leżał na wznak mężczyzna w szarych spodniach i granatowej pikowanej kurtce. Koncentrując się rozpaczliwie na szczegółach, zauważyłem, że zamek błyskawiczny kurtki zapięty był do końca, na jednym rękawie naszyty był haftowany herb; ponadto mężczyzna miał brązowe buty i szare skarpetki. Jego szyja nad kołnierzem kurtki była różowo-czerwona, wyraźnie rysowały się napięte ścięgna, starannie ułożone ręce krzyżowały się na piersiach w klasycznej pozie nieboszczyka.

Mężczyzna nie żył. Nie mógł żyć. Bo ponad obnażoną szyją jego głowa stanowiła pozbawioną rysów kulę, jak olbrzymia purchawka. Dopiero po opanowaniu mdłości i bliższym przyjrzeniu się, można było stwierdzić, że powyżej szyi został całkowicie, starannie i ciasno zapakowany w gips modelarski.

Rozdział siódmy



Wycofałem się roztrzęsiony z tego biura, pełen zrozumienia dla policjanta i zastępcy, stanąłem na drżących nogach i oparłem się plecami o ścianę hallu.

Jak można być takim barbarzyńcą, zastanawiałem się. Jak można zrobić coś podobnego? Komu to w ogóle mogło przyjść do głowy?

W hallu pojawił się sierżant Ridger, podszedł do mnie, spoglądając raczej z irytacją niż z troską na siedzącego ciągle jeszcze na podłodze zastępcę.

- A jemu co się stało? - spytał ze swoją zwykłą brutalnością. Nie odpowiedziałem.

Popatrzył na mnie badawczo i spytał z trochę większym zainteresowaniem: - O co chodzi?

- Trup - wyjaśniłem. - W biurze.

Obrzucił mnie spojrzeniem pełnym wyższości i politowania i zdecydowanym krokiem wszedł do biura. Kiedy z niego wyszedł, był znacznie bledszy, ale zachował godne podziwu panowanie nad sobą i postępował jak prawdziwy sierżant detektyw.

- Ruszał pan coś w środku? - zapytał ostro. - Będą gdzieś odciski pańskich palców?

- Nie.

- Na pewno?

- Na pewno.

- W porządku. - Wyjął radio, wyciągnął antenę i poinformował, że potrzebna mu najlepsza ekipa techniczna w związku ze śmiercią w podejrzanych okolicznościach jeszcze niezidentyfikowanego mężczyzny.

Bezosobowy głos odparł, że wiadomość przyjęto o dziesiątej pięćdziesiąt siedem i zostaną podjęte odpowiednie kroki. Ridger schował antenę, zajrzał przez drzwi do biura i cierpko polecił policjantowi, by stamtąd wyszedł, by niczego nie dotykał i udał się na świeże powietrze.

- Od tej pory to już nie będzie moja sprawa - powiedział w równym stopniu do mnie, co do siebie.

- Dlaczego?

- Morderstwa prowadzi główny inspektor albo komisarz.

Po brzmieniu jego głosu nie mogłem się zorientować, czy jest z tego zadowolony, czy trochę mu żal, uznałem więc, że po prostu akceptuje hierarchię bez resentymentów.

- Czy człowiek o nazwisku Wilson pracuje u was? - spytałem po chwili namysłu.

- Jest chyba ze czterech Wilsonów. O którego panu chodzi? Opisałem przygarbionego detektywa o spokojnym sposobie bycia, a Ridger natychmiast potwierdził. - To główny

detektyw nadinspektor Wilson. Oczywiście nie pracuje w naszym komisariacie. Jest szefem całego dystryktu. Podobno wkrótce pójdzie na emeryturę.

Powiedziałem, że poznałem go po wypadku u Hawthornów, a Ridger stwierdził, że Wilson pojawił się tam osobiście ze względu na szejka.

- Wypadki drogowe normalnie nie należą do jego zadań.

- A tutaj przyjedzie? - spytałem.

- Chyba nie. Ma zbyt wysoki stopień.

Zastanawiałem się, dlaczego funkcjonariusz tak wysokiej rangi przyszedł do mojego sklepu zadawać pytania, zamiast przysłać policjanta, ale nie zdążyłem powiedzieć o tym Ridgerowi, bo w tym momencie zastępca zastępcy kierownika zaczął wracać do życia.

Po długim omdleniu był kompletnie zdezorientowany, usiadł chwiejnie i wpatrywał się niepewnie w Ridgera i we mnie.

- Co się stało?

- spytał, ale po chwili sam sobie przypomniał: - O Boże... - Wydawało się, że znowu zemdleje, nie zrobił tego jednak, tylko przyciskał rękami oczy, jakby w ten sposób mógł oczyścić pamięć. - Widziałem... widziałem...

- Wiemy, co pan widział - wtrącił Ridger bez najmniejszego współczucia. - Czy może pan zidentyfikować tego człowieka? To kierownik?

Zastępca zastępcy pokręcił przecząco głową i odparł głosem przytłumionym przez ręce, którymi zakrywał twarz: - Kierownik jest gruby.

- Niech pan mówi dalej - poganiał Ridger.

- To Zarac. To jego kurtka...

- A kim jest Zarac?

- Kelnerem od win. - Zastępca zastępcy niepewnie stanął na nogi i zakrył usta dłońmi, zanim rzucił się biegiem w stronę drzwi z napisem „Panowie”.

- Kelner od win - powtórzył bezbarwnie Ridger. - Mogłem się domyślić.

Odepchnąłem się od ściany. - Nie jestem panu potrzebny, prawda?

Pojadę do sklepu.

Zastanowił się przez chwilę, po czym wyraził zgodę, mówiąc, że pewnie w razie potrzeby znajdzie mnie bez trudu. Zostawiłem go stojącego na straży przed drzwiami biura, po drodze do furgonetki minąłem policjanta, który uwolnił się na parkingu od śniadania.

- Cholera - powiedział z rozbajającym miejscowym akcentem. - Czegoś takiego nigdy nie widziałem.

- Niecodzienny widok - przyznałem, ratując się nonszalancją. Pomyślałem przy tym, że od niedzieli ja też widziałem wystarczająco dużo koszmarów, by starczyło na całe życie.

We wtorek w porze lunchu kupiłem więcej kieliszków i zawiozłem je razem z winem na dobroczynne spotkanie pań z doliny Tamizy. Przez następne trzy dni nie wydarzyło się nic godnego uwagi.

Media poinformowały krótko o mężczyźnie z zagipsowaną głową, ale pomyślałem, że żadne słowa nie oddadzą szoku, wywołanego widokiem tej głowy-piłki, białej i nieruchomej, na końcu ludzkiego tułowia.

Zdjęcie gipsu podczas sekcji potwierdziło tożsamość zmarłego: Feydor Zaracievesa, Brytyjczyk słowiańskiego pochodzenia, znany jako Zarac. Pracował w „Silver Moondance” jako kelner od win od osiemnastu miesięcy, choć sama restauracja funkcjonowała już prawie trzy lata. Wkrótce odbędzie się rozprawa ustalająca przyczyny zgonu, a tymczasem policja kontynuuje śledztwo.

Powodzenia, pomyślałem. Kontynuujcie.

We wtorek, środę i czwartek pani Palissey wyjeżdżała o czwartej wraz z Brianem rozwieźć zamówienia, a ja mniej więcej o czwartej trzydzieści zawieszałem na drzwiach tabliczkę: „Otwarte od 18 do 21” i przejeżdżałem przez wzgórze, żeby odbyć z Florą obchód stajni.

Zawsze uważałem, że godziny otwarcia sklepu to sprawa umowna, i przekonałem się, że nieważne jest, co się robi, jeżeli tylko informuje się o tym. Pory, kiedy przychodziło najwięcej i najmniej klientów, w zasadzie nie zmieniały się: rano duży ruch, przeważnie kobiety, nieliczni klienci obojga płci po południu i porządny ruch wieczorem, głównie mężczyźni.

Kiedy żyła Emma, otwieraliśmy sklep wieczorem tylko w piątki i soboty, ale odkąd zostałem sam, dorzuciłem jeszcze wtorki, środy i czwartki, nie tyle ze względu na dodatkowe zyski, ile na towarzystwo. Lubiłem wieczory w sklepie; większość tych klientów przychodziła po wino, a najlepiej lubiłem sprzedawać właśnie wino: butelka do kolacji, szampan z powodu awansu w pracy, prezent dla gospodarzy przyjęcia.

Było to życie na niewielką skalę. Nie było w nim niczego, co mogłoby zmienić historię albo księgi rekordów. Przejście przez czas w normalnych śmiertelnych wymiarach, tyle że u boku Emmy przynosiło satysfakcję.

Nigdy nie miałem szczególnych ambicji, co smuciło moją matkę i wyraźnie irytowało nauczycieli w szkole Wellington. Jeden z nich podczas ostatniego semestru napisał zjadliwie:

„Wyjątkowa inteligencja Beacha mogłaby go zaprowadzić daleko, gdyby tylko zadał sobie trud obrania kierunku”. Moja niezdolność zdecydowania, kim chciałbym być (byle nie żołnierzem), sprawiła, że w sumie robiłem niewiele. Zdałem te egzaminy, które miałem zdać, ale nie pociągał mnie uniwersytet. Francuski, mój najlepszy przedmiot, nie mógł być zawodem. Nie czułem powołania, by zostać maklerem czy podjąć jakieś wygodne zajęcie w City. Nie miałem zacięcia artystycznego. Ani ucha do muzyki. Nie potrafiłem sobie wyobrazić życia za biurkiem, a nie jeździłem zbyt odważnie, by startować w wyścigach. Jako nastolatek miałem tylko jeden wyraźny talent: potrafiłem określić markę każdej czekolady z zawiązanymi oczami, co wówczas nie wydawało się obiecującą zapowiedzią dochodowego zajęcia.

Pół roku po skończeniu szkoły pomyślałem, że mógłbym na jakiś czas pojechać do Francji, pozornie po to, by lepiej opanować język. Jednak ze smutkiem przyznawałem w duchu, że był to jedyny sposób, żeby w domu nie rzucać się w oczy jako wyjątkowy nieudacznik. To rozczarowanie mogłem znieść dużo lepiej w samotności.

Zupełnym przypadkiem za pośrednictwem przyjaciół mojej zesperowanej matki zostałem wysłany jako płatny gość do pewnej rodziny w Bordeaux. Początkowo nie miało dla mnie żadnego znaczenia to, że mój gospodarz był kupcem winnym. To właśnie monsieur Henri Tavel odkrył, że potrafię odróżnić jedno wino od drugiego, wystarczy, żebym tylko raz spróbował. Był jedynym znanym mi dorosłym, na którym wywarła wrażenie moja sztuczka z czekoladą. Bardzo się uśmieł i co wieczór wystawiał mnie na próbę z testowaniem win. Im lepiej mi się to udawało, tym większej nabierałem pewności siebie.

Jednak traktowałem to jak zabawę i po upływie przewidzianych trzech miesięcy wróciłem do domu, nadal bez najmniejszego pomysłu, co robić dalej. Mama podziwiała mój francuski akcent, stwierdziła jednak, że trudno go uznać za życiowe osiągnięcie. Starłem się schodzić jej z oczu, ilekroć było to możliwe.

Musiła więc mnie szukać, kiedy przyszedł list, mniej więcej miesiąc po moim przyjeździe. Trzymała go przed sobą i marszczyła brwi, jakby tekst listu był dla niej kompletnie niezrozumiały.

- Pan Tavel proponuje, żebyś do nich wrócił. Chce cię uczyć. Ale czego niby miałby cię uczyć, mój skarbie?

- Wszystkiego o winie - odpowiedziałem, odczuwając po raz pierwszy od dawna lekki przypływ zainteresowania.

- Ciebie? - Mama wydawała się raczej zaskoczona niż rozbawiona.

- Pewnie chce mnie nauczyć handlu winem.

- Wielkie nieba!

- Mogę pojechać? - spytałem.

- A chcesz? - dopytywała się zdumiona. - Czyżbyś naprawdę odkrył coś, czym chcesz się zająć?

- Wydaje się, że nie potrafię nic innego.

- No nie - zgodziła się rzeczowo. Znowu zapłaciła za moją podróż, wikt i opierunek plus wysokie honorarium dla pana Tavela za naukę.

Monsieur Tavel przez rok udzielał mi intensywnych nauk, zabierając mnie wszędzie, pokazywał mi każdy etap produkcji i transportu wina, uczył mnie w szybkim tempie tego, o czym sam zdobywał wiedzę przez całe życie, ale spodziewał się, że niczego nie będzie musiał powtarzać mi dwa razy.

Przy Quai des Châtrens czułem się jak w domu; liczne drzwi do magazynów były tu za wąskie dla nowoczesnych ciężarówek - pozostałość dawnych przepisów podatkowych; żadnego wina nie można też było składować bliżej niż sto metrów od ulicy, uważano bowiem, że zaszkodzą mu wibracje bruku pod końskimi kopytami. We wnętrzu magazynu de Luze'a, który rozciągał się w głąb niemal na długość pół mili, pracownicy przemieszczali się na rowerach.

Długie autobusy miejskie miały przeguby w środkowej części, by skręcać pod ostrym kątem w wąskie uliczki, a w marcu kwitły na ulicach puchowe wiejskie mimozy, i wszędzie, codziennie, o każdej porze słyhać było rozmowy o winie i czuć było jego zapach. Kiedy wyjeżdżałem, Bordeaux stało się moim duchowym domem. Henri Tavel uściskał mnie ze łzami w oczach, powiedział, że może mnie urządzić u de Luze'a lub u innego z największych *négociants*, jeśli zostanę. Od tamtego czasu już wielokrotnie zastanawiałem się, dlaczego tego nie zrobiłem.

Po powrocie do Anglii, wyposażony w nazbyt pochlebne rekomendacje Tavela, znalazłem pracę w hurtowni win, ale byłem zbyt młody, by robić cokolwiek prócz papierkowej roboty, co po intensywnym życiu w Bordeaux wkrótce mnie znudziło. Kierowany impulsem wszedłem pewnego dnia do sklepu z winem, na którym widniał napis „Potrzebna pomoc”, i zaproponowałem swoje usługi. W krótkim czasie rozpocząłem błyskotliwą i nieprzerwaną karierę przemieszczania skrzynek z napitkami z miejsca na miejsce.

- Tony pracuje w sklepie - mówiła bohatercko moja mama. Mama naprawdę była dzielna. Wysokie płotki należy brać bez lęku. W odpowiednim czasie udzieliła mi też bezprocentowej pożyczki na podstawowe zapasy towaru do własnego sklepu, odmówiła

przyjmowania spłat, kiedy już mogłem sobie na nie pozwolić. Prawdę mówiąc, w porównaniu z innymi matkami moja nie jest wcale taka zła.

Flora, w zasadzie bardzo macierzyńska dama, z dnia na dzień stawała się mniej wyczerpana i przygnębiona. Noga Jacka goiła się dobrze, a życiu Jimmy'ego już niemal nic nie zagrażało, choć trudno mieć taką pewność po dwóch tygodniach od przebiccia płuca.

Według słów Flory Jimmy nie pamiętał absolutnie niczego z całego przyjęcia. Nie pamiętał, że oprowadzał szejka po stajni. Ostatnia rzecz, jaka zachowała się w jego pamięci, to rozmowa ze mną o whisky Laphroaig; wiadomość o śmierci Larry'ego Trenta była dla niego szokiem.

- A samopoczucie Jacka? Jak z nim?

- Tony, skarbie, przecież go znasz. Wiesz, że nie lubi siedzieć bez ruchu, więc z każdą chwilą staje się coraz bardziej zniecierpliwiony. Chyba nie powinnam tego mówić, ale przecież wiesz, jaki on jest. Twierdzi, że na weekend będzie już w domu i nie zamierza jeździć na wózku inwalidzkim, domaga się kul, chociaż będzie musiał dźwigać na rękach niezły ciężar, a nie jest już taki młody.

Codzienne raporty wiernie spisywane przez Florę podnosiły go na duchu, uważał, że uratowaliśmy go od klęski; choć trzeba powiedzieć, że niejako prawem serii po złej passie nastąpiła dobra i wśród podopiecznych zdarzało się mniej niż zwykle kontuzji, stanów zapalnych i temu podobnych.

W czwartek zniknął już furgon, resztki namiotu i maty, został jedynie zryty trawnik i dziura w różanym żywopłocie.

- Już nigdy nie będziemy mogli chodzić po trawie bez butów - powiedziała Flora. - Chociaż, prawdę mówiąc, wcale tego nie robimy. Ale teraz gdzie się spojrzy, są odłamki szkła.

Dotarły do niej oczywiście wieści o kradzieży i morderstwie w „Silver Moondance”, ale słuchała z szeroko otwartymi ustami, kiedy jej opowiedziałem, że byłem tam znowu we wtorek rano.

Westchnęła „to straszne” i „biedny Larry”, a po chwili powiedziała zmieszana: - O Boże, zapomniałam na chwilę... to taki koszmar, taki koszmar.

W środę oznajmiła mi, że Sally i Peter już wiedzą, kto zwolnił hamulec w ich furgonie. Sally znowu dzwoniła niemal tak samo roztrzęsiona i powiedziała Florze, że rodzice chłopca obwiniają Petera o to, że zostawił nie zamknięte drzwiczki; twierdzą, że to on jest winien, a nie ich synek. Początkowo zaprzeczali temu, że ich syn mógł spowodować wypadek

i byli bardzo rozgoryczeni z powodu odcisków palców. Sally mówiła, że powinni pilnować swojego nieznosnego szczeniaka, nauczyć go, żeby nigdy nie ruszał cudzej własności, a zwłaszcza nie wsiadał do nieznanych furgonów i samochodów i niczego tam nie ruszał.

- I kto tu ma rację? - pytała retorycznie Flora z westchnieniem. - Oni się przyjaźnili, a teraz wszyscy są tacy nieszczęśliwi. To po prostu straszne. - Ze smutkiem pokręciła głową. - Żałuję, że w ogóle urządzaliśmy to przyjęcie. Nie sądzę, żebyśmy jeszcze kiedykolwiek to powtórzyli.

W czwartek po południu była już niemal całkowicie dawną sobą, ustawiała usłużnego Howarda w stajni z dobroduszną pewnością siebie i powiedziała, że jeśli nie przytrafi jej się atak paniki, to nie muszę przychodzić następnego dnia, czyli w piątek.

- Drogi Tony, byłeś dla mnie prawdziwą opoką. Po prostu brak mi słów... - Na pożegnanie złożyła serdeczny pocałunek na moim policzku i dodała, że zobaczymy się zapewne niedługo.

Do pewnego momentu piątek upływał tak jak większość piątków: rano wyjątkowo pracowity, wczesnym popołudniem pakowanie dużych zamówień na weekendowe dostawy. Brian wynosił zakupiony towar niezliczonym klientom do samochodów i z promiennym uśmiechem przyjmował napiwki. Pani Palissey dała mu sześć batoników Mars, myśląc, że ja tego nie widzę, i oświadczyła pogodnie, że kończy nam się coca-cola.

Pani Chance przyszła po swój sekretny dzin. Hurtownik zadzwonił, że zarezerwował dla mnie pięćdziesiąt skrzynek Beaujolais Nouveau na 15 listopada i pytał, czy nie chcę więcej. (15 listopada to w handlu alkoholem to samo co 12 sierpnia w handlu produktami żywnościowymi: wyścig, kto pierwszy będzie miał młode wino, tak jak młode kuropatwy, był bardzo zajadły. Nigdy nie czekałem na dostawę młodego beaujolais, zawsze sam odbierałem je od hurtownika wczesnym rankiem 15 listopada, żeby móc otworzyć sklep niemal o świcie z butelkami młodego wina już na wystawie. Przynajmniej tak robiłem przez sześć lat. Nie byłem pewien, czy będę to robił bez Emmy. Wszystko przestało być zabawne. Ale poczekamy, zobaczymy.) Powiedziałem, że pięćdziesiąt skrzynek wystarczy, zważywszy na krótki żywot tego wina; najlepiej było wypić je przed Bożym Narodzeniem.

Pani Palissey z Brianem wyruszyli wkrótce po trzeciej na wyjątkowo długą trasę dostaw; ktoś zadzwonił bardzo niezadowolony, że wysłałem tylko połowę zamówionego piwa.

- A potrzebne jest dziś wieczorem? - spytałem, usprawiedliwiając się.

- Nie, w niedzielę, po lokalnym meczu piłkarskim.

- Przywiozę je więc osobiście jutro o dziewiątej rano.

Żeby nie zapomnieć, od razu wyniosłem piwo tylnymi drzwiami do rovera combi, a po powrocie do sklepu przekonałem się, że mam gościa w postaci spokojnego nadinspektora Wilsona.

- Witam, panie Beach - powiedział tak jak poprzednio, podając mi rękę.

- Pan Wilson. - Staralem się ukryć zaskoczenie, co bez wątpienia nie bardzo mi się udało.

- Butelka wina na kolację - zaczął z uśmieszkiem. - Co by pan zaproponował?

Powiedział, że lubi dojrzałe czerwone, więc zasugerowałem niezlą Rioję.

- Hiszpańskie? - mrucał z powątpiewaniem, odczytując etykietkę.

- Bardzo dobrze zrobione. Jest doskonale.

Powiedział, że wierzy mi na słowo i skrupulatnie zapłacił. Zawinałem butelkę i postawiłem ją na ladzie, ale zdawał się nie spieszyć do wyjścia.

- Tamto pańskie krzesło... - wymamrotał. - Jest wolne? Natychmiast przyniosłem je z kantorka, a on rozsiadł się z równym zadowoleniem jak poprzednio.

- Panie Beach, chciałbym zadać panu jedno czy dwa pytania... - Niespiesznym wzrokiem lustrował moją twarz, a potem równie spokojnie rozejrzał się po sklepie. - Słyszałem, że we wtorek rano zajechał pan do „Silver Moondance”.

- Owszem.

- I sporządził pan listę skradzionych towarów.

- Owszem, to, co zapamiętałem.

- A w ubiegły poniedziałek był pan tam z sierżantem Ridgerem i próbował pan różne whisky i wina?

- Owszem - potwierdziłem po raz kolejny.

- I widział pan tam niejakiego Paula Younga?

- Tak.

Niespieszny wzrok zakończył swoje wędrówki i spoczął spokojnie na mojej twarzy. - Panie Beach, czy mógłby pan go opisać? Dlatego tu przyszedł, pomyślałem. Po to.

- Sierżant Ridger... - zacząłem.

- Sierżant Ridger sporządził pełny opis - skinął potwierdzająco głową. - Ale co dwie pary oczu... No więc?

Zastanowiłem się chwilę i powiedziałem mu to, co zapamiętałem o mężczyźnie z nieistniejącej centrali.

- Biznesmen. Koło pięćdziesiątki. Krępy, niewysoki, ciemne włosy, jasna karnacja. Raczej mięsiste dłonie. Żadnych sygnetów. Miał okulary w czarnej oprawie, wąskiej, nie masywnej. Miał... zaczątki podbródka... i aparat słuchowy za prawym uchem.

Wilson wysłuchał tego opisu dobrotliwie, nie pozwalając mi się zorientować, czy zgadza się dokładnie z opisem Ridgera. - A jego głos?

- Bez szczególnego akcentu. Zwykła angielszczyzna. Wątpię, czy był głuchy od urodzenia... nie mówił bezdźwięcznie. Mówił zwyczajnie i słyszał wszystko, co mówiliśmy. Nie widząc aparatu, trudno byłoby się domyślić, że jest głuchy.

- A sposób bycia?

- Cham - powiedziałem bez namysłu. - Przyzwyczajony, że wszyscy skaczą na jedno jego słowo. - Zastanowiłem się chwilę. - Ale na pierwszy rzut oka nie robił takiego wrażenia. Chodzi mi o to, że gdyby się tu teraz zjawiał, nie wydawałby się agresywny... ale bardzo szybko rozwijała się w nim agresja. Nie podobał mu się władczy styl sierżanta Ridgera, chciał go pomniejszyć. - Uśmiechnąłem się lekko. - Sierżant Ridger okazał się godnym partnerem.

Wilson na moment spuścił oczy, jakby chciał ukryć swoją reakcję, potem zamrugał kilka razy i znowu na mnie spojrział.

- A inne wrażenia? Zamyśliłem się. - Paul Young zdecydowanie był zaskoczony, że aż tyle butelek zawiera nieodpowiedni płyn.

- Zaskoczony tym, że ktoś to zrobił, czy tym, że ktoś to odkrył?

- No... wtedy wydawało mi się, że chodziło o sam fakt, ale teraz nie jestem pewien. Nie ulega wątpliwości, że był zaskoczony i zły.

Wilson bezmyślnie podrapał się w nos. - Jeszcze coś, panie Beach? jakieś nieznaczące szczegóły?

- No nie wiem...

W tym momencie weszła klientka, która kupowała kilka rzeczy i zażądała szczegółowego rachunku; kiedy go wypisywałem, uruchomiło to kilka uspionych komórek w mózgu.

- Paul Young - zacząłem po jej wyjściu - miał połączane pióro z dwoma czarnymi paskami na górze. Pisał prawą ręką, a te trzymał pióro między pierwszym a drugim palcem w taki sposób, że znajdowało się powyżej, a nie poniżej pisanego tekstu. Wyglądało to bardzo dziwnie. Tak piszą czasami ludzie leworęczni... jednak jestem pewien, że on jest praworęczny. Pisał prawą ręką, a aparat słuchowy miał za prawym uchem i zastanawiałem się, dlaczego nie wbudował go w oprawkę okularów.

Wilson bez większego zaciekawienia studiował papier, w który zapakowałem jego wino.

- Panie Beach, czy ten Paul Young nie wydał się panu dziwny?

- W żadnym wypadku. Zdecydowanie zachowywał się tak, jakby „Silver Moondance” należała do organizacji, w której jest pracownikiem bardzo wysokiej rangi. Początkowo wydawało się, że zjawił się osobiście tylko po to, żeby zażegnać kryzys wywołany śmiercią Larry’ego Trenta, ponieważ kierownik był nieobecny, a jego zastępca zachorował na gripę. Trzeci w kolejności, zastępca zastępcy był tak beznadziejny, że pojawienie się centrali wydawało się całkiem naturalne.

- Nie sądzi pan, że to dość długi pion władzy? - wymamrotał Wilson. - Trent, kierownik, zastępca i zastępca zastępcy?

- Nie wiem - odparłem, nie w pełni się z nim zgadzając. - W takim lokalu, otwartym długo, czasami do późna w nocy, potrzeba tylu szefów. A zastępca zastępcy wydał mi się raczej popychadłem na stanowisku zbyt wysokim na swoje możliwości. Nieszczęsny facet.

Przez chwilę milczący Wilson poświęcił się całkowicie afrykańskiemu sherry, po czym spytał: - Panie Beach, czy rozpoznalby pan Paula Younga, gdyby go pan znowu zobaczył? W pomieszczeniu pełnym ludzi?

- Tak - stwierdziłem zdecydowanie. - Pod warunkiem, że spotkałbym go przed upływem roku. Później... sam nie wiem. Niewykluczone.

- A na zdjęciu?

- No... to zależy.

Nie dociekając dalej, skinął głową i poruszył się na krześle.

- Czytałem raporty sierżanta Ridgera. Był pan niesłychanie pomocny, panie Beach.

- Sierżant Ridger powiedział mi, kim pan jest. Zapytałem, czy pana zna, i wtedy mi powiedział. A ja jestem zaskoczony, że pan sam się do mnie fatygował. Dwa razy...

Uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Od czasu do czasu staram się trzymać rękę na pulsie. Kiedy akurat idę, powiedzmy, po butelkę wina.

Podniósł się powoli, przygotowując się do wyjścia, więc zadałem mu pytanie, które dręczyło mnie od wtorku.

- Czy Zarac... ten kelner od win... czy on zginął... zanim...? Przerwałem w połowie zdania, które on dokończył: - Zanim go zagipsowano? Skoro pan o to pyta, panie Beach, to odpowiem panu, że nie. Przyczyną śmierci było uduszenie.

- Ooo - wykrztusiłem otępiały.

- Niewykluczone, że najpierw pobito go do nieprzytomności - dodał jeszcze obojętnym tonem. - Może ta świadomość będzie dla pana łatwiejsza.

- Ale czy to prawda?

- Nie mnie o tym decydować, zanim wypowie się sędzia. Widziałem, że w wyrazie jego na pozór zwyczajnej twarzy kryła się posępność. Wystarczająco długo obracał się w swoistym podziemi, żeby bez trudu uwierzyć w każdy koszmar.

- Chyba nie lubiłbym pańskiej pracy - powiedziałem.

- Podczas gdy ja bardzo lubiłbym pańską - mówiąc to, przebiegał wzrokiem półki z butelkami.

Uśmiechnął się do mnie, spokojnie uściśnął mi dłoń i wyszedł, a ja myślałem o ludziach owijających bandażem głowę żywego człowieka i następnie nasączających te bandaże wodą, żeby zamienić je w skałę.



Flora wysłała Gerarda McGregora do sklepu, żeby się ze mną zobaczył, tak w każdym razie powiedział w piątkowy wieczór, kiedy się tam zjawił.

Wyglądał dokładnie tak samo jak w niedzielę, kiedy tworzyliśmy tunele i ciągnęliśmy stoły na kozłach pod zwojami brezentu, żeby utworzyć prowizoryczny dach. Wysoki, koło pięćdziesiątki, szpakowaty. Wyjątkowo dobrze wychowany, obdarzony doświadczonym wzrokiem Gerard, którego imię zaczynało się od miękkiego „ż”.

Uściśnięliśmy sobie dłonie z uśmiechem.

- Wczoraj wieczorem zabraliśmy z żoną Florę na kolację do nas - powiedział. - Niemal zmusiliśmy ją do tego. Stwierdziła, że głównie dzięki panu czuje się lepiej.

- Przesada.

- Godzinami mówiła o panu.

- To przecież strasznie nudne. Powinna sobie darować.

- Wie pan, jak Flora mówi. - W jego głosie było ciepło. I życzliwość. - Słyszeliśmy wszystko o panu, o Larrym Trencie i o tym, co się dzieje w „Silver Moondance”.

- Bardzo mi przykro.

- A niby dlaczego? To fascynujące. Nie dla Zaraca, pomyślałem.

Gerard McGregor rozglądał się po sklepie z zainteresowaniem.

- Mieszkamy nie tak daleko od Flory, nie więcej niż pięć mil. Ale po zakupy jeździmy w przeciwnym kierunku, nie do tego miasta. Jeszcze nigdy tu nie byłem. - Ruszył wzdłuż stojaków z winem, odczytując etykiety. - Po tym, co Flora mówiła o pana interesach, spodziewałem się, że sklep będzie dużo większy. - Głos z lekko szkockim akcentem nie był pogardliwy, wyrażał jedynie ciekawość.

- Nie musi być większy - wyjaśniłem. - Prawdę mówiąc, przestrzenne, dobrze oświetlone sklepy raczej zrażają miłośników wina. Moim zdaniem, ten jest akurat taki, jak trzeba. Dostyc miejsca, żeby wyeksponować wszystko, co zazwyczaj sprzedają. Nie trzymam tu więcej niż kilkanaście butelek niektórych gatunków. Reszta jest w magazynie. Rotacja jest naprawdę szybka.

Sam sklep miał jakieś osiem metrów na cztery. Wzdłuż jednej dłuższej ściany stały pionowe kolumny stojaków na wino, w każdej mieściło się dwanaście butelek (czyli skrzynka), butelka na górze wyeksponowana była ukośnie dla lepszej widoczności. Naprzeciwko stała lada, a za nią półki z mocnym alkoholem i likierami.

Stojaki na wino zajmowały też ścianę w głębi, w której znajdowały się drzwi do kantorka i magazynu; pozostałą powierzchnię ścian wypełniały półki na sherry, piwo, dodatki do koktajli, colę i różności, których szukają klienci.

Na krańcu lady, nieco ukośnie, stał średniej wielkości stół nakryty ładnym, miękko spływającym obrusem, który zrobiła Emma. Błat chroniła płyta szkła, a na niej ustawiłem butelki likierów, aperitifów i win, wszystkie były odkorkowane, klienci mogli spróbować wybrany trunek przed zakupem. Ukryte pod fałdami obrusa na podłodze stały otwarte pudła tych samych win, przygotowane do sprzedaży. Stół zawsze powiększał sprzedaż, a pierwszy zakup dokonany pod wpływem impulsu prowadził do coraz częściej powtarzanych zamówień. Gerard z zainteresowaniem brał do ręki butelki, podobnie jak czyniło wielu klientów.

- Chciałby pan zajrzeć za kulisy?

- Jak najbardziej.

Pokazałem mu moje miniaturowe biuro, maleńką łazienkę i już nie tak miniaturowy magazyn w głębi.

- Te drzwi otwierają się na podwórze, gdzie parkujemy samochody i dokonujemy załadunku i rozładunku zamówień. Zwykle są zaryglowane. A tam dalej jest magazyn - wyjaśniłem. Zapaliłem światło, bo w magazynie nie było okna. Patrzył z zainteresowaniem na rzędy skrzynek pod ścianami i ich podwójny szereg pośrodku. - Nie zawsze miałem tak duże zapasy - objaśniłem mu. - Na początku było strasznie trudno. Magazyn stał niemal pusty.

Zdarzały się takie tygodnie, że kupowałem po południu, rano sprzedawałem i za uzyskane pieniądze znowu robiłem popołudniowe zakupy i tak dalej. Dość przerażające.

- Ale, jak widać, już nieaktualne.

- No nie. Minęło trochę czasu, zanim staliśmy się znani, bo wcześniej nie było tu sklepu z alkoholem. Musieliśmy zaczynać naprawdę od zera.

- My? - spytał.

- Razem z żoną.

- Rzeczywiście. Flora coś mówiła...

- Owszem. Żona nie żyje.

Wykonał jakiś współczujący gest i wróciliśmy do sklepu.

- O której pan zamyka? - spytał i zaproponował wspólną kolację.

- Czy o dziewiątej będzie za późno?

- O dziewiątej będzie dobrze - powiedział.

I o tej godzinie przyjechał i zawiózł mnie do restauracji daleko poza moim zasięgiem. Zdawało się, że jazda trwa strasznie długo, ale wcześniej zamówił tam stół i twierdził, że jedzenie na pewno okaże się warte wszystkich trudów.

Po drodze rozmawialiśmy o wypadku i naszych wyprawach w głąb namiotu, a przy kolacji o Florze i Jacku, a potem o „Silver Moondance” i Larrym Trencie. Jedliśmy mus z pstrąga i dziką kaczkę. McGregor mnie pozostawił wybór wina. Był to całkiem przyjemny wieczór, choć wydawał się raczej bezcelowy. Ale nie był.

- Co by pan powiedział na honorarium konsultanta? - spytał zdawkowo przy kawie.

- Za co?

- Za to, w czym pan jest dobry. Za rozróżnianie jednej whisky od drugiej.

- Nie miałbym nic przeciwko honorarium - powiedziałem szczerze. - Ale nie jestem ekspertem.

- Ma pan inne zalety. - Zdawało mi się, że nagle jego wzrok skoncentrował się na mojej twarzy, jakby chciał z niej wyczytać każdą skrywaną reakcję. - Spostrzegawczość, pomysłowość i cechy przywódcze...

Roześmiałem się.

- To nie ja. Pomylił pan faceta.

- Chciałbym zapewnić sobie pana usługi do wykonania pewnego zadania - rzekł poważnie.

- Jakiego typu? - spytałem zaskoczony.

Zamiast odpowiedzi wyjął z kieszeni kartkę papieru, rozłożył ją na stole. Była to fotokopia strony z biznesowej książki telefonicznej, co spostrzegłem z nieklamany zdumieniem.

Na górze widniał napis AGENCJE DETEKTYWISTYCZNE. Poniżej w dziale małych firm znajdowało się kilka wytluszczonych ogłoszeń w ramkach. We wszystkich wybijało się słowo „dochodzenie”.

- Jestem jednym z dyrektorów tego koncernu - McGregor wskazał na jedną z większych ramek.

- Prywatny detektyw? - spytałem oszołomiony. - Chyba nigdy bym się tego nie domyślił.

- Mmm - wymamrotał oziębłe McGregor. - Wolimy być znani jako konsultanci dochodzeniowi. Proszę przeczytać ogłoszenie.

Przeczytałem.

„Deglet Ltd. Pełny zakres usług dla klientów komercyjnych, absolutna dyskrecja. Doświadczeni konsultanci w dziedzinie wywiadu przemysłowego, wykrywania oszustw, elektronicznych środków bezpieczeństwa, sprawdzania danych osobowych. Dochodzenia biznesowe wszelkiego rodzaju. Międzynarodowe kontakty.”

Na dole znajdował się numer skrzynki pocztowej w Londynie, numery telefonu i teleksu, jednak bez adresu. Poufne aż do szpiku, pomyślałem.

- Ale nie rozwody? - spytałem zdawkowo.

- Nie rozwody - potwierdził McGregor. - Nie zajmujemy się też egzekwowaniem długów i nie przyjmujemy indywidualnych klientów. Jedynie dochodzenia komercyjne.

Żadne wyobrażenie mrocznych uliczek nie pasowało do McGregora. Co innego sale konferencyjne i weekendy na wsi, to jak najbardziej. Ale nie walka na pięści i podejrzanе życie nocne.

- Czy pan osobiście - stuknąłem palcem w wyrwaną z książki telefonicznej stronę - węszy po fabrykach?

- Niezupełnie. - Wydawał się lekko tym ubawiony. - Kiedy zwraca się do nas ewentualny klient, sprawdzam, o co chodzi i co trzeba będzie zrobić, a następnie sam lub z kolegami, zależnie od skali problemu, planuję, w jaki sposób można osiągnąć pożądane rezultaty.

Zapanowała chwila milczenia, podczas której zastanawiałem się, co właściwie powiedział mi dotychczas, a co przemilczał. Unikałem wszelkich bezpośrednich pytań,

wreszcie spytałem jedynie: - Nie ma pan lepszych wizytówek niż fotokopie książki telefonicznej?

Niezmiyszany odparł: - Nie ogłaszamy się nigdzie indziej. Nie mamy żadnych folderów ani broszurek, jedynie osobiste wizytówki. Przyniosłem fotokopię, żeby przekonać o naszym istnieniu i pokazać, czym się zajmujemy.

- Wszyscy klienci zgłaszają się do was z książki telefonicznej? - spytałem.

Skinął głową. - I dzięki poczcie pantoflowej. Poza tym, że zadowoleni klienci zgłaszają się ponownie, ilekroć nas potrzebują, co, może mi pan wierzyć, w dużych korporacjach zdarza się nieustannie.

- Lubi pan swoją pracę?

- Bardzo.

Słyszałem spokojną pewność w jego głosie i pomyślałem, że nie jestem myśliwym i nigdy nie będę. Na pewno nie ja, który przemykam się przez furtki, żeby uniknąć skakania przez płoty, nawet jeśli lis ucieka.

- Czasami - zaczął niedbale - zlecają nam dochodzenie w dziedzinach, w których nasi stali współpracownicy nie czują się najpewniej.

Wpatrywałem się w swoją kawę.

- Potrzebujemy kogoś, kto zna się na whisky. Kto potrafi odróżnić whisky słodową od zbożowej, co zdaniem Flory pan akurat potrafi.

- Ktoś, kto odróżni morze zboża od wielkiej, szarozielonej, mętnej rzeki Limpopo? - spytałem. - Proszę pamiętać, że w rzece Limpopo roiło się od krokodyli.

- Nie proszę pana o podjęcie jakichkolwiek niebezpiecznych działań - wyjaśnił rozsądnie.

- Nie - przyznałem z westchnieniem. - Proszę mówić dalej.

- Co pan robi w niedzielę?

- Otwieram sklep od dwunastej do drugiej. Myję samochód. Rozwiązuję krzyżówki. - Niech to wszystko diabli wezmą, pomyślałem.

- Czy poświęciłby mi pan resztę dnia od drugiej? - spytał. Brzmiało to niegroźnie, a poza tym wiązało mnie z nim jeszcze jakieś poczucie koleżeństwa po naszych działaniach w namiocie. Zresztą niedziele mimo wszystko były deprymujące, nawet bez furgonów do przewozu koni.

- W porządku - odparłem. - Od drugiej. Co mam robić? Zdawało się, że niezbyt mu spieszno, żeby mi to powiedzieć.

- Czy wszystkie whisky zbożowe smakują tak samo? - spytał.

- Właśnie dlatego potrzebuje pan prawdziwego eksperta. Odpowiedź brzmi: niezupełnie, ale różnice są nieznaczne. Zależą od rodzaju ziarna, od wody i od tego, jak długo alkohol leżakował.

- Leżakował?

- Świeżo wydestylowana szkocka pali gardło żywym ogniem i drapie w język. Żeby nadawała się do picia, musi być przechowywana w drewnianych beczkach co najmniej przez trzy lata.

- Tylko w drewnianych?

- Tak. Drewno oddycha. W drewnianych beczkach każdy alkohol łagodnieje, natomiast w pojemnikach metalowych czy szklanych nigdy się nie zmienia. Można trzymać w szklanym naczyniu świeżo przedestylowany alkohol przez tysiąc lat i w chwili otwarcia będzie równie ostry jak w dniu, w którym wiano go do butelki.

- Człowiek uczy się całe życie...

- Ale - dodałem po chwili milczenia - praktycznie nikt nie sprzedaje czystej zbożowej whisky. Nawet najtańsza, sprzedawana hurtowo, jest mieszaniną zboża i siodu, chociaż czasami dodatek siodu przypomina szczyptę soli dosypaną do basenu pływackiego.

- Flora twierdzi, że według pana odnosi się to do niektórych szkockich w „Silver Moondance” - powiedział McGregor.

- Rzeczywiście. W barze sprzedawano to z butelki Bell's, a w restauracji jako Laphroaig.

McGregor poprosił o rachunek. - Początkowo nie była to moja sprawa - mówił bez zbytniego zaangażowania, wybierając kartę kredytową. - Jeden z kolegów przekazał mi ją, bo wydawało się, że zaczyna podchodzić coraz bliżej mnie.

- Chce pan powiedzieć - pytałem zaskoczony - że pańska firma interesowała się już wcześniej „Silver Moondance”?

- Tak.

- Ale dlaczego? W związku z czym?

- W związku ze skradzioną szkocką, której szukaliśmy. I wydaje się, drogi Tony, że pan ją znalazł.

- Wielkie nieba! Znalazłem i znowu zgubiłem.

- Niestety. Wróciliśmy do punktu wyjścia. Choć oczywiście, nie jest to pańska wina. Gdyby sekretarz Jacka nie był tak przywiązany do Laphroaig... gdyby Larry Trent nie zaprosił go na kolację... Można tak cofać się w nieskończoność, gdybając, ale to do niczego nie prowadzi. Zbliżaliśmy się delikatnie do „Silver Moondance”, kiedy furgon staranował namiot

i naprawdę nie pozbawiony ironii jest fakt, że nie miałem najmniejszego pojęcia, że właściciel tego lokalu, Arthur Lawrence Trent, trenował konie u Jacka. Podobnie jak nie wiedziałem, że był na przyjęciu. Nie wiedziałem, jak on wygląda... więc nie zorientowałem się, że znajdował się wśród nieboszczyków. Gdybym wiedział, że będzie na przyjęciu, poprosiłbym Jacka i Florę, żeby nas z sobą poznali. - Wzruszył ramionami. - Znowu gdybanie.

- Ale... pan go śledził? - spytałem.

- Nie - odparł z uśmiechem McGregor. - Podejrzewaliśmy jego pracownika. Człowieka o nazwisku Zarac.

Jestem pewien, że rozdziawiłem gębę. Gerard McGregor spokojnie załatwiał płacenie rachunku i spoglądał na mnie z pobłażliwym zrozumieniem.

- No właśnie, on nie żyje - stwierdził. - I naprawdę znaleźliśmy się dokładnie w punkcie wyjścia.

- Nie uważam, że Zarac to problem bez krokodyli - skwitowałem to chłodno.

Prawie całą sobotę spędziłem w pobliżu telefonu, wśród nieustannych wahań, czy zadzwonić do Flory i poprosić o numer McGregora, co pozwoliłoby mi odwołać niedzielne spotkanie. Jeśli tego nie zrobię, zjawi się o drugiej i porwie mnie nie wiadomo dokąd na spotkanie ze swoim klientem, którego szkocka odnalazła się na moim języku. (Prawdopodobnie.)

W końcu zadzwoniłem do Flory, ale nawet kiedy odebrała telefon, nadal nie mogłem się zdecydować.

- Jak Jack? - spytałem.

- Kochany Tony, obawiam się, że jest w fatalnym humorze. Lekarze chcą go zatrzymać w szpitalu jeszcze przez kilka dni. Wetknęli mu pręt do kości, chyba przebili się przez szpik i chcą się upewnić, że wszystko się poukładało, zanim pozwolą mu dreptać o kulach.

- A jak ty się czujesz?

- Z każdym dniem lepiej.

- Wasz przyjaciel - zacząłem powoli - przyszedł się ze mną zobaczyć... Gerard McGregor.

- Ach tak - rzuciła ciepło Flora. - To taki miły człowiek. A jego żona jaka kochana. Powiedział, że obydwaj pomogliście wielu osobom w tamtą niedzielę. Pytał o ciebie i obawiam się, mój drogi Tony, że dużo mu o tobie opowiedziałam, a potem o wszystkim, co

się wydarzyło w „Silver Moondance”. Wydawał się tym okropnie zaciekawiony, choć kiedy teraz o tym myślę, mam wrażenie, że strasznie się rozgadałam.

- Chyba nie miał nic przeciwko temu - pocieszyłem ją. - A wiesz... czym on się zajmuje?

- Jest jakimś konsultantem od biznesu. Tak mi się zdaje. Nie uważasz, że te wszystkie profesje są tak mało sprecyzowane? W każdym razie ciągle jeździ po całym kraju, a Tina... to jego żona... nigdy nie wie, kiedy on wróci.

- Znasz ich od dawna?

- Spotykaliśmy ich wielokrotnie na przyjęciach u różnych ludzi, zanim poznaliśmy ich naprawdę, co nastąpiło mniej więcej przed rokiem.

- Chodzi mi o to... czy zawsze mieszkali w tej okolicy?

- Chyba dopiero od pięciu lat. Niedawno mówili, o ile bardziej wolą to od Londynu, mimo że Gerard musi więcej podróżować. Tony, skarbie, on jest taki inteligentny, że to po prostu się z niego wylewa. Mówiłam mu, że powinien kupić u ciebie jakieś wino, więc może to zrobić.

- Niewykluczone. A masz może numer jego telefonu?

- Oczywiście - potwierdziła uszczęśliwiona Flora. Zapisalem ten numer i skończyliśmy rozmowę, a kiedy o dziewiątej zamykałem sklep, nadal wpatrywałem się niezdecydowanie w te zapiski.

Spodziewałem się, że może pan się wycofa - powiedział, kiedy przyjechał po mnie o drugiej następnego dnia.

- O mało tego nie zrobiłem.

- Dlaczego nie?

- Pewnie z ciekawości.

Uśmiechnął się. Żaden z nas nie wspomniał, że to właśnie ciekawość napytała Słoniątku wielkich kłopotów z krokodylami w rzece Limpopo, choć ja dobrze o tym pamiętałem, a Gerard, jak miałem się do niego zwracać, należał do pokolenia, dla którego *Takie sobie bajeczki* były czymś absolutnie oczywistym.

Tego popołudnia ubrany był w wełnianą kraciatą koszulę, krawat robiony na drutach i tweedową marynarkę, podobnie jak ja. Powiedział, że jedziemy do Watford.

Wyczułem w nim natychmiastową zmianę w momencie, kiedy się zaangażowałem, ale w sensie dosłownym ujechaliśmy już za daleko, żeby go poprosić o zawrót z drogi. Zniknęła gdzieś duża część powierzchownych manier towarzyskich, a ich miejsce zajęła

bezwzględna profesjonalna postawa, która wepchnie z powrotem w gardło pytającego każde nieistotne uwagi. Słuchałem więc w milczeniu, a on mówił przez cały czas, patrzył prosto przed siebie, bynajmniej nie zerkał w moim kierunku dla sprawdzenia reakcji.

- Nasz klient nazywa się Kenneth Charter, dyrektor i założyciel firmy Charter Carriers Ltd, która zajmuje się lądowym przewozem płynów w cysternach. Firma przewiezie niemal każdy płyn, naturalnie w granicach rozsądku, pod jednym warunkiem, że potem można będzie dokładnie wyczyścić cysternę i przygotować ją na zmianę zawartości. Dzisiejszy kwas chlorowodorowy nie może zatruć w następnym tygodniu pestycydów.

Jechał równo, niezbyt szybko, ale z wielkim wyczuciem przestrzeni. Stosunkowo nowy mercedes miał pluszową tapicerkę i orzechową deskę rozdzielczą, automatyczne biegi wchodziły z cichym mruknięciem.

- Więcej niż połowa jego zamówień dotyczy przewozu różnego typu łatwopalnych alkoholi, do tej kategorii zalicza się również whisky. - Zamilkł na chwilę. - Oczywiście opłaca im się, jeśli da się tak urządzić, by brać kolejny załadunek w pobliżu miejsca poprzedniego wyładunku, przy czym ograniczeniem jest tu ponownie sprawa wyczyszczenia cysterny. W centrali w Watford mają urządzenia do czyszczenia parą i odczynnikami chemicznymi, co nie wszędzie jest tak łatwo dostępne. W każdym razie jedna z regularnych tras sprowadzała się do wożenia dżinu do Szkocji, skąd po wypłukaniu cysterny wodą przywożono whisky.

Przestał mówić, przejeżdżając przez miasteczko o wąskich uliczkach, po czym znowu podjął temat: - Szkocka w cysternie traktowana jest tak, jakby nadal była w magazynie. To znaczy nadal objęta jest kontraktem. Cło nie zostało jeszcze opłacone.

Skinąłem głową, ponieważ wiedziałem o tym.

- Cysterny Chartera mieszczą sześć tysięcy galonów, więc cło od każdego transportu znacznie przekracza sumę stu tysięcy funtów. Sama whisky, jak wiesz, ma stosunkowo niewielką wartość.

Ponownie lekko skinąłem głową. Opłaty cła i akcyzy, podatek VAT i podatek dochodowy płacony przez sklepikarza powoduje, że trzy czwarte ceny sprzedażnej każdej standardowej butelki whisky takim czy innym sposobem trafia do fiskusa. Jedna czwarta opłaca produkcję, butelki, przewóz, reklamę i siłę roboczą od momentu zasiania jęczmienia do opakowania w sklepie. W tym kontekście sam trunek praktycznie nie kosztuje nic.

- Już trzy razy w tym roku cysterna Chartera nie dojechała do miejsca przeznaczenia. Nie byłoby zgodne z prawdą stwierdzenie, że cysternę skradziono, bo za każdym razem się znajdowała. Ale oczywiście bez zawartości. Za każdym razem była to szkocka whisky. Urząd

Ceł i Akcyzy natychmiast domagał się opłat, ponieważ szkockiej nie było już w cysternie. Przewoźnicy Chartera dwukrotnie musieli zapłacić.

Przerwał, jakby chciał dać mi czas, żebym pojął to, co powiedział.

- Firma Chartera jest naturalnie ubezpieczona, a w każdym razie była i tu właśnie zaczęły się poważne kłopoty. Ubezpieczający mimo astronomicznej podwyżki stawek za każdym razem, oświadczył ostatnio, że co za dużo, to nie zdrowo, i wstrzymał wypłatę. Odmówili także dalszego ubezpieczenia. Firma będzie musiała samodzielnie zdobyć gotówkę, co ich zrujnuje, ale jeszcze ważniejsze jest to, że nie mogą działać bez ubezpieczenia. Ponadto Cła i Akcyza grożą odebraniem licencji na przewóz towarów objętych umową celną, a to wystarczy, by niemal kompletnie zrujnować firmę. - Znowu zamilkł na kilka sekund. - Ludzie z akcyzy prowadzą dochodzenie w sprawie ostatniej kradzieży, ale głównie dlatego, że chcą dostać swoje opłaty, policja też prowadzi śledztwo, nie wykraczające jednak poza rutynę. Charter uważa, że to za mało, bo w żadnym razie nie gwarantuje trwania licencji czy przywrócenia ubezpieczenia. Dyrekcja jest skrajnie zaniepokojona i zwróciła się do nas o pomoc.

W tym momencie pędziliśmy po M40. Po kolejnym przedłużającym się milczeniu Gerard w końcu się odezwał: - Jakież pytania?

- No... chyba z tuzin.

- Na przykład?

- Na przykład: dlaczego zawsze ginęła szkocka, a nie dzin? Na przykład: czy zawsze był to ten sam kierowca i ta sama cysterna? Na przykład: co się stało z kierowcą, czy powiedział coś na ten temat? Na przykład: jak wiążesz to z Zarakiem?

Uśmiechnął się, pokazując zęby, co zdawało się wyrazem zachwyty.

- Coś jeszcze? - zapytał.

- Na przykład: skąd wyrusza szkocka i dokąd ma dojechać, ilu oszustów znaleźliście w każdym z tych miejsc, czy Kenneth Charter ufa pracownikom swojego biura, dlaczego środki bezpieczeństwa zawiodły po raz trzeci?

Umilkłem, a on powiedział bez sarkazmu: - To na razie wystarczy. Mogę odpowiedzieć, że nie, nie zawsze był to ten sam kierowca, ale zawsze ta sama cysterna. Znajdowała się za każdym razem w Szkocji na parkingach przydrożnych kawiarni, zawsze jednak z tak dużą liczbą dodatkowych mil na liczniku, że mogła dojechać do Londynu czy Cardiff i z powrotem.

Znów zamilkł.

- Kierowcy nie pamiętają, co im się przytrafiło - dodał po chwili. Zamrugałem z niedowierzaniem. - Nie pamiętają?

- Nie. Pamiętają moment wyjazdu. Pamiętają drogę aż do granicy z Anglią, gdzie wszyscy zatrzymują się w przydrożnej stacji obsługi na siusiu. Zatrzymują się na dwóch różnych stacjach. Żaden nie pamięta niczego poza tym, że obudził się w rowie. Ale nigdy w tym samym. - Uśmiechnął się. - Po drugiej kradzieży Kenneth Charter zarządził, że na tej trasie nie wolno niczego jeść ani pić w lokalach. Kierowcy mieli zabierać niezbędny prowiant z domu. Ale mimo wszystko musieli zatrzymać się z powodu tak zwanej naturalnej potrzeby. Policja twierdzi, że złodzieje za każdym razem musieli jechać za cysterną, czekając na ten moment. Kiedy kierowca wysiadł z szoferki, wstawiali tam otwarty kanister z gazem... może z podtlenkiem azotu, który nie ma żadnego zapachu i działa szybko... używają go dentyści... a kiedy szofer wsiadał, tracił przytomność, zanim zdążył ruszyć.

- Z jaką regularnością jeździli tą trasą? - spytałem.

- Zazwyczaj dwa razy w tygodniu.

- Zawsze ta sama cysterna?

- Nie. Charter rezerwuje cztery cysterny wyłącznie do napojów pitnych. A więc jedna z nich. Pozostałe trzy jeżdżą tą trasą równie często, ale nikt ich nie tknął. To może być przypadek, ale nie musi.

- Jak dawno temu zginął ostatni ładunek?

- W środę minęły trzy tygodnie.

- A poprzednie?

- Jeden w kwietniu, jeden w czerwcu.

- To znaczy trzy w ciągu sześciu miesięcy - stwierdziłem ze zdumieniem.

- Dokładnie.

- Nic dziwnego, że ubezpieczenie się buntuje.

- Mmm. - Przez chwilę prowadził w milczeniu, po czym powiedział: - Za każdym razem whisky przeznaczona była pod ten sam adres, do rozlewni w Watford, w północnym Londynie. Jednak szkocka nie zawsze pochodziła z tej samej destylatorni czy tego samego magazynu. Skradzione ładunki pochodziły z trzech różnych miejsc. Ostatni z magazynu w pobliżu Helensburgh w hrabstwie Dunbarton, ale wyjazd stamtąd odbył się normalnie i nie przypuszczamy, żeby tam zaczynały się kłopoty.

- A rozlewnia?

- Nie jesteśmy całkiem pewni, ale sądzimy, że nie. Ślad prowadzący do „Silver Moondance” wydawał się tak przekonujący, że postanowiliśmy od tego zacząć.

- Jaki to był ślad?

Nie odpowiedział od razu, dopiero po chwili: - Myślę, że będzie lepiej, jeśli Kenneth Charter sam ci to powie.

- W porządku.

- Muszę ci jeszcze wyjaśnić, że firmy często zwracają się o pomoc do nas dlatego, że niekoniecznie chcą ujawniać pewne sprawy policji. Na przykład, bardzo często wolą same załatwiać sprawy malwersacji. Na pewno nie zawsze chcą wnosić oskarżenie, chcą po prostu zastopować oszustwo. Publiczne przyznanie się do niewykrytych wcześniej malwersacji może być bardzo niewygodne.

- Rozumiem.

- Kenneth Charter powiedział mi pewne rzeczy w zaufaniu, ale nie podzielił się nimi ani z policją, ani z Urzędem Ceł i Akcyzy. Chce, żeby jego firma transportowa przetrwała, ale nie za wszelką cenę. Nie w przypadku, gdyby wymagało to zbyt wysokiej ceny od niego osobiście. Zgodził się, żebym cię zaangażował jako konsultanta, ale jemu pozostawię decyzję o tym, ile zechce ci powiedzieć.

- W porządku - oświadczyłem ugodowo.

Zjechaliśmy z autostrady, Gerard zaczął kluczyć w półpodmiejskiej plątaniu uliczek na północ od Londynu, gdzie jedno miasteczko przechodzi w drugie bez wyraźnej granicy.

- Jesteś niewymagającym człowiekiem - zauważył po chwili.

- A czego miałbym wymagać?

- Może na przykład zapytać, ile wynosi honorarium konsultanta? Może, jakie są warunki tej pracy? Zabezpieczenia?

- Życie jest jak pogoda - powiedziałem kwaśno. - Co ma być, to będzie. Nawet przy słonecznej prognozie można się zmoczyć...

- Fatalista.

- Kiedy pada, nic na to nie poradzisz.

Spojrzał na mnie chyba po raz pierwszy, odkąd wyruszyliśmy w drogę, wątpię jednak, by wiele wyczytał z mojej twarzy. Mówiłem te słowa nie z goryczą, raczej ze znużeniem wynikającym z niemożliwości dojścia do ładu z moim własnym prywatnym potopem. Prawdę mówiąc, bardzo mnie interesowała skradziona szkocka i cysterny, ale było to zainteresowanie na którymś z wyższych czy niższych poziomów, nie na tym głębokim, który liczył się naprawdę.

Jakby wyczuwając to, Gerard spytał: - Zrobisz dla mnie, co będziesz mógł?

- Tyle, na ile mnie stać. Tak.

Skinął głową, jakby na chwilę rozwiały się jego wątpliwości i skręcił na tereny przemysłowe, gdzie jak grzyby na cemencie wyrosły ostatnio niewielkie fabryczki. Na czwartej po prawej widniał napis „Charter Carriers Ltd”; na białej tablicy nad wejściem duże czerwone litery, a niżej, na ziemi, niby prosiaki przyssane do maciory, stały w długim szeregu srebrne cysterny, wszystkie zwrócone frontem do dziedzińca.

Rozdział dziewiąty



Kenneth Charter zupełnie nie odpowiadał moim wyobrażeniom; pewnie spodziewałem się poznać przysadzistego londyńczyka o gburowatych manierach. Mężczyzna, który wyszedł powitać nas w hallu tuż za szklanymi frontowymi drzwiami, był wysoki, szczupły, rudawy i zabawny. Miał zdecydowanie bardziej szkocki akcent niż słyszalne w głosie Gerarda słabe ślady Highlandów.

- Czy to jest ten konsultant? - spytał z rozbawieniem. Mój młody wiek wydał mu się raczej zabawny niż problematyczny. - Nie jest pan siwym staruszkiem, co? - Mocno uścisnął moją dłoń. - No to chodźmy. A co tam u pana, panie McGregor?

Zaprowadził nas do kwadratowego, nieciekawego biura o kremowych ścianach i wskazał ręką dwa krzesła z wysokimi oparciami, które stały przed dużym bezpretensjonalnym i nowoczesnym biurkiem. Na podłodze leżała praktyczna brązowa wykładzina, stał rząd szafek z segregatorami, na ścianie wisiała duża mapa Wysp Brytyjskich oprawiona w ramkę; w biurze panował wyraźny chłód, co mogło, ale nie musiało wynikać z faktu, że była niedziela. Kenneth Charter zdawał się tego nie zauważać, nawet o tym nie wspomniał. Pewnie zwyczajem Szkotów w komforcie dopatrywał się grzechu, oszczędność uważał za cnotę i tkwił w niezachwianym przekonaniu, że moralność możliwa jest wyłącznie w zimnym klimacie.

Zasiedliśmy z Gerardem na wskazanych krzesłach. Kenneth Charter usadowił się za biurkiem na obrotowym fotelu, na którym niedbale wychylił się do tyłu.

- Co pan powiedział temu miłemu ekspertowi? - zapytał i bez widocznych oznak niepokoju przysłuchiwał się podsumowaniu Gerarda.

- No cóż - zwrócił się do mnie dobrodusznie, kiedy Gerard skończył - chciałby pan wiedzieć, jakiego napoju pan szuka. A może potrafisz to odgadnąć, chłopcze, co? - W jego bardzo niebieskich oczach kryło się wyzywające pytanie, a ja szybko przebiegałem w pamięci

przypadkowe drinki w domach klientów, aby porównać je ze wspomnieniami z „Silver Moondance”. Pod wpływem całkiem irracjonalnego impulsu powiedziałem: - Rannoch.

Charter uśmiechnął się cynicznie i zwrócił się do Gerarda:

- To znaczy, że jednak pan mu powiedział.

Gerard pokręcił przecząco głową. Ale robił wrażenie bardzo zadowolonego z siebie. Wydawało się, że już przy pierwszym podejściu jego konsultant się popisał.

- Domyśliłem się. Sprzedaję ten gatunek. Kilkakrotnie próbowałem tej whisky. Niewiele gatunków whisky przewozi się w cysternach i butelkuje w Anglii. Rannoch... po prostu do tego pasował.

- Bardzo dobrze. - Otworzył szufladę biurka i wyciągnął z niej pełną butelkę whisky Rannoch, znajomą etykietkę zdobiła imponująca postać mężczyzny w szkockiej spódniczce w czerwono-żółtą kratę. Zauważyłem, że pieczęć była nienaruszona i Charter najwyraźniej nie miał zamiaru zmieniać tego stanu rzeczy. - Świąteczny prezent od rozlewni - wyjaśnił.

- Na ostatnie Boże Narodzenie? - spytałem.

- Oczywiście. W tym roku już nie będzie takiego prezentu, prawda?

- Chyba nie - powiedziałem niepewnie. - Ale... ta butelka bardzo długo nie została otwarta.

Zachichotał. - Ja nie piję alkoholu, chłopcze. Miesza w głowie i niszczy wnętrzności. A co więcej, nie znoszę tego smaku. Potrzebujemy kogoś takiego jak pan, boja nie rozróżniłbym tego skradzionego płynu od wody z gaśnicy, gdyby nagle zapełnił się nim staw w moim ogrodzie.

- Złote rybki pewnie by pana o tym poinformowały. Wszystkie by zdechły.

- Czy ma pan profil tego ładunku? - spytałem.

- Czy mam co?

- No... jego skład. Co weszło do mieszanki. Powinien pan dostać dokładny wykaz od destylatora, jak przypuszczam. Profil to rodzaj chemicznej analizy w formie wykresu... przypomina trochę widok Nowego Jorku. Każdy składnik ma inny zarys. Dla niektórych ludzi profil jest bardzo ważny... Japończycy importują szkocką tylko na podstawie profilu, choć prawdę mówiąc, idealny profil może mieć straszny smak. W każdym razie profile są absolutnie dokładne. Tak jak typy ludzkich tkanek... badania znacznie bardziej zaawansowane niż zwykle badanie krwi.

- Mogę panu powiedzieć jedynie, że miało to pięćdziesiąt osiem procent alkoholu. Jak zawsze Rannoch. Mam to tutaj na kwicie przewozowym. - Wyjął z szuflady deklarację celno-

akcyzową i przesunął ją po biurku w moją stronę. - Nie pytam, co tam jest, po prostu to transportuję.

- Zaraz się zabierzemy do tego profilu - mruknął Gerard.

- Cło pewnie już to zrobiło - powiedziałem. - Mają odpowiednie wyposażenie do chromatografii gazowej.

Ogarnęło mnie nieprzyjemne uczucie, że Gerard ma do mnie żal, że po drodze nie powiedziałem mu o profilach, ale wtedy nie przyszło mi to do głowy.

- Chodzi mi o to - zacząłem - że jeśli wzięli próbkę z destylarni i porównali z próbką, którą policja pobrała w „Silver Moondance”, to już na pewno wiedzą, czy się zgadza, czy nie.

Zapanowało milczenie. W końcu Gerard chrząknął i powiedział:

- Może jednak wtajemniczy pan Tony’ego, co doprowadziło nas do „Silver Moondance”. Bo w tym momencie nie ma żadnego powodu, żeby Urząd Celł kojarzył ten lokal ze skradzioną cysterną czy porównywał próbki. Nie zdają sobie sprawy, że istnieją jakiegokolwiek powiązania.

Rzuciłem tylko „aha”, a Kenneth Charter szukał natchnienia na suficie, przechyliwszy krzesło tak daleko do tyłu, że powinno się przewrócić. W końcu krzesło z hałasem opadło do przodu, a on obdarzył mnie pełnym blaskiem swoich niebieskich oczu.

- Chłopcze, najpierw obietnica milczenia.

Popatrzyłem na Gerarda, który skinął głową tak nonszalancko, jakby podobne wymagania stanowiły chleb powszedni w jego pracy, co pewnie było prawdą.

- Obiecuję milczenie - powiedziałem.

Kenneth Charter skwitował to szybkim ruchem głowy, jakby uważał dotrzymanie obietnic za rzecz jak najbardziej normalną, następnie wyjął z kieszeni pęk kluczy i otworzył środkową szufladę swojego biurka. Nie musiał długo szukać. Wyciągnął niewielki notes i położył przed sobą na biurku, naturalna dobroduszość jego twarzy ustąpiła miejsca czemuś, co przypominało posępność.

- Można ufać temu chłopcu? - spytał Gerarda.

- Sądzę, że tak.

Charter westchnął, sięgnął do notesu, który najwyraźniej otworzył się na najczęściej oglądanej stronie.

- Proszę to przeczytać. - Obrócił notes tak, żebym mógł czytać, ale nadal przytrzymał go kciukiem.

„To” okazało się bardzo długim numerem telefonu, zaczynającym się od 0735, czyli numeru kierunkowego Reading i okolicy, pod spodem zapisano jeszcze dwie linijki.

„Powiedzieć Z UNP 786 Y bierze B's Gin pon. ok. 10.”

- Przeczytałem. - Nie bardzo wiedziałem, czego się ode mnie oczekuje.

- Coś to dla pana znaczy?

- Pewnie jest to numer „Silver Moondance”, a Z to Zarac?

- Zgadza się. A UNP 786 Y to numer rejestracyjny mojej cysterny. - Jego głos był chłodny i pozbawiony emocji.

- Rozumiem.

- Berger's Gin to miejsce, z którego wyruszył ładunek o 10.15 dokładnie miesiąc temu. Jutro będzie równy miesiąc. Kierowca pojechał do Szkocji, dostarczył dzin, cysternę przepłukano w Glasgow, następnie wziął ładunek whisky w magazynie Fairleya koło Helensburgha w hrabstwie Dunbarton. Wyruszył stamtąd w środę rano. W środę wieczorem nie zjawił się w rozlewni. W czwartek rano wiedzieliśmy już, że jakaś cysterna stoi na parkingu przed zajazdem dla kierowców na obrzeżach Edynburga, została jednak zidentyfikowana dopiero w piątek, ponieważ zmieniono jej numery rejestracyjne. Zarekwirował ją Urząd Cel i Akcyzy i do tej pory jej nie dostaliśmy.

Popatrzyłem na Gerarda i znowu na Kennetha Chartera.

- A pan wie - spytałem powoli - kto napisał tę wiadomość?

- Owszem, wiem. Mój syn.

Sprawa się mocno komplikuje, co Gerard dawał do zrozumienia.

- Uhm... - Staralem się, żeby moje pytanie zabrzmiało równie obojętnie jak głos Chartera. - A co mówi pański syn? Wie, gdzie się podziała zawartość cysterny? Bo... sześć tysięcy galonów szkockiej nie da się tak łatwo ukryć, a w „Silver Moondance” nie wykorzystano by tyle nawet przez sześć lat, nie mówiąc już o sześciu miesiącach...

O ile to możliwe, jego oczy stały się jeszcze bardziej intensywnie niebieskie.

- Nie rozmawiałem z moim synem. Przed dwoma tygodniami pojechał na wakacje do Australii i nie spodziewam się jego powrotu przed upływem trzech miesięcy.

W tym stwierdzeniu dało się wyczuć zadowolenie z tego powodu, tak mi się przynajmniej zdawało. Zdrada potomka nie tyle go przygnębiała, ile wydawała się co najmniej dziwna. Uśmiechnąłem się do niego dość bezmyślnie, a on ku mojemu zdumieniu odpowiedział mi niespodziewanym i szczerym uśmiechem.

- Ma pan rację - powiedział. - Jeśli o mnie chodzi, ten gnojek może tam zostać na zawsze. Na pewno nie staram się ściągnąć go do domu. Nie chcę, żeby został oskarżony, sądzony, a może wtrącony do więzienia. Zdecydowanie nie chcę, żeby mój syn znalazł się za kratkami, przynosząc wstyd całej rodzinie. Żeby matka musiała przez niego płakać, żeby

siostra miała zmarnowany ślub, a jego brat napotykał trudności w uzyskaniu dyplomu prawa. Gdybym musiał wszystko sprzedać, zrobię to. Wystarczy mi jeszcze, żeby zacząć od nowa gdzie indziej. Na tym skończą się szkody, jakie ten gnojek może wyrządzić. Nie pozwolę, żeby sprowadzał na rodzinę gorsze nieszczęścia.

- Oczywiście. Mówił pan, że kiedy wyjechał do Australii...?

- Wczoraj minęły dwa tygodnie, mój chłopcze. Sam go odwiozłem na lotnisko Heathrow. Po powrocie do domu znalazłem ten notes na podłodze w samochodzie. Wpadł mu z kieszeni. Teraz pewno poci się ze strachu, marząc o tym, by się okazało, że ten notes nie wpadł akurat mnie pod nogi. Zajrzałem do środka tylko po to, żeby się przekonać, że należy do mojego syna. - Charter wzruszył ramionami i wrzucił notes z powrotem do szuflady. - Co do tego nie ma wątpliwości. Jego charakter pisma. Niewiele tu jest, kilka telefonów i spisy rzeczy do załatwienia. Od dzieciństwa zapisuje, co ma zrobić.

Wokół ust Kennetha Chartera pojawił się wyraz żalu. Każdego syna, pomyślałem, kocha się, kiedy jest mały, zanim jako dorosły sprawi rozczarowanie.

- Przykuł moją uwagę numer cysterny. Mówię panu, że zrobiło mi się niedobrze. Własny syn! Policja, cło i akcyza wszędzie szukali oszusta, który poinformował złodziei, a on tymczasem był tu, w moim własnym domu! - Pokręcił głową zdegustowany. - Wtedy posłuchałem rady znajomego przedsiębiorcy, którego kłopoty bez szumu rozwiązano, i zwróciłem się do firmy Deglet's. A potem do pana McGregora. Tak to wygląda, mój chłopcze.

Syn Kennetha Chartera wyjechał do Australii dziesięć dni po kradzieży szkockiej i tydzień przed tym, nim furgon stoczył się do namiotu, myślałem. Jeśli rzeczywiście był w Australii, to nie miał nic wspólnego ze zniknięciem alkoholowych aktywów z „Silver Moondance” i morderstwem Zaraca. Jego ojciec powinien być wdzięczny choćby za tak drobne dary losu.

- Czy pański syn mógłby bez trudu dowiedzieć się, kiedy dokładnie cysterna wyruszy po whisky? - spytałem nieśmiało.

- W kwietniu mógłby to zrobić bez trudu. Ale w czerwcu niezupełnie. A w zeszłym miesiącu byłoby to cholernie trudne. Ale o to chodzi, że nie miałem pojęcia, iż muszę się mieć na baczności tak blisko domu. - Kenneth Charter wstał, zdawało się, że prostowanie wysokiej sylwetki trwało bez końca. Chwycił ramę mapy Wysp Brytyjskich, szarpnął nią, a mapa odsunęła się od ściany niczym drzwi i odsłoniła kolejną mapę pod spodem.

Był to równocześnie kalendarz dostaw z długą kolumną numerów rejestracyjnych cystern w lewym dolnym rogu i z datami na górze.

- Cysterny - wyjaśnił zwięźle Charter, wskazując numery. - Trzydzieści cztery. A tu szósta od góry jest UNP 786 Y.

Od tego numeru odchodziła linia z napisem: *wylączona z ruchu*. Przy innych cysternach nalepione były wielokolorowe kartki, niebieskie, zielone, czerwone, żółte, szare, fioletowe, pomarańczowe. Na każdej widniał ręczny zapis.

- Używamy nalepek dla oszczędzenia czasu - powiedział Charter. - Na przykład fiolet zawsze oznacza kwas chlorowodorowy. Od razu wiadomo, która cysterna go wiezie. Na nalepce jest napisane skąd i dokąd. Szara nalepka do dżin, żółta - whisky. Czerwona wino. Niebieska kwas siarkowy. Zieleń to któryś z licznych środków dezynfekcyjnych. I tak dalej. Moja sekretarka, do której mam absolutne zaufanie, bo pracuje ze mną dwadzieścia lat, wypisuje nalepki i sporządza grafiki. Nigdy nie uprzedzamy kierowców, dokąd jadą ani co wiozą, dowiadują się o tym dopiero w ostatniej chwili. Regularnie zmieniają cysterny. Często dokonujemy zamiany kierowców w ostatnim momencie. Bo niektóre z tych ładunków mogłyby się okazać niebezpieczne, gdyby się znalazły w niepowołanych rękach. Obowiązuje żelazna zasada, że drzwiczki szoferki muszą być zamknięte na klucz, nawet jeśli kierowca tylko na moment wysiada. Wszyscy trzej szoferzy skradzionych ładunków przysięgają, że zamykali je i po powrocie nie znaleźli niczego niepokojącego. Zawsze byliśmy ostrożni i aż do tego roku mieliśmy szczęście. - W jego głosie zabrzmiał nagle hamowany gniew. - Trzeba było dopiero mojego syna... mojego własnego syna... żeby skruszyć nasz system.

- Zakładam, że mógł tutaj wchodzić? - zapytałem.

- Nie robił tego często. Powiedziałem mu, że jeśli nie będzie pracował w firmie, lepiej niech się trzyma z daleka. Musiał się tu jakoś wślizgnąć, ale nie wiem jak. Oczywiście wiedział o tej mapie. Ale po pierwszych dwóch kradzieżach nie pozwoliłem wypisywać nalepek whisky, na wypadek gdyby przeciek pochodził z naszej firmy. Żółte nalepki, widzi pan? Wszystkie puste. Więc gdyby zobaczył żółtą naklejkę dla tej cysterny na środe, nie dowiedziałby się, skąd zabiera towar. Szara naklejka dżinu na poniedziałek była wypisana, ale tylko miejsce załadunku, nie miejsce przeznaczenia. Gdyby ktoś chciał ukraść ładunek szkockiej, musiałby jechać za cysterną od destylarni Berger's Gin, żeby się przekonać, dokąd zmierza.

Zmarszczyłem brwi, bo ta teoria wydała mi się zbyt daleko posunięta, ale Gerard kiwał głową, jakby takie zaangażowanie w sztukę złodziejstwa było na porządku dziennym.

- I niewątpliwie tak właśnie było - odezwał się. - Pozostaje tylko pytanie, komu Zarac przekazał wiadomość? Sam nie brał udziału w tym wydarzeniu. Nie oddalił się od „Silver

Moondance” na czas wystarczająco długi, na pewno był w pracy we wtorek i w środę, zarówno podczas lunchu, jak i wieczorem, jeszcze po północy. Sprawdziliśmy.

Moje myśli odeszły od problemu, który nie był mi tak szczególnie bliski (a poza tym nierozwiązywalny). Skupiłem całą uwagę na nielicznych czerwonych nalepkach wykresu. Wszystkie informacje na nich zostały zdecydowanie przekreślone, podobnie zresztą jak na nalepkach szarych. Kenneth Charter zauważył, czemu się przyglądam, uniósł pytająco swoje gęste brwi Szkota.

- Wino - powiedziałem, niemal usprawiedliwiająco. - Mówił pan, że czerwone to wino?

- Zgadza się. Wszystkie te przewozy trzeba było odwołać. Normalnie odbieramy je z Francji i dostarczamy tu niedaleko do hurtownika, który sam je rozlewa w butelki. Kiedyś woziliśmy dużo więcej wina, ale teraz Francuzi przeważnie sami rozlewają do butelek. Połowa rozlewni gwałtownie szuka zamówień. Ciężkie czasy, chłopcze. Firmy się zamykają. Nie ze swojej winy. Świat idzie do przodu i zmienia się. Zawsze tak było. Całe życie uczysz się wyrabiać łuki, a tu ktoś wymyśla karabin.

Ukrył swój wykres w sekretnym miejscu pod mapą i wytarł ręce o spodnie, jakby uwalniał się od perfidii własnego syna.

- Ale cysterny nie powiedziały jeszcze ostatniego słowa - zauważył. - Chce pan je zobaczyć?

Zgodziłem się, bo najwyraźniej stanowiły przedmiot jego dumy. Wyszliśmy z biura, a on starannie zamknął drzwi na klucz. Prowadził nas korytarzem, po którego obu stronach znajdowały się drzwi do biur. Na końcu były potężniejsze drzwi, również zamknięte na klucz. Stamtąd wchodziło się bezpośrednio do dużego pomieszczenia, gdzie przeprowadzano konserwację i czyszczenie całej srebrnej floty. Były tu wszystkie akcesoria samochodowego warsztatu; kanał, lewary, nakrętki ze śrubami, wyposażenie do spawania, stojak z gigantycznymi nowymi oponami. Z sufitu zwisały łańcuchy i podnośniki. W pomieszczeniu tym stały dwie cysterny, którymi zajmowali się mężczyźni w brązowych kombinezonach. Z ich zachowania można było wywnioskować, że wiedzieli o obecności Chartera w firmie w niedzielne popołudnie. Gerarda i mnie obrzucili pobieżnym, pozbawionym ciekawości spojrzeniem.

- Tam - wskazał ręką Charter - w tej zagrodzonej części myjemy zbiorniki, pompy, zawory i węże. Z wierzchu robi to myjnia na zewnątrz.

Ruszył przez warsztat, oczekując, że pójdziemy za nim. Jeden z mechaników zwrócił się do niego po imieniu i powiedział, że są kłopoty z ośką. Ja z ciekawością przyjrzałem się bliżej pierwszej z cystern, która wydała mi się olbrzymia.

Cysterna w przekroju była owalna, wspierała się mocno na ramie, domyślałem się, że miała nisko umieszczony punkt ciężkości, co czyniło ją trochę niebezpieczną na zakrętach. Niska drabinka przyczepiona z tyłu pozwalała wejść na szczyt, gdzie widać było kształty luków i urządzeń ładowniczych. Srebrny metal był niepomalowany, nie zawierał też żadnej informacji o właścicielu, były tam jedynie słowa „Łatwopalny płyn” wypisane niewielkimi czerwonymi literami w pobliżu tyłu cysterny.

Na karoserii szoferki pomalowanej na czerwony brąz również nie było żadnego nazwiska, telefonu ani adresu. Cysterna była całkiem anonimowa, podobnie jak wszystkie pozostałe, o czym przekonałem się później. Zabezpieczenia Kennetha Chartera przez lata chroniły ich przed każdym drapieżnikiem poza zdrajcą wewnętrznym.

- Dlaczego on to zrobił? - powiedział Charter zza mojego ramienia, a ja pokręciłem głową w pełnej niewiedzy.

- Jako mały chłopiec zawsze był zazdrośnikiem, ale sądziliśmy, że z tego wyrośnie. - Westchnął. - Im robił się starszy, tym gorsze miał humory, zawsze ponury i cholernie leniwy. Starłem się zwracać do niego łagodnie, a on odpowiadał po chamsku, więc czasami musiałem wychodzić z pokoju, żeby go nie uderzyć. - Zamilkł, zastanawiając się niewątpliwie po raz tysięczny, czy sam nie ponosi winy, choć było to bezpodstawne. - Nie chciał pracować. Zdawał się myśleć, że świat winien mu utrzymanie. Wychodził, ale nie chciał powiedzieć dokąd, nie ruszył nawet palcem, żeby pomóc matce w domu. Cały czas wyśmiewał rodzeństwo, brata i siostrę, urocze dzieciaki. Zapłaciłem za jego podróż do Australii, dałem mu nawet trochę pieniędzy na wydatki. Zgodził się pojechać. Miałem nadzieję, że tam mu wbiją trochę rozumu do głowy. - Wysoką postacią wstrząsnął nieznaczny dreszcz. - Nie miałem pojęcia, że dopuścił się jakiegoś przestępstwa. Był nadzwyczaj trudny... Czyż nie zdawał sobie sprawy, że mnie zrujnuje? Czy to go w ogóle obchodziło?

Wydawało mi się, że syn nie rokował najmniejszych nadziei i ze względu na resztę rodziny Chartera spodziewałem się, że już nigdy nie wróci, ale życie nigdy nie układa się tak grzecznie.

- Pan McGregor może ocalić pańską firmę - powiedziałem, a on roześmiał się głośno w wyniku jednej z tych swoich nagłych zmian nastrojów.

Mocno poklepał mnie po ramieniu. - Panie McGregor, pan mi tu przywiózł polityka. Tak jest, chłopcze, może nawet to zrobi za takie honorarium, jakie mu płacę!

Gerard uśmiechnął się pobłażliwie, kiedy szliśmy przez pomieszczenie służące do konserwacji, a potem przez drzwi na jego końcu. Na zewnątrz, tak jak zapowiadał Charter, znajdowała się wysoka myjnia samochodowa. Jednak Charter zaprowadził nas za róg budynku, gdzie stał cały rząd cystern.

- Niektóre są w drodze - wyjaśnił. - Muszę załatwić olbrzymie ubezpieczenie dla każdej z nich osobno, co zżera nasze zyski. Moi kierowcy siedzą w domu przed telewizorami, a klienci idą gdzie indziej. Nie możemy przewozić alkoholu, Urząd Cel nam zabronił. Firma nie będzie mogła działać legalnie, jeśli nie może zapłacić pracownikom ani zwrócić długów. Myślę, że uda nam się funkcjonować na rezerwie jeszcze przez dwa tygodnie, przy odrobinie szczęścia. Możemy zostać zamknięci w ciągu pięciu minut, gdyby bank zdecydował się zająć cysterny, co niechybnie się stanie. Połowa cystern zawsze jest kupiona na kredyt, a jeśli nie możemy obsługiwać kredytów, jesteśmy skończeni. - Poglaskał pieszczotliwie błyszczącego potwora. - Bardzo by mnie to przygnębiło, nie ukrywam.

Szliśmy we trzech wzdłuż imponującego szeregu, aż znaleźliśmy się przy wejściu, obok samochodu Gerarda.

- Dwa tygodnie, panie McGregor - powiedział Kenneth Charter. Energicznie uściśnął nam dłonie. - Niezbyt duże szanse, co?

- Postaramy się o wyniki - zapewnił go Gerard głosem maklera giełdowego.

Wsiadliśmy do samochodu i odjechaliśmy.

- Masz jakieś pomysły? - zapytał McGregor natychmiast, jeszcze zanim wyjechaliśmy z terenów przemysłowych.

- Właściwie tylko jeden. Po co w ogóle jestem ci potrzebny?

- Ze względu na swoją wiedzę, jak już powiedziałem. A także dlatego, że ludzie z tobą rozmawiają.

- Co masz na myśli?

- Kenneth Charter powiedział ci znacznie więcej niż mnie na temat swojego syna. Flora twierdzi, że lubi mówić do ciebie, bo słuchasz. Mówi, że słyszysz nawet to, co nie zostało powiedziane. To mnie szczególnie uderzyło. To najbardziej przydatna cecha u detektywa.

- Nie jestem...

- Nie. Jeszcze jakieś spostrzeżenia?

- No... czy widziałeś cały notes syna podczas poprzedniej wizyty?

- Owszem. Z jakiegoś powodu Charter nie chciał mi go dać, więc odbiłem na jego kopiarce każdą stronę, na której były zapiski. Tak jak powiedział, były tam jakieś numery

telefonów i kilka notatek dotyczących spraw do załatwienia. Sprawdziliśmy te numery, ale wydają się niegroźne. Mieszkania przyjaciół, lokalne kino, klub bilardowy i fryzjer. Żadnych poszlak co do tego, jak poznał Zaraca, jeśli to miałeś na myśli.

- Tak.

- Zaraz ci pokażę te odbitki. Zobaczymy, czy zauważysz coś, co nam umknęło.

Mało prawdopodobne, pomyślałem. - Czy on rzeczywiście jest w Australii?

- Syn? Tak. Pierwszą noc po przyjeździe spędził w motelu w Sydney. Ojciec zarezerwował miejsce, a syn z niego skorzystał. To sprawdziliśmy. Potem jednak zgubiliśmy trop, wiemy jedynie, że nie wykorzystał biletu powrotnego. Możliwe, że nie wie o śmierci Zaraca. A jeśli wie, to niewykluczone, że postara się zniknąć jeszcze dalej z pola widzenia. W każdym razie Kenneth Charter polecił nam, żeby go nie szukać i podporządkujemy się temu. Mamy przyjąć „Silver Moondance” jako punkt wyjścia, co mówiąc szczerze, po śmierci Zaraca nie jest takie łatwe.

Zastanowiłem się chwilę i zapytałem: - Czy możesz się czegoś dowiedzieć od policji?

- Czasami. To zależy.

- Będą szukali Paula Younga - wyjaśniłem.

- Kogo?

- Flora o nim nie wspomniała? Człowieka, który zjawił się w „Silver Moondance” z centrali, jak powiedział. Przyszedł, kiedy byłem tam z sierżantem Ridgerem, który zabrał mnie tam, żebym próbował Laphroaig.

Gerard wzdrygnął się. - Flora powiedziała, że jeden z kierowników przyszedł, kiedy próbowałeś whisky i wina, i że był wściekły. Pokręciłem głową. - To nie był kierownik.

Opowiedziałem Gerardowi szczegółowo o wizycie Paula Younga. Słuchając mojej opowieści, jechał coraz wolniej.

- To zmienia sytuację - orzekł niemal odruchowo, kiedy skończyłem. - Co jeszcze wiesz, a czego Flora mi nie powiedziała?

- Barman jest homoseksualistą - powiedziałem nonszalancko. Gerard nie uśmiechnął się.

- Poza tym... - westchnąłem - Larry Trent kupił konia za trzydzieści tysięcy funtów. Nie powiedziała ci o tym?

- Nie. A czy to ważne?

Opowiedziałem historię Ramekina, który zniknął. - Może „Silver Moondance” przynosiła takie dochody, ale wątpię w to. Larry Trent płacił za trening pięciu koni, co wymaga trochę pieniędzy, i grał tysiącami. Wygrywają bukmacherzy, nie hazardziści.

- Kiedy Larry Trent kupił tego konia?
- Na aukcji w Doncaster przed rokiem.
- Przed kradzieżą whisky - stwierdził z żalem.
- Przed tą konkretną kradzieżą. Niekoniecznie przed tym, zanim wszystkie czerwone wina w jego piwnicy zaczęły smakować tak samo.
- Chcesz pełny etat?
- Nie, dziękuję.
- A jak myślisz, co się stało z Ramekinem?
- Można by przypuszczać, że został wywieziony za granicę i sprzedany.

Rozdział dziesiąty



Na zapleczu rzędu domów, w których mieścił się mój sklep, biegła droga dowozowa, prowadząca do wielu małych podwórek. Wychodziły na nie drzwi na tyłach domów, dzięki czemu towary można było ładować i wyładowywać bez przenoszenia wszystkiego przez wejście od frontu i cały sklep. Właśnie na takie podwórko prowadziły zaryglowane drzwi obok mojego magazynu i na tym podwórku zwykle parkowaliśmy furgonetkę i samochód.

Tej niedzieli furgonetkę miała pani Palissey. Rover combi został na miejscu - gdzie go zostawiłem, zanim przyjechał po mnie Gerard. Kiedy wróciliśmy o szóstej, mimo moich protestów Gerard uparł się odwiedzić mnie na samo podwórko, żeby oszczędzić mi konieczności przejścia nędznych stu metrów.

- Daj spokój - oponowałem.
- Żaden problem.

Jechał wolno, zapowiedział, że skontaktuje się ze mną następnego dnia, bo zostało nam jeszcze sporo do omówienia. Zgodnie z moimi wskazówkami skręcił na trzecie podwórko po lewej.

Obok mojego samochodu stała średniej wielkości furgonetka, tylne drzwi były szeroko otwarte. Przyjrzałem się jej lekko zaskoczony, bo dwa sąsiednie sklepy, z którymi dzieliłem to podwórko, to był fryzjer i konfekcja, obydwie zamknięte w niedzielę.

Kolejnym moim bliskim sąsiadem, korzystającym jednak z sąsiedniego podjazdu, była chińska restauracja na wynos, otwarta bez przerwy; pomyślałem więc, że furgonetka przez pomyłkę wjechała na moje podwórko.

Gerard zatrzymał samochód... mężczyzna niosący skrzynkę wina wychodził bokiem z zaplecza mojego sklepu, przytrzymując łokciem drzwi, które starannie zaryglowałem o drugiej po południu. Z okrzykiem wściekłości otworzyłem drzwiczki samochodu.

- Wracaj - ostro nakazał mi Gerard, ale ledwo go słyszałem. - Poszukam telefonu, żeby zadzwonić na policję.

- Następne podwórze - rzuciłem przez ramię. - Poproś Sung Li. - Zatrzasnąłem za sobą drzwiczki i pognałem w stronę furgonetki intruza tak rozjuszony, że nawet nie przyszło mi do głowy niepokoić się o własne bezpieczeństwo. Skrajna głupota, jak mieli mi wypominać absolutnie wszyscy przez cały następny tydzień. Z tym poglądem muszę się zgodzić, patrząc na całą sprawę z pewnej perspektywy.

Mężczyzna, który wyszedł z mojego sklepu, nie zauważył mnie, miał już głowę we wnętrzu furgonetki, ustawiał na podłodze ciężką skrzynkę z winem. Tę pozycję znają dobrze wszyscy mechanicy samochodowi.

Popchnąłem go mocno od tyłu, żeby stracił równowagę, a kiedy to się stało, trzasnąłem go w tyłek drzwiczkami furgonetki. Wrzasnął i zaklął z bólu i oburzenia, ale jego głos z wnętrza furgonetki dotarł jedynie do moich uszu. Nie bardzo mógł się uwolnić: uwięziłem go w furgonetce, przytrzymując drzwiami, spod których wystawały mu nogi. Pomyślałem z głęboką satysfakcją, że bez trudu tak go przetrzymam do powrotu Gerarda.

Niestety, nie wziąłem pod uwagę faktu, że złodzieje mogą pracować parami. Poczułem silny cios u nasady pleców, który rzucił mnie na drzwi furgonetki, i mogę sobie wyobrazić, że pogorszył też sytuację faceta, który do połowy znajdował się w jej wnętrzu. Usiłowałem się obrócić i udało mi się zobaczyć drugiego, bardzo podobnego mężczyznę. Też wynosił skrzynkę wina, którą próbował mnie przedziurawić. Tak to przynajmniej odczułem.

Ten połowicznie uwięziony w furgonetce zaczął wrzeszczeć. Do jego kumpla dotarła chyba pilność tego wezwania, bo nagle przestał cisnąć na moje plecy i porzucił skrzynkę z winem u moich stóp. Dostrzegłem niewyraźnie kędzierzawe czarne włosy, obfite czarne wąsy i oczy, które nikomu nie wróżyły niczego dobrego. Walnął mnie pięścią w szczękę, coś zaklekotało tajemniczo. Kopnąłem go mocno w piszczel.

Nikt mnie nigdy nie uczył walki, bo nie chciałem się tego uczyć. Walka oznaczała przerażające rzeczy, takie jak chęć zranienia, podczas gdy dla mnie sprawą najważniejszą było unikanie ran. Walka prowadziła do paradowania z bronią, do tego, że strzelano do człowieka zza węgła, sprawiała, że samemu też trzeba było kogoś zabić. Walka prowadziła do Krzyża Wiktorii i Medalu za Wzorową Służbę, tak przynajmniej wydawało mi się w

dzieciństwie, a męstwo ojca i dziadka odbierałem nie tylko jako nieosiągalne, ale jako obce, jakby należeli oni do odmiennej rasy.

Niefachowa walka, jaką stoczyłem w tamto niedzielne popołudnie, nie miała żadnego związku z męstwem, bo płynęła wyłącznie z furii. Nie mieli żadnego cholernego prawa, myślałem bez tchu, żeby kraść moją własność, i na pewno by tego nie zrobili, gdybym zdołał im przeszkodzić.

Pewnie mieli więcej do stracenia niż ja. Przede wszystkim wolność. Poza tym niewątpliwie dość poważnie uszkodziłem okolice miednicy temu pierwszemu, więc szukał zemsty na miarę swoich możliwości.

Nie było to dokładnie walenie pięściami, raczej chwytanie, kopanie, tłuczenie o twarde powierzchnie i używanie kolan jako tępych narzędzi. Niemal w tym samym momencie, gdy skończył się mój entuzjazm, drugiemu facetowi udało się w końcu to, czego niemal podświadomie cały czas próbował: sięgnął do wnętrza furgonetki przez drzwiczki od strony kierowcy, znajdując się przez sekundę w ryzykownej pozycji, którą niechybnie bym wykorzystał, gdybym nie był tak zajęty złodziejem numer jeden. Zbyt późno uwolniłem się od niego i rzuciłem do przodu.

Numer dwa zdążył już stanąć prosto przy szoferce i nastąpił błyskawiczny koniec walki. Dyszał lekko, ale triumfalnie trzymał strzelbę z krótką lufą podle wycelowaną w moją pierś.

- Cofaj się - rzucił ponuro.

Cofnąłem się.

Błyskawicznie powróciły wszystkie moje odczucia na temat broni palnej. Nagle zrobiło się zupełnie jasne, że nie warto umierać za kilka skrzynek wina. Cofnąłem się o krok, potem drugi, potem trzeci, aż stanąłem plecami przy ścianie tuż przy drzwiach na zaplecze mojego sklepu. Drzwi zazwyczaj zamykały się, jeśli się ich odpowiednio nie podparło, w tym momencie też były zamknięte, ale tylko na klamkę. Gdyby udało mi się wejść, kombinowałem niezbyt pewnie, byłbym bezpieczny; ale równocześnie myślałem, że jeśli spróbuję uciekać przez te drzwi, zastrzeli mnie.

Dokładnie w chwili, gdy przyszła mi do głowy myśl, że mężczyzna ze strzelbą nie wie, czy mnie zastrzelić, czy nie, Gerard wjechał na moje podwórko. Mężczyzna z karabinem obrócił się w jego stronę i opróżnił jedną z luf, ja tymczasem pchnąłem drzwi i skoczyłem w ich kierunku. Wiedziałem, że karabin zwraca się z powrotem w moją stronę, przerażony dostrzegłem to kątem oka. Wiedziałem też, że skoro facet strzelił raz, zrobi to ponownie, bo chwile zahamowań ma już za sobą. Znajdował się w odległości kilku kroków, więc wystrzał

mógłby ubić wołu. Chyba w tej sekundzie poruszałem się szybciej niż kiedykolwiek dotychczas; przeskakiwałem ukosem przez drzwi niczym smuga światła, kiedy pociągnął za spust.

Zaraz za drzwiami padłem na ziemię, ale nie pod wpływem kul. W przejściu pełno było skrzynek z winem. Te odłamki, które mnie dosięgły, powodowały ostre ukłucia w rękę, jak gorące żądła.

Drzwi zamknęły się za mną. Jeśli je zarygluję, pomyślałem, będę bezpieczny. Pomyślałem także o Gerardzie w samochodzie na zewnątrz i zauważyłem krew spływającą po prawej ręce. No trudno... przecież jeszcze żyję, prawda? Stałem jakoś na nogi i uchyliłem drzwi na tyle, by zobaczyć, co mnie czeka po wyjściu. Przekonałem się, że nic szczególnego, bo dwaj czarnowłosi złodzieje wdrapywali się do swojej furgonetki z wyraźnym zamiarem oddalenia się.

Nie próbowałem ich zatrzymać. Minęli samochód Gerarda, zarzuciło ich przy wejździe na drogę dowozową, po czym oddalili się w szybkim tempie; przez otwarte tylne drzwi furgonetki widać było trzy lub cztery skrzynki z winem w jej wnętrzu.

Przednia szyba w samochodzie Gerarda była rozbita. Szedłem w jego stronę z rosnącym przerażeniem. Gerard leżał w poprzek obu przednich siedzeń, jedno jego ramię było czerwoną plamą, a on sam zaciskał zęby z bólu.

Otworzyłem drzwiczki kierowcy. W strasznych chwilach wypowiada się idiotyzmy. Zacząłem więc od „tak mi przykro”, mając świadomość, że wrócił, żeby mi pomóc; mając świadomość, że nie powinienem był wysiadać, że nie powinienem był stworzyć sytuacji, w której potrzebowałbym pomocy.

Zza rogu wychynał Sung Li, na jego szerokiej twarzy malował się niepokój.

- Strzały. Słyszałem strzały - powiedział.

- Zrobiłem unik - oświadczył z niepokojem Gerard. - Na widok broni. Ale chyba nie dość szybko. - Przytrzymując się kierownicy, usiadł z trudem, odłamki przedniej szyby rozsypywały się jak śnieg. - Policja jedzie, a ty, jak widzę, żyjesz. Mogło się to skończyć troszkę gorzej.

Sung Li popatrzył na Gerarda tak, jakby nie wierzył własnym uszom. A ja roześmiałem się, ściągając na siebie jego niedowierzenie.

- Panie Tony - zaczął zaniepokojony, jakby bał się o mój rozum - czy pan wie, że pan też krwawi?

- Owszem.

Wyraz twarzy Sung Li sugerował, że wszyscy Anglicy są szaleńcami, a Gerard nie przyczynił się do rozwiania tego przekonania, kiedy poprosił, żeby gwizdnął na karetkę, jak przystało na porządnego faceta, jeśli oczywiście nie ma nic lepszego do roboty.

Sung Li oddalił się oszołomiony, a Gerard obdarzył mnie uśmiechem, który można jedynie określić jako towarzyską uprzejmość.

- Krwawe niedziele zaczynają stawać się zwyczajem. - Zamrugał kilkakrotnie. - Zapamiętałeś numer tej furgonetki?

- Mmm - skinąłem głową. - A ty?

- Owszem. Podałem go policji. A rysopis facetów?

- Mieli peruki. Kręcone czarne włosy, obydwaj takie same. I obfite czarne wąsy, identyczne. Pewnie naklejane. A także chirurgiczne gumowe rękawiczki. Jeśli zapytasz, czy rozpoznałbym ich bez tych dodatków, to odpowiedź niestety będzie negatywna...

- Krwawi ci ręka. Krew skapuje z dłoni.

- Kradli moje wino.

Po krótkim milczeniu zapytał: - Jak myślisz, które wino?

- Cholernie dobre pytanie. Pójdę sprawdzić. Mogę cię zostawić?

- Jasne.

Przeszedłem przez podwórko do tylnego wejścia, czułem ciepłą lepkość prawej ręki, kłujący ból od ramienia do nadgarstka, ale jakoś wcale się tym nie martwiłem. Mogłem nadal na każde żądanie poruszyć łokciem i palcami, jednak po kilku eksperymentalnych ruchach uznałem, że lepiej na razie tego nie robić. Dosięgnęły mnie jedynie zewnętrzne odpryski strzału, więc w porównaniu z tym, co mogło się wydarzyć, to naprawdę była drobnostka.

Zorientowałem się, w jaki sposób złodzieje dostali się do wnętrza: zakratowane okienko do łazienki zostało wepchnięte do środka, razem z futryną i kratami, przez powstały otwór mógł się przecisnąć mężczyzna. Wszedłem do łazienki, depcząc po potłuczonym szkle, wziąłem ścierkę służącą zazwyczaj do wycierania szklanek, w których klienci degustowali wino, i owinąłem ją kilkakrotnie wokół nadgarstka, żeby zahamować strumyk szkarłatu.

Wtedy ruszyłem dalej, by ujrzeć, co też straciłem.

Przede wszystkim nie straciłem niewielkiego zapasu naprawdę wspaniałych win w drewnianych skrzynkach w głębi magazynu. Cenne Margaux i Lafite nadal tam stały.

Nie straciłem też dziesięciu skrzynek szampana ani sześciu specjalnych butelek starego koniaku, ani nawet stojącej pod ręką skrzynki z wódką. Pudła, o które potknąłem się w korytarzu, były otwarte, szyjki butelek widoczne, czego przyczyna stała się jasna po wejściu do sklepu.

Złodzieje kradli butelki ze stojaków. A co jeszcze dziwniejsze, zabrali wszystkie do połowy opróżnione butelki ze stolika degustacyjnego, a także wszystkie otwarte skrzynki stojące pod obrusem.

Wina z i spod stołu pochodziły z St Emilion, Volnay, Cotes de Roussillon i Graves, były to wina czerwone. Te same wina zniknęły ze stojaków w sklepie, skąd zabrano także St Estèphe, Nuits St Georges, Macon i Valpolicella, również wina czerwone.

Wróciłem na podwórko i zajrzałem do skrzynki, którą atakował mnie złodziej numer dwa i którą następnie upuścił. Było tam kilka butelek ze stolika degustacji, przy czym cztery z nich stłuczone.

Wyprostowałem się i ruszyłem w kierunku samochodu Gerarda. Z ulgą stwierdziłem, że nie wygląda on gorzej.

- No i? - spytał.

- To nie byli zwyczajni złodzieje.

- Jak to?

- Kradli tylko te wina, których próbowałem w „Silver Moondance”. Te, które tam nie zgadzały się z etykietką.

Popatrzył na mnie, widać było, że koncentracja sprawia mu trudność.

- Te wina w „Silver Moondance” kupiłem. Zapłaciłem za nie, a barman wydał mi kwit. Musiał uznać, że zabrałem je ze sobą, choć w rzeczywistości mają policja. Sierżant Ridger. On też dał mi pokwitowanie.

- Chcesz powiedzieć, że gdybyś przywiózł tamte wina do sklepu, to dzisiaj by zniknęły.

- Właśnie.

- Wystarczyłoby jeszcze pół godziny. Skinąłem głową.

- Muszą być niezwykle ważne.

- Interesujące byłoby dowiedzieć się dlaczego.

- A dlaczego je kupiłeś?

Zorientowałem się, że obaj rozmawiamy, żeby nadać pozory normalności nienormalnej sytuacji, kiedy dwaj zwykli Anglicy spokojnie wykrwawiają się z powodu ran postrzałowych w niewielkim miasteczku w niedzielne popołudnie. Pomyślałem: „To cholernie humorystyczne” i odpowiedziałem mu uprzejmie: - Kupiłem je z powodu etykietek. Żeby się przekonać, czy nalepki też są fałszywe. Jako ciekawostkę. To jak zbieranie znaczków.

- Aha - zgodził się potulnie.

- Gerard?

- Słucham?

- Bardzo mi przykro.

- Powinno ci być przykro. Zachowałeś się idiotycznie.

- Fakt.

Poczekaliśmy jeszcze chwilę, aż samochód policyjny niespiesznie wjechał na placyk. Wyłonili się z niego dwaj funkcjonariusze. Rozglądali się pytająco i oznajmili, że w sklepie z winem nie widać żadnych śladów włamania i czy przypadkiem nie wiemy, kto ich wezwał.

Gerard zamknął oczy. - To jest zaplecze sklepu z winem. Złodzieje włamali się od tyłu, nie od frontu. Gdybyście popatrzyli uważnie, zobaczylibyście, że wyłamali okno do łazienki, wdarli się tam i odryglowali drzwi na zaplecze od środka.

Jeden z policjantów westchnął „och” i poszedł zobaczyć. Drugi wyjął notes. Objaśniłem spokojnie: - Złodzieje mieli broń i... postrzelili nas. Uciekają w szarej furgonetce Bedford z brązowymi liniami po bokach, numer rejestracyjny MMO 229 Y. W środku są ze cztery skrzynki czerwonego wina... teraz pewnie odjechali już z dziesięć mil.

- Nazwisko? - spytał niezmiészany policjant.

Zbierało mi się na chichoty. Jednak podałem mu nazwisko i muszę mu oddać sprawiedliwość, że nie tracił czasu, kiedy zorientował się, że czerwien nie wchodzi w oryginalny wzór tkacki marynarki Gerarda. W niedługim czasie obaj z Gerardem znaleźliśmy się na oddziale nagłych wypadków dużego miejscowego szpitala, skąd jego zawieziono w jakieś niewidzialne rejony, a ja siedziałem z ogołoconą i świeżo umytą ręką na niewielkim stole. Pielęgniarka w średnim wieku kompetentnie i bez emocji wyciągała odłamki za pomocą błyszczącego instrumentu, który przypominał szczypce.

- Odnoszę wrażenie, że siostra już to kiedyś robiła.

- Co roku w sezonie polowań. Coś pan czuje?

- Nie, właściwie nic.

- To dobrze, bo niektóre utkwily głęboko. Jeśli miejscowe znieczulenie przestanie wystarczać, proszę mi powiedzieć.

- Zrobię to na pewno - powiedziałem z zapalem.

Jeszcze przez jakiś czas prowadziła poszukiwania, aż na talerzu znalazło się jedenaście czarnych kulek podobnych do pieprzu; każda z nich na tyle duża, by zabić bażanta. Ku mojemu, dość specyficznemu co prawda, rozbawieniu pielęgniarka powiedziała, że jeśli chcę, mogę sobie zabrać te kulki, wiele osób tak robi.

Trzymałem potem w ręku marynarkę, a antyseptyczne plastry na mojej drugiej ręce chronił rodzaj dżersejowego tubusa, który zastąpił postrzępiony rękaw koszuli. Ruszyłem na poszukiwanie Gerarda, znalazłem go na fotelu inwalidzkim w szpitalnym szlafroku w jakimś niewielkim pomieszczeniu. Poza tym ubrany był w swoje spodnie i robił wrażenie monumentalnie znudzonego. Podobno ustał już krwotok wewnętrzny i zewnętrzny, ale licznych kulek śrutu nie dało się wyciągnąć pęsetką, więc Gerard będzie musiał zostać w szpitalu do następnego rana, kiedy to w komplecie zjawi się personel sali operacyjnej. W niedziele zajmowano się jedynie sprawami życia czy śmierci, a nie małymi kuleczkami ołowiu tkwiącymi za obojczykiem.

Powiedział, że dzwonił do Tiny, swojej żony, która ma przywieźć mu piżamę. Ma też zająć się samochodem i załatwić wprawienie przedniej szyby. Zastanawiałem się, czyją uprzedził, że pluszowa tapicerka w miejscu, gdzie trzymałby głowę, gdyby się nie uchylił, była rozpruta przez kule i wychodziły spod niej wnętrzności.

Wróciłem do sklepu taksówką. Sprawdziłem, czy policja zgodnie z obietnicą przysłała kogoś do zabezpieczenia dyktą otworu po oknie w łazience. Wszedłem frontowym wejściem, zapaliłem światło, oceniłem rozmiary szkód nie zaślepiony już gniewem, a zainteresowany jedynie praktycznym problemem przywrócenia ładu.

Choć moja ręka nie będzie trwale uszkodzona, tymczasem nie nadaje się do użytku. Przenoszenie skrzynek z winem musi poczekać dzień czy dwa. Podobnie jak zmiatanie stłuczonego szkła. Dzięki Bogu za Briana, pomyślałem znużony, sprawdzając, czy rygle w drzwiach są zasunięte, a dykta bezpiecznie przybita w oknie łazienki.

Zostawiłem wszystko tak, jak było, zgasilem światło i wyszedłem na zewnątrz przez drzwi frontowe. Sung Li niechętnym krokiem wychodził ze swojej restauracji, na jego czole rysowały się zmarszczki zatroskania.

- O, to pan, panie Tony - powiedział z ulgą. - Już nie włamywacze...

- Nie.

- Chce pan coś zjeść?

Zawahałem się. Nic nie jadłem przez cały dzień, ale nie czułem głodu.

- Najlepiej jest coś zjeść. Kurczak w cytrynie, pana ulubiony. Świeżo przyrządziłem. - Złożył przede mną krótki ukłon. Odkłoniłem się uprzejmie w odpowiedzi i poszedłem za nim; panowały między nami mniej więcej podobnie oficjalne stosunki jak między mną a panią Palissey i zdawało się, że także Sung Li woli taką sytuację.

Zjadłem kurczaka w cytrynie, siedząc przy stole w małej części restauracyjnej, a potem smażone krewetki i poczułem się znacznie mniej rozkojarzony. Choć do tej pory nie

zdawałem sobie sprawy, że jestem rozkojarzony, tak jak powagę choroby uświadamiamy sobie dopiero po wyzdrowieniu. Jednak wspominając całe popołudnie, doszedłem do wniosku, że nie mogłem się czuć szczególnie pewnie, skoro spojrzałem w lufę strzelby i przekonałem się, że nogi nie do końca należą do mnie. Teraz sobie uświadomiłem, że to euforia ocalenia spowodowała naszą beztroską rozmowę z Gerardem na podwórzu i tak metodyczne sprawdzanie przeze mnie strat. To zadziwiające, jak dalece umysł próbuje udawać, że wszystko jest normalnie... a ponadto istnieją wyraźne przyczyny chemiczne, dlatego akurat zdarza się to po otrzymaniu rany. Czytałem gdzieś artykuł na ten temat.

Wstałem i dołożyłem wszelkich starań, żeby wyciągnąć z kieszeni portfel, ale Sung Li natychmiast znalazł się przy mnie, mówiąc, że zapłacę mu rano. Spytałem, czy mogę przejść do mojego samochodu na podwórzu przez jego kuchnię zamiast naokoło, a on był zbyt uprzejmy, żeby powiedzieć mi, że w tym stanie nie nadaję się do prowadzenia samochodu. Na zewnątrz w ciemności znowu złożyliśmy sobie ukłony, a kiedy doszedłem do rovera, zdołałem już mocno chwycić kluczyki.

Pojechałem do domu. O nic nie zawadziłem. Znieczulenie przestawało działać, ręka zaczęła palić, zakląłem głośno, bardzo nieprzyzwoicie, częściowo zaskoczony tym, że potrafię powiedzieć coś takiego, nawet w samotności. Częściowo zaskoczony, że w ogóle mogę coś takiego wymyślić.

Wszedłem do domu. W drugą niedzielę pod rząd, pomyślałem, wracam tu z krwią na ubraniu i myślami pełnymi koszmarów.

Emmo, na miłość boską, pomóż, myślałem. Przeszedłem przez puste pokoje, właściwie nawet jej nie szukałem, przecież doskonale wiedziałem, że jej nie ma, jednak rozpaczliwie potrzebowałem kogoś, z kim mógłbym porozmawiać, kogoś, kto by mnie przytulił i kochał tak, jak robiła to ona.

Nie gasząc jasnej iluminacji, połknąłem kilka aspiryn, usiadłem na ulubionym fotelu w salonie i powiedziałem sobie, że mam się zamknąć i nabrać rozsądku. Okradziono mnie... no i co z tego? Walczyłem... przegrałem... no i co z tego? Postrzelono mnie w rękę... no i co z tego? Więc Emmo, moja cudowna miłości... pomóż mi.

Weź się w garść, do cholery, powtarzałem.

Zgaś światła. Połóż się do łóżka. Idź spać.

Ból w ręce pulsował niemiłosiernie przez całą noc.

Nowy dzień, poniedziałek, wślizgnął się na świat mniej więcej tak, jak ja go przyjąłem: nieciekawym, pochmurnym, bez życia. Ubrałem się nieporadnie, ogoliłem, zrobiłem

kawę, starając się nie myśleć o tym, żeby wrócić do łóżka i poddać się. Nawet w najlepszych czasach poniedziałki były trudne. Czekające mnie sytuacje wydawały się równie atrakcyjne jak zimne bagnisko.

Włożyłem do kieszeni fiolkę z aspiryną. Zanosiło się na to, że żadna z jedenastu osobnych ranek nie da o sobie zapomnieć, zdawały się wręcz współzawodniczyć między sobą o moją uwagę, a tymczasem niemal wszędzie indziej powoli zaczynały się odzywać inne obrażenia. Niech was wszyscy diabli, pomyślałem, ale niewiele to pomogło.

Pojechałem do sklepu i zaparkowałem na podwórku. Samochód Gerarda stał ukosem dokładnie w miejscu, gdzie go zostawił, depcząc po hamulcu na widok broni wymierzonej prosto w twarz. W stacyjce nie było kluczyków i nie mogłem sobie przypomnieć, kto je wziął. Jeszcze jeden problem odłożony w nieskończoność.

Kiedy przeszedłem na front, przed drzwiami sklepu stał już samochód policyjny. A w nim siedział sierżant Ridger. Na mój widok opuścił miejsce kierowcy. Stał, czekając na mnie, każdy guzik i każdy włos na przepisowym miejscu. Przystanąłem obok niego.

- Jak się pan czuje? - zapytał i chrząknął. - Bardzo mi... przykro.

Uśmiechnąłem się leciutko. Sierżant Ridger zaczynał nabierać niemal ludzkich cech. Otworzyłem sklep, weszliśmy do środka i znowu zamknąłem drzwi na klucz. Potem zasiadłem w swoim małym kantorku, powoli otwierając pocztę, a on tymczasem obchodził wszystko, pracowicie zapisując w notesie.

Wreszcie zrobił przerwę i zapytał: - Nie stroił pan sobie żartów wczoraj wieczorem, kiedy dyktował pan policjantowi listę skradzionych rzeczy, zanim pojechał pan do szpitala?

- Nie.

- Zdaje pan sobie sprawę, że jest to lista niemal identyczna ze spisem czerwonych win skradzionych z „Silver Moondance”.

- W istocie. I mam nadzieję, że ukrył pan bezpiecznie w komisariacie moje butelki z „Silver Moondance”. Dwanaście butelek wina. Wszystkie otwarte. Moja własność.

- Nie zapomniałem - powiedział, lekko się nadymając. - Dostanie je pan z powrotem w odpowiednim czasie.

- Jedną chciałbym dostać teraz - stwierdziłem w zadumie.

- Którą?

- St. Estephe.

- Dlaczego akurat tę? - Nie o to chodzi, że był podejrzliwy, po prostu czujny z natury.

- Akurat ta mi najpierw przyszła do głowy. Ale może być każda inna.

- Po co to panu?

- Żeby jeszcze raz jej się przyjrzeć. Powąchać... jeszcze raz spróbować. Nigdy nie wiadomo... może to się okaże pomocne. Dla pana.

Wzruszył ramionami, trochę zdziwiony, ale nie niechętny.

- W porządku. Dostarczę panu jedną, jeśli mi się uda. Choć nie jestem pewien, bo to dowody. - Rozejrzał się po maleńkim kantorku. - Czy tutaj coś ruszyli?

Pokręciłem przecząco głową, wdzięczny przynajmniej za to.

- Zdecydowanie szukali wina z „Silver Moondance”. Wszystkie butelki, które najpierw załadowali i które udało im się zabrać furgonetką, były otwarte i zatkałe korkiem.

Opowiedziałem mu o butelkach ze stołu i spod stołu, które zginęły. Poszedł jeszcze raz się temu przyjrzeć.

- Może pan coś dodać do rysopisu złodziei? - zapytał po powrocie.

Pokręciłem głową.

- Czy jednym z nich mógł być barman z „Silver Moondance”?

- Nie - odpowiedziałem zdecydowanie. - To nie ten typ.

- Powiedział pan, że byli w perukach. Więc skąd ta pewność?

- Barman ma trądzik. Złodzieje nie mieli. Ridger zapisał to w swoim notesie.

- Ale barman wiedział dokładnie, co pan kupił - zauważył. - Zapisał każdą butelkę na kwicie.

- Pytał pan go o to? - spytałem obojętnie.

Ridger obrzucił mnie jednym z tych swoich niepewnych spojrzeń, które świadczyły o tym, że jeszcze definitywnie nie rozstrzygnął sprawy mojego statusu: jeden ze zwykłych obywateli, których nie należy informować, czy pomocny konsultant-ekspert.

- Nie udało nam się go znaleźć - wyznał w końcu. Powstrzymałem się od nieeleganckiego zdziwienia.

- Od kiedy?

- Od... - chrząknął. - Od czasu, kiedy pan też go widział, jak wychodził z baru w ostatni poniedziałek po opuszczeniu kraty. Podobno odjechał natychmiast swoim samochodem, zapakował ubrania i wyniósł się z tych okolic.

- Gdzie mieszkał?

- U znajomych.

- Płci męskiej?

Ridger skinął głową. - Chwilowe rozwiązanie. Żaden układ. Prysnał po pierwszych zapowiedziach kłopotów. Oczywiście, będziemy go szukać, ale wyjechał wczesnym popołudniem w tamten poniedziałek.

- Nie jest podejrzany o zabicie Zaraca - zasugerowałem.

- Nie.

- Zastępca zastępcy i kelner też wiedzieli, co kupiłem - powiedziałem zamyślony. -

Ale...

- Zbytni słabeusze - uciął Ridger.

- Hm. Zostaje Paul Young...

- Przypuszczam, że nie był jednym ze złodziei. - Raczej stwierdzenie niż pytanie.

- Nie. Należy zacząć od tego, że obydwaj byli młodszy i wyższy.

- Oczywiście, gdyby było inaczej, na pewno pan by powiedział.

- Jasne. A czy... znaleźliście go? Paula Younga?

- Kontynuujemy śledztwo. - Mówił bez najmniejszej ironii, ten żargon bez trudu spływał mu z ust.

Był niewiele straszny ode mnie, może cztery, może pięć lat. Zastanawiałem się, jaki jest poza służbą, czy tak skonstruowany i zdyscyplinowany osobnik w ogóle kiedykolwiek jest naprawdę po służbie. Pewnie zawsze taki czujny, ostrożny, gotów nabrać podejrzeń. Pewnie widzę go przed sobą, pomyślałem, takiego, jakim rzeczywiście jest.

Popatrzyłem na zegarek. Dziewięć dwadzieścia. Pani Palissey i Brian powinni się zjawić za dziesięć minut.

- Ufam, że nie będzie panu przeszkadzało, jeśli wysprzątam to wszystko? Wstawię okno i tak dalej?

Skinął głową. - Ale zanim wyjdę, jeszcze się rozejrzę na zewnątrz. Niech pan wyjdzie ze mną i powie mi, czym to wszystko się różni od stanu sprzed włamania.

Powoli wstałem z krzesła. Przeszliśmy przez zaśmiecony korytarzyk, bez słowa komentarza Ridger odryglował ciężkie drzwi i otworzył je.

- Przez cały wczorajszy dzień mój samochód stał mniej więcej w tym miejscu, co teraz. Oczywiście, nie było tu auta Gerarda McGregora.

Ridger przerzucał kartki w swoim notesie, znalazł jakiś zapis, skinął głową i znowu ruszył do przodu. Drzwi powoli się zamknęły. Ridger pchnął je i wyszedł na zewnątrz, patrząc przez ramię, czy idę za nim.

Wyszedłem na mroźne powietrze i obserwowałem, jak wszystko obchodzi i odmierza odległości.

- Tu była furgonetka złodziei? - spytał, przystając na chwilę.

- Trochę bardziej na prawo.

- Gdzie stał mężczyzna ze strzelbą, kiedy do pana strzelił?

- Mniej więcej tam, gdzie pan jest teraz.

Rzeczowo potwierdził skinieniem głowy, obrócił się w stronę samochodu Gerarda i uniósł rękę prosto przed sobą. - Strzelił do samochodu?

- Tak.

- A potem... - Trzymając nadal wyciągniętą rękę, obracał się tak długo, aż ta ręka wskazała na mnie. - Wystrzelił znowu.

- W tym momencie nie stałem tutaj.

Ridger pozwolił sobie na uśmiech. - Powiedziałbym, że trochę zbyt blisko, żeby było przyjemnie. - Pokonał dzielącą nas odległość pięciu kroków i przejechał ręką po zewnętrznej stronie drzwi. - Chce pan zobaczyć, co o mało pana nie trafiło?

Szorstkie drewno pociemniało od kreozotu, konserwantu chroniącego przed zimą, który niedawno zastosowano. Spojrzałem bliżej na to, co pokazywał: miejsce tuż pod klamką, kilka cali od krawędzi drzwi. W drewnie uwięzły, w całkowitej z nim symbiozie, dziesiątki małych czarnych kulek, większość w gęstych grupach, inne wytworzyły ślady przypominające dziury po kornikach na szerszej przestrzeni wokół.

- W normalnym naboju są ich setki - zauważył spokojnie Ridger. - W raporcie, jaki otrzymaliśmy ze szpitala, jest mowa, że z pańskiej prawej ręki wyciągnięto ich jedenaście.

Popatrzyłem na śmiertelnie groźne skupisko małych czarnych kulek i przypomniałem sobie, w jak oszalałej panice odbył się ten mój skok przez drzwi. Zostawiłem łokieć na zewnątrz o ułamek sekundy za długo.

Główne zgrupowanie kulek w drewnie znajdowało się z grubsza na wysokości mojego serca.



Pani Palissey i Brian stawili się punktualnie, natychmiast popadli w stan kompletnej zgrozy, przybierający rozmaite natężenia, ale na to nie można było nic poradzić. Poprosiłem panią Palissey o otwarcie sklepu, a Briana o podjęcie sprzątnięcia. Sam tymczasem zostałem na podwórku, mając pełną świadomość, że w ten sposób staram się odwlec konieczność zaspokojenia ich dociekliwej ciekawości.

Ridger nadal się przechadzał, oceniał i robił notatki. W końcu zatrzymał się przy ciemnej czerwonej plamie na brudnym betonie.

- Czy to krew? - spytał, zmarszczywszy brwi.

- Nie. Czerwone wino. Złodzieje upuścili tu skrzynkę z butelkami. Część butelek się stłukła i wino przeciekło na beton.

Rozejrzał się. - A gdzie jest ta skrzynka?

- W zlewie w łazience. Wczoraj wieczorem zaniósł ją tam pański policjant.

Zanotował to.

- Sierżancie...?

- Słucham? - Podniósł jedynie wzrok, głowę nadal pochylał nad notesem.

- Proszę mi dać znać, jak się rozwija sprawa, dobrze?

- Na przykład, co?

- Na przykład, czy znaleźliście tę furgonetkę... czy jest jakiś ślad prowadzący do Paula Younga.

Spojrzał na mnie zupełnie przytomnie i badawczo, nie odmawiając od razu. Niemal czułem jego wahanie, a na pewno widziałem je; kiedy wreszcie odpowiedział, była to odpowiedź typowo dwuznaczna.

- Niewykluczone, że poinformujemy pana, jeśli będzie pan mógł być przydatny w jakimś późniejszym terminie do celów identyfikacji.

- Dzięki.

- Ale niczego nie obiecuję. - Wycofywał się pod osłonę notesu.

- Oczywiście.

Wreszcie skończył i poszedł, a pani Palissey upajała się ochami i achami. Nie miała skłonności do płaczu, zawodzenia i korzystania z soli trzeźwiących. Oczy jej błyszczały radośnie na myśl o sensacji związanej z włamaniem i tych plotkach przy lunchu z koleżanką z drogówki.

Zwykle zaniepokojony wyraz twarzy Briana nie uległ szczególnej zmianie. Chłopak zabrał się do zamykania i porządkowania; w pewnej chwili zapytał, co ma zrobić ze skrzynką w zlewie.

- Wyjmij całe butelki i postaw je na suszarce - poleciłem.

Po chwili wrócił zameldować, że już to zrobił. Poszedłem z nim do łazienki, żeby to sprawdzić, i zobaczyłem osiem butelek St Emilion, które pierwotnie stały pod stołem do degustacji, zasłonięte obrusem.

Brian trzymał w ręku kartkę papieru, jakby nie wiedział, co z nią zrobić.

- Co to jest? - spytałem.

- Nie wiem. Było na dnie skrzynki. - Podał mi kartkę, była to strona z kołonoatnika, złożona na pół, dość wymiętoszona, wilgotna, po jednej stronie poplamiona winem. Przeczytałem ją początkowo z ciekawością, a potem z rosnącym zdumieniem.

Wyraźnym, kanciastym charakterem pisma napisano:

PO PIERWSZE

Wszystkie otwarte butelki wina. PO DRUGIE

Wszystkie butelki z tymi nazwami: St Emilion St Estephe Volnay Nuits St Georges Valpolicella Macon.

JEŚLI BĘDZIE CZAS

Mocne alkohole, co będzie pod ręką.

CIEMNO 18.30, NIE ZAPALAĆ ŚWIATŁA

- Panie Beach, mam to wyrzucić? - dopytywał się usłużnie Brian.

- Możesz sobie wziąć sześć batoników Mars - powiedziałem. Zaprezentował swoją wersję pogodnego uśmiechu i wyszedł za mną do sklepu po nagrodę.

Pani Palissey, rozkosznie zatroskana, oświadczyła, że sobie poradzi sama, jeśli ja chcę wyjść na dziesięć minut, mimo że przychodzili liczni klienci, a półki były niemal puste, jak zwykle w poniedziałek. Zapewniłem ją o swojej najwyższej estymie i poszedłem do pobliskiej kancelarii prawniczej, której właściciel był prawie w moim wieku i często wieczorem kupował u mnie wino.

Oczywiście, że mogę skorzystać z jego kopiarki. O każdej porze.

Zrobiłem trzy odbitki listy zakupowej złodziei i wróciłem do swojego kantorka, zastanawiając się, czy od razu zadzwonić do sierżanta Ridgera. Jednak w końcu nie zadzwoniłem.

Brian prznosił skrzynki whisky, dzinu i sherry z magazynu do sklepu; ilekroć przechodził koło mnie, informował, co akurat niesie i nie pomylił się ani razu. Na jego dużej twarzy malowała się duma z tych osiągnięć, było to zadowolenie z pracy w najczystszej postaci. Pani Palissey ponownie zapełniła półki, gaworząc bez końca, zadzwoniło pięciu klientów, składając zamówienie.

Trzymanie pióra okazało się niespodziewanie bolesne, mięśnie ręki zdecydowanie protestowały. Uświadomiłem sobie, że niemal wszystko zacząłem robić lewą ręką, używałem jej nawet do jedzenia kurczaka u Sung Li, ale pisać nie potrafiłem. Spisałem zamówienia prawą ręką, złorzecząc w duchu, a kiedy trzeba było sporządzić długi spis do hurtowni, zrobiłem to lewą ręką na maszynie. Nikt mi nie powiedział, jak długo będą się goić te ranki. Ale żaden termin nie będzie zbyt szybki.

Jakoś przetrwaliśmy poranek, a pani Palissey, bardzo zadowolona męczennica, zgodziła się pojechać po południu z Brianem do hurtowni.

Po ich wyjściu pętałem się po moich splądrowanych włościach, powtarzając sobie, że muszę wyrzesać z siebie tyle energii, żeby zadzwonić w sprawie uzupełnienia zapasu win, wymiany okna... uzupełnienia szacunku do samego siebie. Zostałem postrzelony przez własną głupotę. Temu się nie da zaprzeczyć. Jednak nie byłoby przecież naturalne, gdybym się wycofał po cichu, pozwalając złodziejom działać. Choć oczywiście byłoby to mądrzejsze. Teraz łatwo to stwierdzić. Ale wtedy...

Myślałem o tym chaotycznie, niezbyt jasno, nie bardzo rozumiałem całkowicie irracjonalny impuls, który kazał mi wystawić się na niebezpieczeństwo, podczas gdy lękliwy i troszczący się o własną skórę instynkt przez całe życie skłaniał mnie do unikania podobnych sytuacji.

Co nie znaczy akurat, że byłem z tego dumny. Ale też i nie zawstydzony. Pogodziłem się z tym, że właśnie taki jestem: daleko mi do męstwa. Na ogół sprawiam zawód.

Chyba powinienem sporządzić listę skradzionych win dla firmy ubezpieczeniowej, która wkrótce zniecierpliwi się moimi stałymi skargami, podobnie jak to miało miejsce z Kennethem Charterem. Pewnie powinienem to zrobić, ale nie zrobiłem. Można by powiedzieć, że nie rozpiełała mnie gwałtowna chęć wypełniania obowiązków.

Połknąłem kilka aspiryn.

Przyszedł klient po sześć butelek porto i bezlitośnie próbował zaznajomić mnie z niekończącymi się i na ogół obrzydliwymi nieszczęściami całej swojej rodziny. (Na przykład teść miał jakieś kłopoty z pęcherzem.)

Przyszedł Sung Li i wśród ukłonów podarował mi bułeczki z nadzieniem. Nie weźmie pieniędzy za wczorajszą kolację, oświadczył. Byłem jego dostojnym i częstym gościem. Kiedy jestem w potrzebie, on zachowuje się jak przyjaciel. Zrobię mu zaszczyt, nie proponując zapłaty za wczoraj. Złożyliśmy sobie ukłony i przyjąłem jego propozycję.

Nigdy nie był w Chinach, ale stamtąd pochodzili jego rodzice i nauczyli go tamtejszych zwyczajów. Był wyjątkowo porządnym sąsiadem, a dzięki olbrzymiemu powodzeniu jego lokalu, który nie miał licencji na alkohol, sprzedawałem wieczorami dużo wina. Ilekroć mogłem to zrobić, nie sprawiając mu przykrości, dawałem mu cygara, które palił w słoneczne popołudnia, siedząc na drewnianym krześle przed drzwiami swojej kuchni.

O trzeciej wrócił sierżant Ridger z papierową torbą, z której wyjął butelkę. Postawił ją na kontuarze.

St Estephe, tak jak prosiłem. Odkorkowana i zapieczętowana taśmą klejącą, nietknięta od chwili, gdy opuściła „Silver Moondance”.

- Czy mogę to zatrzymać?

Potwierdził szybkim skinieniem głowy. - Na razie tak. Powiedziałem, że okazał pan pomoc, a teraz dla pana to może być pomocne. Otrzymałem zgodę głównego inspektora, który prowadzi dochodzenie w sprawie morderstwa w „Silver Moondance”. - Wyjął z kieszeni kartkę papieru, którą następnie mi podsunął. - Proszę tu podpisać. W ten sposób będzie to oficjalne.

Podpisałem i oddałem mu papier.

- Ja też mam coś dla pana. - Przyniosłem mu oryginał złodziejskiego spisu.

Zdawało się, że jego ciało wyraźnie się nadyma, kiedy dotarło do niego, co mianowicie dostał. Oczy mu nagle zaświeciły.

- Gdzie pan to znalazł?

Powiedziałem mu o porządkach, które robił Brian.

- To ogromnie ważne - oznajmił z satysfakcją. Przyznałem mu rację.

- Zwłaszcza gdyby się okazało, że to pismo Paula Younga - podsunąłem.

Zaczął wpatrywać się we mnie jeszcze intensywniej, o ile to w ogóle było możliwe.

- Pamięta pan, jak niezdarnie trzymał pióro, kiedy zapisywał swoje nazwisko i adres? Pisał takimi urywanymi ruchami z góry na dół. Wydaje mi się, że ten spis wygląda podobnie... choć oczywiście tylko rzuciłem okiem na jego nazwisko i adres.

Sierżant Ridger, który przyglądał mi się długo i starannie, popatrzył teraz na listę złodziei i dokonywał w myślach porównań. Powiedział niemal bez tchu:

- Chyba ma pan rację. Myślę, że to ta sama ręka. Główny inspektor będzie bardzo zadowolony.

- A poza tym nic? - spytałem. - Nie możecie go znaleźć? Wahał się krótko. - Niewątpliwie, występują pewne trudności - oświadczył.

To znaczy, że nie mają żadnych śladów, uznałem.

- A jego samochód? - spytałem.

- Jaki samochód?

- No... przecież nie przyszedł wtedy do „Silver Moondance” piechotą, prawda? To dość oddalone miejsce. Ale kiedy wyszliśmy z pudłami napojów, na parkingu nie stał żaden inny samochód. Więc... musiał chyba zaparkować od tyłu, koło aut personelu. Przy tym wejściu do hallu, gdzie był gabinet Larry’ego Trenta i piwnica win. A to oznacza, że Paul

Young musiał już kiedyś być w „Silver Moondance”... bo w przeciwnym razie zaparkowałby od frontu. Rozumie pan, o co mi chodzi. Sierżant Ridger przyglądał mi się długo i badawczo.

- Skąd pan wie, że personel parkował na zapleczu?

- Widziałem samochody przez okno hallu, kiedy poszedłem po butelki wina. Zdrowy rozsądek podpowiadał, że muszą to być auta personelu... barmana, zastępcy zastępcy, kelnerka, personelu kuchennego i tak dalej. Oni wszyscy jakoś musieli się dostać do pracy, a na parkingu od frontu było pusto.

Pokiwał głową, przypominając sobie tamten dzień.

- Paul Young został tam jeszcze po naszym wyjściu - mówiłem. - Więc może pomocnik albo kelnerka... czy ktoś inny pamięta, jakim samochodem odjechał. Choć to pewnie słaba poszlaka.

Ridger starannie wkładał złożoną listę do notesu, a potem zapisał jedno czy dwa zdania na nowej stronie. - Oczywiście nie prowadzę tego śledztwa - odezwał się w końcu - i spodziewam się, że ten kierunek dochodzenia został już dokładnie przebadany, ale... dowiem się.

Nie pytałem już, czy poinformuje mnie o wynikach, a on nie zrobił na ten temat najmniejszej nawet aluzji. Jednak wychodząc, nie sprawiał wrażenia, że już się więcej nie zobaczymy. Byłby zainteresowany tym, co może mi przyjść do głowy w związku z butelką wina, którą mi przyniósł, oświadczył. Jeśli dojdę do jakichś nowych wniosków, to niewątpliwie zechcę je przekazać.

- Naturalnie - potwierdziłem.

Skinął głową, zamknął notes, schował go do kieszeni i oddalił się przepisowo, a ja zaniósłem butelkę St Estephe do kantorka. Schowałem ją jednak do torby, tej samej, w której Ridger ją przyniósł, żeby nie stała na widoku.

Usiadłem przy biurku, pogrążając się jeszcze głębiej w rodzaj letargu. Czekala jeszcze duża lista zamówień, trzeba ją przygotować do późniejszego rozwiezienia furgonetką, ale nie miałem ochoty się do tego zabierać. Wszystkie dostawy będą opóźnione o jeden dzień. Lampki i szampan na uroczystość osiągnięcia pełnoletności w czwartek... może w czwartek nie będę się czuł tak doszczętnie wyczerpany i kompletnie obolały.

W sklepie rozległy się kobiece głosy. Wstałem powoli i wyszedłem, próbując przywołać uśmiech na usta. Kiedy zobaczyłem, kto jest w sklepie, uśmiech pojawił się bez trudu.

Stała tam Flora, niewysoka, pulchna i zatroskana, tymi swoimi dobrymi oczami wpatrywała się w moją twarz. Obok niej wysoka i wytworna kobieta, którą widziałem przelotnie u boku Gerarda w dniu wypadku z furgonem. Jego żona Tina.

- Tony, skarbie - wykrzyknęła Flora, idąc mi na spotkanie. - Jesteś pewien, że powinieneś tu być? Nie wyglądasz dobrze, mój drogi. Naprawdę powinni cię zatrzymać w szpitalu, to niedobrze, że cię wypuścili.

Pocałowałem ją w policzek. - Nie zgodziłbym się zostać. - Spojrzałem na panią McGregor: - Jak się czuje Gerard?

- O Boże! - wykrzyknęła Flora. - Powinam was przedstawić... Tino, to jest Tony Beach...

Tina McGregor uśmiechnęła się, co było szlachetne z jej strony, zważywszy, że kłopoty jej męża powstały z mojej winy. W odpowiedzi na moje pytanie wyjaśniła, że Gerardowi rano usunięto kulki, ale zostanie w szpitalu jeszcze jedną noc, żeby dojść do siebie.

- Chciałby się z panem zobaczyć. Dziś wieczorem, jeśli pan może.

- Pójdę do niego.

- Tony, skarbie - wtrąciła Flora - tak bardzo chciałam cię poprosić, ale teraz widzę, jak strasznie jesteś blady, i chyba nie... To na pewno byłoby zbyt wiele.

- Co byłoby zbyt wiele? - spytałem.

- Byłeś tak strasznie uprzejmy, robiąc ze mną obchód stajni, a Jack nadal jest w szpitalu, ciągle nie chcą go wypuścić do domu i on z każdym dniem coraz bardziej się złości...

- Chcesz, żebym po wizycie u Gerarda poszedł do szpitala do Jacka? - domyśliłem się.

- Ależ nie! - wykrzyknęła zaskoczona. - Choć oczywiście bardzo by się ucieszył. Nie... zastanawiałam się tylko... ale to głupio z mojej strony... naprawdę... czy nie pojechałbyś ze mną na wyścigi? - Ostatnie słowa wypowiedziała bardzo szybko i zdawała się trochę zażenowana swoim zachowaniem.

- Na wyścigi...

- Tak. Wiem, że to wygórowane żądanie... ale jutro... biega jeden nasz koń, którego właściciel jest bardzo nieprzyjemny. Jack nalega, żebym koniecznie pojechała, a prawdę mówiąc, przy tym właścicielu czuję się taka zmieszana i głupia. Wiem, że to idiotyczne, ale tak dobrze sobie poradziłeś z tym strasznym Howardem, więc pomyślałam, że może dzień na wyścigach sprawiłby ci przyjemność i że cię poproszę... tyle że to było przed telefonem Tiny,

która mi powiedziała o wczorajszym wieczorze... teraz zresztą widzę, że dla ciebie to wcale nie byłaby przyjemność.

Dzień na wyścigach... a dlaczego nie? Może dobrze mi zrobi jeden dzień wolnego. A na pewno nie zaszkodzi.

- Gdzie? - zapytałem.

- Martineau.

Martineau Park, na północny wschód od Oksfordu, duży, popularny i niezbyt odległy tor. Jeśli w ogóle kiedykolwiek jeździłem na wyścigi, to albo do Martineau Park, albo do Newbury, bo do każdego z tych miejsc mogłem dojechać w czterdzieści minut i przy uprzejmej zgodzie pani Palissey połączyć to z godzinami otwarcia sklepu.

- Dobrze, pojedę.

- Ale Tony, skarbie... jesteś tego pewien?

- Absolutnie. Chętnie to zrobię.

Widać było, że Flora poczuła wyraźną ulgę. Powiedziała, że następnego dnia przyjedzie po mnie o pierwszej i na pewno odwiezie mnie z powrotem na szóstą. Koń startuje w najważniejszej gonitwie dnia o trzeciej trzydzieści, a właściciel zawsze potem chce rozmawiać godzinami, analizując każdy krok i jego konsekwencje.

- Zupełnie jakbym mogła mu coś powiedzieć - oświadczyła zdesperowana Flora. - Tak bardzo bym chciała, żeby ten koń wygrał, ale Jack się obawia, że to niemożliwe, i dlatego właśnie muszę tam być. Coś strasznego...

Za dwa czy trzy tygodnie skończy się sezon biegów płaskich, a z punktu widzenia Jacka Hawthorna nie będzie to nawet o dzień za wcześnie, pomyślałem. Żadna stajnia nie wytrzyma dłuższej nieobecności dwóch sił napędowych, pozostawiona w rękach łagodnej kobiety pozbawionej zmysłu do interesów i niezbyt zorientowanej.

- Słuchaj właściciela z szacunkiem i zgadzaj się ze wszystkim, co mówi, a uzna, że jesteś wspaniała - poradziłem.

- Tony, skarbie, jakie to podłe - powiedziała, ale mimo wszystko zdawało się, że już nabrała większej pewności siebie.

Poszedłem z paniami na podwórko, bo Flora przyprowadziła Tinę głównie po to, żeby zabrała samochód Gerarda. Okazało się, że Tina ma kluczyki, dostała je od Gerarda poprzedniego wieczoru. Przez chwilę patrzyła bez słowa na roztrzaskaną przednią szybę i rozwaloną tapicerkę, potem odwróciła się do mnie, bardzo czujna i napięta, starannie ukrywając emocje.

- Już po raz trzeci strzelano do niego - powiedziała.

Wieczorem poszedłem go odwiedzić. Siedział wsparty na poduszkach; trzy pozostałe łóżka w pokoju były puste. Niebieskie zasłony, zapachy szpitala, duże nowoczesne przestrzenie, błyszczące podłogi, bardzo nieliczni ludzie.

- Straszliwie nudno. Straszliwie bezosobowo - powiedział. - Poczekalnia do otchłani. Ciągłe ktoś przychodzi, czyta moją kartę, żeby sprawdzić, dlaczego tu jestem, i znowu znika, żeby już więcej się nie pojawić.

Rękę miał na temblaku. Był świeżo ogolony, uczesany, bardzo pozbierany i opanowany. W nogach łóżka wisiała karta choroby, o której wspomniał, więc ja też wziąłem ją do ręki i przeczytałem.

- Gorączka dziewięćdziesiąt dziewięć w skali Fahrenheita, puls siedemdziesiąt pięć, dochodzisz do siebie po postrzałach śrutem, który został usunięty. Jutro wypis.

- I nie jest to zbyt wcześnie.

- Jak się czujesz?

- Zbolały. Niewątpliwie tak samo jak ty.

Potwierdziłem skinieniem głowy, odwiesiłem kartę i usiadłem na krześle.

- Tina powiedziała, że to już trzeci raz.

Uśmiechnął się krzywo. - Nigdy do końca nie zaakceptowała mojej pracy. Kiedyś wycelował do mnie defraudant. Bardzo niezwykle, to na ogół tacy łagodni ludzie. Pewnie zgodnie z regułą nawet morderstwo mu się nie udało. Posłużył się zbyt małym pistoletem i trafił mnie w biodro. Nie potrafił utrzymać broni... mógłbym przysiąc, że zamknął oczy, zanim strzelił...

- Drugi raz nie strzelał?

- No, prawdę mówiąc, trochę go popędzałem. Upuścił broń i zaczął płakać. Żałosna sprawa.

Spojrzałem na niego z szacunkiem. Popędzanie kogoś, kto do człowieka strzela, nie odpowiada moim wyobrażeniom o patosie.

- A następny raz?

Gerard wykrzywił się. - No, trochę gorzej. Tym razem szanse pół na pół. Po tym wydarzeniu Tina żądała ode mnie obietnicy, że będę pracował tylko w biurze, ale sam wiesz, że tak się nie da. Jeśli ściga się przestępców, zawsze istnieje szansa, że zwrócą się przeciwko tobie, nawet jeśli chodzi tylko o szpiegostwo przemysłowe, którym zazwyczaj się zajmują. - Znowu uśmiechnął się ironicznie. - Jednak nie strzelił do mnie niełojalny chemik, który sprzedał tajemnice swojej firmowej największym rywalom. Zrobił to jego ojciec. Niesamowite.

Nie chciał uwierzyć w winę swojego wspaniałego synka. Dzwonił chyba ze sześć razy, wykrzykując, że posłałem do więzienia najbardziej błyskotliwego przedstawiciela całego pokolenia, żeby zrobić mu na złość i zniszczyć karierę, bo ukrywałem kogoś innego. Miał zupełną obsesję. Chory psychicznie. W każdym razie któregoś dnia czekał na mnie przed biurem. Przeszedł kawałek po chodniku i strzelił mi w pierś. - Westchnął. - Nigdy nie zapomnę jego twarzy. Triumfujące zło... absolutne szaleństwo.

- I co się z nimi stało? - spytałem zafascynowany.

- Ojciec z przerwami w domu bez klamek. Nie wiem, co się dzieje z synem, chociaż już dawno pewnie wyszedł z więzienia. Smutne. Taki zdolny młody człowiek. Duma i radość ojca.

Zaciekawilo mnie to. - Czy próbujesz się czasem dowiedzieć, co się dzieje z ludźmi, których złapiesz... później?

- Nie, nieczęsto. Na ogół są oni próżni, zachłanni, bez serca, podstępni. Nic mnie nie obchodzi. Można ich żałować, ale zazwyczaj współczuję ich ofiarom.

- Nie tak jak w tym starym dowcipie.

- Jakim dowcipie?

- O mężczyźnie, który znalazł się wśród złodziei, a oni pobili go, okradli i zostawili w rynsztoku skrwawionego i nieprzytomnego. Nadeszło dwóch socjologów, popatrzyli na leżącego i jeden z nich mówi: „Ten, który to zrobił, potrzebuje naszej pomocy”.

Gerard zachichotał i skrzywił się lekko, przytrzymując ramię zdrową ręką.

- Nie możesz uważać, że moja historia jest normalna. Po prostu miałem pecha. Jeszcze tylko jeden z kolegów w naszej firmie odniósł kiedyś rany. Nie zapominaj, że większość policjantów przechodzi bez szwanku cały okres pracy zawodowej.

Nie wszyscy, pomyślałem.

- Tym razem twój pech był moją głupotą - usprawiedliwiałem się. Ostrożnie, sztywno pokręcił głową. - Nie obwiniaj się. Wróciłem na podwórko z własnej woli. I na tym poprzestańmy, zgoda?

Z wdzięcznością pomyślałem, że jest wspaniałomyślny, jednak w dalszym ciągu czułem się winny. Zawsze mi się wydawało, że rozgrzeszenie to fałsz. Błądzenie to rzecz ludzka, ale łatwe przebaczenie daje uczuciową swobodę powtarzania błędów. Nieustannie wybaczenie niszczy ducha. Przy odrobinie szczęścia, pomyślałem, nie powinienem już zrobić niczego, co naraziłoby mnie na przebaczenie Gerarda.

Chyba najlepiej określało go słowo „przywoity”. Jako detektyw nie był „barwny” w rozumieniu utworów literackich, co oznacza babiarz, niechluj i pijak. Dobroć, łatwo

zauważalna i równie trudna do zdefiniowania, jednak najtrudniejsza ze wszystkich zalet, była widoczna w zdecydowanych rysach jego twarzy. Poważny, racjonalny spokojny, zdawał się nie podlegać psychicznym zawirowaniom dotyczącym tak wiele osób, a przejawiającym się w małosłownym napawaniu się własną niewielką władzą, w zarozumiałej napuszoneści, w pozerającym niepokoju niepewności siebie. Wszystkie te cechy widywałem na co dzień nie tylko u moich klientów, ale także u ludzi, do których powinniśmy zwracać się z ufnością, u wszelkiego rodzaju urzędników, prawników czy lekarzy. Chociaż nigdy na pewno nie wiadomo, być może Gerard znajdował się w szponach licznych grzechów, może starannie ukrywał swojego pana Hyde'a, ale to, co widziałem, bardzo mi się podobało.

Powiedziałem mu o liście zakupowej złodziei, którą znalazł Brian, dałem mu jedną jej odbitkę i wyjaśniłem, że mógł to napisać własną ręką Paul Young.

- Wielkie nieba! - wykrzyknął, czytając. - Mógłby równie dobrze podpisać wyznanie!
- Mhm.

- Wiadomo, po co była złodziejom spisana lista - powiedział. - Wszystkie te francuskie nazwy. Musieli mieć możliwość porównania. W przeciwnym razie nigdy nie byłiby pewni, czy wzięli to, co trzeba.

- Chyba że znalazłby na pamięć etykiety. Gerard podniósł wzrok znad kartki papieru.
- Chcesz powiedzieć, że włamywacze nie są autorami całego oszustwa?
- Gdyby byli, nie potrzebowaliby spisu.
- Fakt. - Uśmiechnął się nieznacznie. - Jak myślisz, czy są to mordercy Zaraca?

Otworzyłem usta i zaraz je zamknąłem, ale kiedy minął drobny szok, powoli i niezdecydowanie pokręciłem głową.

- Nie wiem. Byli brutalni... ale w pewnym momencie, kiedy ten większy wyjął broń z furgonetki i wycelował we mnie, wyraźnie się zawahał. Gdyby uczestniczył już w morderstwie Zaraca... czy nie zabiłby mnie od razu?

Gerard zastanawiał się chwilę.

- Trudno powiedzieć. Zarac umarł z dala od Chińczyka z daniami na wynos. Wahanie mógł spowodować znacznie bardziej publiczny charakter podwórka. Jednak ludzie, którzy na złodziejską wyprawę zabierają broń, musieli choćby przez chwilę myśleć o zabiciu, nie zapominaj o tym.

Nie zapomnę, pomyślałem.

- Dlaczego zostałeś detektywem? - spytałem z ciekawością.
- Nie mów „detektywem”. Tina tego nie lubi.
- A więc konsultantem dochodzeniowym.

- Zostałem porwany z college'u w czasach, gdy praca detektywa mojemu niedojrzałemu umysłowi jawiła się w całym swym splendorze. - Znowu lekko krzywy autodrwiący uśmieszek. - Kończyłem kurs księgowości i chodziłem do szkoły biznesu, ale nie marzyłem o tym, by te nauki stosować w życiu. Prawdę mówiąc, te perspektywy raczej mnie odstraszały. Pewnego dnia wspomniałem w rozmowie z jednym z moich wujów, że chętnie poszedłbym pracować w policji, tylko że wywołałoby to masowe ataki serca w rodzinie. Był przy tym jego przyjaciel, który zapytał, dlaczego nie wstąpię do policji gospodarczej... oczywiście nawet nie wiedziałem, o czym on mówi, ale skierował mnie do agencji i chyba coś im szepnął. Zaproponowali mi próbną pracę przez rok i zaczęli mnie uczyć, jak się prowadzi poszukiwania... To była inna agencja, nie Deglet's. Ale Deglet's nas przejął, a ja byłem już częścią umeblowania i wyposażenia.

- Żałowałeś kiedyś?

Odparł zamyślony: - Bardzo modne jest tłumaczenie wszelkich przestępstw wpływem środowiska i wychowania, stałe obarczanie winą kogoś innego, nigdy danego winowajcy. Że niby nikt się nie rodzi zły i tak dalej. Gdyby nie nędzne mieszkanie, brutalny ojciec, bezrobocie, kapitalizm i tak dalej, i tak dalej... Pewnie słyszałeś to wielokrotnie. I spotykasz złoczyńcę z dobrego domu, który ma normalnych rodziców, pracę i nie może się powstrzymać od sięgnięcia do kasy. Widziałem bardzo, bardzo wielu takich. To właśnie ich śledzę. Czasami można wskazać na szczególny zbieg okoliczności, który sprzyjał ich złodziejstwu, szpiegostwu czy zdradzie zaufania, ale przekonuję się, że tak wielu z nich po prostu czuje potrzebę bycia nieuczciwym. Często nie z czystej konieczności, tylko dlatego, że to ich ekscytuje. I bez względu na to, jak na nich patrzysz, czy jak na biedne ofiary społeczeństwa, czy grabieżczych najeźdźców, niszczą wszystkich na swojej drodze. - Zmienił pozycję na poduszkach. Byłem wychowany w szacunku dla tego najbardziej staroświeckiego pojęcia, jakim jest fair play. Nawet obecny znużony świat potrafi przyznać, że wojna nie jest tak całkiem sprawiedliwa... a ja próbuję przywrócić fair play. Osiągam zwycięstwa w skromnym zakresie, a co minutę rodzi się następny oszust komputerowy... O co ty mnie pytałeś?

- Już mi odpowiedziałeś.

Przesunął koniuszkiem języka po wargach, jakby czuł, że są wysuszone. - Możesz mi podać wodę?

Podał mu szklankę i odstawiłem ją na miejsce, gdy skończył pić.

Bądź wdzięczny za wszelkie łajdactwo, pomyślałem. Zależy od niego praca milionów, w tym i Gerarda. Policjanci, prawnicy, inspektorzy podatkowi, strażnicy więzienni, urzędnicy

sądowi, ochroniarze, ślusarze, producenci alarmów antywłamaniowych... Co by z sobą poczęli jak świat długi i szeroki, gdyby nie różne twarze Kaina.

- Gerard...

- Słucham?

- Od czego się zaczynają i na czym się kończą moje obowiązki konsultanta?

- O co ci chodzi?

- No... w „Silver Moondance” nie było całej cysterny szkockiej. Szkocka whisky Rannoch nadal musi gdzieś być... może udaje Laphroaig, ale raczej paraduje jako Bell’s.

Gerard dostrzegł uśmiezek w kącikach moich ust i znowu zachichotał boleśnie.

- Myślisz, że mógłbyś ją znaleźć, gdybyś pił w każdym lokalu stąd do John o’Groats?

- Tylko w hrabstwach Berk i Oksford i nie dalej jak Watford. Na początek, powiedzmy, pięćdziesiąt tysięcy miejsc... Trochę kluczenia chwiejnym krokiem...

- Uspokój się. Śmiech sprawia mi ból.

- No i ta wizja marskości wątroby.

- Skoro ci zależy.

- To był tylko żart.

- Wiem. Ale... tak byłoby najlepiej.

- No cóż, mogę pić szkocką przy każdej okazji, jeśli nawet nie w każdym barze. Ale tak jej raczej nie znajdę.

- Nigdy nie wiadomo. Jakiś obskurny pub na bocznych uliczkach Reading...

Pokręciłem głową. - Raczej coś w stylu „Silver Moondance”, pełno dymu, hałasu, tańców i olbrzymi przerób.

Gerard zamyślił się. - Zależy, ile Kenneth Charter jest gotów wydać. Jak mówisz, to bardzo mało prawdopodobna droga... ale powiem mu o tym. Czasami takie kroki się opłacają, widziałem już sytuacje, w których sprawdzały się ewentualności przy szansie jeden do pięćdziesięciu tysięcy.

Nie spodziewałem się, że potraktuje mnie poważnie, toteż moja następna kwestia wydawała się teraz całkiem nieistotna. Mimo wszystko powiedziałem to, co zamierzałem powiedzieć:

- Namówiłem sierżanta Ridgera, żeby zwrócił mi jedną z butelek wina zarekwirowanych w „Silver Moondance”. Etykieta może okazać się pouczająca. Wiem, że na pozór nie ma to związku z cysternami Kennetha Chartera, ale... jeśli dowiemy się czegoś więcej o winie, może to nas zaprowadzić z powrotem do szkockiej.

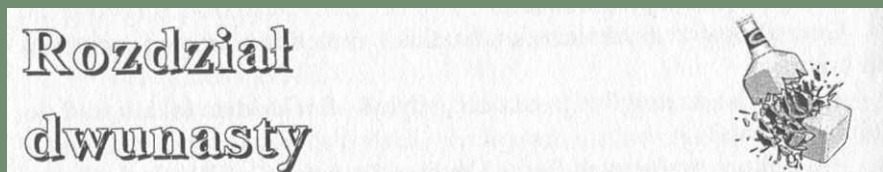
Popatrzył na odbitkę leżącą na kołdrze.

- Chcesz powiedzieć, do Paula Younga?

- No, chyba tak.

- Informacja o etykietkach na Winie zdecydowanie wchodzi w zakres konsultacji.

Zbytne zbliżanie się do Paula Younga na pewno nie.



Henri Tavel swoją soczystą francuszczyzną prosił, żebym przekazał najlepsze pozdrowienia mojej drogiej matce. Obiecałem, że to zrobię.

Oświadczył, że jest zachwycony, słysząc mój głos po tak wielu miesiącach, i po raz kolejny wyrażał niezmierny żal z powodu śmierci mojej tak kochanej Emmy.

Podziękowałem mu.

Powiedział, że cieszyłbym się ze zbiorów - obfity plon niewielkich wspaniałych winogron, bardzo pachnących; wszyscy w Bordeaux porównują to z rokiem 1970.

Pogratulowałem mu.

Spytał, czy znalazłbym czas na złożenie wizyty. Cała jego rodzina i moi liczni przyjaciele powitaliby mnie z radością, powiedział.

Wyraziłem ubolewanie, że w chwili obecnej nie pozwalają mi na to zajęcia w sklepie.

Zrozumiał. *C'est la vie*. Ma nadzieję, że będzie mógł mi pomóc, bo widocznie dzwonię w jakiejś sprawie.

Wdzięczny za tę zachętę opowiedziałem mu o zamienionym winie i o istnieniu rozmaitych etykietek.

- Niestety - odparł. - Na nieszczęście, zdarza się to bardzo często. Bardzo niepokojący problem.

- Jeśli opiszę ci jedną etykietkę, będziesz mógł mi powiedzieć, czy jest oryginalna? - spytałem.

- Naturalnie. Jutro to masz, kochany Tony.

Dzwoniłem z kantorka za sklepem, przede mną stała butelka St Estèphe.

- Na etykietce jest zamek z okolic St Estèphe, miejscowości, którą znasz tak dobrze.

- Dom moich dziadków. Tam mogę zapytać każdego.

- No więc ta etykietka jest rzekomo z Château Caillot. - Przeliterowałem mu nazwę. -

Coś ci to mówi?

- Nic. Nie zapominaj, że w tej części Haut Médoc musi być około dwustu niewielkich châteaux. Nie znam wszystkich, ale się dowiem.

- Wspaniale. Poza tym na etykietce czytamy: Mis en bouteilles par W. Thiery et Fils, négociants à Bordeaux.

W głosie Henri Tavela brzmiało powątpiewanie: - Nie znam żadnego W. Thiery et Fils - oświadczył. Pan Tavel, sam *négociants à Bordeaux* na pewno prędzej znałby sprzedawcę win w rodzinnym mieście niż chateau oddalone o siedemdziesiąt kilometrów na północ. - Dowiem się - obiecał.

- Na etykiecie jest też rocznik.

- Który rok?

- 1979.

- Obfity i całkiem dobry - orzekł.

- W sumie jest to bardzo atrakcyjna etykieta - powiedziałem. - Kremowe tło, czarno-złote liternictwo i zarys wytwornego chateau. Które zresztą coś mi przypomina... szkoda, że tego nie widzisz, może byś rozpoznał.

- Drogi Tony, odki ej nad parą i przyślij.

- Niewykluczone, że tak zrobię.

- A wino pod tą etykietką? - spytał. - Co powiesz o winie?

- Wydaje się, że przede wszystkim włoskie. Zmieszane może z jugosłowiańskim i jeszcze z czymś, co akurat było pod ręką. Sądzę, że nie da się dokładnie określić jego pochodzenia, nawet dla superznawcy. Jest lekkie. Niezbyt pełne. Brak mu wykończenia. Ale dość przyjemne. Da się wypić. Skądkolwiek pochodzi, nie zostało zbyt rozcieńczone przed rozlaniem do butelek...

- Rozlewane w Bordeaux - powiedział w zamyśleniu.

- Jeśli to chateau nie istnieje, wino mogło być rozlewane w każdym miejscu. Zachowałem korek. Robi wrażenie nowego i nie ma na nim żadnych liter.

Przedemną na biurku stało rzędem sześć korków, wszystkie były identyczne. Jeśli wino rozlewa się do butelek na miejscu, w chateau, we własnych piwnicach, na korkach daje się własny stempel z nazwą i rocznikiem. Każdy, kto zamawia wino rozlewane do butelek w chateau przy winnicy, będzie chciał obejrzeć korek, toteż fałszerz niezbyt chętnie prezentuje swoje wino jako butelkowane w chateau, bo istnieje zbyt wielkie ryzyko, że trafi się klient koneser, który zorientuje się, że nie dostał tego, co zamawiał.

Ktokolwiek wybierał etykiety do „Silver Moondance”, wybrał dobrze; znajomo brzmiące, szanowane nazwy, możliwe do sprzedania po niezłej cenie. Można się domyślać, że

samo wino, część wielkiego europejskiego winnego jeziora, kosztowało butelkującego jedną pięćdziesiątą ceny, którą brał od swoich klientów Larry Trent.

Spytałem Henri Tavela, kiedy mogę zadzwonić.

- Jutro wieczorem, mniej więcej o tej porze. Rozpytam się od rano.

Podziękowałem mu wylewnie i rozłączyliśmy się. Wyobrażałem sobie, że siedzi przy wielkim stole jadalnym przykrytym koronkowym obrusem i samotnie popija armagnac po wieczornym posiłku, bo wielokrotnie widywałem go w takiej sytuacji. Zwykle odmawiał oglądania telewizji z żoną.

*

Zgodnie z umową następnego dnia Flora przyjechała po mnie do sklepu i zawiozła mnie okazałym samochodem Jacka na wyścigi do Martineau Park. Przez całą drogę niemal nie przestawała mówić, powodowana nerwowym impulsem, głównie przestrzegała mnie przed tym, czego nie powinienem mówić w obecności Orkneya Swayle'a, właściciela, który tak ją onieśmiałał.

Pomyślałem, że nie ma żadnych powodów, by ktokolwiek onieśmiałał Florę. Miała pozycję w wyścigowym świecie, prezentowała się przyjemnie, typ macierzyńskiej kobiety w wieku średnim, ubrana była stosownie do okazji w kostium i wyraźnie kosztowne buty. Jednak pewność siebie powinna płynąć ze środka, a łatwo było się domyślić, że w środku Flora stanowiła sparaliżowaną galaretę.

- Nie pytaj go, dlaczego ma na imię Orkney. Tam został poczęty. Roześmiałem się.

- Masz rację, ale on tego bardzo nie lubi. Lubi samo imię ze względu na jego pretensjonalność, która bardzo mu imponuje. Tony, skarbie, gdybyś mógł się zachować równie snobistycznie jak Jimmy, Orkney dobrze by to przyjął. Używaj tych swoich intonacji klas wyższych, jak to czasem robisz, kiedy się zapomnisz, bo wiem, że trochę się pilnujesz w sklepie, bo to może być onieśmielające dla wielu osób, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

Byłem rozbawiony, ale i lekko speszony jej spostrzegawczością. Już pierwszego dnia pracy w charakterze generalnego pomocnika w sklepie z winem, podczas zamykania i przenoszenia skrzynek, zorientowałem się, że mój głos nie pasuje do otoczenia, toteż odpowiednio go zmodyfikowałem. Przekonałem się, że chodziło głównie o to, żeby artykułować nie z głębi gardła, ale blisko zębów, odwrotnie do tego, czego nauczyłem się z takim trudem, starając się mówić po francusku jak Francuz.

- Będę się starał jak najlepiej naśladować Jimmy'ego - obiecałem. - A propos, jak on się czuje?

- Dzięki Bogu, dużo lepiej. Wyraziłem radość z tego powodu.

- Wiesz, Orkney uważa, że Jack jest jego własnością - powiedziała, wracając do gnębiącego ją tematu. - Nie znosi, kiedy Jack rozmawia z innymi właścicielami. - Zwolniła przed rondem i westchnęła. - Niektórzy właściciele są straszliwie zazdrośni, choć pewnie nie powinnam o tym mówić, ale Orkney bardzo się irytuje, jeśli w tej samej gonitwie co jego koń biegnie jeszcze inny podopieczny Jacka.

Prowadziła samochód dobrze i automatycznie, myślami daleka od drogi. Powiedziała, że zwykle ona wozi Jacka na wyścigi, on lubi czytać i rozmyślać, a w drodze powrotnej śpi. - Chyba jedyne chwile, kiedy siedzi spokojnie, więc pewnie dobrze mu to robi.

- W jakim wieku jest Orkney? - spytałem.

- Chyba zbliża się do pięćdziesiątki. Produkuje jakieś zupełnie niewymawialne sztuki bielizny, ale nigdy nie powie dokładnie, co to jest. Skarbie, on o tym też nie lubi mówić. - Niemal zachichotała. - Reformy z czasów dyrektoriatu? Jak myślisz?

- Będę pamiętał, żeby o to nie pytać - oświadczyłem z ironią. - Reformy z czasów dyrektoriatu! Chyba nie noszą ich już nawet prababcie?

- Można je zobaczyć w tych niewielkich ogłoszeniach w sobotnich gazetach, obok urządzeń do zachowania prostych pleców, jeśli ktoś się garbi, i dźwiękowych alarmów, które właściwie nie wiadomo do czego służą, i wielu innych zadziwiających rzeczy. Zauważyłeś?

- Nie - odparłem z uśmiechem.

- Czasami myślę o ludziach, którzy to wszystko kupują. Jak bardzo różne jest życie każdego z nas!

Spojrzałem na jej krągłą i dobroną twarz, schludne siwiejące włosy, kolczyki z pereł i nie po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że treść jej wypowiedzi świadczy o znacznie większej przenikliwości niż forma ich wypowiedzenia.

- Powiedziałam ci, skarbie, że Orkney ma lożę na wyścigach, prawda? Więc jak tylko dojedziemy, zaraz tam pójdziemy, no i oczywiście po gonitwie na długie godziny, on nie może przestać analizować. Pewnie będzie tam z nim kobieta... Mówię ci o tym, skarbie, bo ona nie jest jego żoną, a on nie lubi, jak ludzie o to pytają, więc nie pytaj żadnego z nich, czy są małżeństwem, dobrze?

- Sporo tych tematów, o których nie lubi mówić.

- O tak, to bardzo niezręcznie, ale jeśli będziesz trzymał się koni, wszystko będzie dobrze. On tylko o tym lubi mówić i będzie to robił przez cały wieczór, a naturalnie ja akurat tego nie potrafię, o czym dobrze wiesz.

- A jeszcze jakaś niebezpieczna cegła? - spytałem. - Religia, polityka, historia średniowiecza?

- Tony, skarbie, przekomarzasz się ze mną. - Skręciła do bramy wjazdowej do Martineau Park, strażnik przy bramie machnął przyzwalająco ręką, najwyraźniej ją rozpoznał.
- Nie zapomnij, że jego koń nazywa się Breezy Palm, jest to dwuletni ogier, w tym sezonie biegał dziewięć razy i dwa razy wygrał, a raz wyrwał się z boks startowego i niemal stratował pomocnika startera, więc lepiej może, żebyś o tym też nie wspominał.

Zaparkowała samochód, ale nie wysiadła od razu, założyła odpowiedni kapelusz i nachylała go pod odpowiednim kątem we wstecznym lusterku.

- Skarbie, nawet nie zapytałam, jak twoja ręka, bo nie ulega wątpliwości, że cię boli.

- Widać to? - rzuciłem lekko zmartwiony.

- Skarbie, kiedy ruszasz ręką, krzywisz się.

- Ou!

- Czy nie byłoby lepiej trzymać ją na temblaku?

- Chyba lepiej się nią posługiwać.

Spoczął na mnie jej łagodny wzrok. - Wiesz, drogi Tony, myślę, że najpierw powinniśmy pójść do sali pierwszej pomocy i pożyczyć taki wąski czarny temblak, jakiego używają dżokeje od biegów z przeszkodami, kiedy coś sobie złamią. Dzięki temu nie będziesz musiał się z nikim witać, a zauważyłam, że wczoraj unikałeś witania się z Tiną. Ludzie też nie będą na ciebie wpadać, kiedy zobaczą, że powinni uważać.

Zatkało mnie. Poszliśmy do ambulatorium pierwszej pomocy, gdzie Flora dostała to, czego chciała, dzięki mieszance wdzięku i natręctwa. Wyszedłem stamtąd z uczuciem wdzięczności, co nie przeszkadzało, że czułem się również głupio.

- Tak jest lepiej, skarbie - orzekła, kiwając głową. - Teraz możemy iść do loży Orkneya. - Zniknęło gdzieś całe zdecydowanie, tak wyraźne w ambulatorium. - O Boże, przy nim czuję się tak głupia i niezdarna, jakbym ciągle jeszcze była w szkole.

- Wyglądasz na osobę opanowaną, dobrze ubraną, która potrafi każdemu stawić czoło - powiedziałem zgodnie z prawdą. - Pozbądź się wszelkich wątpliwości.

Jednak jej wzrok był pełen tych wątpliwości, a oddech krótki i nerwowy, kiedy winda wiozła nas na czwarte piętro.

Trybuny na torze wyścigowym w Martineau Park należą do najlepszych w kraju, zaprojektowane i zbudowane w całości za jednym zamachem, nie modernizowane po kawałku, jak to się działo na innych torach. Mniej więcej w 1950 roku stare trybuny osiągnęły niebezpieczny stan zrujnowania, więc postanowiono je rozebrać i budować od początku. Można było co prawda czepiać się tuneli wentylacyjnych (działalność szkoły architektonicznej pozbawionej znajomości elementarnych praw fizyki), uniknięto jednak

katastrof związanych z obniżaniem kosztów, znanych z innych torów. Tutaj można było na przykład niemal z każdego miejsca oglądać gonitwy, siedząc pod dachem, a potem celebrować wygrane w barach wystarczająco dużych, by pomieścić cały tłum. Wokół paradnego ringu istniała ogrzewana (lub chłodzona) oszklona galeria, a miejsca, gdzie rozsiadano konie po biegu, były zadaszone (jak w Aintree), dzięki czemu wszystkie poklepywania pleców mogły się odbywać na sucho.

Dwie długie kondygnacje umieszczonych wysoko łóż były dostępne z zamkniętych korytarzy. Kiedy wysiedliśmy z windy, kelnerki pchały tace na kółkach pełne jedzenia; o ileż lepsza sytuacja niż w Ascot, gdzie przepychały się z tacami przez otwarte galerie, a w powietrzu często fruwały ekierki. Prawdę mówiąc, Martineau Park był niemal zbyt komfortowy jak na brytyjski tor.

Flora prowadziła mnie do łoży pełna najgorszych przeczuć. Pomyślałem, że Orkney Swayle nie może być aż tak onieśmielający, jak jej się wydaje.

Drzwi do łoży były otwarte. Oboje z Florą stanęliśmy w progu równocześnie. Pod ścianą stał kredensik, który bynajmniej nie uginał się pod ciężarem potraw i napojów. Resztę przestrzeni zajmowały niewielkie stoły i krzesła, szklane drzwi za nimi prowadziły na balkon widokowy. W prawo od drzwi wejściowych czysta i raczej pusta spiżarnia-służbówka. W łoży Orkneya, nie tak jak w innych, które minęliśmy po drodze, nie podawano lunchu. Przy jednym ze stolików siedział samotny mężczyzna, z głową pochyloną nad gazetą i listą gonitw, w ręku trzymał pióro, gotów do robienia notatek.

Flora chrząknęła, powiedziała drżącym głosem „Orkney?” i zrobiła trzy nieśmiałe kroczki w głąb łoży. Mężczyzna niespiesznym ruchem obrócił głowę, uniósł pytająco brwi. Nawet kiedy już zobaczył Florę i najwyraźniej ją rozpoznał, nie spieszył się ze wstawaniem. Wreszcie podniósł się, ale w taki sposób, jakby grzeczność była czymś, co właśnie wpadło mu do głowy, a nie instynktownym aktem powitania.

Był to wysoki, bardzo jasny blondyn, jasnoniebieskie oczy ukrywały się za okularami, a uśmiech zjawiał się opornie.

- Orkney, to jest Tony Beach - przedstawiła Flora.

Spokojnie zmierzył mnie wzrokiem od góry do dołu, zatrzymując się chwilę na temblaku. - Asystent Jacka? - spytał.

- Nie, przyjaciel - wyjaśniła Flora.

- Bardzo mi miło - rzuciłem w najlepszym stylu Jimmy'ego, zostało to skwitowane skinieniem głowy, co Flora przyjęła z ulgą, choć nadal miała tendencję do przestępowania z nogi na nogę.

- Jack prosił, żebym ci powiedziała, że ma od koniuszego pozytywne meldunki o Breezy Palm - oznajmiła mężnie.

- Sam rozmawiałem z Jackiem - powiedział Orkney. Po wyraźnie zaznaczonej pauzie spytał: - Może się czegoś napijecie?

Czułem, że Flora zamierza odmówić, więc szybko powiedziałem „Owszem, dlaczego nie” z typową dla Jimmy’ego intonacją, jako że Florze bardzo mógł się przydać jakiś trunek na uspokojenie.

Orkney omiółł wzrokiem kredensik, na którym stała butelka dżinu, butelka szkockiej, liczne dodatki i kieliszki. Wziął do ręki pustą szklaneczkę ze stolika, przy którym siedział, postawił ją na kredensiku i wyciągnął rękę po butelkę dżinu Seagram.

- Flora, dżin z tonikiem? - zaproponował.

- Bardzo chętnie.

Flora kupowała ode mnie dżin, by częstować nim właścicieli, choć nie był to akurat jej ulubiony trunek, jak mi powiedziała. Patrzyła z niepokojem, jak Orkney nalewa dżin na wysokość dwóch palców i rozcieńcza go taką samą ilością toniku.

- Lód? Cytryna? - spytał i wrzucił do szklanki jedno i drugie, nie czekając na odpowiedź. Podał Florze szklanekę, patrząc na mnie: - To samo...?

- Szkocką. Jeśli można.

Była to whisky Teacher’s. Wlał na wysokość dwóch palców i trzymał rękę pomiędzy butelką z piwem imbirowym a wodą sodową, pytająco unosząc brwi.

- W stanie naturalnym. Bez lodu - dodałem.

Brwi uniosły się wyżej. Podał mi szklaneczkę, zakręcił butelkę z whisky i zabrał się do nalewania sobie dżinu. Dwa i pół palca. Bardzo niewiele toniku. Dwa kawałki lodu.

- Na szczęście - powiedziałem, pijąc pierwszy łyk. - Za... Breezy Palm.

- Jak najbardziej - podchwyciła Flora. - Za Breezy Palm.

Po moim języku spływała mieszanka smaków, każdy oznajmiał osobno swą obecność, zboże, słód i dębowe drewno, tak znajomo i wyraźnie; powoli odchodziły, pozostawiając jedynie ogólny posmak. Być może nie potrafiłbym wybrać autentycznej whisky Teacher’s z rzędu podobnych mieszanek, ale jedno było pewne: nie piłem w tej chwili whisky Rannoch.

- Zranił pan rękę? - spytał Orkney.

- Aa... drobny wypadek z drzwiami - odparłem.

Oczy Flory wyraźnie się rozszerzyły, ale ku mojej wielkiej uldze nie pospieszyła natychmiast z wyjaśnianiem szczegółów. Orkney skinął głową, jakby tym kwitując pułapki czyhające w życiu na człowieka. - To się zdarza - powiedział.

W progu pojawiła się kelnerka z wózkiem. Spojrzałem na Florę i zorientowałem się, że nie należy po tym zbyt wiele oczekiwać; i rzeczywiście pojawiły się jedynie trzy średniej wielkości talerze z kanapkami bez skórki, krakersami z serem i truskawkowymi ciasteczkami. Wszystko było ciasno zawinięte w folię, toteż kelnerka zapytała, czy ma odpakować tę skromną ucztę, ale Orkney oświadczył, że później zrobi to sam, więc mogliśmy jedynie zerkać łakomie na ów lunch znajdujący się całkowicie poza naszym zasięgiem.

- W dawnych dobrych czasach - powiedziała mi później Flora - można było do loży przynosić własne jedzenie i napoje, ale teraz jest to niemożliwe, a niektóre rzeczy są niewiarygodnie drogie, co Orkneya tak denerwuje, że zamawia absolutne minimum. Naprawdę nie jest aż tak skąpy, jak się wydaje, ma po prostu taki sposób bycia... kiedyś nam powiedział, że za alkohole płaci się w loży takie ceny jak w barze, cokolwiek to znaczy, i że to go strasznie złości.

- Tyle się płaci? Jesteś pewna?

- Skarbie, czy to bardzo źle?

- Sądząc po cenach w barach na wyścigach, oznacza to ponad sto pięćdziesiąt procent zysku na butelce szkockiej.

Flora policzyła w myślach. - Więc w loży Orkney musi zapłacić za butelkę ponad dwukrotnie więcej niż u ciebie w sklepie?

- Owszem, dużo więcej niż dwukrotnie.

- No cóż, nie miałam pojęcia, że trunki w loży kosztują aż tyle.

- Za funta można więc ledwie zwilżyć szkło.

- Żartujesz ze mnie.

- Niezupełnie.

- To nic dziwnego, że Orkneya złości tak wysoka cena, zwłaszcza że kiedyś mógł przynosić swój alkohol.

- Mhm - potwierdziłem w zadumie. - Dzierżawcy lokali mają duże zyski, oczywiście, ale żeby tutaj butelkę liczyć na miarki...

- Na miarki?

- Trzydzieści trzy miarki na butelkę. Taka jest pojedyncza miara alkoholu we wszystkich barach, nie tylko na wyścigach. Dwa centylitry. Jeden duży łyk albo dwa małe.

Flora nie mogła w to uwierzyć. - No tak, ja nieczęsto kupuję drinki w barze. Zwykle robi to Jack.

Z tej perspektywy Orkney Swayle wydawał się niesłychanie rozrzutny, hojność dobrze ukryta za oschłością manier. W ciągu popołudnia zorientowałem się, że nie starał się

świadomie być niegrzeczny, płynęło to raczej z bezmyślnego zwyczaju, tego typu zachowanie można wynieść z domu rodzinnego, w którym panowała daleko posunięta rezerwa. Zdawało się, że Orkney nie zdaje sobie sprawy z tego, jak oddziałują na otoczenie i byłby pewnie zaskoczony wiadomością, że przyprawia Florę o drgawki.

Obniżał poziom dżinu w butelce, nie spuszczać ze mnie wzroku.

- Zna się pan na koniach? - spytał.

Już zaczynałem mówić „nie bardzo”, ale Flora nie życzyła sobie tego rodzaju skromnych zaprzeczeń z mojej strony, chciała zrobić na Orkneyu wrażenie.

- Oczywiście, że się zna. Jego matka prowadzi polowania, ojciec był pułkownikiem i wspaniałym jeźdźcem amatorem, dziadek też był pułkownikiem i prawie wygrał Wielką Narodową.

W oczach Orkneya pojawił się na moment leciutki błysk; pomyślałem z zaskoczeniem, że może jednak w głębi duszy nie jest tak zupełnie pozbawiony poczucia humoru.

- Nieźle, Floro, to nienaganne referencje.

Zamilkła, niepewna, czy Orkney z niej kpi, nos jej się zaczerwienił i z nieszczęśliwą miną wpatrywała się w kieliszek.

- Breezy Palm - zaczął Orkney, zupełnie na nią nie zważając - jest potomkiem Desert Palm po Breezy City i Draughty Coty, który był przyrodnim bratem Goldenburgha. A jego potomek wygrał oczywiście Arc de Triomphe.

Zamilkł, jakby oczekiwał komentarzy, więc rzuciłem: Jakże interesujący rodowód”, co zdawało się obejmować większość ewentualności, również moją całkowitą nieznajomość wszystkich wymienionych koni.

Skinął głową zamyślony. - Oczywiście amerykańska krew. Draughty City to potomek Chicago Lake z matki od Michigana. Dobre, mocne i wytrzymałe konie. Naturalnie nigdy nie widziałem Draughty City, ale rozmawiałem z ludźmi, którzy widzieli go na torze. Trudno o lepszą mieszankę niż amerykańska i brytyjska krew. Zawsze to mówię.

- Na pewno ma pan rację - powiedziałem.

Orkney jeszcze przez dłuższy czas perorował na temat przodków Breezy Palm, ja wtrącałem od czasu do czasu odpowiednie komentarze, a Flora, którą widziałem jedynie kątem oka, powoli zaczynała się rozluźniać.

Jednak dokonane przez nią postępy wzięły w łeb w jednej chwili, bo właśnie wróciła z toalety dama, która nie była żoną Orkneya. Nie ulegało wątpliwości, że jeśli przy Orkneyu Flora czuje się niezdarna, to przy tej pani uczucie to potęguje się w dwójnasób.

Kobieta była mniej więcej o dziesięć centymetrów wyższa od Flory, o tyleż szczuplejsza i jakieś sześć lat młodsza. Miała też uderzająco duże szare oczy, długą smukłą szyję i świetlisty makijaż; ubrana była niemal tak samo jak Flora, ale znacznie bardziej szykownie: kostium, dobre buty, filcowy kapelusz założony pod bardzo twarzowym kątem. Elegancka, dojrzała, wyrafinowana uwodzicielka.

Wyglądem nie mogły konkurować. Przy niej Flora wydawała się przysadzista i zdawała sobie z tego sprawę. Objąłem ją i przytuliłem; przez jedną przerażającą sekundę miałem wrażenie, że to wywoła łzy.

- Flora, oczywiście znacie się z Isabellą - odezwał się Orkney. - Isabella, moja droga, to jest eskorta Flory... ee... jak pan się właściwie nazywa?

Powiedziałem mu. Powtórzył to Isabelli. Isabellą i ja wymieniliśmy uśmiechy powitalne średniej serdeczności, a Orkney powrócił do tematu amerykańskich przodków.

Gonitwy zaczynały się i kończyły: pierwsza, druga, trzecia. Za każdym razem wszyscy schodzili na dół obejrzeć konie na paradnym padoku, potem wracali do łoży obejrzeć gonitwę. Orkney grał ostro, korzystając z bukmacherów przy torze. Isabellą wymachiwała garściami zakładów w systemie Tote. Flora stwierdziła, że nie będzie sobie zawracała głowy obstawianiem, woli się upewnić, czy z Breezy Palm wszystko w porządku.

Poszedłem z nią. Koniuszy (nie wazeliniarz Howard, ale dynamiczny facet o przenikliwych, niespokojnych oczach) powiedział tajemniczo, że koń jest w takiej formie, w jakiej zwykł być, i że pani Hawthorn nie powinna się niepokoić, bo wszystko jest w porządku.

Pani Hawthorn nie posłuchała naturalnie tej dobrej rady i nie przestawała się martwić.

- Skarbie, dlaczego nie powiedziałeś Orkneyowi, co się naprawdę stało z twoją ręką? - spytała.

- Nie jestem z tego szczególnie dumny - wyjaśniłem prozaicznie. - Nie chcę o tym mówić. Tak jak Orkney o sobie.

Flora, wieczna gaduła, głęboko westchnęła. - Bardzo to dziwne, skarbie. Nie ma się przecież czego wstydzić.

Wjechaliśmy windą i wróciliśmy do łoży; Flora pożądliwie spoglądała na ciągle nierozpakowane jedzenie i zapytała, czy jadłem lunch.

- Nie - odpowiedziałem - a ty?

- Powinnam była pamiętać, ale zapomniałam - westchnęła. I opowiedziała mi o nienawistnym stosunku Orkneya do wyścigowych restauracji.

Orkney nie zaprosił żadnych innych gości. Oczekiwał, że obydwój z Florą na każdą kolejną gonitwę wrócimy do łoży, ale nie powiedział tego. Mówiąc najdelikatniej, dość trudny gospodarz.

Kiedy czekaliśmy na balkonie widokowym na rozpoczęcie trzeciej gonitwy, a konie dopiero zmierzały na punkt startu, zapytał Florę, czy Jack znalazł dzierżawcę na jego klacz. Zapomniał sam o to zapytać, kiedy dzwonił do szpitala.

- Na pewno zrobi to, jak tylko wróci do domu - rzekła pojednawczo Flora. A potem zwróciła się do mnie z wyjaśnieniem: - Orkney jest właścicielem jednego z koni dzierżawionych przez Larry'ego Trenta.

- Moja niezła klaczka po Fringe'u. Trzylatka z dobrze sklepioną klatką, co oczywiście wzięła po matce.

- Musiałem ją widzieć w stajni Jacka - próbowałem sobie przypomnieć. Dokładnie mówiąc, cztery wieczory pod rząd.

- Naprawdę? - Orkney wykazał zainteresowanie. - Ciemna kasztanka, biała gwiazdka, łagodny wzrok.

- Pamiętam. Dobre kości. Ładne proste pęciny. Ma wyraźne zagojone blizny na karku. Wyglądało na drut kolczasty.

Orkney wydawał się zadowolony i strapiiony zarazem.

- Kiedyś uciekła jako dwulatka. I musiała się wpakować na jedyny kawałek kolczastego drutu w całym hrabstwie. Konie naprawdę nie mają wyczucia.

- Łatwo wpadają w panikę - przyznałem.

Od tej chwili Orkney zdecydowanie zmienił stosunek do mnie, co Flora natychmiast spostrzegła z nieukrywaną satysfakcją.

- Pańska klaczka dobrze się spisywała u Larry'ego Trenta - zauważyłem.

- Nieźle. Wygrała handicap w Newbury i drugi w Kempton. Obaj z Larrym zarobiliśmy trochę na zakładach, ale ja oczywiście miałem nadzieję na duży druk.

Zobaczyłem, że na obliczu Flory zaczyna się malować niepokój.

- Oczywiście - potwierdziłem bardzo pewnie, co ją wyraźnie uspokoiło. „Duży druk” powrócił w samą porę jako wspomnienie z dzieciństwa. Prestiżowe gonitwy i wysokie nagrody drukowano grubymi czarnymi czcionkami w katalogach aukcyjnych; taka wzmianka przy imieniu klaczy przeznaczonej do hodowli znacznie podnosiła cenę jej potomstwa.

- Będzie pan ją trenował w przyszłym roku? - zapytałem.

- Jeśli znajdę dzierżawcę. - Zrobił króciutką pauzę. - Ja naturalnie wolę puszczać dwulatki. W tym roku miałem u Jacka cztery. Jeśli są dobre, sprzedaję, a klacze z dobrym

rodowodem wydzierzawiam, wtedy albo sam mogę później mieć od nich potomstwo, albo sprzedać je jako klacze hodowlane. Larry często brał moje klacze jako trzy - lub czterolatki. Miał dobre oko, jeśli chodzi o konie. Biedny Larry.

- Owszem, słyszałem o tym.

- Pan go znał?

- Nie. Widziałem go na tym przyjęciu... nic więcej. - Zobaczyłem go oczyma wyobraźni, i żywego, i bez życia, człowieka, którego śmierć uruchomiła tyle rzeczy.

- Ja nie poszedłem na to przyjęcie - powiedział spokojnie Orkney. - Szkoda, że tak zginął...

- Pan go dobrze znał? - spytałem.

- Dostyc dobrze. Oczywiście nie byliśmy bliskimi przyjaciółmi. Łączyło nas zainteresowanie końmi.

Ton głosu Orkneya mówił wyraźnie to, czego nie wypowiedziały usta: w ocenie Orkneya Larry Trent nie należał do towarzystwa.

- Więc... nie bywał pan w tym jego lokalu „Silver Moondance”?

Niezbyt komunikatywną twarz Orkneya przebiegł leciutki skurcz.

- Owszem, raz się tam z nim spotkałem, w jego biurze, żeby omówić interesy. Potem zjedliśmy kolację. Kolację z tańcami, jak mówił Larry. Bardzo głośna muzyka... - Nie dokończył zdania, nie wypowiedziana krytyka kryła się w domyśle.

- A jak panu smakowało wino?

- Wino? - Był wyraźnie zaskoczony.

- Handluję winem - wyjaśniłem.

- Naprawdę? - Wydawało się, że kupcy winni w świecie Orkneya mieli tymczasem niezłe notowania. - Ciekawe. O ile pamiętam, wino było całkiem do przyjęcia. Naturalnie jak na kolację z tańcami.

Całkiem do przyjęcia jak na kolację z tańcami to wspaniałe określenie lepszego sikacza w tych wszystkich podejrzanych butelkach. Pomyślałem, że nie ma sensu pytać Orkneya o szkocką; był zwolennikiem dżinu.

Konie do trzeciej gonitwy pojawiły się na torze i przegalopowały przed trybunami. Orkney uniósł olbrzymią lornetkę i przyglądał się swojemu faworytowi, efektownemu gniadoszowi o kroku skocznym i niecierpliwym jak impala, na karku konia już pojawił się pot.

- Walczy z dżokejem - mruknął Orkney. - Przegrywa wyścig w drodze na start. - Opuścił lornetkę i wykrzywił się pogardliwie.

- Larry Trent czasami kupował konie na aukcjach - powiedziałem zdawkowo, nie spuszczać oka ze stawki. - Dla pana też?

- Nie, nie, dla swojego brata. - W tym momencie Orkney interesował się wszystkim poza mną. - Konie w trakcie treningu. Trzylatki, albo cztero - czy pięcioletki. Sprzedawał je za granicę i tak dalej. A ja to kupuję roczniaki... oczywiście według wskazówek agentów hodowlanych.

Flora przysłuchiwała się temu, a wyraz jej twarzy przeszedł gwałtownie od zaskoczenia do zrozumienia. Zniknięcie Ramekina wyjaśniło się w najbardziej zwyczajny, całkiem niesekretny sposób. Flora nie zdradzała objawów rozczarowania, ale w jej zrozumieniu zdecydowanie krył się lekki zawód.

- Patrzcie tylko! - wykrzyknął z urazą Orkney. - Ten przeklęty zwierzak się wyrwał!

Jego faworyt pokonał dżokeja i oddalał się spokojnym galopem. Orkney przytknął do oczu lornetkę, usta wyrażały posępną pogardę. Najwyraźniej chętnie ukręciłby łeb dżokejowi, gdyby tylko go dorwał.

- A zna pan tego brata Larry'ego Trenta? - spytałem.

- Co? Nie, nie, nigdy go nie widziałem. Tylko Lany mówił... No coś podobnego! Ten kretyń powinien zostać ukarany! Widziałem, jak Lany kupował na aukcji dobrego konia za prawie pięćdziesiąt tysięcy. Spytałem, dlaczego mając takie pieniądze, woli dzierżawić. To gotówka brata, wyjaśnił. Nie jego liga. Ale on potrafił wybierać konie, a brat nie. Jedyna rzecz, której brat nie potrafi - tak mi powiedział. Usłyszałem w tym zawiść. No, ale tacy są ludzie. Spójrzcie tylko na tego cholernego kretyń! Minał start. To naprawdę fatalnie! Kompromitacja. - W jego głosie zabrzmiała niepojęta wściekłość. - Teraz start się opóźni i będziemy się spieszyć z gonitwą Breezy Palm.



Miał rację. Start był opóźniony. Faworyt Orkneya przyszedł na metę przedostatni i skrajnie wyczerpany, a my musieliśmy się bardzo spieszyć do Breezy Palm.

Orkney był wyraźnie niezadowolony. Zrobił się chłodny i egoistycznie nieprzyjemny.

Potulnie sprowadziłem Florę na dół do boksów, gdzie siodłano konie, poruszaliśmy się jednak zdecydowanie wolniej niż nasz rozszluszczony gospodarz, który popędzał swoją damę.

- Mój drogi, nie masz mu chyba za złe, że nazwał cię moją eskortą, co? - spytała z niepokojem Flora.

- Absolutnie nie, z przyjemnością będę cię eskortował, zawsze i wszędzie.

- Tony, skarbie, tak bardzo podnosisz mnie na duchu. Znaleźliśmy się w boksie w momencie zakładania miniaturowego siodła na płachtę z numerem, plastikowy popręg zwiślał luźno.

Breezy Palm, kasztan z trzema białymi skarpetkami, wyglądał tak, jakby miał jeszcze trochę urosnąć, szczególnie z przodu. Konie podobnie jak dzieci rosną z przerwami, a przednie nogi Breezy Palm nie dorównały jeszcze ostatniemu zrywowi nóg tylnych.

- Dobry mocny zad - odezwał się w najlepszym stylu Jimmy'ego.

Obcesowy koniuszy zajęty zapinaniem poprzęgu spojrział na mnie z nadzieją, ale Orkney nie miał nastroju na pochlebstwa.

- Nareszcie znowu dochodzi do siebie - powiedział kwaśno. - Wygrał dwa razy w lipcu, ale od tej pory przynosi tylko denerwujące rozczarowania. Oczywiście, to nie jest wina Jacka. - Jednak głos naładowany był krytyką. - Błędy dżokejów, wystawiony w złej gonitwie, przestraszony na starcie, lepszy start był mu potrzebny, zawsze coś.

Ani koniuszy, ani Flora nie mieli zadowolonej miny, nie byli jednak zaskoczeni. Przedwyścigowe nerwy Orkneya pewnie należały do programu.

- Nie mogłeś go osiodłać wcześniej? - pytał nadaśnany. - Musiałeś wiedzieć, że gonitwa była opóźniona.

- Zwykle lubi pan asystować przy siodłaniu swoich koni.

- To prawda, ale trzeba się posługiwać zdrowym rozsądkiem.

- Bardzo mi przykro, proszę pana.

- A nie możesz się pospieszyć? - pytał Orkney coraz bardziej szorstko, kiedy koniuszy przecierał gąbką nos i wargi konia. - Już jesteśmy cholernie spóźnieni.

- Zaraz idziemy. - Wzrok koniuszego zatrzymał się na derce, którą trzeba będzie zarzucić na siodło, żeby mięśnie nie wystygły w chłodzie październikowego dnia. Jeszcze naczynie z olejem do wypolerowania kopyt... w programie napisano, że stajenny, którego koń będzie najbardziej zadbany, otrzyma nagrodę.

- Fatalnie - niecierpliwił się Orkney. - Już powinniśmy być na padoku. - Obrócił się gwałtownie i ruszył w tamtym kierunku, pewny, że Isabella, Flora i ja natychmiast podążymy za nim.

Isabella zdawała się znosić to ze stoickim spokojem. Flora rzuciła się w pościg za Orkneyem, ale chwyciłem ją gwałtownie za rękę, wiedząc o tym, że będzie ją bardziej, a nie mniej szanował, jeśli za nim nie popędzi.

- Powoli, powoli, jeszcze dżokeje nie wyszli.

- No dobrze. - Robiła wrażenie winnej, nie tylko zmieszanej, dreptała drobnymi szarpanymi kroczkami między długonogą Isabellą a mną.

Dołączyliśmy do Orkneya na padoku wcale nie później niż inne zespoły właściciel-trener.

Fatalny humor nie opuścił Orkneya nawet wtedy, gdy w końcu na padoku pojawił się Breezy Palm, pięknie wybluszczony. Zbliżający się do konia dżokej, który wydawał mi się pograżony jeszcze w poprzednich doświadczeniach, został sarkastycznie pouczony, aby nie czekał ze zwycięskim zrywem tak długo jak ostatnim razem, i żeby przypadkiem nie zasnął w boksie startowym, jeśli nie zrobi mu to różnicy.

Dżokej wagi piórkowej słuchał z twarzą pozbawioną wyrazu, wpatrywał się w ziemię, ciało miał wyraźnie rozluźnione. Wszystko to już słyszałem, pomyślałem, i po prostu się nie przejmuję. Zastanawiałem się, czy gdybym był dżokejem, przykładałbym się całym sercem do wygrania wyścigu dla właścicieli, którzy w ten sposób mnie traktują. Doszedłem do wniosku, że chyba nie. W tym momencie niepewne widoki Breezy Palm stały się dla mnie zupełnie jasne. Ciekawe, jak zachowa się przegrany Orkney, skoro jest tak paskudny, kiedy żyje nadzieją.

Odezwał się gong wzywający dżokejów do zajęcia miejsc. Dżokej dosiadający Breezy Palm skinął Orkneyowi głową i odjechał, choć Orkney nadal mu powtarzał, że jeśli nadużyje bata, będzie miał do czynienia z komisją regulaminową.

Flora trzymała się blisko mnie, niemal się do mnie kleiła. Kiedy Orkney obrócił się na pięcie i odmaszerował z padoku, nawet się nie oglądając na Isabellę ani na swojego konia, powiedziała do mnie drżącym głosem: - Jack sobie z nim radzi, aleja nie. Jack nie pozwala na takie chamstwo wobec dżokejów. Jeden z nich odmówił jazdy na jego koniach, wyobrażasz sobie?

- Mmm. Czy musimy wracać do łoży, żeby obejrzeć gonitwę?

- O Boże, oczywiście - odparła kategorycznie. - W każdym razie ja muszę... ty możesz zostać... pójdę sama.

- Nie wyglupiaj się.

Rozejrzałem się za dekoracyjną Isabellą, ale ona także zniknęła.

- Poszli oboje robić zakłady - wyjaśniła z ciężkim westchnieniem Flora. - Jack mówił, że konkurencja jest silna... Tak się boję, że Breezy Park nie wygra.

Pojechaliśmy windą do pustej łoży. Kanapki i ciasteczka nadal były zapakowane, ale poziom dżinu w butelce znacznie się obniżył od chwili naszego przybycia na wyścigi. Pomyślałem, że dżin u niektórych osób powoduje straszliwy humor, to rzecz powszechnie znana.

Wyszliśmy z Florą na balkon, żeby obserwować konie podążające na start, Orkney wpadł bez tchu, bez słowa przeproszenia wepchnął się przed nas i przyłożył do oczu lornetkę, żeby się przekonać, jakie też błędy dżokej zdążył już popełnić. Isabellą przybyła dostojnie z garścią zakładów, a ja spojrzałem na błyskające światła tablicy, aby się przekonać, jakie szanse ma Breezy Palm. Siedem do jednego, w żadnym razie nie faworyt, ale nieźle obstawiony.

Startowało osiemnaście koni, wiele z nich zwyciężyło w innych biegach. Breezy Palm wszedł do boks startowego spokojnie i nic nie wskazywało na to, że zamierza ponownie zaatakować pomocnika startera. Nieco histeryczna ruchliwość Orkneya przerodziła się nagle w koncentrację. Ciemnozielone bramki startowe otwarły się równocześnie i wyrzuciły nabierającą szybkości tęczę barw.

Flora podniosła swoją niewielką lornetkę, ale wątpię, czy mogła cokolwiek zobaczyć, tak jej drżały ręce. Zresztą przy biegach na dystans trzy czwarte mili trudno się było zorientować na tak wczesnym etapie, bo konie były na dalekiej prostej i biegły prosto na widzów, mnie samemu sporo czasu zajęło wypatrzenia dżokeja w czerwono-szarych barwach Orkneya. Komentator żonglował imionami, ale do półmetka nawet nie wspomniał Breezy Palm, którego widziałem pośrodku stawki; ani nie wychodził do przodu, ani nie zostawał w tyle. Na tym etapie udowadniał po prostu, że nie jest ani lepszy, ani gorszy od swoich konkurentów.

Flora zarzuciła zmagania z lornetką, opuściła ją i na końcówkę biegu spoglądała jedynie z niepokojem. Grupa koni, która dotychczas poruszała się wolno, nagle zdawała się frunąć, niewielkie odległości między pierwszym a ostatnim wyciągnęły się na naszych oczach na całą długość, ukazując możliwych i pewnych zwycięzców. Młode ogiery wyciągały szyje, starając się wyprzedzić wszystkich, tak jak robiłyby w dzikim stadzie na równinie bez barier, pierwotny instynkt w niezmiętej postaci dochodził do głosu na cywilizowanym torze. Cała istota wyścigów, pomyślałem. Nieswojona siła, która to umożliwia. Podniecająca, wzruszająca... piękna.

Breezy Palm dysponował w pełni tym starym instynktem. Bez względu na to, czy dżokej zmuszał go do pełnego wysiłku, czy nie, sunął do przodu z pasją, nogi pod niedojrzałym tułowiem zdawały się kanciaste, ruchy pospieszne i nieskoordynowane, żądy zwycięstwa nie dotrzymywały kroku nie w pełni rozwinięte umiejętności techniczne.

Cała sztuczka startu w wyścigach, jak kiedyś powiedział mój ojciec, polega na rozbudzeniu naturalnej u konia paniki i kontrolowaniu jej. Oczywiście mój ojciec ani przez chwilę nie wątpił, że potrafi i jedno, i drugie. To ja, jego syn, nie umiałem ani tego, ani tego. A szkoda...Naturalna panika Breezy Palm, kontrolowana przez dżokeja do tego stopnia, że pozwolił mu podnieść głowę i trzymał na wodzy, sprawiała, że koń dalej starał się znacznie powyżej swoich możliwości. Orkney patrzył na to w pełnym koncentracji milczeniu. Flora zdawała się wstrzymywać oddech. Stojąca za mną Isabella powtarzała pod nosem „No biegnij, ty draniu, dalej”, co jak dotychczas stanowiło jej najbardziej ludzką reakcję. Breezy Palm, niczego niepomyślny, utkwiał wzrok w trzech koniach biegnących przed nim i przez ostatnie sto metrów biegł tak, jakby wielki bożek Pan następował mu na pięty.

Konie mogą jedynie starać się jak najlepiej. A tego dnia w przypadku Breezy Palm oznaczało to, że nie mógł przegonić zwycięzcy, który wygrał o całą długość, ani drugiego, który wyprzedził go dość znacznie, przyszedł jednak tak blisko za trzecim zwycięzcą, że z loży Orkneya nie dało się stwierdzić, jaka naprawdę jest kolejność. Głośniki obwieściły, że sędzia prosi o zdjęcie z fotokomórki.

Nadal milczący Orkney opuścił lornetkę i patrzył na tor, gdzie jego zmęczonego konia sprowadzano z powrotem w dwudziesty wiek. Nie powiedział ani słowa, odwrócił się i pospiesznie odszedł, pozostawiając resztę towarzystwa.

- Chodź, skarbie - Flora ciągnęła mnie za rękaw. - My też musimy zejść na dół. Jack powiedział, że to konieczne.

Wszyscy troje staraliśmy się znaleźć na dole możliwie jak najszybciej. Breezy Palm przebierał nogami w zagrodzie przeznaczonej dla zdobywcy czwartego miejsca, dżokej rozpinał popręg, a Orkney zrzędził.

- O Boże - powtórzyła Flora. - Dżokeje zawsze wiedzą... jednak nie zajął trzeciego miejsca.

Potwierdziły to ogłoszone niebawem wyniki po sprawdzeniu zapisu fotokomórki: Breezy Palm przyszedł czwarty. Odległości: długość, dwie długości, niecały łeb.

Flora, Isabella i ja staliśmy obok Orkneya, patrząc na spoconego, niespokojnego dwulatka; robiliśmy pocieszające, optymistyczne uwagi, ale żadna z nich najwyraźniej nie znajdowała uznania.

- Biegł bardzo dobrze w silnej stawce - powiedziałem.

- Nieodpowiednia gonitwa dla niego - stwierdził opryskliwie Orkney. - Nie mam pojęcia, dlaczego Jack uparcie wystawia go w tej klasie. Całkiem oczywiste, że byli za dobrzy dla niego.

- O włos - wtrąciła rozsądnie Isabella.

- Dobra kobieto, nie masz o tym pojęcia.

Isabella jedynie się uśmiechnęła, okazując zupełnie niezwykły hart ducha.

Uderzyło mnie to, że Orkney w najmniejszym stopniu jej nie onieśmielał. Traktował ją niegrzecznie, ignorowała to, ani zażenowana, ani dotknięta. W jakiś subtelny sposób w tym związku musiała być jego równoprawnym partnerem... i obydwój o tym wiedzieli.

Flora rzekła mężnie: - Myślę, że twój koń pobiegnie znakomicie.

Wynagrodziło ją litościwe spojrzenie z wyżyn.

- Walczył do końca - wtrąciłem z podziwem. - Zdecydowanie się nie poddaje.

- Czwarty - rzucił karcąco Orkney, jakby zajęcie tego miejsca świadczyło o braku charakteru. Zastanawiałem się, czy w ogóle obchodzi go to, jak małostkowe i pozbawione wdzięku jest jego zachowanie.

Dano sygnał odprowadzenia koni, Orkney wykonał jakieś niecierpliwe gesty, które wszyscy uznali za dość specyficzne zaproszenie z powrotem do łoży. Tam nareszcie zajął się odwinieniem dawno nam należnych kanapek; robił to jednak nieporadnie, w końcu przesunął talerze w stronę Isabelli, żeby ona to zrobiła. On sam nalał drinki, równie hojnie jak poprzednio, i wskazał ręką, że jeśli chcemy, możemy zasiąść przy jednym ze stolików. Wszyscy usiedliśmy i zabraliśmy się do jedzenia, uprzejmie skrywając głód.

Jako powyścigowe świętowanie ta scena mogła iść w zawody ze stypą, ale stopniowo dąsy Orkneya znikwały, zaczął nawet wygłaszać komentarze świadczące o tym, że doskonale zrozumiał to, co oglądał, nawet jeśli nie przyniosło mu to radości.

- Stracił ruchliwość - stwierdził. - W lipcu, kiedy wygrał, miał lepszy krok. Znacznie bardziej płynny. To jedyny problem z dwulatkami. Człowiek myśli, że ma światowego mistrza, a on nagle zaczyna nierówno się rozwijać.

- W przyszłym roku może być lepszy - zasugerowałem. - Nie zatrzyma go pan? Może być tego wart.

Orkney przecząco pokręcił głową. - W przyszłym tygodniu idzie na aukcję. Chciałem, żeby dzisiaj wygrał, to by wywindowało cenę. Jack o tym wiedział. - W głosie wyraźnie brzmiała uraza. - Larry Trent wziąłby go w dzierżawę. Myślał podobnie jak pan, że jak

skończy rosnać, to się poprawi, aleja nie zamierzam ryzykować. Sprzedawać i kupować roczniaki, to moje preferencje. Co roku puszczać inne konie... to znacznie ciekawsze.

- Nie zdąży się pan do nich przyzwyczać - zauważyłem delikatnie.

- To prawda - przyznał. - Jak człowiek się robi sentymentalny, zaczyna wyrzucać pieniądze.

Przypomniałem sobie uczucia, jakimi ojciec darzył swoich końskich partnerów od stipli; przez lata traktował je przyjaźnie, interpretując każdy skurcz i ruch, a już szczególnie uwielbiał tego konia, który go zabił. Wyrzucone pieniądze, niewątpliwie, ale za to niekończące się przyjemności, których Orkney nigdy nie zazna.

- Ten głupi dżokej za późno go wypuścił - stwierdził Orkney, ale bez niepotrzebnej zajadłości. - Breezy Palm do końca zyskiwał. Widzieliście sami. Gdyby wcześniej się do niego zabrał...

- Trudno powiedzieć... - przeciągałem zgłoski.

- Powiedziałem mu, żeby nie ocknął się za późno. Mówiłem.

- Powiedziałeś mu, żeby nie bił konia - wtrąciła spokojnie Isabella. - Nie mogłeś się spodziewać, że zrobi obie rzeczy naraz.

Jednak Orkney mógł się tego spodziewać. Podczas jedzenia kanapek, sera i truskawkowych ciasteczek nie przestawał rozbierać i analizować całej gonitwy, krok po kroku, na ogół z dezaprobatą. Zgodził się z moim twierdzeniem, że koń przejawiał wspaniałego ducha rywalizacji. Nie zgodził się natomiast z obroną dżokeja przez Florę. Zaczynałem być poważnie znużony tym całym przedstawieniem i zastanawiałem się, jak szybko będziemy mogli wyjść.

W progu ponownie pojawiła się kelnerka z pytaniem, czy jeszcze czegoś potrzeba, a Orkney orzekł: tak, jeszcze jedną butelkę dżinu.

- Ale ma to być Seagram's - podkreślił. Kelnerka skinęła głową i oddaliła się, a on zwrócił się do mnie: - Zamawiam Seagram's, bo muszą go specjalnie sprowadzać. Jeśli się nie sprecyzuje, to podają swoją markę dżinu. Biorą nieprzyzwoite ceny... ale nie zamierzam im ułatwiać życia.

Zauważyłem, że twarze Flory i Isabelli wyrażały dokładnie taką samą zboląłą rezygnację. Orkney tymczasem wsiadł na swojego konika i przez następnych dziesięć minut uskarżał się na usługi gastronomiczne na torze. Pojawienie się pełnej butelki bynajmniej mu nie przerwało, ale w końcu chyba przypomniał sobie, czym ja się zajmuję, i podzielił się z nami najwyraźniej świeżo wymyśloną ideą.

- Miejscowi, tacy jak pan, powinni dostarczać tu alkohole, nie te wielkie konglomeraty. Gdyby wystarczająco dużo osób skarżyło się w dyrekcji toru, to nie widzę powodu, dlaczego nie mielibyśmy wrócić do dawnych metod. A pan?

- Warto by spróbować - powiedziałem bez zbytniego zaangażowania.

- Powinien pan zaproponować swoje usługi jako alternatywę - nalegał. - Trochę postraszyć tych cholernych monopolistów.

- Należałoby o tym pomyśleć - wymamrotałem, nie mając najmniejszego zamiaru tego robić, a on wygłosił mi niemożliwie długi wykład na temat tego, co ja osobiście powinienem zrobić dla najemców łóż w Martineau Park, nie mówiąc już o innych torach, gdzie ta sama firma zapewnia dostawy i obsługę kulinarną, i jak powinienem postąpić wobec innych firm, które podzieliły między siebie wszystkie tory wyścigowe w kraju.

- Orkney... - zaczęła nieśmiało Flora, kiedy umilkła jego tyrada. - Wydaje mi się, że na kilku torach już zrezygnowano z usług wielkich konglomeratów i zawarto umowy z lokalnymi dostawcami, więc może... nigdy nie wiadomo.

Orkney popatrzył na nią ze zdumieniem, wywołanym nie tyle treścią jej wypowiedzi, co faktem, że ona w ogóle o tym wie.

- Floro, jesteś tego pewna?

- Owszem... jestem.

- No widzi pan - zwrócił się do mnie. - Na co pan czeka?

- Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby dostarczać trunki - powiedziałem. - Ale co zjedzeniem? Musi pan przyznać, że to jedzenie jest dobre. W tym oni są najlepsi.

- Jedzenie... tak, ich jedzenie jest dobre - przyznał niechętnie.

Zjedliśmy wszystko co do okruszka, a mógłbym zjeść jeszcze dużo więcej. Orkney powrócił do tematu Breezy Palm i po dwóch kolejnych drinkach wyczerpał nawet cierpliwość umęczonej Isabelli.

- Orkney, jeśli chcesz, żebym cię odwiozła do domu, to już musimy iść. Może nie zauważyłeś, że ostatnia gonitwa skończyła się przed dziesięcioma minutami.

- Naprawdę? - Spojrzał na zegarek i nagle jakby się obudził. Wstał i pozbierał swoje papiery. - No i dobrze. Floro, zadzwonię do Jacka... No a... - Usiłował przypomnieć sobie moje nazwisko, bo już wszyscy wstaliśmy z miejsc. - Pana miło mi było poznać... hm... Tony.

- Dwukrotnie kiwnął głową, zamiast podać mi rękę. - Ilekroć będzie pan tu z Florą, chętnie pana zobaczę.

- Dziękuję, Orkney - powiedziałem.

Isabella pochyliła się, żeby pocałować powietrze centymetr od policzka Flory, popatrzyła niepewnie na mój temblak i podobnie jak Orkney upewniła się, że nie da się uścisnąć mi dłoni, więc nie przejmowała się specjalnie pożegnaniami.

- Hm... miło było - powiedziała.

Oddalili się korytarzem, a Flora opadła na krzesło.

- Bogu dzięki, że już po wszystkim - powiedziała z pasją. - Bez ciebie nigdy bym tego nie wytrzymała. Jakie to szczęście, że cię polubił.

- Polubił? - Odniosłem się do tego sceptycznie.

- Owszem, skarbie, zaprosił cię na przyszłość, to praktycznie niesłychane.

- Ale jak tej Isabelli udało się zabrać go do domu?

Flora po raz pierwszy tego dnia uśmiechnęła się bez troski, w jej oczach pojawiły się iskierki rozbawienia. - Mój drogi, na pewno przyjechali jej samochodem, a gdyby nie poszedł z nią od razu, zostawiłaby go i odjechała. Raz to zrobiła... były straszne sceny i musieliśmy z Jackiem wsadzić go do pociągu. Bo, jak pewnie zauważyłeś, nie stroni od dżinu, a kilka miesięcy temu w drodze do domu musiał dmuchać w alkomat i stracił prawo jazdy... ale o tym też nie lubi mówić.

W czasie wieczornej pracy w sklepie po powrocie z wyścigów zadzwoniłem ponownie do Henri Tavela do Bordeaux i bez większego zaskoczenia wysłuchałem jego informacji.

- Mój drogi Tony, nie ma żadnego Chateau Caillot w St Estèphe. Nie ma Château Caillot w Haut Médoc. Nie ma Château Caillot w całym regionie Bordeaux.

- Można było tak przypuszczać - powiedziałem.

- A co do *négociants* Thiery et Fils - pogardliwe wzruszenie ramionami było niemal słyszalne na linii - nie ma osoby o nazwisku Thiery, która byłaby *négociant* w Bordeaux. Wiesz dobrze, że są ludzie, którzy nazywają się *négociant*, a pracują tylko wśród papierów i nigdy nie oglądają sprzedawanego wina, ale nawet wśród nich nie ma żadnego Thiery.

- Henri, zbadałeś to bardzo wyczerpująco.

- Fałszowanie etykiet wina to poważna sprawa.

Jego głęboki, wibrujący głos wyrażał oburzenie absolutnie szczere, choć nie było w nim elementu zaskoczenia. Dla Henri Tavela, podobnie jak dla wszystkich właścicieli winnic i kupców winnych w Bordeaux wino stanowiło religię. Świadomi i dumni z tego, że produkują wina najlepsze na świecie, ściśle trzymali się sztywnych biurokratycznych reguł ustanowionych w Medoc w 1855 roku i tylko nieznacznie od tamtej pory zmienionych.

Nadal mówili o roku 1816, roczniku nie nadającym się do picia, tak jakby świeżo zachowali go w pamięci. Wiedzieli, którego dnia zaczynał się co roku zbiór winogron, poczynając od 1795 (24 września). Wiedzieli, że wino produkowano bez przerwy w tych samych winnicach przez co najmniej dwa tysiące lat.

Każda butelka z pięciuset pięćdziesięciu milionów butelek wysyłanych corocznie z tego regionu musiała być poświadczona i policzona; musiała zasługiwać na swoją nazwę, musiała podtrzymać dobrą reputację aż do końca swojej egzystencji. A egzystencja czerwonego wina z Bordeaux bywała zadziwiająca... Próbowałem z Henri Tavelem wina, które miało dziewięćdziesiąt lat i nadal błyszczało kolorem i śpiewało na podniebieniu.

Sfalszowanie etykiетки chateau z regionu Bordeaux i nalepienie jej na nieokreślony produkt jeziora europejskiego wina to była herezja zasługująca na spalenie na stosie. Henri Tavel domagał się zapewnienia, że płomienie nie ominą fałszerzy Caillot. Mogłem złożyć jedynie niezbyt przekonujące zapewnienia, że wszyscy dołożą wszelkich starań.

- To bardzo ważne - nalegał.
- Wiem, Henri, naprawdę wiem.
- Pozdrów swoją drogą matkę.

Następnego dnia, w środę, życie toczyło się normalnie, jeśli za normę uznamy dokuczliwe bóle ręki. W czwartek po południu miałem pokazać tę rękę w szpitalu na kontroli, a tymczasem przez większą część dnia posługiwałem się temblakiem, co było znacznie wygodniejsze, a poza tym pozwalało nie dźwigać skrzynek. Na widok temblaka Brian okazywał niezwykłą usłużność i starannie usuwał z mojego zasięgu nawet pojedyncze butelki. Pani Palissey zapisywała zamówienia telefoniczne, żebym nie musiał się krzywić. Czułem się rozpieszczany i rozbawiony.

Pani Palissey z Brianem wyszli wcześniej rozwozić zamówienia, których było bardzo dużo: niektóre opóźnione, inne z wyprzedzeniem, jak na przykład kieliszki i szampan na uroczystość osiągnięcia pełnoletności następnego dnia. Ja pilnowałem sklepu, uśmiechając się, uśmiechając się bez przerwy jak zawsze i myśląc, ilekroć to było możliwe.

Wkrótce po ósmej do sklepu wkroczył Gerard, miał ziemistą cerę, wydawał się zmęczony. Zapytał, czy mogę zamknąć ten cholerny sklep i pójść z nim coś zjeść. W jakieś spokojne miejsce. Chciał porozmawiać.

Popatrzyłem na bruzdy zmęczenia najego twarzy i przygarbienie zwykle tak wyprostowanej sylwetki. Byłem od niego dwadzieścia lat młodszy, nie przeszedłem ogólnej narkozy i mimo że nie przemęczałem się zbytnio, czułem się słaby i wykończony, więc on

musi się czuć znacznie gorzej. A może powodem tego wcale nie jest obfitość palących kłutych ranek, tylko pozostałości, także po furgonie... ten dreszcz otarcia się o śmierć.

- Moglibyśmy wziąć jedzenie od Sung Li i pojechać do mnie - zasugerowałem nieśmiało. - Gdybyś chciał.

Chciałby, powiedział. Kupi jedzenie, kiedy ja będę obliczał kasę i zamykał sklep. Ile czasu mi to zajmie?

- Pół godziny. Napij się wina.

Westchnął z rezygnacją, usiadł na krześle, które przyniosłem z biura, i uśmiechnął się ponuro na widok naszych dwóch temblaków.

- Bracia bliźniacy - powiedział.

- To pomysł Flory.

- Rozsądna kobieta.

- Przyniosę wino.

W kantorku nalałem w dwa kieliszki trochę autentycznego wina St Estephe i trochę wersji z „Silver Moondance” i zaniósłem je na kontuar.

- Spróbuj obydwu. I powiedz, co myślisz.

- Co to za wina?

- Później ci powiem.

- Nie jestem ekspertem - protestował. Jednak wziął do ust łyk z pierwszego kieliszka, przez chwilę smakował i krzywił się, jakby ssał cytrynę. - Bardzo wytrawne.

- To spróbuj tego drugiego.

Wydawało się początkowo, że to drugie smakuje mu lepiej, ale po chwili przyjrzał mu się uważnie, ostrożnie odstawił kieliszek.

- No i?

Uśmiechnął się. - Pierwsze jest wymagające. Drugie przyjemne... ale lekkie. Powiesz mi pewnie, że to pierwsze jest dużo droższe.

- Całkiem nieźle. To drugie, przyjemne ale lekkie, pochodzi z „Silver Moondance”. A zgodnie z etykietką powinno smakować mniej więcej tak jak to pierwsze.

Zastanawiał się nad rozmaitymi konsekwencjami tej wiadomości.

- Wiele osób może preferować falsyfikat. Ludzie, którzy nie wiedzą, czego oczekiwać.

- Owszem. To niezły trunek. Trudno mu coś zarzucić.

Jeszcze raz wypił łyk autentycznego wina. - Ale w miarę picia zaczynasz je doceniać.

- Gdybym miał je akurat w sklepie, dałbym ci posmakować jedno z wielkich win St Estéphe... Cos d'Estournel, Montrose, Calon-Ségur... ale to jest też dobre wino bourgeois... pełne, zdecydowane.

- Wierzę ci na słowo. Często żałuję, że nie wiem więcej o winach.

- Trzymaj się mnie.

Jeszcze raz sam spróbowałem obu win, było to jakby spotkanie ze starymi przyjaciółmi. Wino z „Silver Moondance” całkiem dobrze zniosło odkorkowanie i opieczętowanie, ale teraz kiedy nalałem z butelki drugą próbkę, reszta niechybnie zacznie się pogarszać. Żeby wino zachowało się w idealnym stanie, musi mieć kontakt z korkiem. Im więcej powietrza dostaje się do butelki, tym większe szkody wyrządza.

Przyniosłem obydwie butelki i pokazałem Gerardowi tę oryginalną, i tę fałszywą. Powtórzyłem mu też, co Henri Tavel miał do powiedzenia na temat fałszerstw.

Wysłuchał mnie uważnie, przez chwilę się zastanawiał, a potem powiedział: - Dlaczego fałszowane wino wydaje ci się znacznie ważniejsze niż fałszowana whisky? Bo tak jest, prawda?

- No, równie ważne.

- Więc?

- Ponieważ... - zacząłem, ale w tym momencie przerwali mi klienci, którzy chcieli wiedzieć, jaki niedrogi trunek będzie pasował do chrupiącej kaczki od Sung Li, do krewetek po pekińsku i wołowiny w sosie ostrzygowym.

Gerard słuchał z zainteresowaniem i obserwował kolejnych klientów wychodzących ze sklepu z butelkami Bergerac, Soave i Cotes du Ventoux.

- Sprzedajesz nie tylko wino, ale i wiedzę, prawda?

- Tak. I przyjemność. I kontakty międzyludzkie. Wszystko, czego nie dostaniesz w supermarkecie.

Olbrzymi mężczyzna z załzawionymi oczami wparował na niepewnych nogach do sklepu i donośnym głosem domagał się piwa, bez słowa sprzedałem mu żądany towar. Niezdarnie wygrzebał pieniądze, beknął i wyszedł chwiejnym krokiem. Gerard patrzył na jego plecy z grymasem niesmaku.

- Był pijany - stwierdził.

- Jasne.

- Nic cię to nie obchodzi?

- Nie, jeżeli nie rzyga w sklepie.

- To niemoralne.

Uśmiechnąłem się nieznacznie. - Sprzedaję też ucieczkę.

- Czasową - zaproponował z dezaprobatą, z typową surowością Szkota.

- To lepsze niż nic - powiedziałem. - Poczęstuj się aspiryną. Wydał odgłos, który mógł być kaszlem lub chichotem. - Pewnie od niedzieli żywisz się nią.

- Owszem. - Połknąłem dwie kolejne pastylki, popiłem je St Estèphe, co już samo w sobie było drobną herezją. - Całkowicie opowiadam się za ucieczką.

Obrzucił mnie chłodnym spojrzeniem, którego początkowo nie zrozumiałem, dopiero po chwili przypomniałem sobie mój pęd na podwórko.

- No... dopóki nie jestem okradany.

Kiwnął głową ironicznie, przeczekał dwóch kolejnych klientów i dyskusję o tym, czy Sauternes będzie pasowało do baranich kotletów (nie będzie, jedno i drugie będzie smakowało strasznie).

- Więc do czego pasuje Sauternes? Bardzo je lubię.

- Do wszystkiego, co słodkie. Może też do curry. Albo do szynki. Do sera pleśniowego.

- Wielkie nieba! - wykrzyknął Gerard po wyjściu klienta. - Ser pleśniowy ze słodkim winem... to naprawdę dziwne.

- Przyjęcia winno-serowe kwitną dzięki temu.

Rozejrzał się po sklepie, jakby znalazł się w nieznanym świecie.

- A czy w ogóle jest coś, do czego nie można pić wina? - spytał.

- Jeśli o mnie chodzi, to grejpfrut. Wykrzywił się lekko.

- A mówi ci to człowiek, który pije wino nawet do fasoli... który praktycznie używa go nawet do mycia zębów.

- Naprawdę kochasz wino?

Skinąłem głową. - To czarodziejski przypadek natury.

- Co?

- To, że pleśń na winogronach przerabia cukier z winogronowego soku na alkohol. A rezultat jest zachwycający.

- Na miłość boską...

- Nikt nie mógłby tego wymyślić. To po prostu istnieje. Podarunek dla planety. Bardzo elegancki.

- Ale przecież są rozmaite gatunki różnych win.

- Oczywiście, przecież są rozmaite gatunki winogron. Ale liczne szampany robione są z winogron o ciemnej skórce. Nie wszystko więc jest takie, jak się wydaje, co tobie jako detektywowi powinno się podobać.

- Hm - mruknął i omiatał wzrokiem stojaki z butelkami. - Jako detektywowi to najbardziej odpowiadają mi dowody. Masz tu jakiś?

- Jeśli zmieszasz płyn z prochem strzelniczym i podpalisz, a mieszanka pali się równym niebieskim płomieniem, to jest dowód.

Wydawał się lekko ubawiony: - Dowód na co?

- Dowód, że płyn jest przynajmniej w pięćdziesięciu procentach alkoholem. W ten sposób przed trzystu laty udawano, że jakiś płyn jest alkoholem, kiedy po raz pierwszy opodatkowano destylowane alkohole. Pięćdziesiąt procent alkoholu, udowodnione w stu procentach. Teraz mierzy się procenty hydrometrem, nie prochem strzelniczym i ogniem. Mniej ryzykowne, można by powiedzieć.

- Proch strzelniczy to coś, czego obydwaj ostatnio mieliśmy za dużo. - Podniósł się sztywno. - Twoje pół godziny minęło. Idę po jedzenie.



Gerard przyjechał za mną swoim naprawionym mercedesem. Wkroczył do domu z pachnącymi paczkami od Sung Li.

- To nazywasz domkiem? - spytał sceptycznie, rozglądając się. - To raczej pałac.

- Kiedyś to był niewielki domek ze stodołą, bez połączenia rozpadały się już. Stodoła była dużo większa, stąd te przestrzenie.

Oboje z Emmą planowaliśmy dom z wielką radością, pomieszczenia miały służyć naszemu życiu, tak nam się przynajmniej wydawało, zapewniając również odpowiednie miejsce dla dzieci. Wielka kuchnia na rodzinne posiłki; pokój dzienny, przyszły pokój zabaw, jadalnia dla przyjaciół, liczne sypialnie, duży spokojny salon, odpowiedni na przyjęcia. Przebudowa, wykonywana w trzech etapach, według możliwości finansowych, zajęła nam pięć lat. Emma spokojnie czekała, chciała, żeby gniazdo było zupełnie gotowe na przyjęcie piskląt, i niemal dokładnie w chwili, gdy wszystko zostało skończone, zaszła w ciążę.

Weszliśmy z Gerardem do domu przez kuchnię, w której teraz jadałem bardzo rzadko. Kiedy potrawy zostały odgrzane i przełożone na talerze, przenieśliśmy się do pokoju. Usadowiliśmy się w wygodnych fotelach, a talerze wzięliśmy na kolana.

Jeśli bywałem w domu, mieszkalem głównie w tym przytulnym pokoju, gdzie stały półki z książkami, telewizor, zdjęcia, miękkie światło lampy padało na dywany. Teraz trzymałem tu też stojak na wino i kieliszki, żeby były pod ręką i odwracały uwagę od takich obowiązków, jak na przykład ogród. Mogę śmiało powiedzieć, że zazwyczaj właśnie tu kompletnie opuszczała mnie energia, a jednak instynktownie wracałem właśnie do tego pokoju.

Po zjedzeniu Gerard wyglądał lepiej, zapadł głęboko w fotel z westchnieniem ulgi. Z powrotem włożył rękę w temblak, zaakceptował kawę i drugi kieliszek kalifornijskiego wina, Napa Cabernet Sauvignon 1978, które zacząłem ostatnio sprzedawać i które bardzo mi smakowało.

- Przebyło długą drogę - zauważył Gerard, czytając etykietę.

- A przed nim jeszcze dłuższa. W Kalifornii uprawia się mnóstwo winogron, a ich najlepsze wina są światowej klasy.

Wypił łyk i pokręcił głową: - Jest dobre, ale szczerze mówiąc, nie odróżniłbym go od zwykłego sikacza. To smutne wyznanie, ale tak jest.

- Iw „Silver Moondance” przesiadują tacy klienci jak ty...

- Podejrzewam, że nawet wielu - rzekł z uśmiechem.

- To nie ma znaczenia. Ważne jest tylko to, żeby lubić wino.

- Miałeś mi powiedzieć, dlaczego fałszowane wina są równie ważne jak fałszowana szkocka w „Silver Moondance”.

Spojrzałem na niego, usłyszawszy nagle w jego głosie twardszy ton, pogłos szkockiego akcentu; zmiana wyrazu twarzy przypominała mi scenę w samochodzie ubiegłej niedzieli: nagłe odrzucenie maski towarzyskiej, pojawienie się śledczego. Patrzył stanowczym, intensywnym wzrokiem, w pełni skoncentrowany, bez uśmiechu. Z przyjemnością i ulgą udzieliłem odpowiedzi temu drugiemu mężczyźnie, bez emocji przytaczając fakty i domysły.

- Złodzieje kradnący whisky zwykle interesują się transportem szkockiej w butelkach. Łatwo ją sprzedać, zazwyczaj odbiorca już czeka. Nie ma z tym żadnego problemu. Czysty zysk. Ale jeśli ukradniesz cysternę szkockiej, powstaje problem rozlania jej do butelek. Koszt butelek, siły roboczej i różne nieprzewidziane okoliczności.

- To jasne - kiwnął głową.

- W każdym z trzech zaginionych transportów Kennetha Chartera było sześć tysięcy galonów szkockiej o mocy mniej więcej pięćdziesiąt pięć procent alkoholu.

- Fakt.

- Każdy ładunek miał większą moc niż whisky w handlu detalicznym. Do zawartości cysterny ludzie sprzedający Rannoch musieli dodać wodę, żeby rozcieńczyć whisky do odpowiedniej mocy, mniej więcej czterdzieści procent alkoholu.

Gerard słuchał i kiwał głową.

- W tym momencie mieliby dość szkockiej do napełnienia około pięćdziesięciu tysięcy butelek standardowej wielkości.

Gerard lekko rozchylił usta, kompletnie zaskoczony.

- Kenneth Charter nigdy o tym nie wspomniał.

- On tylko transportuje, nie rozlewa. Może nigdy tego nie liczył. Ale przy trzech cysternach mówimy już o stu pięćdziesięciu tysiącach butelek w ciągu sześciu miesięcy, a to nie jest ładunek, który można trzymać na jakimś podwórku na zapleczu.

Gerard przez chwilę milczał, zastanawiając się nad tym, co usłyszał, a potem powiedział jedynie: - Mów dalej.

- Za każdym razem bardzo szybko wypompowano zawartość cysterny, skoro znajdowano ją pustą następnego dnia.

- To prawda.

- A więc jeśli celem całej operacji nie było po prostu zrujnowanie Kennetha Chartera, co mogłoby oznaczać pozbycie się whisky w jakimś rowie, tak jak szofera, to zawartość cystern wypompowano do magazynu.

- Oczywiście.

- Logicznym miejscem rozładunku byłaby więc rozlewnia.

- Ale ładunek nigdy tam nie dojechał.

- Nie dojechał do rozlewni Rannoch. To nie to samo.

- Fakt. - W jego oczach pojawiło się rozbawienie. - Mów dalej.

- Rozlanie trzy razy po pięćdziesiąt tysięcy butelek nie zajmie żadnej porządnej rozlewni sześciu miesięcy. Niewielkie winnice butelkują takie ilości w ciągu kilku tygodni bez najmniejszego trudu. A jeśli tymczasem butelkowana whisky zamienia się w wino... mówiąc konkretnie, w wino z „Silver Moondance”.

- Aha! - Było to potwierdzenie, że dotarliśmy do sedna sprawy. - Mów dalej.

- No cóż, w rozlewni można łatwo napełnić każdy rodzaj butelek winem z jednego źródła, a kształty butelek w „Silver Moondance” odpowiadały etykietom, etykiety burgunda na butelkach burgunda i tak dalej. Niech wystarczy fakt, że w „Silver Moondance” znaleźliśmy i wino, i szkocką pod fałszywymi etykietami... mógłbym się założyć o wysoką sumę, że były rozlewane w jednym miejscu.

Gerard automatycznie popijał swoje wino.

- Gdzie? - spytał krótko.

- No... tu właśnie jest problem.

- Masz jakieś pomysły?

- Przyszło mi do głowy, że może to być jedna z tych rozlewni, o których mówił Kenneth Charter, tych, które mają trudności czy zmierzają do bankructwa, odkąd Francuzi zaczęli butelkować więcej własnych win. Przypuśćmy, że stoisz na progu bankructwa i przychodzi ktoś, i proponuje ci pracę. Nawet gdybyś wiedział, że nie jest to całkiem legalne, mógłbyś się zgodzić i siedzieć cicho. A może rozlewnia była na sprzedaż czy wynajem za śmieszna cenę, co nie jest wykluczone... a interes wydawał się opłacalny i długotrwały...

- Tak, to możliwe - przyznał Gerard. Myślał nad tym z pięć sekund. - A więc prowizorycznie szukamy na razie rozlewni. Odłóżmy to na chwilę. W Deglet's często pracujemy dwójkami, omawiamy sprawę, przerzucamy się pomysłami, często dochodzimy do wniosków, na które w pojedynkę nigdy byśmy nie wpadli. Jestem przyzwyczajony do tego sposobu pracy, lubię go... ale mój partner jest w Londynie, a prawdę mówiąc, jestem zbyt zmęczony, żeby tam jechać... a ty jesteś na miejscu i w dodatku pękasz od fachowej wiedzy. Nie masz nic przeciwko temu, że podzielę się z tobą moimi pomysłami? Ale natychmiast się włącz, jeśli na coś cię naprowadzę. Bo na tym polega wartość tych sesji. Podchwytywanie pomysłów. Zgoda?

- Oczywiście. Tylko że ja...

- Po prostu słuchaj. Przerwij mi, jeśli nasunie ci się jakiś komentarz. Na tym to polega.

- W porządku.

- Poza tym... czy masz jakąś brandy? Uśmiechnąłem się. - Naturalnie. Jaką chcesz?

- Wszystko jedno.

Dałem mu Hine Antique, westchnął tak, jakby wkładał stary wygodny but. Sobie też nałamałem, wierząc, że przypisywane temu gatunkowi brandy właściwości lecznicze nie są żartem. Jeśli masz mdłości, napij się brandy; jesteś zmęczony, napij się brandy; masz dreszcze - napij się brandy.

- No to dobrze - zaczął, tuląc w dłoni kieliszek. - Najpierw podsumowanie status quo. Pod tym hasłem mamy pierwszy fakt, o którym nigdy nie możemy zapomnieć, a mianowicie: nasz podstawowy cel to uratowanie firmy Kennetha Chartera bez pakowania jego syna do więzienia. Za to nam płacą. Sprawiedliwość i inne względy są drugorzędne.

Napił się brandy.

- Fakt numer dwa: syn Kennetha Chartera, który dla utrudnienia sytuacji też ma na imię Kenneth, więc nazwiemy go Kenneth junior, umożliwił kradzież szkockiej, informując Zaraca z „Silver Moondance” o trasie przejazdu cysterny. Ale nadal brak nam odpowiedzi na jedno pytanie...

- Skąd Kenneth junior znalazł Zaraca?

- Właśnie. Aha, mam tu odbitki stron z notesu juniora. - Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął dość dużą kopertę i położył ją na stole. - Zostawię ci, może zobaczysz tu coś, czego nam nie udało się zauważyć.

Dostrzegł na mojej twarzy wyraz powątpiewania.

- Ale spróbujesz? - to pytanie zabrzmiało niemal surowo.

- Tak - odparłem, nie starając się usprawiedliwiać.

- W porządku. Fakt numer trzy: Zarac przekazał informację, ale nie było go przy kradzieży cysterny. Fakt czwarty: w „Silver Moondance” sprzedawano whisky pod fałszywymi etykietami, o czym Zarac, jako główny kelner od alkoholi, musiał wiedzieć. Powstaje przypuszczenie, że fałszywa whisky pochodziła z wcześniejszego ładunku skradzionego z cystern Chartera. Jakież uwagi?

Pokręciłem przecząco głową.

- Drugie przypuszczenie: Larry Trent wiedział, że oszukuje klientów, podając fałszowaną whisky i wino.

Umilkł, czekając na uwagi.

- Owszem, zgadzam się z tym. Powiedziałbym nawet, że to nie ulega wątpliwości.

- Przypuszczenie trzecie: to Larry Trent organizował kradzież cystern.

Zmarszczyłem brwi.

- Nie sądzisz?

- Nie wiem. Nigdy z nim nie rozmawiałem... nie mogę więc snuć domysłów na podstawie pierwszego wrażenia. Z pewnością obracał większą ilością gotówki, niż mógł zarobić w „Silver Moondance”, ale twierdził, że to pieniądze brata...

Opowiedziałem Gerardowi to, co usłyszałem w Martineau Park od Orkneya Swayle'a. Larry Trent kupował konie i wysyłał je za granicę na sprzedaż. Trudno sobie wyobrazić przyjemniejszy sposób cudownego wybielania nielegalnych pieniędzy.

Gerard wypił trochę brandy.

- Uwierzyłeś w tego brata? - spytał.

- Masz na myśli przypadek hipotetycznego przyjaciela? Mój przyjaciel ma kłopot, chciałbym prosić o radę?

Potwierdził skinieniem głowy.

- Mógłbym tak podejrzewać, gdyby nie jedno stwierdzenie, które brzmiało niezwykle po ludzku, bardzo prawdopodobnie. Według Orkneya Larry miał powiedzieć, że kupuje konie dla swojego brata, bo brat nie potrafi odróżnić dobrego konia od kiepskiego. Chyba jedyna rzecz, której jego brat nie potrafi, miał się wyrazić. Orkney Swayle mówił, że Larry był zazdrosny. Taki rodzaj pretensji w moim przekonaniu wskazuje na istnienie brata. Czy jakiejś realnej osoby. Może współnika.

Zapanowało krótkie milczenie. Obydwaj myśleliśmy o współniku, który mógł, ale nie musiał być bratem. W końcu Gerard nadał mu imię, w każdym razie to imię, pod jakim był nam znany.

- Paul Young. Przytaknąłem.

- Przypuszczenie czwarte: kiedy Larry Trent został zabity, Paul Young przyjechał przejąć „Silver Moondance”, nieświadom tego, że policja prowadzi dochodzenie w sprawie trunków, ani tego, że kradzież cystern Chartera została powiązana z Zarakiem.

- To są pewniki, nie przypuszczenia. Sam widziałem jego przybycie... nie miał najmniejszego pojęcia, że wdeptuje w środek kłopotów.

- Dobra. Wobec tego dorzucę w tym momencie kilka moich pewników. Spędziłem cały dzień na rozmowach z pracownikami „Silver Moondance”, zwłaszcza z kelnerką i z tym mięczakiem asystentem, którzy byli razem z tobą w barze. Powiedzieli, że wkrótce po waszym wyjściu Paul Young kazał im iść do domu; kelnerka miała czekać na wezwanie, a pomocnik miał się stawić następnego dnia. Oświadczył też, że omówi z policją datę ponownego otwarcia lokalu i sam będzie go prowadził, dopóki kierownik nie wróci z urlopu. Potem centrala wyznaczy następcę biednego pana Trenta. Personel nie dostrzegł niczego dziwnego ani w jego zachowaniu, ani w tych propozycjach. Uznali, że jest bardzo rozsądny, zważywszy na to, jak bardzo się rozszłościł sprawą trunków. Potem odesłał do domu pracowników kuchni, mówiąc, żeby czekali, aż ich wezwie. Kelnerka twierdzi, że Zarac przyszedł do pracy, kiedy ona wychodziła, a Paul Young kazał mu czekać na siebie w gabinecie Larry’ego Trenta.

Zafascynowała mnie ta opowieść.

- Czy kelnerka zapamiętała dokładnie, jak wyglądała ich rozmowa? Gerard uśmiechnął się leciutko.

- Jest przyzwyczajona do zapamiętywania zamówień. Idealne ucho. Powiedziała, że niewątpliwie się znali. Paul Young zwracał się do niego per „Zarac”, chociaż nikt mu tego nie powiedział.

- A odwrotnie?

- Opowiadała, że Young przedstawił się: „Jestem Paul Young”, co wydało jej się głupie, bo Zarac sprawiał wrażenie, że doskonale go zna.

- Podał Zaracowi swoje nowe, aktualne nazwisko.

- Właśnie. Zdaniem kelnerki Paul Young był wściekły na Zaraca, co uważała za naturalne, i spodziewała się, że zaraz dostanie odpowiednią reprimendę. Nawet go żałowała, bo zachowywał się porządnie wobec kelnerek, trzymał ręce przy sobie, nie tak jak inni, których mogłaby wymienić.

Doceniałem dosłowność tego raportu.

- A ci inni to?

- Przede wszystkim kierownik.

- A Larry Trent?

- Nie. Dżentelmen w każdym calu, orzekła. Poinformowała mnie, że przede mną odwiedził ich sierżant policji i zadawał te same pytania. Powiedziała, że pytał ją o samochód Paula Younga. To mnie ubawiło.

- Co jeszcze powiedziała?

- Że to był rolls.

- Naprawdę?

- Dokładnie: „czarny rolls z tymi ciemnymi szybami”. Powiedziała, że musiał należeć do Paula Younga, bo stał na parkingu dla personelu, a nie należał do nikogo ze stałych pracowników, i nie było go tam, kiedy godzinę wcześniej przysła do pracy.

- Spostrzegawcza dziewczyna. Gerard potwierdził skinieniem głowy.

- Po rozmowie z kelnerką odwiedziłem w domu tego mięczaka asystenta i zadałem mu właściwie te same pytania. Powiedział, że nie wie, jakim samochodem przyjechał Paul Young. Nawet nie potrafił opisać Paula Younga. Beznadziejny.

- A barman prysnął... - Opowiedziałem o niezbyt entuzjastycznych dochodzeniach Ridgera. - Przypuszczam, że orientował się, co sprzedaje, chociaż nigdy się do tego nie przyzna, nawet jeśli go złapią.

- Nie - zgodził się Gerard. - Zbliżamy się więc do przypuszczenia numer... który?... do przypuszczenia piątego: Paul Young i Zarac spędzili popołudnie, zastanawiając się, co robić, i postarali się tak zorganizować usunięcie wszystkich trunków, żeby wyglądało na kradzież.

- Gdyby robili to sami, musiałoby im to zająć długie godziny.

- I potrzebowałiby furgonetki.

- Dużej. Były tam dziesiątki skrzynek.

Gerard przechylił głowę. - Chyba mieli na to cały dzień i całą noc.

- Czy wiemy dokładnie, kiedy zginął Zarac? - spytałem.

- W zeszły piątek było wstępne przesłuchanie i odłożono sprawę na tydzień. Policja nie upublicznia specjalnie sprawy Zaraca, ale znalazłem znajomego w laboratorium, więc do piątku dowiem się tego wszystkiego, co wie policja.

- On się udusił - rzuciłem z odrazą.

- To cię męczy?

- To jakby kogoś замуrować żywcem.

- Znacznie szybciej - odparł rzeczowo. - Przypuszczenie szóste: Paul Young i Zarac nie byli zbyt serdecznymi kumplami.

- Logiczny wniosek - powiedziałem oschle.

- Przypuszczenie siódme: Zarac z jakiegoś powodu stanowił duże zagrożenie dla Paula Younga.

- Który skutecznie rozwiązał ten problem.

- Jak dotąd, wszystko wydaje się rozsądne. Jakies pytania?

- Owszem. Dlaczego Paul Young miał przy sobie gipsowe bandaż, jeśli udawał się na wyprawę czysto organizacyjną?

- Myślisz, że to może mieć jakies znaczenie?

- Jako dodatek do tego, co już o nim wiemy. Tak myślę.

- I dlaczego się nimi posłużył? Dlaczego po prostu nie roztrzaskał mu czaszki?

- No właśnie, dlaczego?

- Może jako ostrzeżenie dla innych. Albo jakaś psychoza. W każdym razie wyjątkowo paskudnie. - Wypił trochę brandy. Na ożywienie umysłu w osłabionym ciele. - Nasz pan Young to biznesmen w średnim wieku z aparatem słuchowym, czarnym rollsem, który ma powód, żeby nosić przy sobie gipsowy bandaż. Szkoda, jak to mówią, że nie możemy tego wpuścić w komputer.

- Każdy szanujący się komputer wypułby nazwisko jakiegoś chirurga laryngologa.

Gerard wydawał się zaskoczony.

- Tak myślisz...? Nie, to bez sensu.

- Komputer wypuła tylko to, czym zostanie nakarmiony.

- Podczas gdy człowieka można nakarmić niezliczoną liczbą faktów i nie otrzymać żadnego połączenia. - Westchnął z rezygnacją. - W porządku. Prace do wykonania. Dowiedzieć się, czy Larry Trent ma brata. Sprawdzić, jak Kenneth junior poznał Zaraca. Zbadać rozlewnie. A propos, Rannoch przysłał nam profilowe analizy ładunków, które

przewożą cysternami Chartera. Jeśli udałoby ci się wydostać próbkę z „Silver Moondance” od twojego kumpla Ridgera, mogę zamówić porównanie. Żeby mieć dowód, nie tylko domysły. Jeszcze coś?

- No... - zawahałem się.

- Mów.

- Ramekin. Ten koń, którego Larry Trent kupił rok temu na aukcji w Doncaster, gdzie widziała go Flora. Jeśli Ramekina wysłano za granicę, ktoś musiał go przewieźć. Nie ma tak wielu przewoźników. Będą mieli Ramekina w swoich księgach... konie wyścigowe mają paszporty, tak jak ludzie. A poza tym mnóstwo dokumentów eksportowych. Jeśli uda nam się znaleźć przewoźnika, poznamy punkt docelowy. Larry Trent mógł zawsze korzystać z tego samego przewoźnika i sprzedawać wszystkie konie przez jednego agenta w to samo miejsce... Jeśli ułoży się trasę, by użyć tego określenia, to już się nią jeździ. Agent po tamtej stronie mógłby wiedzieć, to wcale niewykluczone, za czyje pieniądze kupowano konie. Kto jest prawdziwym właścicielem, w imieniu którego działał Larry Trent.

Gerard słuchał bardzo uważnie, powiedział jednak: - To dość niepewny strzał.

- Być może.

- Zorientuję się, co się z tym wiąże.

- Chcesz, żebym ja się tym zajął?

Zaprzeczył ruchem głowy. - Jeśli w ogóle się tym zajmiemy, zrobimy to w biurze. Mamy książki telefoniczne o krajowym zasięgu i personel przyzwyczajony do takich działań. Zachowują się niezwykle oficjalnie i osiągają wprost zadziwiające rezultaty. Najpierw zajmą się rozlewniami, ich sprzedażą i wynajmem, to trudne zadanie, ale bardziej obiecujące.

- Pewnie byłoby to zbyt proste... - zacząłem nieśmiało.

- Co?

- Chodzi mi o to... że można by od tego zacząć... nie ma nic do stracenia.

- Nie możesz jaśniej?

Poczułem się głupio, ale powiedziałem: - Zacząć od rozlewni, do których cysterny Chartera dostarczały czerwone wino.

Gerard przez chwilę mierzył mnie wzrokiem, nawet nie mrugnawszy powieką.

- Zgoda - rzekł w końcu bez specjalnego nacisku. - Od nich zaczniemy. Jak mówisz, nie mamy nic do stracenia. - Popatrzył na zegarek i wypił przedostatni łyk brandy. - Tina nie wpuści mnie do domu.

- Zawsze możesz przyjść tu.

Nie chciałem, żeby w moim głosie zabrzmiała samotność, ale widocznie tak to usłyszał. Popatrzył na ślubne zdjęcie moje i Emmy, które stało w srebrnej ramce na stoliku obok niego. Staliśmy na nim roześmiani pod prysznicem bąbelków z butelki szampana, którą potrząsał mój druhna. Emma lubiła to zdjęcie, bo miało taki klimat swobody. „Państwo młodzi wyglądają zwykle jak figury woskowe - mówiła. - A tu przynajmniej widać, że jesteśmy żywi.”

- Tworzyliście bardzo przystojną parę - zauważył spokojnym głosem Gerard. - I szczęśliwą.

- Tak.

- Na co umarła?

Zapytał o to wprost, bez emocji, więc po chwili odpowiedziałem mu tym samym tonem, tak jak się nauczyłem, jakby dotyczyło to kogoś innego-

- Miała krwotok podpajęczynówkowy. Jakiś tętniak. Naczynie krwionośne rozlało się w mózgu.

- Hm... - Popatrzył na fotografię. -...a ile miała lat?

- Dwadzieścia siedem.

- Taka młoda.

- Podobno to się może zdarzyć w każdym wieku.

- Tak mi przykro.

- Była w ciąży - powiedziałem ku własnemu zaskoczeniu.

Nigdy tego nie mówiłem. Zazwyczaj ograniczałem się do absolutnego minimum. Ale zorientowałem się, że po miesiącach milczenia zaczynam powoli opowiadać wszystko Gerardowi. Chciałem mu to powiedzieć i nie chciałem zarazem, starałem się mówić głosem pewnym i nie rozplakać się... Boże, żeby tylko się nie rozplakać.

- Chyba od zawsze miewała bóle głowy. Potem bóle krzyża. Nic określonego. Po prostu bóle w krzyżu. Wszyscy kładli to na karb ciąży. Mijały... do następnego razu. Niemal co tydzień, przez dzień czy dwa. Pewnej niedzieli, kiedy była już niemal w szóstym miesiącu, obudził ją jeden z ataków tego bólu, dość silny. Wzięła kilka aspiryn, ale nigdy jej specjalnie nie pomagały. Rano ból się pogorszył; kiedy szedłem na południową szychę do sklepu, powiedziała, że się położy i prześpi całą sprawę. Ale kiedy wróciłem, płakała... jęczała z bólu. Próbowałem wezwać lekarza, ale trwało to wieki, było przecież niedzielne popołudnie... wreszcie przyjechała karetka... ale wtedy ona już mnie błagała... błagała, żebym ją pozbawił przytomności. Jak mogłem to zrobić? Obydwoje byliśmy przerażeni... straszliwie wystraszeni... to było tak nieubłagane... w karetce przechodziła nieopisane męki... tłukła się

pięściami w głowę... nic nie mogłem poradzić... nie mogłem jej nawet objąć... krzyczała, wila się, skręcała z bólu. Pod koniec jazdy zaczęła tracić przytomność, cieszyłem się z tego ze względu na nią, choć już wtedy obawiałem się... no, bałem się.

- Bardzo ci współczuję.

Przez chwilę wspominałem przeszłość, po czym przełknąłem ślinę i chłodno, spokojnie opowiedziałem mu resztę.

- Przez cztery dni była nieprzytomna, w coraz gorszym stanie. Byłem przy niej. Pozwolili mi. Powiedzieli, że nie mogą ocalić dziecka, że jest za wcześnie. Może za miesiąc... Powiedzieli mi, że to naczynie krwionośne musiało przeciekać od bardzo dawna... to krew wyciekająca do mózgu i do rdzenia kręgowego powodowała bóle głowy i kręgosłupa... ale nawet gdyby zdiagnozowali to wcześniej, niewiele mogliby poradzić... pewnego dnia otworzyłoby się szerzej, tak jak to się stało... więc może lepiej, że nie wiedzieliśmy o niczym.

Zamilkłem. Bez łez. W tym momencie nie mógłbym znieść jedynie współczucia, a tego Gerard mi nie oferował.

- Życie jest potwornie niesprawiedliwe - powiedział spokojnie.

- Fakt.

Nie powiedział, że przejdzie mi to, że czas to najlepszy lekarz. Nie powiedział, że znajdę inną kobietę. Że znowu się ożenię... Gerard coraz bardziej mi się podobał.

- Dziękuję, że mi powiedziałeś.

- Zwykle tego nie robię - usprawiedliwiłem się.

- Wiem. Słyszałem od Flory. Zamykasz się w sobie, powiedziała, jeśli ktokolwiek zapyta.

- Flora bez przerwy coś gada.

- Gadanie czasami bardzo dobrze robi.

Milczałem. Powiedziawszy mu o Emmie, odczułem rodzaj ulgi. Gadanie pomaga. Czasami.

Skończył brandy i wstał, szykując się do wyjścia.

- Jeśli coś ci przyjdzie do głowy, zadzwoń.

- Dobra.

Szedł w stronę drzwi, ale zatrzymał się przy stoliku, na którym stało jeszcze kilka zdjęć w ramach i kolekcja muszelek Emmy.

- To twoja matka? - spytał, podnosząc zdjęcie kobiety na koniu wśród stada ogarów. - Bardzo przystojna.

- Tak, matka.

Odstawił zdjęcie. Wziął do ręki następne. - Ojciec?

- Tak.

Patrzył na rozbawioną twarz ponad mundurem pułkownika z podwójnym rzędem medalowych baretek, na światło w oczach i wychylenie podbródka, na zdecydowane wargi w półuśmiechu.

- Jesteś do niego podobny - powiedział.

- Tylko zewnątrz. - Odwróciłem głowę. - Kochałem go, kiedy byłem mały. Uwielbiałem wręcz. Zmarł, kiedy miałem jedenaście lat.

Gerard odstawił zdjęcie i przyjrzał się pozostałym. - Nie miałeś żadnych braci ani sióstr?

- Nie. - Uśmiechnąłem się nieznacznie. - Moje narodziny zakłóciły cały sezon łowiecki. Raz wystarczy, stwierdziła mama.

Gerard spojrzał na mnie. - To ci nie przeszkadza?

- Nie, nigdy mi nie przeszkadzało. Nigdy nie czułem się źle w samotności, dopóki nie poznałem czegoś innego. - Gwałtownie wzruszyłem ramionami. - Zasadniczo dobrze się czuję sam. W końcu znowu tak będzie.

Gerard jedynie skinął głową, przeszedł przez hall do kuchni, skąd wyszedł tylnymi drzwiami. Nie podaliśmy sobie ręki, bo każdy z nas miał rękę na temblaku.

- Bardzo owocny i ciekawy wieczór - powiedział.

- Twoje towarzystwo sprawia mi przyjemność. Wydał się tym zaskoczony. - Naprawdę? A dlaczego?

- Nie oczekujesz zbyt wiele.

- Na przykład?

- No... chińszczyzna na wynos jedzona na kolanach... - W istocie nie o to mi chodziło, ale to wystarczyło.

Chrząknął znacząco, wyczuł ten mój wykręt i nie godził się z tym. - Oczekuję więcej, niż sądzisz. Nie doceniasz sam siebie. - Uśmiechnął się ironicznie. - Dobranoc.

- Dobranoc.

Gerard odjechał, a ja pozamykałem drzwi i przeszedłem przez cały dom, żeby sprzątnąć talerze po kolacji i wstawić do zmywarki. Myślałem o tym, co powiedziałem Gerardowi: że dobrze się czuję sam, słysząc w pamięci wszystkich tych lat westchnienia i smutek samotności w głosach moich klientów. Mówili o wspólnym doświadczeniu, nabierającym szczególnej, strasznej wyrazistości dla każdego indywidualnie. Dwa lata, mówili, tyle potrzeba. Dwa lata, zanim zaświeci słońce. Po dwóch latach osoba utracona staje

się wspomnieniem, sama strata staje się możliwa do wytrzymania. Słuchałem ich na długo przedtem, nim przyszło mi do głowy, że mogę potrzebować ich mądrości, ale nadal im wierzyłem. Nie można uciec od żalu, ale kiedyś minie.

Dokończyłem porządkowanie na dole i poszedłem spać do pokoju, w którym kochaliśmy się z Emmą.

Nadal tu sypiałem. Często wydawało mi się, że ona jest niezwykle blisko. Czasami budziłem się wczesnym rankiem i wyciągałem rękę, szukając jej, zapominając. Słyszałem w ciemności to, co mi zostało w pamięci z jej śmiechu.

Mieliśmy szczęście w miłości, namiętnej i dobrze dobranej, niosącej obu nam satysfakcję. Pamiętam przede wszystkim jej płaski brzuch, nienabrzmiałe piersi, pamiętam lata wspaniałej zabawy, jej radosne orgazmy, gwałtowną, niewiarygodną ekstazę wytrysku. Lepiej pamiętać właśnie to.

Teraz w pokoju było spokojnie. Żadnej niewidzialnej obecności. Nie unosił się w nim żaden niespokojny duch.

Jeśli żyłem z duchami, to były we mnie: Emma, ojciec i tytaniczna postać dziadka, niemożliwie dzielnego. Żyli we mnie, nie potępiając, ale nie pocieszając. Bezustannie zmagalem się z tym, by pogodzić się z nimi, gdybym tego nie robił, byłbym zgubiony, ale i tak cała trójka rzucała długie cienie.

Ciąża mogła ostatnio podnieść ciśnienie Emmy, powiedzieli. To się często zdarza. Wyższe ciśnienie wytworzyło zbyt napięcie w przeciekającym naczyniu, otwierając je szerzej... zbyt szeroko.

Sama ciąża, powiedzieli, przeważyla szalę na stronę śmierci. Wprawdzie obydwójce chcieliśmy mieć dzieci, jednak ziarno, które zasiałem, zabiło ją.

Rozdział piętnasty



Następnego ranka, wchodząc do sklepu, zastanawiałem się, co mógłbym zaproponować sierzantowi Ridgerowi w zamian za próbkę whisky z „Silver Moondance”. Jednak on sam rozwiązał ten problem, zjawiając się niemal natychmiast po moim przyjściu pod drzwiami sklepu, jakby ściągnięty siłą telekinezy.

- Dzień dobry - powiedział, kiedy wpuściłem go do środka. Płaszcz przeciwdeszczowy ściągnięty paskiem, buty wyczyszczone, włosy wyszczotkowane. Czyżby nie słyszał,

zastanawiałem się, że ostatnio policjanci w cywilu powinni nosić niechlujne dzinsy i wyglądać na bezrobotnych?

- Dzień dobry - odpowiedziałem, zamykając za nim drzwi. - Czy mogę panu coś sprzedać?

- Informację. - Jak zawsze był śmiertelnie poważny, stanął pewnie pośrodku sklepu na rozstawionych nogach.

- Hm, słucham.

- Czy z pana ręką gorzej? Ostatnim razem nie trzymał jej pan na temblaku.

- Nie gorzej. Wygodniej.

Nie przyniosło mu to wyraźnej ulgi, ale poczuł się pewniej. - To dobrze. Wobec tego składam panu oficjalną prośbę o pomoc w naszym śledztwie.

- Jaką pomoc? W jakim śledztwie?

- To bezpośrednia sugestia nadinspektora Wilsona.

- Czyżby? - pytałem zaciekawiony. - Do mnie osobiście?

- On sam zasugerował pańską osobę. - Ridger chrząknął. - W związku z naszym dochodzeniem w sprawie otrzymanych skarg na jakość produktów dostarczanych przez lokale z wyszynkiem, nie tylko „Silver Moondance”.

- Ee... - zająknąłem się. - Sierzancie, czy może pan sobie darować ten żargon?

Ridger popatrzył na mnie zaskoczony. W jego biurowym umyśle to, co powiedział, rysowało się pewnie z wyjątkową jasnością.

- W toku śledztwa w sprawie zamordowania Zaraca padła sugestia, że należy pójść tropem niektórych innych skarg dotyczących nieprawidłowości na terenie całego regionu. Wczoraj odbyła się regionalna konferencja na najwyższym szczeblu, w której ja też uczestniczyłem jako ten oficer, który był na miejscu w chwili wykrycia fałszerstwa trunków, i nadinspektor Wilson zwrócił się do mnie bezpośrednio z prośbą o zabezpieczenie pańskiej pomocy tak jak poprzednio. Powiedział, że jeśli uda nam się znaleźć inny lokal, gdzie sprzedaje się jedną whisky jako drugą i jeśli ta whisky okaże się podobna lub identyczna z tą w „Silver Moondance”, możemy również znaleźć trop do dostawcy i mordercy Zaraca. Warto spróbować, powiedział, ponieważ jest tak niewiele innych wątków dochodzeniowych. Wobec tego jestem tutaj.

Wpatrywałem się w niego całkiem oszołomiony.

- Zaprasza mnie pan na wędrowną podróż po pubach?

- No... jeśli musi pan to w ten sposób określić, to tak.

Pięknie, pomyślałem. Zachwycająco. Pięćdziesiąt tysięcy barów stąd do Watford... z takim tylko ułatwieniem, że na policyjnej liście znalazło się kilka miejsc najbardziej podejrzanych.

- Czy pan będzie mnie woził tak jak poprzednio? - spytałem.

- Taka służba została mi przydzielona. - Nie można się było zorientować, czy mu to odpowiada, czy nie. - Czy mogę uznać, że będzie pan dyspozycyjny?

- Może pan. A kiedy?

Spojrzał na swój skomplikowany zegarek. - Dziesiąta piętnaście.

- Dziś rano?

- Oczywiście. Teraz pojedę się zameldować i później po pana przyjadę.

- W porządku. Aha, sierzancie, czy może pan przywieźć butelkę whisky Bell's z „Silver Moondance”?

Na jego twarzy odmalowała się pełna powątpiewania koncentracja.

- Chciałbym jej jeszcze raz spróbować - wyjaśniłem. - Minęło dziesięć dni od naszej wizyty w „Silver Moondance”. Jeśli szuka pan tej właśnie whisky, muszę ją znać na tyle dobrze, żeby wszędzie ją poznać.

Wydało mu się to logiczne, bo powiedział: - Zgłoszę taki wniosek.

- Mmm... proszę powiedzieć, że to jest konieczne. Inaczej nie będę mógł spełnić pańskiej prośby.

- No dobrze. - Wyjął notes i coś zapisał, sprawdzając przy tym godzinę i zapewne dopisując na końcu: 9.14.

- Do ilu barów pojedziemy?

- Lista jest dosyć długa - powiedział rzeczowym tonem. - Oczywiście to duży obszar. Mój szef ma nadzieję, że zdążymy zakończyć śledztwo w dwa tygodnie.

- Dwa tygodnie!

- Pracując codziennie od dziesiątej trzydzieści do czternastej, w oficjalnych godzinach otwarcia barów.

- Czy to jest oficjalne zajęcie z wynagrodzeniem?

Zastanowił się głęboko, zanim odpowiedział: - Mówiło się o tym.

- No i co?

- Mieli dyspozycyjnego eksperta konsultanta, ale właśnie poszedł na emeryturę i wyjechał do Hiszpanii. On dostawał pieniądze. Oczywiście.

- Jak często... tak konsultował?

- Nie wiem dokładnie. Ja widziałem go tylko raz czy dwa. Tak jak pan potrafił odróżnić wszystko po smaku. Bo ludzie z Ceł i Akcyzy posługują się instrumentami, tak jak ci z Miar i Wag. Interesuje ich zawartość alkoholu, nie smak.

- Sprawdzali któryś lokal z tej listy?

- Wszystkie - powiedział z dezaprobatą, a ja przypomniałem sobie, co mi mówił wcześniej, że ktoś z jednego z tych urzędów uprzedził „Silver Moondance” o wizycie kontroli.

- Bez powodzenia?

- Nie doprowadziło to do żadnego oskarżenia. Istotnie.

- W porządku, sierzancie. Pan prowadzi, ja piję, ale muszę tu wrócić trzeźwy koło trzeciej, bo mam się pokazać w szpitalu na kontrolę ręki.

Oddalił się bardzo z siebie zadowolony, a pół minuty po dziewiątej trzydzieści pojawiła się pani Palissey z Brianem. Wytłumaczyłem, że teraz codziennie aż do wczesnego popołudnia nie będzie mnie w sklepie, obiecałem, że od jutra załatwię jej jakąś pomoc i będę wdzięczny, jeśli dzisiaj rano poradzi sobie sama.

- Pomoc? - Była wyraźnie dotknięta. - Nie potrzebuję pomocy.

- A co z przerwą na lunch...?

- Przyniosę coś z domu i zjemy na zapleczu. Nie chcę, żeby płatał mi się tutaj ktoś obcy. Sami z Brianem wszystko załatwimy. A pan niech sobie trochę odpocznie, bo nie wygląda pan najlepiej.

Miałem na końcu języka, że praca dla policji nie jest ideałem odpoczynku, ale przyszło mi do głowy, że tak naprawdę to sprawia mi ona przyjemność. Nie wahałem się ani chwili, czy przyjąć propozycję Ridgera, a właściwie Wilsona. Pochlebiało mi to, że uważano mnie za eksperta. Godna pożałowania próżność. Śmieję się z siebie, Tony. Zachowaj ludzkie odruchy.

Przez godzinę wszyscy troje zapełnialiśmy półki w sklepie, robiliśmy listy, przyjmowaliśmy zamówienia telefoniczne, obsługiwaliśmy klientów, wycieraliśmy kurze, zmiataliśmy podłogę. Wychodząc z Ridgerem, obejrzałem się za siebie: czysty, przytulny, zachęcający sklep, za kontuarem uśmiechnięta pani Palissey, Brian z pełną niepokoju starannością ustawiający skrzynki z winem. Nie jestem budowniczym imperium, pomyślałem. Nigdy nie założę sieci sklepów. To jedno dobrze prosperujące miejsce zupełnie mi wystarczy.

Prosperujące wbrew logice, miałem tego świadomość. Wiele podobnych małych sklepików upadło, próbując konkurować z sieciami i supermarketami, te giganty angażowały się w tak bezpardonową walkę cenową, że niemal pozbawiały się zysków. Ja też tak robiłem

na początku, ale zacząłem tracić pieniądze i wbrew wszelkim obiegowym pojęciom i zaleceniom tego fachu, odbudowałem swoją pozycję, wracając do przyzwoitych, nie samobójczych cen. Straty się skończyły, wzrosła liczba klientów, a ja zacząłem cieszyć się życiem, zamiast budzić się zlany potem w środku nocy.

Ridger miał w samochodzie butelkę Bell's; stała prosto na tylnym siedzeniu w tym samym pudle, w jakim opuściła „Silver Moondance”, w dwóch trzecich napełniona, jak poprzednio.

- Zanim wyruszymy, wezmę tę whisky do sklepu i tam spróbuję.

- Dlaczego nie tu?

- W samochodzie śmierdzi benzyna. - Co za szczęście, pomyślałem.

- Właśnie napełniłem bak. Ale co to ma do rzeczy?

- Zapach benzyny eliminuje zapach szkockiej.

- No, niech będzie. - Wysiadł z samochodu, wyjął pudełko, starannie pozamykał drzwiczki, chociaż samochód zaparkowany dokładnie przed sklepem był doskonale widoczny z wnętrza. Następnie zaniósł pudło i postawił je na ladzie.

Niedbałym ruchem wyzwoliłem rękę z temblaka, wzięłem butelkę Bell's, zaniósłem ją do kantorka i przelałem przez lejek niezłą miarkę do przygotowanej wcześniej buteleczki, a potem wlałem odrobinę do szklanki. Buteleczka miała zakrętkę, którą w pośpiechu zaczepliłem o nitkę rękawa, ale w ciągu sekundy butelka była zakręcona i razem z lejkiem schowana za pudło z papierami. Niespiesznym krokiem wyszedłem do sklepu, sącząc w zamyśleniu whisky ze szklanki, prawa ręka znowu zwisała na temblaku.

Ridger szedł mi naprzeciw. - Nie wolno mi spuścić z oczu tej butelki - oznajmił.

- Przepraszam. - Ręką, w której trzymałem szklankę, wskazałem na kantorek. - Stoi na biurku. Absolutnie bezpieczna.

Zajrzał na zaplecze, żeby się upewnić, i kiwnął głową. - Jak długo to potrwa?

- Niedługo.

Płyn w moich ustach to na pewno whisky Rannoch, pomyślałem. Absolutnie. Tylko że...

- O co chodzi? - dopytywał się Ridger, co uświadomiło mi, że zmarszczyłem brwi.

- O nic. Jeśli chce pan wiedzieć, czy potrafię rozpoznać tę whisky, to odpowiedź brzmi: owszem, potrafię.

- Na pewno?

- Tak.

- A dlaczego pan się uśmiecha?

- Sierżancie - powiedziałem zdesperowany - to ma być współpraca, nie przesłuchanie, zabierajmy butelkę i ruszajmy w drogę.

Zastanawiałem się, czy sierżantowi Ridgerowi udało się kiedykolwiek z kimś zaprzyjaźnić, czy podejrzliwość jego natury mogła się na jakiś czas wyłączyć. Niewątpliwie po wszystkich naszych spotkaniach okazywał równy brak wrażliwości jak za pierwszym razem, a ja nawet nie próbowałem go ułagodzić, bo każdą taką próbę potraktowałby jako wysoce podejrzaną.

Odjechał od krawężnika ze słowami, że zacznie od najbliższych położonych miejsc, z czym nie miałem powodu polemizować, ale zorientowałem się, że rozumiał przez to lokale najbliższe „Silver Moondance”. Kiedy od „Silver Moondance” dzieliła nas mniej więcej mila, skręcił z głównej drogi i zatrzymał się przed wiejskim pubem.

Był to zajazd stary już w chwili śmierci królowej Anny, kiedy zatrzymywały się tu dylizansy na zmianę koni. Budowa dwudziestowiecznej szosy zostawiła pub na odludziu, stara droga dylizansów obecnie stała się ślepym zaułkiem. Byliśmy tu z Emmą kilkakrotnie, bo podobał nam się stary pękaty budynek z ukośnymi oknami i stuartowskimi ceglami, które nadal widać było w kominkach.

- Chyba nie tutaj! - wykrzyknąłem zdumiony.

- Zna pan ten pub?

- Byłem tu, ale nie w ciągu ostatniego roku.

Ridger zajrzał do swoich notatek. - Skargi na rozwodnioną whisky, dzin też. Skargi sprawdzone, uznane za bezpodstawne. Kontrole 23 sierpnia i 18 września.

- Ten bar prowadzi emerytowany krykiecista - powiedziałem. - Szczodry. Rozgadany. Trochę leń. Miejsce wymaga remontu.

- Kierownik: Noel Gerge Darnley.

Odwróciłem głowę i spojrzałem z ukosa na jego zapiski. - To ktoś inny.

- W porządku. - Ridger wysiadł z samochodu i dokładnie go pozamykał. - Będę pił sok pomidorowy.

- Kto płaci?

Ridger oniemiał. - Mam niewiele pieniędzy...

- Nie było instrukcji? Żadnej policyjnej gotówki nie dali? Chrząknął. - Musimy mieć rachunki.

- No dobrze. Będę sam płacił. Zapiszemy nazwę każdego lokalu i sumę, a pan to podparafuje.

Zaakceptował moją propozycję. Nie wiedziałem, czy policja zwróci mi te pieniądze, czy nie, ale jeśli nie, to najpewniej zrobi to Kenneth Charter. Jeżeli nawet nikt tego nie zrobi, niewielki problem.

- A jeśli znajdziemy odpowiednik? To był znacznie pewniejszy grunt.
- Konfiskujemy butelkę, pieczętujemy ją, opisujemy i wydajemy pokutowanie.
- W porządku.

Weszliśmy do pubu jako klienci, Ridger równie rozluźniony jak struny gitary.

Zauważyłem, że operacja kosmetyczna się odbyła, ale zdecydowanie wolałem dawne zmarszczki. Prawda, że zniszczone i poprzecierane indyjskie dywaniki wymagały renowacji, ale nie wymiany na pomarańczowe i brązowe pasy. Szorstkie i sękaty dębowe ławy ustąpiły miejsca gładkim skóropodobnym winylom, a na gzymsie kominka stanęły błyszczące nowoczesne ozdoby z mosiądzu zamiast starych cynowych talerzy.

Nowa miotła nowego właściciela doprowadziła jednak do tego, że bar wyglądał znacznie czyściej, a sam gospodarz, który wychynał z zaplecza, nie był niechlujnie ubranym, błyszczącym od potu grubasem. Był schludny, szczupły i pozbawiony indywidualności. W dawnych czasach pub był pełen, zastanawiałem się, ilu regularnych klientów nadal tu przychodzi.

- Proszę whisky Bell's - powiedziałem, patrząc na rząd butelek. - I drugą whisky Bell's z tamtej butelki. I sok pomidorowy.

Realizował zamówienie bez słowa. Zanieśliśmy szklanki na niewielki stolik, a ja rozpocząłem swoje niezwykle zadanie od starannego próbowania pierwszej Bell's.

- No i co? - dopytywał się Ridger, wyczekawszy pełną minutę. - Co tutaj mamy?

Pokręciłem głową.

- To prawdziwa Bell's. Nie taka jak w „Silver Moondance”. Ridger zostawił swoje zapiski w samochodzie, bo nie mam wątpliwości, że w przeciwnym razie od razu wykreśliłby naszego gospodarza.

Spróbowałem whisky z drugiej butelki. Też bez powodzenia.

O ile mogłem stwierdzić, whisky w żadnej z obu butelek nie była rozwodniona, obie próbki zdawały się pełnej mocy. Poinformowałem o tym Ridgera, który tymczasem obniżał poziom soku pomidorowego w swojej szklance i robił wrażenie, że bardzo mu to smakuje.

Zostawiłem na stole obie szklaneczki z whisky i podszedłem do baru.

- Pan jest tutaj nowy? - spytałem.
- Stosunkowo - padła raczej ostrożna niż przyjazna odpowiedź.
- Dobrze się panu układa z miejscowymi bywalcami?

- Przyszedł pan narobić mi kłopotów?

- Nie. - Zdumiała mnie uraza w jego głosie, której nawet nie próbował ukrywać. - Co pan ma na myśli?

- Przepraszam, ale zamówił pan dwie whisky z różnych butelek i próbował je bardzo uważnie. Ktoś tutaj robi mi koło pióra w Urzędzie Miar i Wag, twierdząc, że nie dają pełnych porcji i rozwadniam trunki. Niektórym miejscowym nie podoba się, że wyporządziłem ten lokal. Ale niech pan sam powie, żeby z tego powodu próbować wlepić mi karę albo odebrać licencję, to lekka przesada.

- Owszem, bardzo podle - przyznałem.

Odwrócił się, dalej niepewny, co o mnie myśleć, co zważywszy na okoliczności, było całkiem zrozumiałe. Zabrałem Ridgera, który wycierał usta z czerwonych plam, i wyszliśmy z pubu, zostawiając na stole niedopitą whisky, co pewnie przerodziło w pewność podejrzenia nieszczęsnego właściciela.

Ridger wykreślił ten lokal ze swojej listy i podał następny adres, który okazał się olbrzymim i całkiem bezdusznym miejscem; ceglany budynek, zbudowany w latach trzydziestych, z ramienia browaru zarządzał lokalem nadęty kierownik rozmiłowany w świeżym powietrzu. Nawet Ridger w swoim płaszczu przeciwdeszczowym dygotał przy otwartych oknach i wymamrotał, że to nieciekawie wyglądający bar. Byliśmy pierwszymi klientami, to prawda, jednak w ten chłodny szary poranek nie paliło się tu żadne światło, by rozgrzać i powitać spragnionych gości.

- Poproszę sok pomidorowy i whisky Bell's.

Kierownik purytanin podał żądane napoje i wycedził cenę przez zaciśnięte zęby.

- Czy możemy prosić o zamknięcie okien?

Spojrzał na zegarek, wzruszył ramionami i niechętnie zabrał się do odgradzania wnętrza od październikowego chłodu. Niewiele sprzedałbym w moim sklepie z taką miną, pomyślałem. Wszyscy chcą kupić coś więcej niż to, o co prosili, i właśnie to niewymierne ekstra decyduje, czy wróca, czy nie. Może whisky w tym lokalu jest dobra, ale nigdy nie wróciłbym tu z własnej woli.

- No i? - dopytywał się Ridger, parafując zapłatę na naszej liście. - Co to jest?

- Bell's.

Ridger skinął głową, tym razem pociągnął tylko jeden łyk soku. - Idziemy?

- Chętnie.

Kiedy wychodziliśmy, rozgoryczony kierownik otwierał okna. Ridger w samochodzie sprawdził listę.

- Następne miejsce to hotel. Peverill Arms przy drodze z Reading do Henley. Liczne skargi na rozcieńczoną i pozbawioną smaku whisky. Skargi sprawdzono 12 września. Przypadkowe próbki wykazały, że whisky ma odpowiednią moc.

W jego głosie brzmiało coś więcej niż zwykła sucha informacja, usłyszałem w nim zastrzeżenie, niemal lęk.

- Zna pan to miejsce?

- Byłem tam. Zakłócenia porządku.

Popadł w pełne determinacji milczenie, uruchomił silnik i ruszył z całkowitą dezaprobatą, wyraźnie czytelną w sztywności karku. Te oznaki mogłyby wskazywać, że jedziemy na burzliwe spotkanie z Piekelnymi Aniołami, ale po przybyciu na miejsce skonstatowałem z rozbawieniem, że demonem Ridgera tym razem okazała się kobieta.

Była to jednak kobieta o posagowych proporcjach, niemal metr osiemdziesiąt powabnych kształtów Wenus z Milo, o bardzo obfitych biodrach.

- Pani Alexis - mruknął Ridger. - Może mnie nie pamiętać.

W istocie pani Alexis skwitowała nasze przybycie ledwie przelotnym spojrzeniem. Nadzorowała podpalanie polan w gigantycznym kominku w hallu wejściowym, ale w tym momencie próby kończyły się mnóstwem ostrego dymu i kilkoma wątłymi płomykami.

Poza ciężką smugą dymu unoszącego się pod sufitem, wejście do tego hallu bardzo podnosiło na duchu: liczne fotele obite kretonem w ciepłych kolorach, błyszczące miedziane dzbany, atmosfera niewątpliwego sukcesu. Na jednym krańcu hallu znajdował się duży bar bez żadnej obsługi, a z kominka ku ogromnej uciechu nielicznych gości usadowionych w fotelach wystawał tyłek nieszczęsnego rozpalacza ognia.

- Wilfred, na miłość boską, przynieś tę cholerną dmuchawę - pouczała bardzo donośnie pani Alexis. - Wyglądasz idiotycznie, kiedy tak dyszysz z wypiętym tyłkiem.

Uznałem, że jest dobrze po pięćdziesiątce, ma szorstką pewność siebie właściwą urodzonym przywódcom. Przystojna, kosztownie ubrana, porywcza, pozbawiona zahamowań. Zorientowałem się, że się uśmiecham dokładnie w tym samym momencie, gdy Ridger wykrzywił kąciki ust.

Nieszczęsny Wilfred, czerwony jak burak, zrezygnował z wykonania zadania i wycofał się posłusznie, a pani Alexis z promiennym wzrokiem zapytała, czego sobie życzymy.

- Drinków - odpowiedziałem nieprecyzyjnie.

- To proszę tutaj - poszła przed nami do baru. - Pierwszy raz tej zimy palimy w kominku. Zawsze na początku dymi jak diabli. - Zmarszczyła brwi na widok wędrującej chmury dymu. - Ale w tym roku jest gorzej niż zwykle.

- Trzeba przeczyścić komin - wtrącił Ridger.

Pani Alexis obrzuciła go spojrzeniem ostrym jak jastrząb. - Komin jest czyszczony każdej wiosny. A czy pan przypadkiem nie jest tym policjantem, który poinformował mnie, że jeśli będę przyjmowała tu lokalną drużynę rugby po zwycięskim meczu, to powinnam się spodziewać, że będą się huścić na żyrandolu i lać piwo do pianina?

Ridger chrząknął, ja z trudem powstrzymywałem śmiech, za co spotkało mnie wyraźne spojrzenie jastrzębich oczu.

- Pan też jest policjantem? - spytała pogodnie. - Przyszedł pan zebrać o jakąś śmieszna piłkę dla siebie?

- Nie. - Czułem, że w moich oczach czai się śmiech. - Przyszliśmy się czegoś napić.

Uwierzyła w tę prostą odpowiedź tak samo jak w wyjaśnienia złodzieja przyłapanego na gorącym uczynku, weszła jednak za kontuar baru i cierpliwie czekała.

- Poproszę whisky Bell's i sok pomidorowy.

Przytknęła szklaneczkę do butelki whisky i czekała, aż naleje się pełna miarka. - Jeszcze coś?

Podziękowałem, przysunęła mi whisky, popychając sok pomidorowy w stronę Ridgera. Wzięła ode mnie pieniądze i wydała resztę. Usiedliśmy na fotelach przy niewielkim stoliku, gdzie Ridger po raz kolejny podparafował nasze wydatki.

- Co to było z tym klubem rugby? - spytałem zaciekawiony.

Na jego twarzy malowała się głęboka dezaprobata. - Wiedziała, że będą kłopoty. To brutalne towarzystwo. Wyrwali żyrandol z sufitu, a przy okazji mnóstwo sztukaterii. Kiedy przyjechaliśmy, trzymała ich wszystkich na muszce w rzędzie pod ścianą.

- Na muszce? - pytałem zdumiony.

- Broń nie była naładowana, ale nasz klub rugby nie chciał ryzykować. Doskonale wiedzieli, jak ona traktuje bażanty.

- Czyli strzelba myśliwska?

- Owszem. Trzymają tu za barem. Nie możemy nic na to poradzić, choć ja osobiście bardzo bym chciał, ale ona ma pozwolenie na broń. Twierdzi, że trzymają po to, żeby odstraszać złoczyńców, chociaż nie ma takiego lokalnego złoczyńcy, który by się jej przeciwstawił.

- Wzywała was na pomoc z tym klubem rugby?

- Nie ona. Któryś z klientów. Jej nie zachwyił nasz widok. Powiedziała, że jeszcze się nie urodził taki mężczyzna, z którym by sobie nie poradziła. - Ridger miał taką minę, jakby w to wierzył. - Nie chciała składać oskarżenia mimo wszystkich szkód, ale słyszałem, że zapłacili bez mrugnięcia powieką.

Pomyślałem, że bardzo odważny musiałby być ten, kto powiedziałby pani Alexis, że jej Bell's whisky to w istocie Rannoch, ale w rzeczywistości tak nie było. Był to prawdziwy, nierozwodniony Bell's.

- Szkoda - skwitował Ridger moją informację.

- Ale na górnej półce ma butelkę Laphroaig - powiedziałem w zamyśleniu.

- Naprawdę? - nadzieje Ridgera wzrosły. - Zamierza pan spróbować?

Skinąłem głową i podszedłem do baru, ale pani Alexis znowu zajmowała się kominkiem. Wilfred za pomocą dmuchawy jedynie powiększał ilość dymu.

- Komin jest chyba zablokowany - stwierdził, próbując tym samym się usprawiedliwić.

- Zablokowany? - dopytywała się pani Alexis. - A jak to możliwe? - Zastanowiła się nie dłużej niż dwie sekundy. - Chyba że zbudował w nim gniazdo jakiś cholerny ptak, jak trzy lata temu.

- Lepiej poczekajmy, aż go przeczyszczą - proponował Wilfred.

- Poczekajmy? Wykluczone. - Ruszyła w stronę baru. - Zaraz wracam - powiedziała, widząc, że czekam. - Gniazdo ptasie. Cholerne ptaszyska w moim kominie! Już kiedyś to zrobiły, zaraz je wykurzę. Takje postraszę, że popamiętają na całe życie.

Nie zadałem sobie trudu, żeby przypomnieć o tym, że w październiku gniazda na ogół są niezamieszkane. Na pewno o tym wiedziała. Uśmiechała się też z szelmowską beztróską, kiedy wyłoniła się zza baru, trzymając w ręku osławioną strzelbę, do której ładowała nabój. Zdawało się, że u większości obecnych w hallu ten widok wywołuje podobną reakcję jak u mnie. Nikomu nawet nie przyszło do głowy, żeby ją powstrzymać, kiedy maszerowała w stronę kominka.

Ridger z niedowierzaniem otworzył usta.

Pani Alexis wetknęła całą strzelbę w przepastną czelusć kominka i odsunawszy się na długość ramienia, bezceremonialnie pociągnęła za spust. We wnętrzu rozległ się przytłumiony huk i odgłos upadającej broni, którą w chwili szarpnięcia rzuciła na stertę polan. Wszyscy obecni wytrzeszczali oczy, ale pani Alexis spokojnie podniosła upuszczoną własność i wróciła do baru.

- Jeszcze jedną Bell's? - spytała, wkładając strzelbę pod ładę. - I sok pomidorowy?

- No... - wydukałem.

Śmiała się. - Najszybszy sposób przeczyszczenia komina. Nie wiedział pan o tym?

- Nie.

- To stara strzelba... ma wykrzywioną lufę. Nie potraktowałabym tak dobrej broni. - Spojrzała na kominek. - W każdym razie zaczyna mniej dymić.

Wydawało się, że ma rację. Wilfred znowu klęczał z dmuchawą, ale teraz dym unosił się do góry, nie rozchodził się po całym pomieszczeniu. Wytrzeszczone dotychczas oczy widzów wróciły na miejsce, usta powoli się zamknęły, nawet usta Ridgera.

- Poproszę Laphroaig - powiedziałem. - Czy mógłbym popatrzeć na listę win?

- Wszystko, czego pan sobie życzy. - Musiała się mocno wyprostować, żeby sięgnąć do butelki Laphroaig, ale nalała porządną miarę. - Po co pan tu przyszedł z tym policjantem? - Błyszczące oczy wpatrywały się we mnie. - Ten policjant nie przyszedłby tutaj tylko po to, żeby się napić. Nie on. Nie na sok pomidorowy. I nie o tak wczesnej porze.

Zapłaciłem za Laphroaig i wziąłem listę win, którą mi podała.

- Szukamy szkockiej, która wylądowała w „Silver Moondance” w butelce Bell’s - wyjaśniłem. - To znaczy większych jej ilości...

Bystry wzrok nabrał intensywności.

- Tu jej nie znajdziecie.

- Nie, nie przypuszczam.

- Czy sprowadziły was tu te skargi z zeszłego miesiąca?

- Tak, jesteśmy tu z powodu skarg.

- Nie pokazał mi pan żadnych pełnomocnictw. - Żadnego antagonizmu, pomyślałem, a więc i żadnej winy.

- Bo nie mam żadnych. Handluję winem.

- Winem? - Zastanowiła się chwilę. - A jak się pan nazywa? Powiedziałem jej, podając także nazwę mojego sklepu.

- Nigdy o panu nie słyszałam - powiedziała pogodnie. - Pozna pan tę szkocką, jeśli pan jej spróbuje?

- O to generalnie chodzi. Poznam.

- Więc powodzenia. - Obrzuciła mnie rozbawionym spojrzeniem i zajęła się kolejnym klientem, a ja z moją szklaneczką poszedłem do stolika Ridgera, przekonany, że Laphroaig nie okaże się niczym innym.

- To haniebnie. Powinienem ją aresztować - stwierdził sierżant.

- Na jakiej podstawie?

- Wystrzał z broni palnej w miejscu publicznym.
- Wnętrze komina nie jest miejscem szczególnie publicznym.
- To nie jest powód do żartów - oświadczył poważnie.
- Dym się zmniejsza. Strzał okazał się skuteczny.
- Myślałem, że ma pan dosyć strzałów na całe życie.
- To prawda.

Wypiłem Laphroaig: dymny, torfowy, dębowo-wiekowy historyczny Laphroaig, absolutnie autentyczny.

Ridger z trudem ukrywał rozczarowanie, narzekał na ceny i kręcił się niecierpliwie, kiedy czytałem bogatą, ręcznie napisaną listę win. Były tu wszystkie znane nazwy z „Silver Moondance” oprócz dziesiątków innych, ale kiedy pokazałem to sierżantowi, oświadczył sztywno, że otrzymał polecenia, które obejmują wyłącznie whisky.

Zamyślony zanieśli listę win z powrotem do baru i poprosiłem panią Alexis o butelkę St Estephe.

Uśmiechnęła się. - Z największą przyjemnością. Odkorkować?

- Jeszcze nie. - Razem z nią przejrzałem listę win, wybierając St Emilion, Mâcon, Valpolicelle, Voley i Nuits St Georges.

- Oczywiście - odparła spokojnie. - Chce pan wszystkie?

- Tak, poproszę.

Zniknęła na chwilę, powróciła, niosąc koszyk z przegródkami, w których spoczywało sześć zamówionych butelek. Wziąłem każdą z nich i oglądałem etykiety, wszystkie miały odpowiednie nazwy, ale złe roczniki.

- Sprzedaliśmy już cały rocznik 1979 - wyjaśniała cierpliwie, kiedy zwróciłem jej na to uwagę. - Ciągłe uaktualniamy listę win i dlatego jest pisana ręcznie. Aktualnie też piszemy już nową. Obecne wina są lepsze. Więc chce pan je, czy nie?

- Przepraszam, nie.

Bez komentarza postawiła koszyk z butelkami za barem u swoich stóp i uśmiechnęła się do mnie uprzejmie.

- Czy zna pani „Silver Moondance”? - spytałem.

- Ze słyszenia. Wszyscy w okolicy znają. Nigdy tam nie byłam. Nie w moim stylu. Ale słyszałam, że to i tak już równia.

- Równia...?

- Równia pochyła - wyjaśniła cierpliwie. - Bank żąda zwrotu hipotecznej pożyczki. Od dzisiejszego ranka cały personel już nie pracuje. Jeden z szefów kuchni dzwonił do mnie w

sprawie pracy. - Mówiła to z rozbawieniem, jakby zamknięcie tamtego lokalu było komiczne, ale właściwie od chwili naszego przyścia wyraz jej twarzy się nie zmienił, mięśnie policzków zdawały się zastygłe w wyrazie drwiny.

- W „Silver Moondance” sprzedawali jedno wino pod sześcioma różnymi etykietami - objaśniłem spokojnie.

Wyraz jej twarzy nie uległ zmianie, rzuciła tylko okiem na koszyk u swoich stóp.

- Tak, właśnie te - powiedziałem. - A raczej, niezupełnie te.

- Czy pan chce mnie obrazić?

- Nie, chcę panią po prostu poinformować.

Błyszczące oczy wpatrywały się we mnie niemal nieruchomo. - I szuka pan nie tylko szkockiej, ale również tego wina?

- Tak.

- Żałuję, ale nie mogę panu pomóc.

- Może to lepiej.

- Dlaczego?

- No... nie sądzę, żeby zbyt dokładna wiedza o tym winie zapewniała bezpieczeństwo. Główny kelner w „Silver Moondance” niewątpliwie wiedział, co sprzedaje... no i nie żyje. W jej twarzy nic się nie zmieniło. - Nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo - powiedziała. - To mogę panu obiecać. Czy chce pan coś jeszcze?

Pokręciłem przecząco głową. - Będziemy się zbierali. Jej wzrok prześlizgnął się po mnie i zatrzymał się na Ridgerze. Wciąż bez najmniejszej zmiany wyrazu twarzy powiedziała:

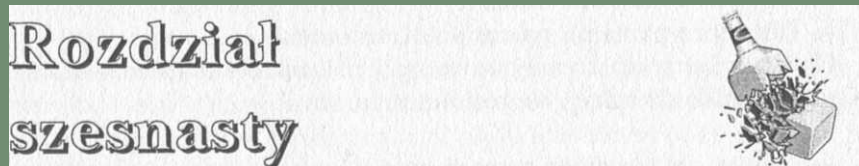
- Podeślijcie mi tu lepiej kogoś, kto pohańca się na żyrandolu. Pokażcie mi prawdziwego mężczyznę. - Spojrzała na mnie, kpina w jej wzroku była wyraźna i nieukrywana. - Świat jest taki cholernie nudny...

Miała bardzo gęste rudawe włosy, błyszczące zdrowiem i farbą, paznokcie twarde i długie jak szpony. Kobieta o silnych apetytach, która przypominała mi wszystkie gatunki samic chrupiących swego partnera na śniadanie.

Wilfred (czyżby aktualnie w menu?) nadal klęczał przed bogiem ognia, kiedy obaj z Ridgerem zmierzaliśmy w końcu do wyjścia. Ridger wyszedł przede mną, w tym momencie rozległo się głucho plaśnięcie i na polana, płomienie, na klęczącego obok mężczyznę posypała się poruszona strzałem sadza.

Widzowie w fotelach w osłupieniu obserwowali, jak rozwścieczony Wilfred wstaje z kolan, jak nieskuteczny król demonów, rozpylając wokół czarny deszcz i mrugając powoli wielkimi oczami niczym zaskoczona sowa w ciemną noc.

- Podam do sądu tego cholernego kominiarza - oznajmiła pani Alexis.



Tego pierwszego dnia odwiedziliśmy jeszcze cztery puby, zmęczył mnie w końcu smak nierozwodnionej whisky Bell's. Ridger systematycznie notował na swojej liście i nie okazywał najmniejszego zawodu, kiedy wciąż nowe szklaneczki whisky okazywały się autentyczne. Wędrówka po barach była dla niego taką samą pracą jak każda inna, będzie ją flegmatycznie kontynuował, póki nie dostanie nowych instrukcji.

To człowiek pozbawiony ducha buntu, pomyślałem, nigdy nie kwestionujący ani rozkazu, ani porządku rzeczy, żyjący na przeciwległym krańcu spektrum niż ten nędzny zacieracz śladów Kenneth Charter junior. Gdzieś pomiędzy tą dwójką sytuujemy się my wszyscy, narzekający, dążący do czegoś, wytrzymali i nastawieni filozoficznie, starający się jak najlepiej wykorzystać naszą niedoskonałą ewolucję.

Pod koniec wyprawy spytałem sierżanta, czy znaleźli jakiś ślad prowadzący do furgonetki Bedford użytej do kradzieży w moim sklepie. Odpowiedział bez zwykłych zastrzeżeń, bo może tymczasowo zaakceptował mnie jako autentycznego kolegę z pracy.

- Nie, nie znaleźliśmy tej furgonetki. Inie oczekujemy, że nam się to uda.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Jest własnością firmy Quality House Provisions, gdzie nawet nie zauważono jej zniknięcia, dopóki nie zjawił się u nich w poniedziałek rano jeden z naszych funkcjonariuszy. Jakieś niemrawe towarzystwo. Mają dużo furgonetek, powiedzieli. Ta znalazła się aktualnie na liście skradzionych pojazdów z dopiskiem „pilne”, ponieważ wiąże się z morderstwem Zaraca. Ale taka trefna furgonetka na pewno już dawno została gdzieś porzucona, pewnie na złomowisku dziesiątki mil stąd, bez numerów rejestracyjnych. Sądzę, że niktjej nie znajdzie, chyba że jakimś szczęśliwym zbiegiem okoliczności.

- Pocieszające.

- Po prostu taka jest rzeczywistość.

Odwiózł mnie do sklepu i zapowiedział, że wróci rano z nową listą podejrzanych lokali.

- Nie mógłby pan przywieźć kompletnej listy zamiast tych kawałków? - spytałem.

- Jeszcze nie jest skończona. Dzisiaj zaczęliśmy od podejrzeń mojego wydziału, ale może trzeba będzie poczekać na informacje od innych.

- Mmm... sierzancie, czy ma pan jakieś imię? Spojrzał na mnie lekko zaskoczony. - John.

- Nie będzie pan miał nic przeciwko temu, że posłużę się nim jutro w pubach? Dziś dwa razy o mało nie nazwałem pana sierżantem w obecności barmanów.

Zastanowił się. - Istotnie. Zgoda. A czyja mam mówić do pana Tony?

- Byłoby to znacznie rozsądniej.

- W porządku.

- Co pan robi po służbie? - spytałem.

- Ogród. Uprawiam głównie warzywa.

- Jest pan żonaty?

- Tak. Od czternastu lat. Dwie córki, prawdziwe małe damy. - Wyraz pobłażania na twarzy złagodził ostrość głosu. - Pańska żona podobno umarła.

- Owszem.

- Bardzo panu współczuję.

- Dziękuję, sierzancie.

Skinął głową. John był do pracy, chwilowa intymność, która nie zmusi go do przyjaźni. Wyczuwałem jego aprobatę, niemal ulgę, że prywatnie nie posłużyłem się imieniem.

Wysadził mnie przed drzwiami sklepu i przepisowo odjechał z włączonym migaczem, ostrożny w każdym calu.

Pani Palissey miała bardzo dużo roboty, co z przyjemnością zakomunikowała, dopytywała się też, czy na pewno mogę sam pojechać samochodem do szpitala, bo szczerze mówiąc, panie Beach, wyczuwam lekki zapach alkoholu.

Uświadomiłem sobie, że zamówiłem, zapłaciłem i wypilem dobry tuzin szklaneczek whisky bez wody i jeśli nadal czuję się trzeźwy, jest to po prostu złudzenie. Pojechałem do szpitala taksówką, pielęgniarka (ta sama) z wyraźnym niesmakiem zdjęła bandaż, żeby sprawdzić, co się dzieje pod spodem.

- Picie spowalnia gojenie - oświadczyła surowo.

- Naprawdę?

- Tak.

Pochylona nade mną zrywała po kolei antyseptyczne opatrunki, które założyła poprzedniej niedzieli. Staralem się oddychać płytko przez nos i odwracać głowę. Jednak sądząc po demonstracyjnych poruszeniach jej nozdrzy, robiłem to bez powodzenia.

- Większość ran goi się lepiej niż pan sobie zasłużył - stwierdziła w końcu. - Trzy są zaczerwienione, a ta jedna też nie wygląda zbyt dobrze. Czy bolą?

- No... można by tak powiedzieć.

Skinęła głową. - Należało się tego spodziewać. Część śrutu utkwiała głębiej niż dwa centymetry. - Zabrała się do nalepiania nowych opatrunków. - Założę szew na tej paskudnej ranie na bicepsie, żeby się nie rozeszła. Proszę unikać alkoholu. Są znacznie lepsze środki przeciwbólowe.

- Tak jest, siostró - odparłem oschle i pomyślałem o trunkowym dniu następnym i pięćdziesięciu tysiącach barów stąd do Watford.

Po powrocie do sklepu wyprawiłem panią Palissey i Briana z dostawami, załatwiłem trochę papierkowej roboty i w popołudniowej przerwie między klientami zabrałem się w końcu posłusznie do odbitek z notesu Kennetha juniora.

Firma Gerarda doskonale poradziła sobie z odcyfrowaniem i sprawdzeniem zapisków, mój szacunek do tej organizacji wzrósł; od etapu niejasnych oczekiwań przeszedłem do stanu przekonania, że Deglet's to doświadczeni eksperci na znacznie wyższym poziomie, niż myślałem.

W kopercie znalazłem wyjaśniającą notatkę Gerarda i około piętnastu kartek papieru. Na każdej z nich była odbitka strony z niewielkiego notesu, prosta linia prowadziła od każdej notatki do wyjaśnień na marginesie.

Gerard napisał na maszynie:

Tony, wszystkie wyjaśnienia zdobyliśmy drogą telefoniczną, nie osobiście. Wyczerpujących odpowiedzi udzielił sam Kenneth Charter, jego żona, córka i starszy syn, chociaż zarówno ich, jak i przyjaciół czy wymienione sklepy musieliśmy pytać ostrożnie, ponieważ Kenneth Charter postawił warunek, żeby nie przedstawiać juniora jako kryminalisty.

Strony ponumerowane są w takiej kolejności, w jakiej występowały kartki w notesie. Według Kennetha Chartera zapiski z pierwszej strony pochodzą z początków sierpnia, bo jest tam mowa o urodzinach pani Charter 8 sierpnia. Można zakładać, że potem strony zapisywane były kolejno, nie jest to jednak pewne, A jak się przekonasz, nie ma żadnych innych konkretnych dat.

Proszę, zapisuj od razu wszystko, co wpadnie ci do głowy podczas czytania. Nie zostawiaj tego na później, bo wyparuje.

G.

Popatrzyłem na pierwszą stronę z notesu, na której przeczytałem: *Kupić kartkę na urodziny mamy w przyszłym tygodniu.*

Równa prosta linia prowadziła do notatki na marginesie: *8 sierpnia.*

Pismo Kennetha juniora wykrzywiało się trochę do przodu i do tyłu, często w jednym słowie, ale było raczej wyrobione i łatwe do czytania. Adnotacje firmy Deglet's były wypisane schludnymi, czarnymi literami, całkowicie odmiennymi w charakterze, ale równie czytelnymi. Nie mogłem się uskarżać, że Gerard obarczył mnie zadaniem skomplikowanym technicznie.

Drugi zapis na pierwszej stronie brzmiał: *Iść do D.N. po g.w.*

Notatka na marginesie wyjaśniała: *D.N. to David Naylor, jedyny bliski przyjaciel Kennetha juniora. Przypuszczalnie literki g.w. oznaczają gry wojenne, bo jest to hobby Davida Naylora.*

Na pierwszej stronie wyczytałem jeszcze:

Odebrać spodnie z pralni.

Poprosić tatę o gotówkę.

Powiedzieć B. T., żeby się odpieprzyła.

Od tego zapisu linia prowadziła do: *B.T. to prawdopodobnie Betty Townsend, dziewczyna, z którą spotykał się Kenneth junior. Pani Charter twierdzi, że to miła dziewczyna, ale zbyt przyklepna.*

Biedna Betty Townsend.

Zabrałem się do drugiej strony, gdzie znalazłem numery telefonów, a przy identyfikacji na marginesie był również adres. *Kino Odeon (lokalne) Klub bilardowy Diamond (lokalny) David Naylor (przyjaciel, bezrobotny) Clipjoint (fryzjer, lokalny)*

Lisa Smithson (okazjonalnie dziewczyna Kennetha, bezrobotna) Ronald Haleby (przyjaciel, bramkarz w lokalnej dyskotecie) Zapisy na wielu kolejnych stronach dawały się zrozumieć jedynie dzięki numerom telefonów, stanowiły poza tym wymowne świadectwo nieukierunkowanego, bezcelowego życia. Zapiski juniora przypominały dzienniki zawierały rewelacje typu: *Wąchanie z R.H. Niedziela, wziąć gotówkę. Wziąć telefon skrobanki dla L.S.,* choć przeważały tam bardziej prozaiczne notki: *Powiedzieć mamie, żeby kupiła szczotkę do zębów, bilard w klubie Diamond, zreperować wtyczkę do stereo.* Na następnej stronie zapisał: *Strzyżenie. Iść do Halifaxu.*

Kupić czołg do g.w. Telefon do D.N. Wziąć klucze do N. T. do dorobienia. Spotkanie z R.H. w klubie Diamond. Pieniądze dla L.S. na skrobankę. Adnotacje firmy Deglet's:

(1) W Clipjoint powiedzieli, że Kenneth junior przychodził do nich mniej więcej co dziesięć dni na mycie głowy i czesanie. Kupował kosztowne specyfiki i dawał hojne napiwki.

(2) Mało prawdopodobne, żeby Kenneth junior pojechał do miejscowości Halifax. Chyba chodzi o Towarzystwo Budowlane Halifax, choć rodzice nie wiedzą, czy miał tam konto. Kenneth Charter uważa, że prócz zasiłku dla bezrobotnych syn nie miał żadnych pieniędzy, poza tymi, które dostawał od niego, ale to nie może być prawda, bo Charter nie dawał mu dosyć dodatkowych pieniędzy na kokainę i skrobanki.

(3) Czołg to chyba zabawka do gier wojennych.

(4) Nie odzyskano.

Na chwilę zadumałem się nad inicjałem N.T., ale nie wymyśliłem nic więcej niż Deglet's. Do czego na ogół potrzebujemy kluczy? Dom, samochód, walizka, szuflada, schowek, biurko, skrytka pocztowa, skrytka depozytowa... i tak bez końca. N.T. to może osoba. Osoba nieznana.

Na następnej stronie był tylko jeden zapis, ten, który rozpoczął cały popłoch.

Po numerze telefonu w Reading następował tekst:

Powiedzieć Z UNP 786Ybierze B's Gin pon. ok. 10.00.

Po raz kolejny zdumiewała mnie ta poruszająca zdrada, ale zająłem się tym, co jeszcze zostało w notesie: trzy kolejne strony bardzo przypominały wszystkie poprzednie, wystąpiło na nich tylko kilka nowych tematów.

Poszedłem z D.N. na g.w. z S.N.! Towarzyszyło temu wyjaśnienie:

S.N. to Stewart Naylor, ojciec Davida Naylora. Po rozwodzie Stewart Naylor mieszka osobno. David od czasu do czasu odwiedza ojca. Stewart Naylor słynie ze zręczności w grach wojennych, co pewnie tłumaczy postawienie wykrzyknika.

Na ostatniej stronie przeczytałem:

Wziąć wizę do Australii.

Spytać R.H. o dilerów w Sydney.

Zapłacić L.S. To jej działka.

Iść do Halifaxu.

Nie zapomnieć poprosić ojca o gotówkę.

Odebrać klucze od Simpensa i wysiać je.

Była jeszcze ostatnia adnotacja Deglet's: *Simpers to sklep z artykułami żelaznymi, gdzie można dorobić klucze. Nie mają zarejestrowanego śladu jakiegokolwiek pracy dla*

Kennetha juniora czy innych członków rodziny. Zazwyczaj dorabiają klucze na poczekaniu, chyba że nie mają na składzie odpowiednich ślepych kluczy i muszą po nie posiać. Wtedy proszą o podanie adresu i zostawienie zadatku. Jeśli junior w ten sposób dorabiał tam klucze, to nie podał własnego nazwiska i adresu.

Złożyłem razem wszystkie strony, schowałem je do koperty, patrząc z powątpiewaniem na kilka pomysłów i komentarzy, które nabazgrałem dla Gerarda. Kiedy pół godziny później zadzwonił, zaprezentowałem je niechętnie, trochę się przy tym usprawiedliwiając.

- Powiedz po prostu, co ci przyszło do głowy - zarządził z lekkim zniecierpliwieniem.

- Wszystko może się okazać pożyteczne.

- No więc... te klucze.

- Co z kluczami?

- No... jakie są klucze do cystern?

Po drugiej stronie przewodu zapanowało niemal namacalne milczenie.

- Jesteś tam jeszcze? - zapytałem.

- Owszem. - Znowu pauza. - Mów dalej.

- No... na początku zastanawiałem się, dlaczego zawsze kradną tę samą cysternę, i pomyślałem, że przyczyna może być cholernie prosta, jak choćby to, że złodzieje mają klucze tylko do tej cysterny. Bo potrzebowali kluczy do otwarcia szoferki, kiedy kierowca był na stacji benzynowej, żeby umieścić tam pojemnik z gazem i znowu zamknąć drzwi na klucz, by nie obudzić podejrzeń kierowcy.

- Policja zakładała, że złodzieje posłużyli się wytrychami - powiedział Gerard.

- Odpowiednim kluczem byłoby szybciej.

- Zgoda.

- Kenneth junior miał łatwy dostęp do biura Chartera i do każdego miejsca w firmie, zanim doszło do pierwszej kradzieży. Możesz zapytać Chartera seniora, gdzie przechowują klucze do cystern.

- Zrobię to.

- Przyszło mi do głowy, że może junior dorabiał klucze do drugiej cysterny. N.C. to może nowa cysterna albo coś takiego. W każdym razie warto byłoby zanieść klucze od któregoś z cystern do Simpensa i przekonać się, czy trzymają na składzie ślepe patроны, czy też muszą po nie posyłać. Może dobrze byłoby też ostrzec Kennetha Chartera, że ktoś gdzieś może mieć klucze do jeszcze jednej z jego cystern. Oczywiście, jeśli moje domysły mają jakikolwiek sens.

- Mają czy nie mają, ostrzegę go.

- Obawiam się, że to wszystko. Niewiele więcej wymyśliłem. Może tylko...

- Tylko co...?

- To, że Kenneth junior nie miał o sobie najgorszego mniemania. Sprzedawał informacje prawdopodobnie za żywą gotówkę, którą lokował w tak bardzo konserwatywnym miejscu jak towarzystwo budowlane. Rajcował się wachaniem z tym dyskotekowym bramkarzem, ale nie był narkomanem. Zapłacił dziewczynie za skrobankę. To nie są ciężkie przestępstwa.

- Nie. Lekko niestabilna osobowość. Też o tym myślałem. Mieszkał w domu, kupował mamie kartkę urodzinową, był pod wrażeniem ojca przyjaciela... nie miał jednak żadnego poczucia lojalności wobec własnej rodziny.

- Rebelia nastolatka posunięta o jeden krok za daleko.

- Zgoda - przyznał Gerard. - Gnojek niegodny zaufania. Ale widzisz, dzięki niemu zarabiamy pieniądze. Życie pełne jest takich paradoksów.

- Chcesz poznać jeszcze jeden? - spytałem ze śmiechem. - Szukamy teraz tej szkockiej na koszt policji.

Opowiedziałem mu o moich porannych peregrynacjach z Ridgerem i rozbawiłem go opowieścią o pani Alexis.

- Co do pani Alexis, to nie byłem pewien. Miała na swojej liście wszystkie te wina. Twierdziła, że wszystkie już sprzedała. Przez cały czas miała tak wszechwiedzący wyraz twarzy, że trudno się zorientować, czy dysponuje jakąś szczególną wiedzą. Może tam jeszcze pójde.

- Robi wrażenie niezłej hetery.

- Bardzo interesująca. Lubi mężczyzn, którzy huśtają się na żyrandolach.

- Ale to nie twój styl, ty tego nie robisz.

- Nie... więc nic nie powinno mi grozić.

Roześmiał się. - A jak twoja ręka? Ja mam się pokazać jutro.

- Nie najgorzej. Powodzenia.

Nazajutrz rano Ridger zjawił się punktualnie, mieliśmy się zająć Henley-on-Thames i okolicą. Co roku lipcowe regaty wioślarskie wnosily do sennego miasteczka pulsujące i kosztowne ożywienie. Pod koniec października w zimnej mżawce było tu bardzo spokojnie. Kaczki pływały w milczeniu po szarej rzece, a przechodnie kulili się pod parasolami.

Wchodziliśmy z Ridgerem do kolejnych barów, strząsając z siebie krople deszczu. Po jakimś czasie straciłem rachubę szklaneczek Bell's.

Wszystkie brzmiały czysto. Ani jednej fałszywej nuty.

Jeden z barmanów źle wydał resztę; rzucił na ladę garść monet, polewając równocześnie kontuar wodą, co miało mnie zmusić do szybkiego zebrania bilonu, bez sprawdzania go. Ridger stwierdził, że wydana reszta nie zgadza się z parafowanym zapisem. Pokazał swoją policyjną odznakę i ostrzegł barmana, który nie spojrzał na nas przychylnie. Jako kulminacja porannej sesji, nie był to zbyt ekscytujący moment, ale trudno trafić na panią Alexis w każdym dniu tygodnia.

W niektórych pubach były dwa bary. W jednym nawet trzy. Mój przyjaciel John upierał się, żeby sprawdzić każdą widoczną butelkę Bell's.

Opity pomidorowym sokiem odstawił mnie pod sklep o czternastej trzydzieści. Siedziałem z ciężką głową w swoim kantorku, żałując, że w ogóle biorę udział w tym przedsięwzięciu. Będę po prostu musiał zabierać ze sobą naczynie, do którego da się wypływać, pomyślałem, nawet jeśli będzie to ostrzeżeniem dla barmana i napelni obrzydzeniem pozostałych gości. Pewien stopień nietrzeźwości codziennie w porze lunchu to nie żarty.

Pani Palissey z Brianem odjechali z wielkim ładunkiem dostaw. Między rzadkimi wizytami popołudniowych klientów siedziałem w kantorku walcząc ze snem. Kiedy dzwonek przy drzwiach po raz piąty wyrwał mnie z drzemki, wszedłem do sklepu, ziewając.

- Czy tak należy witać mannę z nieba? - pytała moja klientka. Stała przede mną pani Alexis, niemal nadnaturalnej wielkości; w to deszczowe popołudnie przyniosła ze sobą własne słońce. Powoli zamknąłem usta, ułożyłem je w uśmiechu i powiedziałem: - Wybierałem się do pani przy pierwszej okazji.

- Naprawdę? - rzuciła, drwiąca jak zawsze. - A więc tutaj przebywa nasz mały kupczyk winny. - Rozglądała się dobrodusznie, zupełnie niez mieszana faktem, że mały kupczyk jest na tyle wysoki, że może przynajmniej patrzeć jej prosto w oczy. Prawie wszyscy mężczyźni, domyśliłem się, byli dla niej „mali”.

- Akurat tędy przejeżdżałam - wyjaśniła. Skinąłem głową. Zdziwiałem, ile osób tak właśnie mówi.

- Nic podobnego, wcale, do cholery, tak nie było - poprawiła gwałtownie. - Przyjechałam tu specjalnie. - Podniosła podbródek niemal wyzywająco. - To pana zaskakuje?

- Owszem - powiedziałem zgodnie z prawdą.

- Pański wygląd wzbudził moją sympatię.

- To też mnie zaskakuje.

- Bezczelni jesteście, co?

Nadal jestem na pół pijany, pomyślałem. Prawie jedna trzecia butelki szkockiej na pusty żołądek, to tak czy inaczej niedobrze. Kraina wrzodów wita...

- A jak tam komin? - spytałem. Pokazała w uśmiechu zęby rekina.

- Ten cholerny Wilfred nie może mi wybaczyć.

- A ogień?

- Pali się jak Rzym. - Spojrzała na mnie badawczo. - Jest pan tak młody, że mógłby być moim synem.

- Mniej więcej.

- A chce pan się czegoś dowiedzieć o tym cholernym winie czy nie?

- Chcę, jak najbardziej.

- Nie miałam zamiaru tego mówić temu sierżantowi policji. Nie dałabym mu tej satysfakcji. Nadęty ponurak.

Wymamrotałem coś niezobowiązującego.

- Kupiłam je, nie przeczę - powiedziała. - Ale cholernie szybko odesłałam z powrotem.

Wziąłem głęboki wdech, myśląc jedynie o tym, żeby jej nie rozproszyć.

- Kończyła mi się whisky Bell's - zaczęła. - Więc zadzwoniłam do pubu naprzeciwko, żeby trochę pożyczyć. Nie ma w tym nic dziwnego, bo zawsze sobie pomagamy. No i przyniósł mi całą cholerną skrzynkę, jeszcze nieotwartą. Powiedział, że mają od nowego dostawcy, który daje dobry rabat, szczególnie na wina, co bardziej leży w moim profilu. Dał mi numer telefonu i powiedział, że mam prosić Vernona.

Spojrzałem na nią.

- Powinam być mądrzejsza, prawda? - rzuciła pogodnie. - Powinam była podejrzewać, że to jakiś towar, który spadł z jakiejś cholernej ciężarówki...

- Ale jednak pani zadzwoniła?

- To prawda. Bardzo dobre wina, trochę poniżej normalnych cen. Więc przystałam na to, zamówiłam po skrzynce każdego, wprowadziłam na listę win, żeby sprawdzić, czy smakują klientom.

- I co, smakowały?

- Jasne. - Obdarzyła mnie rekinim uśmiechem. - Najlepszy dowód, ile naprawdę wiedzą ci tak zwani koneserzy.

- I co dalej?

- Dalej... zjawił się pewnego dnia w barze ktoś, kto narobił zamieszania i awanturował się, że dostał nie taką whisky. Sama mu nalewałam z butelki Bell's, którą dostałam od sąsiada. Spróbowałam jej, ale ja nie lubię whisky, toteż nie potrafię odróżnić jednej od drugiej. W każdym razie poczęstowałam go na koszt firmy whisky Glenlivet, żeby go ułagodzić, przeprosiłam, a po jego wyjściu zadzwoniłam od razu do mojego sąsiada, który zapewniał, że whisky jest w porządku, bo Vernon pracuje w olbrzymiej firmie.

- W jakiej?

- A skąd, do cholery, mam wiedzieć? Nie pytałam. Ale powiem panu, że nie miałam zamiaru ryzykować, więc resztę tej skrzynki whisky Bell's wylałam do zlewu. I dobrze zrobiłam, bo następnego dnia przyszli faceci z Miar i Wag ze swoimi przyrządami w wyniku skargi od klienta. A ten cholerny gość wypił moją Glenlivet i mimo to złożył na mnie skargę!

- Przypuszczam, że więcej się już nie pokazał? - spytałem z uśmiechem.

- Udusiłabym go.

- Gdyby on tego nie zrobił, zrobiłby to ktoś inny.

- Nie musi pan tak ciągle mieć racji. W każdym razie po tym incydencie poprosiłam znajomego, który kupuje wina, żeby zaraz przyszedł i spróbował tych wspaniałych win, a kiedy powiedział mi, że we wszystkich butelkach jest to samo wino, zadzwoniłam do tego cholernego Vernona i kazałam przyjechać po to, co zostało. No i zwrócić mi całą wyłożoną sumę, bo zagroziłam, że jeśli tego nie zrobi, podam ten jego cholerny telefon policji.

- I co się stało? - spytałem zafascynowany.

- Przyjechał ten sam facet, który przywiózł mi te wina, oddał gotówkę, zabrał butelki. Te, które nie zostały wypite. Powiedział, że jest przyjacielem Vernona, ale założyłabym się, że to był sam Vernon. Powiedział też, że Vernon ma nadzieję, iż dotrzymam słowa w sprawie numeru telefonu, bo w przeciwnym razie przydarzy mi się coś nieprzyjemnego. - Uśmiechnęła się, zachwycająco niewrażliwa na groźby. - Uprzedziłam go, że jeśli Vernon ośmieli się czegokolwiek spróbować, to go pożrę.

Roześmiałem się. - I na tym się skończyło?

- Na tym się skończyło. Dopóki pan nie przyszedł wczoraj węszyć.

- Dobrze. Czy ma pani jeszcze ten numer telefonu?

Jej oczy rozblęły. - Owszem, mam. Ile on jest wart dla pana? Skrzynkę Kruga? Pol Rogera? Dom Perignon?

Zastanowiłem się chwilę. - Skrzynkę Bell's? - zasugerowałem.

- Zgoda. - Bez żadnych ceremonii wyjęła z torebki kartkę i podała mi.

- Pod warunkiem, że pani sama ją zabierze - dodałem. Spojrzała na temblak. - Uszkodził pan sobie rękę?

- Śrutem ze strzelby. Na pani miejscu nie mówiłbym nikomu, że była pani u mnie. Strzelano do mnie z powodu tego wina. Vernon może być niezadowolony, jak się dowie, że dała mi pani numer jego telefonu.

Otworzyła szerzej oczy i po raz pierwszy z jej twarzy zniknął drwiący wyraz.

- Przyszłam tu - oświadczyła sucho - z powodu kelnera z „Silver Moondance”. Morderstwo to za wiele. Ale pan nie mówił nic o...

Pokręciłem głową. - Przepraszam. Zdawało się, że nie ma potrzeby. Nie miałem pojęcia, że pani tu przyjdzie. Jestem pewien, że jeśli nic pani nie powie, wszystko będzie w porządku. W końcu, chyba nie pani jedna ma numer Vernona. Choćby pani sąsiad.

- Fakt. - Przemyślała to. - Ma pan cholerną rację. - Twarz znowu jej się rozjaśniła, wracając do swego zwykłego wyrazu. - Ilekroć będzie pan przejeżdżał koło mnie, mój drogi mały kupczyku winny, proszę wpaść na kolację.

Poszła ze mną do magazynu po swoją zdobycz, którą z łatwością wyniosła pod pachą. Wychynęła na mżawkę, jej zęby i oczy błyszczały na de szarego nieba.

To wspaniale - powiedział Gerard i obiecał zadzwonić, jak tylko jego firma rozszyfruje ten numer.

- To niedaleko Oksfordu - dodałem.

- Tak - przyznał. - Kierunkowy Oksfordu.

Mimo całego entuzjazmu jego głos wydawał się zmęczony, a kiedy zapytałem o bark, burknął coś tylko bez słów, co uznałem za nie najlepsze nowiny.

- Zadzwonię - powiedział i zrobił to po półgodzinie, ale nie po to, żeby poinformować mnie o zlokalizowaniu numeru Vernona.

- Uznałem, że chciałbyś o tym wiedzieć. Firma porozumiała się z licytatorami z Doncaster. Ramekina kupiono za żywą gotówkę. Nie mają informacji, kto go kupił. Firma sprawdziła też przewoźników i tak jak przewidywałeś, Ramekina mieli w księgach. Wysłano go do Kalifornii do znanego agenta hodowlanego. Sam agent podróżuje teraz po Japonii i nikt w jego biurze pod nieobecność szefa nie chce udzielić informacji. Ma wrócić w czwartek wieczorem. Koszt transportu Ramekina został zapłacony gotówką przez pana A. L. Trenta, który przez tego samego przewoźnika wysłał do tego samego agenta do Kalifornii wiele innych koni. Więc widzisz. Wyprane pieniądze są w Kalifornii albo w banku, albo pod poduszką.

- Założyłbym się o milion, że w banku.

- Chyba tak. Ale do piątku nic się nie da zrobić.

- Szkoda.

- Robimy postępy - powiedział. - Pewnie chciałbyś usłyszeć także o kluczach do cystern.

- Co o nich wiecie?

- Rozmawiałem z Kennethem Charterem. Twierdzi, że klucze do szoferki czy do stacyjki są całkiem zwyczajne, ale ma specjalne klucze do zaworów w przegrodach cystern. To część systemu zabezpieczeń. W tych wielkich cysternach jest dziewięć oddzielnych segmentów. Mówi, że dzięki temu w cysternie można przewozić niewielkie ilości dziewięciu różnych płynów, jeśli to konieczne. Każdy segment ma swój osobny klucz, aby uniknąć pomyłek przy rozładunku. Więc każda cysterna ze szkocką ma dziewięć kluczy do zaworów. Przewożąc towary nieoclonę Charter zawsze wcześniej wysyłał komplet kluczy zarówno do magazynu wysyłającego, jak i na adres przeznaczenia, żeby klucze ze względów bezpieczeństwa nigdy nie jechały w cysternie.

- Bardzo przezornie - powiedziałem.

- Owszem. Toteż dziś po południu Kenneth Charter osobiście udał się do sklepu Simpsera i oczywiście powiedzieli, że dwukrotnie dorabiali takie komplety po dziewięć kluczy i za każdym razem musieli wysłać po ślepe patrony. Młody człowiek, który je zamawiał, w obu przypadkach przedstawiał się jako Harrison. Kenneth Charter bluzga furia, bo sklep oczywiście nie ma spisu kształtów dorabianych kluczy, toteż nie wiadomo, która z cystern jest teraz narażona na niebezpieczeństwo.

- Bardzo niezręczna sytuacja.

- Twierdzi, że jeśli straci cały interes, nie będzie to miało najmniejszego znaczenia. Najbardziej gnębi go to, że junior tak daleko się posunął.

- A czy wie, w jaki sposób junior wszedł w posiadanie kluczy?

- Podobno zwykle klucze są przechowywane w jego biurze. Kiedy jednak zawory cystern czyszczone są pod parą, wtedy klucze są w warsztacie. Przypuszcza, że junior stamtąd właśnie je zabrał.

- Sprytna bestia.

- Jak najbardziej. À propos, zarówno Kenneth Charter, jak i Deglet's dostali od wytwórni Rannodi analizę profili wszystkich trzech skradzionych ładunków szkockiej. Podobno wszystkie trzy troszkę się różnią, ponieważ były to mieszanki nie tylko z jednej

destylarni. Dla mnie to zbyt fachowe. W każdym razie czekają u nas w biurze, jeśli znajdziemy coś do porównania.

- Zastanawiam się, czy coś się nie zachowało u sąsiada pani Alexis.
- Genialna myśl! Zaraz się z nią porozum.
- Szkoda, że swoją whisky wylała do zlewu...

Skończyłem rozmowę z Gerardem i zadzwoniłem do pani Alexis, która wydawała się zupełnie nie poruszona całą sprawą i radośnie obiecała, że natychmiast sprawdzi. Jednak po dziesięciu minutach zadzwoniła z wiadomością, że sąsiad wszystko już sprzedał jakiś czas temu i nie może dostać więcej po tej cenie, bo Vernon nie daje już rabatu. Ona jednak przypuszcza, że po utarczce z nią Vernon kompletnie się zwinął z tej okolicy.

Cholera, pomyślałem i podzieliłem się tą myślą z Gerardem.

- Ilekroć się do tej whisky zbliżamy, wydaje się znikać jak duch - powiedział znużonym głosem.
- Może jutro ją znajdę.
- To naprawdę olbrzymi stóg siana - stwierdził z ciężkim westchnieniem.



W sobotę rano wkrótce po otwarciu sklepu wpadła zadyszana Flora, tłumacząc, że jedzie po Jacka i chciałaby mi raz jeszcze podziękować za pomoc z Howardem i Orkneyem Swaylem.

- Nie ma za co. Bardzo mi się to podobało.
- Mimo wszystko, Tony, skarbie, chciałabym ci to dać. - Położyła na ladzie paczuszkę, zapakowaną jak prezent, a kiedy otworzyłem usta, żeby zaprotestować, zawołała: - Tony, nie sprzecyż się ze mną, to dla ciebie i w dodatku absolutny drobiazg, i pewnie jeden już masz, ale jak wróci Jack, będę miała pełne ręce roboty, więc pomyślałam, że przywiozę ci to teraz.

Macierzyńskim ruchem poklepała mnie po rękę, pochyliłem się, żeby pocałować ją w policzek.

- Jesteś zupełnie nieznośna. Ale dziękuję.
- W porządku, skarbie. Gdzie twój temblak?
- Zapomniałem go dzisiaj. Został w domu.
- Nie przemęczaj się, skarbie, dobrze? A kiedy będziesz miał trochę czasu, pamiętaj o naszych drinkach. - Wyłowiła z torebki listę. - Po powrocie Jacka znowu zaczną przychodzić

właściciele, a niektórzy piją jak smoki, chociaż nie powinnam tego mówić. Jack czasami grozi, że dopisze im to do rachunków jako lekarstwa dla koni, ale trudno mieć do niego o to pretensje, prawda, skarbie?

- No... tak.

Położyła listę na ladzie koło prezentu, oznajmiła, że w drodze do szpitala musi załatwić tysiąc spraw, i oddaliła się lekkim krokiem.

Z ciekawością odpakowałem paczuszkę i przekonałem się, że prezent ma tylko niewielkie rozmiary, ale nie dotyczy to jego ceny. Pod białym błyszczącym papierem znajdowało się pudełeczko od jubilera z Reading, a w środku na czerwonym aksamicie spoczywał srebrny scyzoryk.

Niekoniecznie podniósłby na duchu harcerza. Nie pękał od trzynastu ostrzy i haczyka do wyciągania kamyczków z końskich kopyt jak ten, który stanowił przedmiot dumy mojego dzieciństwa. Podłużny, elegancki przedmiot z ostrym stalowym ostrzem chowanym z jednej strony, z drugiej ukrywał się korkociąg. Scyzoryk podobał mi się i z wyglądu, i z dotyku i choć rzeczywiście miałem już nożyk kieszonkowy, był on stary i tępy. Wyjąłem z kieszeni stary scyzoryk i zastąpiłem go nowym. Przez cały ranek myślałem ciepło o Florze.

Ridger jeszcze poprawił mój dobry humor, bo zadzwonił z informacją, że przez kilka najbliższych dni nie będzie wędrowek po pubach; przydzielono mu inne zadania, więc spotkamy się dopiero we środę. Przyjedzie po mnie o dziesiątej piętnaście.

Powinienem mu chyba powiedzieć o pani Alexis i o numerze telefonu tajemniczego Vernona, ale nie zrobiłem tego. Ze zdumieniem przekonałem się, że moje poczucie lojalności wiąże się raczej z Gerardem niż z policją. Chyba bardzo skutecznie zaraziłem się od niego przekonaniem, że najważniejszy jest interes klienta, który płaci, a dopiero potem sprawiedliwość.

Prawdę mówiąc, spytałem Ridgera półzartem, komu powinienem zameldować, jeśli na własną rękę znajdę podejrzaną szkocką, a on po długim namyśle odpowiedział z absolutną powagą, że najlepiej będzie od razu poinformować nadinspektora Wilsona, ponieważ Ridger wraz z wieloma policjantami musi jechać na północ i pomóc przy bardzo nieprzyjemnych pikietach, co zmienia sytuację, tym bardziej że nie może przewidzieć, kto będzie miał służbę podczas jego nieobecności.

- A jak mogę się skontaktować z nadinspektorem? - spytałem. Kazał mi chwilę poczekać, po czym wrócił z bezpośrednim numerem telefonu do pokoju grupy zajmującej się sprawą Zaraca. W dzień i w nocy, powiedział. Absolutny priorytet.

- A czy szkocka z „Silver Moondance” też należy do priorytetów?

- Oczywiście. Wszystko.

- W porządku, sierzancie. Do zobaczenia w środę. Powiedział, że taką ma nadzieję, i pożegnał się.

Odczuwając wielką ulgę, że zostałem zwolniony od picia, sprzedałem licznym klientom bardzo dużo wina, pani Palissey kręciła się rozpromieniona, a Brian wnosił paczki do samochodów. Zdawało się, że po raz pierwszy od dawna będzie to całkiem normalny dzień, dopóki o jedenastej nie zadzwoniła Tina McGregor.

- Gerard pojechał do biura - powiedziała. - Wolałabym, żeby nie robił tego w soboty, zwłaszcza że nie czuje się jeszcze zupełnie dobrze po ostatniej niedzieli, ale wszelka dyskusja z nim jest niemożliwa. W każdym razie mam panu przekazać, że rozszyfrowali numer, który mu pan wczoraj podał, ale nie wygląda to zbyt obiecująco. To telefon wielkiej firmy gastronomicznej na torze wyścigowym Martineau Park. Powiedział, że gdyby chciało się panu tam pojechać, mógłby pan zapytać, czy Vernon, zdaje się, że takie imię podał, a więc czy Vernon jeszcze u nich pracuje. Powiedział też, że gdyby pan spotkał Vernona osobiście, to panu pozostawia decyzję o zapytaniu go, skąd brał szkocką i wino. Czy to dla pana zrozumiałe?

- Jak najbardziej. A jak bark Gerarda?

- Nic na ten temat nie mówi, ale dali mu antybiotyki.

- Czyżby wdała się infekcja? - spytałem zaniepokojony.

- Nic nie powiedział. Chciałabym tylko, żeby trochę zwolnił.

Nie robiła wrażenia złej czy szczególnie zaniepokojonej, ale z głosu Tiny nigdy nie dało się wywnioskować jej reakcji.

- Przykro mi - rzuciłem cicho.

- Nie ma powodu - odparła tym samym spokojnym tonem. Poinformowała mnie jeszcze, że Gerard prosi, żebym później zadzwonił do niego do domu, jak mi się powiodło w Martineau Park.

To dziwne, pomyślałem, odkładając słuchawkę, że tyle czasu spędziłem na torze w Martineau Park w ubiegły wtorek po południu, nie mając najmniejszego pojęcia o istnieniu Vernona wśród personelu firmy gastronomicznej tak znienawidzonej przez Orkneya Swayle'a. Życie, jak mówi Gerard, jest pełne paradoksów.

Pani Palissey przygotowana na to, że wyjadę z Ridgerern, bez problemu zaakceptowała moją zastępczą podróż do Martineau Park.

- Oczywiście, panie Beach. Nie ma sprawy.

Uraza i złośliwość może i jest dominującą cechą klimatu społecznego, ale pani Palissey chlubnie wznosi się ponad nie. Pani Palissey jest pozbawioną złośliwości i usługą osobą i chwala jej za to. Obiecałem, że jej to wynagrodzę, co spotkało się z obojętnym przyzwoleniem, jakby moje zapowiedzi nie robiły jej większej różnicy.

Jechałem do Martineau Park, zastanawiając się, czy w ogóle będzie tam ktokolwiek. Nie był to dzień wyścigów, więc nie będzie tłumów. Nigdy jeszcze nie byłem na torze wyścigowym w dzień, kiedy nie odbywały się gonitwy, nie wiedziałem więc, jakiego rodzaju aktywności należy oczekiwać od kierownictwa, konserwatorów, ogrodników czy sprzątaczy. Cały dział gastronomiczny najpewniej będzie w ogóle zamknięty. Najpewniej po prostu zawrócę od razu w drogę powrotną.

Przynajmniej brama na parking była otwarta i niestrzeżona. Przejechałem przez puste połączenie trochę poszarzałej trawy i postawiłem rovera na końcu krótkiego szeregu samochodów blisko wejścia na padok. Tutaj brama była również otwarta i niestrzeżona, podczas gdy w dni wyścigów czujni stróże porządku sprawdzali, kto w przelewającej się rzece ludzi ma plakietkę upoważniającą do wejścia.

Niesamowicie wyglądało to miejsce aż tak opustoszałe. Bez ludzi wybrzuszona linia budynków wydawała się gigantyczna. Obecność ludzka zdawała się redukować ich proporcje, wypełniać przestrzenie, sprawiała, że zdawały się bardziej przyjazne, nabierały wygodniejszej skali. Ilekroć tutaj byłem, nie uświadamiałem sobie ogromu tego miejsca.

W pobliżu sali wag nie było nikogo, chociaż drzwi także były otwarte. Z zaciekawieniem wszedłem do środka, oglądając sanktuarium, do którego bywalcy wyścigów normalnie nie mieli wstępu, przyglądałem się samym wagom i płaskim kawałkom ołowiu używanym jako obciążenie. Wszedłem do szatni dżokejów, patrzyłem na rzędy pustych wieszaków, pustych ławek, pustych stojaków na siodła; nie było tu najmniejszego śladu życia. Kiedy cyrk wyścigowy przenosił się na inne miejsce, pozostawiał po sobie jedynie kurz.

Gerard mógł uważać tę wizytę za stratę czasu, ale pewnie już nigdy nie trafi mi się podobna okazja. Dłuższą chwilę zaglądałem do pomieszczenia z napisem „Sędziowie”, w którym stał jedynie stół, sześć bardzo zwyczajnych krzeseł i wisiały dwa równie przeciętne obrazki. Żadnych pamiątek, żadnych śladów tak istotnych i decydujących debat komisji sędziowskiej, które się tu odbyły.

Wróciłem na świeże powietrze i do powierzonego mi zadania. Trafiłem na lekko uchylone drzwi z napisem „Dyrektor toru”. Pchnąłem je nieśmiało i zobaczyłem, że w środku siedział przy biurku mężczyzna i pisał. Podniósł głowę i gęste brwi i bardzo uprzejmie zapytał: - W czym mogę pomóc?

- Szukam firmy gastronomicznej.

- Wejścia dla dostawców?

- Mmm... tak.

- Musi pan przejść do końca na tyłach trybun. Naprzeciwko będzie budynek totalizatora. Skręci pan w prawo. Obok totalizatora zobaczy pan Celebratlon Bar, ale proszę wejść drzwiami na prawo, trochę wcześniej. To zielone drzwi. Nierzucające się w oczy. Na zewnątrz stoi kilka pustych skrzynek po piwie, chyba że zgodnie z moją prośbą już je uprzątnięto...

- Dziękuję.

Uprzejmie skinął głową i pochylił się nad swoimi papierami, a ja poszedłem na koniec trybun, znalazłem zielone drzwi i skrzynki piwa, tak jak mówił.

Przekonałem się także, że właśnie w tym momencie odbywa się dostawa. Duża ciemna furgonetka stała przed zamkniętymi frontowymi drzwiami Celebration Bar, jej tylne drzwiczki były szeroko otwarte, a dwaj robotnicy w brązowych kombinezonach rozładowywali ładunek dżinu, przenosząc go z furgonetki na wózek widłowy.

Zielone drzwi też były otwarte, podparte skrzynka. Wszedłem w te drzwi tuż za dwójką mężczyzn w kombinezonach, którzy wwozili do środka dżin tej marki, jakiej nie chciał w swojej łoży Orkney.

Drzwi, jak się zorientowałem, prowadziły do bardzo słabo oświetlonego, dwumetrowej szerokości korytarza, który ciągnął się w głąb tak daleko, jak sięgał wzrok. Uświadomiłem sobie, że ten korytarz musi przebiegać na całej długości głównych trybun, że stanowi wewnętrzny komunikacyjny krąg pacierzowy, bebechy budynku, niewidoczne z zewnątrz.

Mężczyźni z dżinem minęli troje kolejnych zamkniętych zielonych drzwi, opatrzonych napisami Magazyn A, B i C, potem otwarte drzwi Magazynu D, w którym widać było jedynie kilka głębokich brytfann, jakich używają piekarze.

Kilka kroków dalej dżin gwałtownie skręcił w lewo, a ja za nim. Znalazłem się w szerszym bocznym korytarzu, prowadzącym do otwartych, ale ciężkich i zdecydowanie funkcjonalnych drzwi. Za tymi drzwiami było dużo widniej, najwyraźniej była tam większa przestrzeń i więcej ludzi. Wszedłem tam, zastanawiając się, czy Vernon to imię, czy nazwisko i czy istnieje najmniejsza choćby szansa, że jest w pracy w sobotę.

Tuż za ciężkimi drzwiami znajdował się duży magazyn zastawiony na wysokość człowieka ciasno upchanymi skrzynkami z piwem, takimi samymi jak te na zewnątrz, tyle że skrzynki tutaj były pełne. Po lewej była odgradzona część, drewniane ściany na wysokość

pasa, a wyżej szkło, w tej przegrodzie znajdowało się biurko, segregatory, kalendarz i papiery. Drzwi po prawej prowadziły do jeszcze większego magazynu, gdzie skrzynie pełne trunków wznosiły się niemal do sufitu, a ich duże kolumny zajmowały również środek pomieszczenia. W Martineau Park, pomyślałem, odbędzie się na początku listopada wyścig z przeszkodami w ramach Jesiennego Karnawału, więc gromadzą już odpowiednie zaopatrzenie. Podczas festiwalu w Cheltenham w marcu, jak mi powiedział jeden handlarz win, wielbiciele wyścigów z przeszkodami w ciągu trzech dni oprócz morza piwa wypili sześć tysięcy butelek szampana, dziewięć tysięcy butelek innych win i cztery tysiące butelek wódek. Na oko wydawało się, że w Martineau spodziewają się przynajmniej podwoić te liczby.

Dżin pojechał do wewnętrznego składu, gdzie dołączył do już istniejących olbrzymich zapasów. A ja ponownie poszedłem za nim. Olbrzymi facet ze stertą papierów w ręku sprawdzał dostarczone ilości, a inny na każdym wyładowanym pudle stawiał znaczek czarnym markerem.

Na mnie nikt nie zwracał uwagi. Stałem tam jakby niewidzialny dla nich wszystkich, powoli dotarło do mnie, że każdy zespół uważa, że należę do tego drugiego zespołu. Dwaj ludzie w drelichach zdjęli paletę z wózka widłowego, wzięli na wózek pustą paletę z niewysokiego stosu i ruszyli w kierunku drzwi. Mężczyzna z markerem umieszczał skrzynie w odpowiednich miejscach, znakując każdą z nich, a człowiek z bloczkiem obserwował i liczył.

Pomyślałem, że lepiej poczekać, aż skończą, zanim im przerwę, a kiedy patrzę na to z perspektywy, zaczynam podejrzewać, że ta krótka chwila wahania mogła mi ocalić życie.

W kantorku zadzwonił telefon, przeraźliwie głośno.

- Mervyn, idź odebrać - powiedział mężczyzna z bloczkiem, a pomocnik z markerem natychmiast wypełnił polecenie. W tym momencie mężczyzna z bloczkiem zmarszczył brwi, jakby coś sobie przypomniał, szybko rzucił okiem na zegarek i zawołał: - Mervyn, ja odbiorę. Ty posprzątaj te skrzynki po piwie, tak jak chciał ten facet. Wsadź je do składu D. Poczekaaj na zewnątrz, dopóki cię nie zawołam. I powiedz im, żeby nie przywozili następnej partii, dopóki nie skończę rozmowy, dobra? - Przesunął po mnie wzrokiem, ledwo zauważając moją twarz. - No, to idź i im powiedz.

Ruszył w stronę kantorka, a ja zostałem na miejscu jak wmurowany, dochodził do mnie jego głos mówiący do telefonu, przez szklaną ściankę działową widziałem część jego pleców.

- Tak, przy telefonie. Tak, tak. Mów.

Zanim zdążyłem podjąć świadomą decyzję, czy się usunąć, czy nadal podsłuchiwać, z korytarza dobiegł inny donośny głos, któremu towarzyszył odgłos zbliżających się kroków.

- Vernon? Jesteś tam?

Zaraz za drzwiami skręcił w lewo w stronę kantorka; mimo totalnego zaskoczenia nie mogłem się mylić. Paul Young.

- Vernon!

- Tak, chwilczkę, zaraz idę... - Vernon, ten od bloczka, zatkał ręką słuchawkę telefonu i obracał się już w kierunku nowo przybyłego. Żaden z nich nie patrzył w moją stronę, jednak wycofałem się z ich pola widzenia.

Paul Young.

Zdawało się, że mój umysł się zaciął, a ciało jest z ołowiu.

By wydostać się na świat zewnętrzny, musiałbym przejść obok kantorka, a przez te wszystkie szyby Paul Young na pewno by mnie zobaczył. Mógł nie zwrócić na mnie szczególnej uwagi tamtego poniedziałkowego ranka w barze „Silver Moondance”, ale na pewno od tamtej pory wiele o mnie myślał. Asystent asystenta powiedział mu, kim jestem. Wysłał do mojego sklepu złodziei ze spisem. Musi wiedzieć, jak się skończyła ta wyprawa. Musi także wiedzieć, że nie osiągnęła swego głównego celu. Pomyślałem, że gdyby mnie teraz zobaczył, poznałby mnie, i ta myśl napełniła mnie tępym, paraliżującym mięśnie strachem.

W tym akurat momencie ani Vernon, ani Paul Young chyba się nie poruszali, ale pchany niewątpliwie atawistycznym instynktem jaskiniowym ściganych i osaczonych szukałem w jasno oświetlonym magazynie zaciemnionej kryjówki.

Nie było tu żadnych zakamarków, jedynie solidne geometryczne bloki i kolumny skrzyń z butelkami. Między niektórymi blokami były wąskie przesmyki, w które mógłbym się wślizgnąć... i gdzie każdy przechodzący w pobliżu mógłby mnie wypatrzeć bez trudu. Najlepiej na samym końcu, pomyślałem w panice. Tam może nie pójda.

Aleja będę musiał tam dotrzeć, a w każdej sekundzie, w każdej sekundzie... To było zbyt daleko. Coś innego... szybko...

Wspiałem się.

Wspiałem się na najwyższy i najszerszy stos, który przypadkiem składał się ze skrzynek nie najlepszego szampana. Położyłem się płasko na brzuchu na samym szczycie, plecami przy ścianie. Od sufitu dzieliło mnie około trzydziestu centymetrów. Skrzynki rozciągały się daleko za moją głową z jednej strony, a z drugiej daleko poza stopy. Widziałem jedynie morze kartonu. Nie widziałem podłogi. Ani ludzi. Serce podskakiwało mi jak

gumowa piłeczka, chciałem zamknąć oczy metodą strusia - jeśli sam nie widzę, nie jestem widziany.

Konsultacja nie obejmowała zbytniego zbliżania się do Paula Younga.

Co za niewczesny śmiech!

Gdyby znalazł mnie na szczycie skrzynek szampana, na pewno zachowałby się jak krokodyl. Czy zawsze miał w swoim rollsie gipsowe bandaże?

Dlaczego nie uciekłem? Gdybym uciekał, może by mnie nie dogonił. Powinienem był po prostu zmykać. To byłoby znacznie lepsze. Dokoła byli ludzie... Byłbym bezpieczny. A teraz jestem uwięziony na wysokości kilku metrów na płynnej górze i jeszcze nigdy w życiu nie czułem się tak przerażony.

Wyszli z kantorka do głównego magazynu. Zacisnąłem zęby i oblałem się potem.

Gdyby zaczęli mnie szukać... gdyby wiedzieli, że gdzieś tu jestem... na pewno by mnie znaleźli.

- Nie jestem zadowolony. Chcę sam sprawdzić.

To ostry głos Paula Younga, pełen agresywnej determinacji i tak bliski, jakby mówił wprost do mnie. Starłem się nie drzeć... nie szeleścić o karton... nie oddychać.

- Ale mówiłem ci... - To ten z bloczkiem.

- Gówno mnie obchodzi, co mówiłeś. Jesteś cwany draniem, Vernon. Kłamstwo to dla ciebie jak splunięcie. Ostrzegałem cię dwukrotnie i nie ufam ci. Według mojego rozeznania powinieneś nadal mieć tutaj dwadzieścia cztery skrzynki szkockiej. Tu zapisałem, ile powinieneś mieć pod poszczególnymi etykietami. I uprzedzam cię, Vernon, że lepiej dla ciebie, żebyś pokazał mi właśnie takie ilości, bo jeśli się przekonam, że sprzedawałeś coś jeszcze na swój rachunek i brałeś sobie forszę, to wylatujesz.

- Twoja lista nie będzie aktualna - odparł wyraźnie obrażony Vernon. - Dużo sprzedałem do tej winiarni w Oksfordzie.

- Ile etykiet? - spytał ostro Paul Young.

- Dwie.

- Lepiej, żeby wszystko się zgadzało. Możesz mi pokazać faktury? Vernon powiedział zaczepnie: - Za bardzo utrudniasz sprzedaż, nie pozwalając, żeby było więcej niż dwa gatunki w każdym miejscu. Nikt nigdy nie powiedział, że są takie same. Ile mieliśmy skarg, może mi powiesz?

Twój brat sprzedawał wszystkie sześć przez lata i nikt nigdy nie powiedział, że nie odpowiadają etykietom.

- Ktoś musiał się poskarżyć - mówił z naciskiem Paul Young - bo w przeciwnym razie skąd by się tam znalazł ten węszący handlarz win, który wszystkiego próbował i informował policję? Już więcej nie ryzykuję wszystkich sześciu na raz, dla nikogo. Jeśli chcesz zostać, Vernon, będziesz robił to, co mówię. I lepiej, żebyś o tym nie zapominał. A teraz sprawdźmy zapasy, i lepiej dla ciebie, żeby się nie okazało, że mnie oszukujesz.

- Wszystko jest tam w głębi na samym końcu - rzekł Vernon posepnie. Ich głosy przycichły, stawały się mniej wyraźne w miarę jak zbliżali się do końca długiego pomieszczenia.

Na samym końcu... gdybym poszedł tam się schować... gdyby starczyło mi czasu. Wielki Boże...

Zastanawiałem się, czy zauważą moje stopy. Myślałem o ucieczce, ale nie miałem wątpliwości, że moje pierwsze poruszenie zwróciłoby ich uwagę. Doszedłem do wniosku, że jeśli zdarzy się najgorsze, to mogę się bronić, rzucając butelkami szampana. Butelki do szampana były ze wzmocnionego szkła, bo gdyby się stłukły, byłyby to minigranaty, eksplodujące pod wpływem gazu w ostre szklane noże. Latające szkło stanowiło śmiertelne zagrożenie, o czym ludzie na ogół zapominali, oglądając aktorów bez skaleczenia przebijających się przez szyby w filmach. Jednak to fikcyjne szkło zrobione było z cukru, żeby oszczędzić kaskaderów... małe dzieci ginęły od upuszczenia butelki z napojem gazowanym... a ja będę walczył szampanem, jeśli zostaną do tego zmuszony.

Zostali na końcu pomieszczenia przez parę minut, ich głosy nadal dochodziły do mnie przytłumione. Kiedy wrócili, stosunki między nimi bynajmniej nie uległy poprawie.

- Miałaś tu z powrotem całą szkocką z „Silver Moondance” - powiedział z wściekłością Paul Young. - Sam ją przywiozłem. Co z nią zrobiłeś?

Milczenie Vernona.

- Postawiłem czerwone kółko na każdym pudle stamtąd, kiedy ładowaliśmy je z Zarakiem. Pewnie tego nie zauważyłeś? Nie ufałem ci, Vernon. I miałem cholerną rację. Przydałeś mi się, nie zaprzeczam. Ale nie jesteś jedynym magazynierem, który potrafi przetasować trochę papieru. Jesteś pazerny i niebezpieczny. Zabawa skończona, Vernon. Według mnie brakuje ci dwudziestu ośmiu skrzynek, a ja nie pozwolę, żeby mnie okradano. Miałaś w tym przywoity udział. Bardzo przywoity. Ale przesadziłeś. Koniec. Jutro po południu zabieram resztę moich zapasów jedną z furgonetek, a ty masz tu czekać z kluczami i wszystkiego dopilnować.

Vernon, broniąc się gniewem i zapominając o wszelkiej ostrożności, wybuchnął: - Jeśli zerwiesz ze mną, pożałujesz tego.

Zapanowało krótkie, pełne napięcia milczenie, po czym Paul Young oznajmił bezwzględny głosem: - Ostatnią osobą, która groziła mi w ten sposób, był Zarac.

Vernon nie odpowiedział. Czuję, że włosy mi się jeżą, oddech ustaje, a skóra robi się zimna.

Usłyszałem za dużo.

Jeżeli przedtem znajdowałem się w niebezpieczeństwie, to teraz ono się podwoiło. Przerażała nie tylko groźba śmierci, ale jej sposób... koszmar białego miękkiego bandaża na nosie i ustach, przemieniającego się w skałę, paraliżującego oddech... to mi groziło, gdyby Paul Young dowiedział się, że słyszałem... tak mi się w każdym razie wydawało, kiedy leżałem wystraszony, próbując opanować drżenie czy skurcz, żeby nie naruszyć chwiejnej równowagi kolumny skrzynek.

Vernon musiał wiedzieć, co się stało z Zarakiem. Nic nie odpowiedział, a Paul Young nie uznał za stosowne dokładniej wyjaśnić, co miał na myśli. Słyszałem jego mocne, pewne kroki oddalające się w kierunku drzwi do kantorka, a za nimi niepewne, powłóczące stąpanie Vernona.

Usłyszałem, jak Vernon mówi głośno, ze złością: - Co wy robicie? Mówiłem, żeby nie wносить tej partii, dopóki nie będę gotów.

Dwaj mężczyźni w brązowych kombinezonach z cudownym brakiem szacunku dla poleceń właściwym pewnemu typowi brytyjskich robotników pchali zdecydowanie swój widłowy wózek do magazynu.

Nie widziałem ich, ale słyszałem wyraźnie. Jeden z nich oświadczył wojowniczo: - Półtorej stawki czy nie, kończymy punktualnie o wpół do pierwszej, a jeśli do tej pory nie zdążymy rozładować, to zabieramy z powrotem. Nie możemy sterczeć i wyczekiwać, aż skończysz swoje prywatne telefony.

Vernon był wzburzony. Słyszałem, jak nawoływał „Mervyn, Mervyn, wracaj!”, a Mervyn powrócił z wiadomościami, które znacznie pogarszały moją i tak niepewną sytuację.

- Wiesz, że jest tu furgonetka Bakertona? Przywieźli jeszcze pięćdziesiąt skrzynek Pol Roger White Foil.

Pol Roger White Foil to było to, na czym leżałem.

Jeśli zajmie ich Pol Roger, to ktoś na pewno mnie zauważy. To niemal nieuniknione. Trudno, żeby dostawcy zignorowali faceta leżącego na szczycie ich skrzynek... natychmiast to zauważą... każdy by zauważył.

Vernon oświadczył niepewnie: - No, skoro przywieźli... idź i policz, co wyładowują, ostatnim razem brakowało dwóch skrzynek... A wy tam, od dżinu, postawcie tę partię osobno, jest nie sprawdzona.

Pospieszne polecenia przerwał zdecydowany głos Paula Younga:

- Vernon, jutro po południu. Punktualnie o drugiej. Odpowiedź Vernona zagłuszyła gorąca sprzeczka dostawców dżinu na temat piłki nożnej, która toczyła się niemal tuż przy moich stopach. Nie słyszałem już Paula Younga. Usłyszałem za to dużo o wątpliwym faulu i wzroku sędziego.

Pozostawanie na szczycie sterty szampana wydawało się beznadziejne, choć dawało pozór niewidzialności. Wkrótce nastąpi odkrycie od strony żołądka albo od nóg... jedno albo drugie było nieuniknione.

Obecność tych wszystkich dostawców musi zapewniać jakieś bezpieczeństwo, pomyślałem.

A więc na nogi.

Ześlizgnałem się tyłem i zeskoczyłem w wąskim przejściu między masą Pol Rogera a mniejszym blokiem Kruga.

Drżałem. To na nic. Wyszedłem z szampanowego schronu odrętwiały ze strachu i podszedłem do facetów od dżinu.

Jeden z nich przerwał opowieść o specjalnym kopie w kolano i powiedział: - Jak rany, skąd się wzięłeś?

- Sprawdzam - wyjaśniłem ogólnikowo. - Skończyliście?

- Prawie. - Fachowo wyładowali kilka ostatnich skrzynek. - To wszystko. Podpiszesz nam kwit?

Jeden z nich wyjął z górnej kieszeni kombinezonu żółtą złożoną kartkę i podał mi.

- Zaraz - poszukałem pióra. - No już.

Rozłożyłem żółtą kartkę, oparłem na skrzynce dżinu, podpisałem nieczytelnie w odpowiednim miejscu i oddałem im.

- W porządku. Zjeżdżamy.

Zostawili wózek widłowy na środku szerokiego centralnego przejścia i ruszyli do drzwi. Niemal bez zastanowienia chwyciłem rączkę wózka i pchając go, ruszyłem za nimi i w ten sposób znalazłem się twarzą w twarz z Vernonem.

Miał pot na czole. Wyglądał na udręczonego, niewielkie oczy nad bujnymi węsami zdawały się niespokojne, przez otwarte usta wydobywał się ciężki i przyspieszony oddech.

Na mój widok lekko się skrzywił. Tym razem towarzyszył ładunkowi białych pudeł. Puściłem wózek, przeszedłem koło Vernona i transportu szampana, znalazłem się w korytarzu. Nie widać było Paula Younga, nie słychać było krzyków, nikt mnie nie gonił.

Doszedłem za mężczyznami od dżinu w brązowych kombinezonach za zakręt do głównego korytarza. Do wolnej przestrzeni na powietrzu pozostawał już tylko krótki odcinek... ale on tam był, Paul Young, stał przed zielonymi drzwiami w świetle dnia, zdawał się na kogoś czekać, masywny, krępy, niczym się nie wyróżniający, facet pozbawiony litości.

Obejrzałem się za siebie. Vernon oderwał się od pudeł szampana, szedł w moją stronę z miną niezdecydowaną, pytającą, niemal podejrzliwą.

- Hej, ty tam. Nie widziałem, jak tu wchodziłeś.

- Mam dyżur - odparłem szybko. - Sprawdzam tylko.

Bruzda na czole Vernona pogłębiła się. Paul Young stał przy zewnętrznych drzwiach nieruchomy, doskonale widoczny, obserwował coś na zewnątrz.

Zwróciłem się w stronę jedynej możliwości, długiego przejścia prowadzącego w głąb pod trybuny. Vernon popatrzył w ślad za moim wzrokiem, zobaczył Paula Younga i zacisnął wargi. Nie dałem mu więcej czasu na sprecyzowanie podejrzeń na mój temat, ruszyłem długim korytarzem, jakby każdy jego fragment był mi doskonale znany. Kiedy mniej więcej po piętnastu krokach obejrzałem się, Vernon nadal nie ruszył się z miejsca, nadal patrzył w moją stronę. Pomachałem mu ręką. Za nim Paul Young dalej blokował wyjście na zewnątrz. Kontynuowałem swój marsz, próbując zapanować nad nagłą potrzebą puszczenia się biegiem. Za żadną cenę nie wolno ci się ponownie obejrzeć, powtarzałem sobie. Vernon poszedłby za mną.

Nie oglądaj się.

Nie biegnij.

Kroczyłem pewnie dalej, zupełnie nie wiedząc, dokąd idę.

Rozdział osiemnasty



Korytarz kończył się w kuchni: w olbrzymich jaskiniowych pomieszczeniach, zewsząd wyrastały monstrualne misy i głębokie tace z nierdzewnej stali.

Pusto, zimno, czysto, szaro i lśniące; opustoszały pejzaż science fiction, gdzie we wtorek na pewno tętniło życie, było ciepło, pachniało jedzeniem, ruch nie ustawał. Teraz paliło się tu jedynie kilka świateł, zupełnie niewystarczających na takie powierzchnie, nie

było jednak śladu, że ktokolwiek tu pracuje. Wbrew wszelkim postanowieniom obejrzałem się za siebie w chwili, gdy skręcałem z korytarza, i zobaczyłem, że Vernon rzeczywiście za mną idzie, pokonał już niemal połowę drogi.

Znikając mu z pola widzenia, ponownie pomachałem ręką, miał to być krótki i uspokajający znak.

Ale najwyraźniej nie uspokoił Vernona. Usłyszałem jego głos dobiegający z daleka: - Hej!

Nie wiedział, kim jestem, niepokoił się jednak, że mogłem usłyszeć to, co usłyszałem. Ten niepokój rodził się z poczucia winy, a upór w ściganiu mnie wynikał z całkiem prawidłowego instynktu. Jeśli przypuszczał, że stanowią dla niego zagrożenie, to się nie mylił.

Niech go diabli wezmą, pomyślałem. Stanowił wprawdzie trochę lepszą perspektywę niż Paul Young, ale nieznacznie. Może zdołałbym się uwolnić od niego, twierdząc, że sprawdzam tylko przewody elektryczne... ale nie jest to pewne. Dużo lepiej, żebym zniknął w sposób równie niewyjaśniony, jak się pojawiłem.

Piekarniki były na tyle duże, że można było się do nich wślizgnąć... tyle że miały oszklone drzwiczki... i palniki gazowe w środku. Więc gdzie?

Inne wyjście... Musi być jakiś sposób wysyłania potraw. Nie mogą wozić ich korytarzem i na zewnątrz, jeśli pada deszcz. Musi być jakaś droga do barów i restauracji. Jakieś drzwi wyjściowe.

Obiegnęłam dwa kąty. Kolejne potwory z nierdzewnej stali. Zlewy jak wanny do zmywania naczyń. Sterty tac od podłogi do sufitu. Żadnych drzwi.

Nigdzie nie można się schować.

- Jesteś tam? - krzyczał Vernon. - Hej, ty! Gdzie jesteś? - Był znacznie bliżej. Teraz wydawał się zdeterminowany i dużo bardziej wojowniczy. - Wychodź stamtąd! Pokaż się!

Zdesperowany pobiegłem do najdalszego kąta, znajdowała się tam niewielka przestrzeń, która początkowo robiła wrażenie ślepego, białego korytarza. Już miałem zawrócić, rozpaczliwie próbując przypomnieć sobie rozmaite terminy elektryczne, typu przerwany opór, przeciążony obwód i inne podobne bzdury, którymi mógłbym zablysnąć, kiedy zobaczyłem, że jedna ze ścian ślepego korytarza wcale nie jest ślepa.

Był tam rząd czterech niewielkich wind, mniej więcej metra szerokości, metra wysokości i metra głębokości. Windy te, pozbawione drzwi, służyły do transportowania potraw na górne piętra z kuchni na dole. W czasach wiktoriańskich nazywano je głuchymi kelnerami. Przy każdej windzie był przycisk z numerem: 1, 2, 3.

Wgramoliłem się do najbliższej, nacisnąłem przycisk 3, nie tyle z wyboru, ile dlatego, że na ten właśnie przycisk trafiły moje palce. Zastanawiałem się, co mógłbym powiedzieć, gdyby akurat w tym momencie pojawił się Vernon.

Ale tak się nie stało. Słyszałem go gdzieś za którymś rogiem, wykrzykiwał ze złością: „Hej, ty, odpowiedz mi”. Kuchenna winda ruszyła gładko, spokojnie, wioząc mnie na górę jak kanapkę.

Kiedy się zatrzymała, wygramoliłem się z niej pospiesznie. Znalazłem się w pomieszczeniach dla obsługi na koronie trybun. Z wielkich okien wpadało światło dnia, a wzdłuż całej ściany stały wózki kelnerskie.

Nie było nikogo. Z dołu nie dochodził żaden odgłos... ale może Vernon usłyszał pracę windy i właśnie tu idzie... zna przecież każdy zakątek... to miejsce jego pracy. Przyszła mi do głowy nie do końca wyraźna myśl, że jeśli odeślę windę do kuchni, zanim zauważy jej zniknięcie, może się nie zorientuje, że się nią posłużyłem. Nacisnąłem więc przycisk i winda zniknęła równie szybko, jak wjechała na górę.

Wypadłem z pomieszczeń dla obsługi i znalazłem się na kondygnacji, gdzie mieściła się loża Orkneya Swayle'a, co w każdej innej sytuacji na pewno by mnie rozbawiło. Na kondygnacji, na którą kelnerki rozwoziły potrawy niewyobrażalnego wówczas dla mnie pochodzenia.

Wreszcie mogłem biec, cicho, ale poganiany okropnym strachem. Minąłem duże windy pasażerskie, które jeździły stąd na parter, ale jeździły wolno, ogłaszając swoje postępy migającymi światłami, co wydałoby mnie w ręce Vernona spokojnie zaczajonego przy drzwiach... Minąwszy windy, pognałem w stronę loży Orkneya, ponieważ ją znałem. Modliłem się wcześniej, żeby drzwi nie były zamknięte.

Żadna z łóż nie była zamknięta.

Wspaniale.

Loża Orkneya była chyba dziesiąta przy oszklonej galerii, dopadłem do niej iście olimpijskim sprintem. Stałem w kącie, niewidocznym z pasażu, bo tuż za drzwiami znajdowała się nieco wystająca część przeznaczona dla obsługi. Oddychałem płytko i niemal bezgłośnie, nie mogłem jednak opanować hałaśliwego walenia serca.

Przez długi, bardzo długi czas nic się nie wydarzyło.

Absolutnie nic.

Nie rozlegał się głos nawołujący „hej”.

W progu nie pojawił się Vernon w charakterze Nemezis.

Nie mogłem uwierzyć, że zrezygnował. Sądziłem, że jeśli tylko wychynę na galerię, rzuci się na mnie. Że czai się gdzieś, za pierwszym zakrętem. Jak podczas dziecinnej zabawy kuliłem się w mojej kryjówce, przerażony zapierającą dech chwilą, gdy zostanę schwytany... tylko tym razem było to realne, a kara przekraczała wyobrażenie.

Nie jestem w tym dobry, myślałem żałośnie. Czułem mdłości. Dlaczego nie jestem tak odważny jak ojciec?

Stałem w tym kącie, a czas dłużył się rozpaczliwie i po cichu... niemal doszedłem już do wniosku, że mogę się poruszyć, bo nic mi nie zagraża. I wtedy go zobaczyłem. Był na dole przed trybunami w miejscu, gdzie w dniu wyścigów bukmacherzy rozkładają swoje kramiki. Stał plecami do bariery ograniczającej tor. Przebiegał wzrokiem całą długość trybun... czekał, czy coś się poruszy... czekał, czyja się pokaże.

Obok niego, patrząc do góry, stał Paul Young.

Jeśli ja ich widziałem, to oni mogli widzieć mnie... ale chyba miejsce, gdzie stoję, stamtąd wydaje się ciemne... ja widzę ich przez szybę drzwi prowadzących z łoży na schodki na balkon.

Stałem skamieniały, niemal bałem się mrugnąć. Dostrzegliby ruch, nie nieruchomy cień w kącie u zbiegu dwóch ścian.

Dlaczego w ogóle rzuciłem się w tak mały zaułek, tak blisko wind, gdzie tak łatwo można mnie odnaleźć, myślałem z poczuciem beznadziei. Dlaczego nie szukałem schodów i nie zbiegłem na dół? Ucieczka do góry była fatalna... w końcu nie było już dokąd uciekać. Zawsze denerwowało mnie na filmach, kiedy ścigani zaczęli się wspinać, a teraz sam to zrobiłem. Ucieczka zawsze jest możliwa w dół. Tak myślałem, byłem tego pewien, a jednak nie mogłem się zmusić do wykonania ruchu, chociaż gdybym biegł wystarczająco szybko i gdybym znalazł drogę, uciekłbym po schodach i znalazłbym jakieś wyjście, zanim oni zdążyliby odejść od bariery i wejść do środka.

Bardzo powoli obróciłem głowę, żeby popatrzeć na miejsce w pobliżu wejścia na padok, gdzie zaparkowałem samochód. Zobaczyłem go bez problemu, stary i praktyczny, gotowy do drogi. Ale zobaczyłem także auto zaparkowane obok, którego nie było, kiedy przyjechałem.

Rozbolały mnie oczy od wpatrywania się w ten pojazd o szlachetnych, rozpoznawalnych liniach, przyciemnionych szybach i czarnym lakierze.

Czarny rolls-royce... „czarny rolsio z tymi przydymionymi szybami”... na drodze mojej ucieczki.

Rozsądek podpowiadał, że Paul Young nie ma pojęcia, że samochód stojący obok jego rollsa należy do mnie. Rozsądek podpowiadał, że nie ma też pojęcia, że to ja jestem osobą, której wypatruje, i że gorączkowość tych poszukiwań nie jest bezwzględna. Ale rozsądek miał niewielki wpływ na podchodzące do gardła wnętrze.

Dwaj mężczyźni zrezygnowali ze wzrokowej inspekcji trybun, podeszli bliżej i zniknęli z mojego pola widzenia pod zewnętrzną krawędzią balkonu. Gdybym zbiegł na dół, mógłbym teraz wpaść prosto na nich... Gdyby rozpoczęli systematyczne poszukiwania, a ja stałbym bez ruchu, znaleźliby mnie. A jednak się nie ruszyłem. Nie mogłem.

Przez całą godzinę niczego nie słyszałem, niczego nie widziałem.

Czekają na mnie, myślałem.

Nasłuchują moich kroków na schodach, pomruku windy, skrzypnięcia ukradkiem otwieranych drzwi. Czuję, jak rośnie we mnie napięcie, jak na chwilę maleje i znów wystrzela w górę niczym diabelski młyn napędzany moimi myślami.

Kotek i myszka...

Ale ta myszka dłuższy czas zostanie w norze.

Łoża Orkneya, pomyślałem, gdzie ciasteczka tak długo czekały w swoim opakowaniu, a Flora bez skargi przeżywała męki zażenowania dla dobra Jacka. Kredens pod ścianą był jeszcze bardziej pusty niż zwykle. Zły humor Orkneya pozostawał w pamięci. Breezy Palm biegł spanikowany i przegrał. Wielkie nieba...

Kiedy spędziłem już w łożu Orkneya dwie godziny, Paul Young wrócił do swojego rollsa i wyjechał z parkingu.

Powinienem się poczuć pewniej, wiedząc, że ten samochód nie stoi już obok mojego, ale się nie poczułem. Obawiałem się, że wyjechał przez bramę dla dostawców z głównej drogi, którą jeżdżą w obie strony furgonetki. Obawiałem się, że nadal jest tam i ostrzy na mnie szpony.

Kiedy w końcu się ruszyłem, spowodował to wstyd. Nie mogłem przecież stać tu drżący w nieskończoność. Jeśli kot czekał tuż za drzwiami łożu Orkneya, to trudno, i tak będę musiał zaryzykować.

Możliwie najostrożniej wyjrzałem z łożu... nie zobaczyłem nikogo. Oddychając płytko, nie mogąc zapanować nad galopem pulsu, wyszedłem wolniutko na galerię i wyjrzałem przez okno na ebszną wyasfaltowaną przestrzeń na tyłach trybun, wzdłuż których szedłem wcześniej w poszukiwaniu zielonych drzwi.

Owe zielone drzwi znajdowały się za rogiem poza zasięgiem mojego wzroku, a patrząc stąd pod pewnym kątem, nie mogłem zobaczyć ani żadnych furgonetek dostawczych... ani żadnego rolls-royce'a.

Z asfaltu na zapleczu nikt nie wpatrywał się badawczo w górę, jednak przesuwałem się plecami przy ścianie łóż, nerwowo prześlizgując się obok ich otwartych drzwi, w każdym momencie gotów się zatrzymać, gotów rzucić się do każdej kryjówki, gotów zastygnąć w bezruchu.

Żadnego dźwięku. Dotarłem do miejsca, gdzie galeria przechodziła w większą salę, przez ostatnie okno, ostatnim spojrzeniem w dół zobaczyłem Vernona, wkraczającego w moje pole widzenia.

Nadal bacznie rozglądał się dokoła. Nadal spoglądał do góry. Nadal nieusatisfakcjonowany, nadal zaniepokojony, nadal uparty.

Obserwowałem go bez tchu, dopóki nie rozpoczął drogi powrotnej do zabudowań, wtedy przebiegłem przez salę, bo przynajmniej tutaj nie mógł mnie zobaczyć. Na końcu sali z niepokojem zbliżyłem się do schodów prowadzących na niższą kondygnację. Zbiegłem po tych schodach niemal nieprzytomnie, potem wpadłem na olbrzymi taras widokowy, gdzie stały rzędy krzeseł na kolejnych stopniach, zwrócone pustymi, złożonymi siedzeniami w stronę toru.

Przeszedłem wzdłuż górnego rzędu krzeseł w stronę miejsca dla zwycięskiego konia. Nie zobaczyłem nikogo i w końcu przeskoczyłem przez barierkę do ogrodzonej przestrzeni z napisem „Tylko właściciele i trenerzy”. W zasięgu wzroku nie było żadnego właściciela ani trenera. Ani Vernona, ani Paula Younga.

Niewielkie schody prowadziły z „Właściciele i trenerów” w dół do głównego budynku trybun i tam się udałem z bijącym sercem. Usiłowałem sobie wmówić, że w im mniejszym pomieszczeniu się znajduję, tym trudniej będzie mnie z daleka wypatrzeć.

Schody Właściciele i Trenerów prowadziły do baru Właściciele i Trenerów. Stały tu ratanowe fotele, niewielkie stoły ze szklanymi blatami, na ścianach były malowidła, a w polu widzenia żadnej butelki ani kieliszka. Z kilku szerokich stopni w głębi można było wyjrzeć na padok, gdzie defilowały konie po wyścigu. Po lewej na zewnątrz przed tym padokiem mieściła się sala wag i biuro dyrektora toru. A za paradnym padokiem była brama na parking i wolność.

Już prawie tam byłem. Drzwi u stóp widokowych stopni Właściciele i Trenerów prowadziły prosto przed wejście do sali wag i gdyby tylko te drzwi, tak jak wszystkie inne, były otwarte, wyszedłbym na zewnątrz.

Podszedłem do stopni, myśląc jedynie o tym, a na wprost mnie zza zalecza trybun maszerował Vernon, oddalony ode mnie ledwo o dwadzieścia kroków.

Gdyby podszedł aż do szyby i zajrzał do środka, niechybnie by mnie zobaczył. Widziałem nawet białą-brązową kratkę na kołnierzu jego koszuli nad kurtką zapiętą na suwak. Stałem w absolutnym bezruchu, rozedrgany wewnętrznie z powodu konsternacji, obserwując, jak zmierza do biura dyrekcji toru i puka do drzwi.

Mężczyzna, który wcześniej coś pisał przy biurku, wyszedł na zewnątrz. Obserwowałem, jak rozmawiają. Jak obaj patrzą na trybuny. Mężczyzna z biura wskazał, którędy szedłem według jego wskazówek w poszukiwaniu firmy gastronomicznej. Zdawało się, że Vernon zadaje natarczywe pytania, ale mężczyzna z biura przecząco kręcił głową i po chwili wszedł z powrotem do środka. Wyraźnie zawiedziony Vernon pospiesznie wracał drogą, którą przyszedł.

Drzwi u podnóża stopni baru Właścicieli i Trenerów okazały się zaryglowane od środka, u góry i u dołu. Drżącymi rękami odsunąłem zasuwę. A same drzwi... przekręciłem gałkę, drzwi otworzyły się do wewnątrz, na mnie; kiedy je pociągnąłem i wyszedłem na zewnątrz, poczułem, że gdyby w tym momencie rzucił się na mnie Vernon czy Paul Young, to bym wrzeszczał, dosłownie wrzeszczał w hysterii.

Ale ich tam nie było. Zamknąłem za sobą drzwi i podjąłem marsz, kolana chygotały się niepewnie. Ten z biura wyszedł i rzekł:

- Wie pan, że szuka pana magazynier z gastronomii?

- Tak - powiedziałem, choć zabrzmiało to jak skrzek. Odchrząknąłem i powtórzyłem: - Tak. Przed chwilą go spotkałem. - Wskazałem ręką kierunek, w którym odszedł Vernon... obawiając się, że może wrócić.

- Spotkał go pan? To w porządku. - Przyjrzał mi się zaskoczony. - Pytał, jak pan się nazywa. To bardzo dziwne, prawda? Mówiłem, że nie wiem, ale wspomniałem przy tym, że upłynęło już wiele godzin, odkąd pan pytał o drogę do niego. Można by przypuszczać, że będzie znał pańskie nazwisko.

- Rzeczywiście, bardzo dziwne - przyznałem. - No, ale teraz już wie. Powiedziałem mu... Peter Cash, ubezpieczenia.

- Aha.

- Ładny dzień - zauważyłem, patrząc na niebo. - Zwłaszcza po wczorajszym.

- Deszcz był potrzebny.

- Fakt. To... miłego dnia.

Na tę uprzejmość skinął dobrodusznie głową i wrócił do swej kryjówki, a ja nerwowo minąłem parady krąg, szedłem ścieżką do ciągle otwartej bramy i do rovera. Nikt za mną nie krzyczał, nikt nie biegł, żeby mnie dopaść, pochwycić i w ostatniej chwili zaciągnąć z powrotem. Nikt się nie zjawił.

Niepewnie włożyłem kluczyki do stacyjki. Silnik ruszył. Nie miałem przebitych opon. Weisnąłem drażek biegów, wsteczny, potem jedynkę i odjechałem przez poszarzałą trawę, wyjechałem z głównej bramy i oddalałem się powoli od Mardneau Park, a bożek Pan na moim ramieniu niknął z wolna w cieniach drogi.

Kiedy wróciłem do sklepu, była zaledwie za dwadzieścia jeden czwarta, choć zdawało mi się, że przeżyłem tymczasem niejedno życie. Udałem się prosto do łazienki, zwymiotowałem do umywalki, dłuższą chwilę spędziłem, siedząc całkiem rozbity na sedesie. Skóra nadal lepiała się od potu.

Ochlapałem twarz wodą, wytarłem, co nie przeszkodziło, że w sklepie powitały mnie niespokojne przepytuwanki pani Palissey i otwarte z zatroskania usta Briana.

- Coś musiałem zjeść - wyjaśniłem cicho, wziąłem z półki małą brandy i szybko ją załatwiłem.

Pani Palissey i Brian zbyt byli zajęci obsługiwaniem klientów, żeby w ogóle się zabrać do zamówień telefonicznych. Spojrzałem na stosik ponumerowanych spisów, starannie zapisanych pismem pani Palissey i poczułem się całkowicie niezdolny do zapakowania zamówień w kartony.

- Czy jest tu coś pilnego? - spytałem bezradnie.

- Proszę się nie martwić - pocieszyła mnie pani Palissey. - Tylko jedno... ale zajmiemy się tym z Brianem.

- Wynagrodzę to pani.

- Dobrze, dobrze. Naprawdę w to nie wątpię - powiedziała, kiwając głową.

Usiadłem w kantorku i wykręciłem numer Gerarda.

Odebrała Tina. Gerard wyszedł już z biura, jest w drodze do domu. Jak tylko wróci, zadzwoni, obiecała, ale czy to nie może poczekać, aż weźmie prysznic i wypije drinka?

- Raczej nie.

- Dobrze, powiem mu. Będzie jednak zmęczony. - Było to raczej ostrzeżenie niż prośba, pomyślałem.

- Będę się streszczał - obiecałem. Powiedziała „dobrze” i szybko odłożyła słuchawkę.

Pani Palissey i Brian wyszli o czwartej trzydzieści, zamknąłem za nimi drzwi i ukryłem się przy moim biurku; fizycznie dochodziłem do normy, ale psychicznie znajdowałem się w stałej otchłani braku szacunku do samego siebie.

Kiedy Gerard zadzwonił, wydawał się naprawdę bardzo zmęczony.

- Jak ci poszło? - spytał, tłumiąc ziewanie. - Tina powiedziała, że to nie może czekać.

Opowiedziałem mu podsłuchaną rozmowę Vernona i Paula Younga, powiedziałem też, skąd jej słuchałem; do tego miejsca opowieści nie szczędziłem detali, później byłem znacznie bardziej lakoniczny.

- Paul Young? - spytał zaskoczony.

- Tak.

- Coś podobnego! Bardzo mi przykro.

- Z jakiego powodu?

- Nie powinienem był tam cię wysyłać.

- Skąd mogłeś to wiedzieć. Obawiam się jednak, że nadal nie wiemy, kim jest Paul Young i skąd się wziął. Vernon od początku do końca nie zwracał się do niego po imieniu.

- Wiemy na pewno, że jest bratem Larry'ego Trenta - zauważył Gerard. - Choć niewiele to pomaga. Wczoraj po południu ktoś z naszego biura dotarł do jego metryki urodzenia. Był nieślubnym dzieckiem. Jego matką była niejaka Jane Trent. Ojciec nieznan.

- Co zamierzasz zrobić? - spytałem. - Czy chcesz, żebym poinformował policję?

- Nie, jeszcze nie. Pozwól, że się nad tym zastanowię i zadzwonię do ciebie. Czy będziesz w sklepie przez cały wieczór?

- Tak, do dziewiątej.

- Dobrze.

Ponownie otworzyłem sklep o szóstej, próbując bez skutku wzbudzić w sobie prawdziwe zainteresowanie potrzebami klientów. Czułem się słaby i niepewny jak po ciężkiej chorobie i zastanawiałem się, jak Gerard przetrwał całe życie ścigania przestępców z absolutnie nie naruszonymi nerwami.

Zadzwonił po raz drugi dopiero przed zamknięciem sklepu i o tej porze wydawał się już absolutnie wyczerpany.

- Słuchaj, Tony, czy możesz się ze mną spotkać jutro o dziewiątej w Martineau Park?

- No... - zacząłem słabym głosem. - Tak... dobrze. - Powrót tam, pomyślałem, właściwie nie mieści się już na mojej liście pilnych spraw.

- W porządku. - Gerard nie zwrócił uwagi na moje wahanie. - Z wielkim trudem udało mi się odnaleźć właściciela firmy gastronomicznej działającej w Martineau Park. Dlaczego

wszyscy wyjeżdżają na weekendy? W każdym razie spotka się tam z nami jutro rano. Zgodziliśmy się obaj, że lepiej najpierw sprawdzić, co się dzieje w magazynie, nim poinformujemy o czymkolwiek policję. Powiedziałem, że przyjadę z tobą, bo rozpoznasz szkocką i wino, jeśli ich spróbujesz, a on przyznał, że twoja obecność jest niezbędna. On sam nie jest ekspertem, jak twierdzi.

Gerard mówił tak, jakby chodziło o całkiem normalną wyprawę.

- Pamiętasz o tym, że Paul Young będzie tam jutro po południu? - spytałem.

- Owszem. Dlatego musimy pojechać wcześniej, zanim on wszystko wywiezie.

- Chodzi mi o to, że policja mogłaby go zaarrestować i sprawdzić, kim jest.

- Kiedy się upewnimy, że whisky jest w Martineau, wezwiemy ich. - Starał się nie tracić cierpliwości, ale słyszałem w jego głosie wyraźne zastrzeżenia. Wykona pracę policji dopiero wtedy, kiedy zakończy swoją.

- Czy mogę na ciebie liczyć? - spytał po chwili.

- Że mimo wszystko nic im nie powiem?

- Tak.

- A więc nie powiem.

- Dobra. - Ziewnął. - To dobranoc. Spotkamy się za dwanaście godzin.

Kiedy przyjechałem, czekał w swoim mercedesie przed główną bramą. Najwyraźniej sen niewiele mu pomógł. Na szczupłych policzkach kładły się szare cienie, pod oczami miał worki, a na całej twarzy bruzdy, co postarzało go o wiele lat.

- Nic nie mów - zaczął na mój widok. - Strasznie się czuję po antybiotykach. - Zauważyłem, że rękę nadal miał na temblaku, uwalniał ją tylko do prowadzenia samochodu. Ziewnął. - Jak się tam wjeżdża?

Wjechaliśmy tą samą drogą, jaką posłużyłem się poprzedniego dnia, wszystkie bramy i tym razem były otwarte. Aż do biura dyrekcji nikt nas nie zaczepił. Teraz wyszedł z biura ten sam mężczyzna co wczoraj, uniósł krzaczaste brwi i zapytał uprzejmie, w czym nam może pomóc.

- Przyjechaliśmy na spotkanie z panem Quigleyem od gastronomii.

- Aha.

- Nazywam się Gerard McGregor. A to jest Tony Beach. Ruchliwe brwi znowu się zmarszczyły. - Zdawało mi się, że pan powiedział Cash - zwrócił się do mnie. - Peter Cash.

Zaprzeciłem ruchem głowy. - Beach.

- Och. - Był wyraźnie zaintrygowany, ale wzruszył ramionami. - No więc zna pan drogę.

Kiwnąłem głową, uśmiechnęliśmy się i ruszyliśmy w drogę.

- Kto to jest Peter Cash? - spytał Gerard.

- Nikt. - Opowiedziałem, jak Vernon szukał mnie poprzedniego dnia. - Nie chciałem, żeby wiedział, że był tu Tony Beach. Peter Cash to pierwsze nazwisko, jakie wpadło mi do głowy.

- Chcesz powiedzieć, że ten Vernon gonił cię po wszystkich trybunach?

- Trudno powiedzieć gonił.

- Ale tak to musiałeś odczuwać.

- Mhm.

Dotarliśmy do zielonych drzwi, które tym razem były starannie zamknięte. Gerard spojrzał na zegarek i w tym samym momencie okazałych rozmiarów samochód wyłonił się zza węgła budynku totalizatora, zatrzymał się przed Celebration Bar. Z samochodu wyłoniła się postać robiąca niewątpliwie wrażenie właściciela.

Mężczyzna miał czarne włosy, wąsy i wydatny brzuch. Na pierwszy rzut oka wydawał się ważniakiem, trochę impulsywnym. Przejawiał też zamiłowanie do białych jedwabnych szalików zastępujących krawat pod marynarskim ubraniem.

- Miles Quigley - oznajmił rzeczowo. - Gerard McGregor? Gerard skinął głową.

- Tony Beach - powiedziałem.

- W porządku. - Zmierzył nas niezbyt serdecznym wzrokiem. - To może zobaczymy, o co w tym wszystkim chodzi, dobrze? Chociaż powtórzę panu to samo, co mówiłem wczoraj wieczorem: jestem pewien, że pan się myli. Vernon od lat pracuje u mojej rodziny.

Niemal czułem, że Gerard myśli o setkach klientów, którzy z największym przekonaniem mówili dokładnie to samo.

- Vernon i jak dalej? - spytał Gerard.

- Co? Nie, Vernon to nazwisko. Zawsze mówi się do niego Vernon. Dziurka od klucza w zielonych drzwiach była okrągła i niewiele mówiąca. Klucz, który wyciągnął Miles Quigley, miał ze dwanaście centymetrów długości. Obracał się w zamku z dużym trudem, kilka razy rozległy się zgrzyty czopowego mechanizmu.

- Po raz pierwszy widzę na tym torze jakieś drzwi zamknięte na klucz - zauważyłem.

- Naprawdę? - Miles Quigley uniósł brwi. - Między wyścigami w dzień wszystko na ogół jest otwarte dla ułatwienia obsługi, ale zapewniam pana, że na noc wszystko się zamyka.

Po zmroku obejmuje służbę ochrona. Oczywiście z powodu zapasów alkoholu jesteśmy bardzo wyczuleni na zabezpieczenia.

Zielone drzwi otwierały się na zewnątrz, podobnie jak drzwi do mojego magazynku. Miles Quigley otworzył je szeroko, weszliśmy do korytarza, gdzie zapalił światła, nonszalancko uderzając dłonią w podwójny rząd kontaktów. Aż zbyt dobrze znana z poprzedniego dnia sceneria ożyła, długi korytarz ciągnący się w mroku aż do kuchennych bebeczków.

W szerszym korytarzyku prowadzącym do składu alkoholi Quigley otworzył niewielką szafkę z napisem „Pierwsza pomoc” i posłużył się drugim kluczem, nie tak dużym jak pierwszy, ale równie skomplikowanym.

- Alarm - wyjaśnił z wyższością. - System reagujący na temperaturę. Kiedy ktoś wejdzie do magazynu przy włączonym alarmie, nie tylko w biurze ochrony tu na torze zadzwoni dzwonek, ale także w centralnym komisariacie w Oksfordzie. Regularnie sprawdzamy system. Zapewniam panów, że działa.

- Kto ma klucze? - spytał Gerard, a poirytowane spojrzenie Quigleya powinno mu wystarczyć jako odpowiedź.

- Powierzyłbym Vernonowi własne życie - oznajmił. A ja nie, pomyślałem, ja bym tego nie zrobił.

- Tylko pan i Vernon macie klucze? - Gerard nie ustępował.

- Tak. To znaczy klucze do alarmu i do magazynu. Dyrekcja toru ma klucz do drzwi zewnętrznych, tych zielonych.

Gerard skinął głową. Quigley zignorował sprawę i pokazał trzeci i czwarty klucz do otwierania ciężkich drzwi prowadzących do samego magazynu; każdy klucz należało przekreślić dwukrotnie, na zmianę. Zważywszy na wartość trunków zgromadzonych we wnętrzu, ta przezorność nie była według mnie nadmierna.

- Czy te klucze można dorobić? - spytał Gerard.

- Co takiego? Nie, nie można. Można je dostać tylko od firmy, która instalowała system, a oni nie wydaliby duplikatów bez mojej zgody.

Quigley był młodszy, niż początkowo przypuszczałem. Nie przekroczył nawet czterdziestki, uznałem, stojąc obok niego w jasnych światłach magazynu. Raczej po trzydziestce, ale małpujący zachowanie pięćdziesięciolatka.

- To rodzinna firma, mówi pan? - spytałem

- Zasadniczo tak. Ojciec przeszedł na emeryturę.

Gerard zmierzył go chłodnym wzrokiem. - Ale chyba nadal jest prezesem, prawda?

- Owszem, przewodniczy na zebraniach dyrekcji - powiedział protekcjonalnie Quigley. - Dzięki temu ma wrażenie, że jest potrzebny. Starym ludziom tego potrzeba, wie pan. Ale ja wszystko prowadzę. Od trzech lat. To wielka firma, wie pan. Nie zaopatrujemy tylko tego toru, ale jeszcze wiele innych imprez sportowych, a także śluby i zabawy z tańcami. Bardzo duża firma. I rosnąca.

- Wszystko pan trzyma tutaj? - spytałem. - Obrusy, nakrycia, szkło i tak dalej?

Pokręcił głową. - Tutaj trzymamy tylko trunki ze względu na wysokie standardy bezpieczeństwa. Cała reszta jest w naszym centralnym magazynie jakieś dwie mile stąd. Wyposażenie, zapasy żywności i biura. W miarę potrzeby codziennie dowozimy wszystko furgonetką. Jak już mówiłem, to bardzo duże przedsiębiorstwo. - Robił wrażenie niezwykle zadowolonego z siebie. - Bardzo uporządkowałem cały biznes.

- Czy alkohole na kieliszki w prywatnych łóżach to pański pomysł? - spytałem.

- Co takiego? - Uniósł brwi. - Tak, oczywiście. Musiałem zrobić to, co inni dostawcy na torach wyścigowych. Znacznie bardziej zyskowne. Wie pan, odpowiadam przed udziałowcami. Zawsze pamiętamy o udziałowcach.

- Mhm - wymamrotałem.

Usłyszał w moim tonie powątpiewanie. Powiedział ostro: - Proszę nie zapominać, że to korzystne dla użytkownika łoży. Jeśli wypije tylko trochę, nie nalegamy, żeby płacił za całą butelkę.

- Fakt - powiedziałem neutralnie. Bezpośrednie spotkanie Quigleya i Swayle'a mogłoby się skończyć rozlewem krwi, bardzo zabawna perspektywa. - Ciasteczka truskawkowe są wyśmienite.

Spojrzał na mnie niepewnie i wyjaśnił Gerardowi, że cała papierkowa robota dotycząca win, piwa i mocniejszych alkoholi przechodzi przez mały kantorek po naszej lewej stronie. Vernon, powiedział niezbyt uszczęśliwiony, całkowicie za to odpowiada.

- On wybiera i zamawia? - spytał Gerard.

- Tak. Robi to od wielu lat.

- I płaci rachunki?

- Nie. Ma skomputeryzowany system. Sprawdzone faktury idą stąd do biura oddalonego o dwie mile i płacone są przez komputer. Oszczędność czasu. Oczywiście to ja zainstalowałem komputery.

Gerard skinął głową, ignorując to jego zadufanie.

- Tutaj trzymamy piwo, jak panowie widzą - mówił Quigley. - To jest tylko zapas. Normalnie nasi kontrahenci robią dostawy w dzień wyścigu.

Gerard ponownie skinął głową.

- Tam w korytarzu... właśnie ją mineliśmy... jest jedyna pasażerska winda, która zjeżdża aż tutaj... w tej części trybun parter dla publiczności znajduje się nad naszymi głowami. Tą windą wywozimy wszystko do barów i prywatnych łóż na wszystkich kondygnacjach. Wcześniej rano w dzień wyścigów jesteśmy bardzo zajęci.

Gerard oświadczył, że w to nie wątpi.

- Tam są wina i mocne alkohole. - Mówiąc to, Quigley prowadził nas do głównego magazynu. - Jak panowie widzą.

Gerard zobaczył. Quigley wyprzedził nas o kilka kroków, a Gerard zapytał spokojnie:

- Gdzie byłeś wczoraj?

- Leżałem tam... na szampanie Pol Roger. Przyjrzał mi się zaintrygowany. - O co chodzi?

- Co masz na myśli?

- Wyglądasz... nie, to niemożliwe... wyglądasz, jakbyś się wstydził. Przełknąłem ślinę.

- Kiedy byłem tam na górze... bałem się jak cholera.

Rozejrzał się po magazynie, oceniając możliwości i ograniczenia ukrycia się. - Byłbyś głupcem, gdybyś się nie bał - powiedział rozsądnie. - Chyba nie masz wątpliwości, że Paul Young zabiłby cię, gdyby cię znalazł. Mówią, że zabić po raz drugi jest łatwiej. Strach w groźnej sytuacji jest normalny. Brak strachu nie jest. Trzymanie nerwów na wodzy mimo strachu to odwaga.

Umiał mówić bez współczucia, pomyślałem, i niesamowicie przy tym pocieszać. Nie podziękowałem mu, ale w głębi duszy byłem mu bardzo wdzięczny.

- Zaczniemy? - spytał, kiedy dogoniliśmy Quigleya. - Tony, mówiłeś, że podejrzone skrzynki są gdzieś w głębi?

- Tak.

Wszyscy przeszliśmy centralnym kanionem między wysokimi ścianami skrzynek, aż dotarliśmy do końca magazynu.

- I teraz co? - pytał Quigley. - Nie widzę, żeby coś było nie w porządku. Wszystko wygląda tak jak zwykle.

- Whisky Bell's zawsze jest w tym końcu?

- Oczywiście.

Rozmiary bloku Bell's mogłyby zawstydzić hurtowników, u których się zwykle zaopatrywałem. Nawet Gerard wydawał się zaniepokojony perspektywą otwierania

wszystkich skrzynek, żeby znaleźć zepsute jabłka, co i tak nie mogło się równać z wizją pijackiego otępienia, jaka pojawiła się w mojej wyobraźni.

- No... - zacząłem - na niektórych skrzynkach mogą być znaki. Ktoś stawiał czarnym markerem krzyżyki na pudłach z dżinem, kiedy je liczył.

- Pewnie Mervyn - wtrącił Quigley.

- Owszem, zgadza się. Wróciłem do skrzynek z dżinem i popatrzyłem na dzieło Mervyna: pospiesznie zakreślony krzyżyk, którego dwie przekątne niemal łączyły się w kółko z prawej strony. Problem polegał jedynie na tym, że takie znaczki widniały na wszystkich skrzynkach Bell's w zasięgu wzroku. Zdawało się, że na żadnej nie ma wyróżniającego oznakowania, które dałoby się zauważyć bez rozebrania całej góry.

- Vernon musiał to odróżnić bez trudu - wtrącił Gerard. - Nie mógł ryzykować, że nie rozpozna tego na pierwszy rzut oka.

- Nie wierzę w to wszystko - oświadczył zirytowany Quigley. - Vernon jest bardzo dobrym menedżerem.

- W to nie wątpię - wymamrotał Gerard.

- Może uda nam się znaleźć wino - zasugerowałem. - Pewnie będzie łatwiej.

Wino stało w węższych blokach przy ścianie naprzeciwko mocnych alkoholi, w każdej kolumnie była mniejsza ilość, ale za to większa różnorodność. Znalazłem St Estèphe i St Emilion w szóstym rzędzie w głębi za nienaganną fasadą skrzynek z Mouton Cadet.

Quigley zgodził się na otwarcie skrzynki St Estèphe, która eksponowała znajomą fałszywą etykietę w całej krasie.

- To jest to - powiedziałem. - Czy dla pewności jeszcze spróbujemy?

Quigley wzdrygnął się. - Pan nie może mieć racji. To pochodzi od szacownego dostawcy. Vintners Incorporated. Tu na skrzynce jest ich pieczęć.

- Próbnij wino - zarządził Gerard.

Wyjąłem własny korkociąg, otworzyłem butelkę i wróciłem do kantorka w poszukiwaniu kieliszka. Znalazłem jedynie jednorazowe kubki z plastiku, których widok przypomniałby Henri Tavela o drgawki, ale nawet w tym plastiku wagi piórkowej nie można się było pomylić co do zawartości butelki.

- To nie jest St Estèphe - oświadczyłem zdecydowanie. - Czy mam próbować St Emilion?

Quigley jedynie wzruszył ramionami. Otworzyłem skrzynkę, odkorkowałem butelkę i spróbowałem.

- To samo. Czy szukamy pozostałych czterech?

Były tu wszystkie, ukryte za szacownymi fasadami tego samego wina: Macon za prawdziwym Macon i tak dalej. Zawartość wszystkich butelek była identyczna tak jak w „Silver Moondance”. Wszystkie sześć gatunków wina dostarczył Vintners Incorporated, według informacji na skrzynkach.

- Mmm - zaczął zamyślony Gerard - czy Vintners Incorporated dostarcza także whisky Bell's?

- Ależ to dobrze znana firma - protestował Quigley.

- Każdy może wyciąć sobie pieczętkę i na wszystkim przybijać nazwę Vintners Incorporated - zauważył Gerard.

Quigley otworzył usta i po chwili zamknął je powoli. Wróciliśmy do whisky i natychmiast znaleźliśmy partię na tyłach bloku, gdzie Vintners Incorporated widniało wyraźnie na bokach skrzynek.

- Nie wierzę w to - powiedział Quigley. I po chwili dodał: - No dobrze, niech pan próbuje.

Spróbowałem. Poczekalem. Pozwoliłem, by wykrystalizował się posmak. Pozwoliłem, by niuanse smaku zatrzymywały się w ustach, gardle i nosie.

- On nic nie stwierdzi - rzekł zniecierpliwiony Quigley do Gerarda. - Nie ma tu nic odbiegającego od normy. Mówiłem panu.

- Miał pan jakieś skargi? - spytałem w końcu

- Oczywiście, że miałem. Kto z obsługi gastronomicznej ich nie ma? Ale żadna się nie sprawdziła.

Zastanawiałem się, czy Martineau Park znajdzie się na liście Ridgera. Nie ma jednak nadziei, żeby przekonać się o tym wcześniej niż we środę, kiedy Ridger wróci.

- To nie jest Bell's - powiedziałem. - Za dużo ziarna, prawie nie ma słodu.

- Jesteś pewien? - spytał Gerard.

- To jest to, czego szukamy.

- Co to znaczy? - pytał Quigley. I nie czekając na odpowiedź, stwierdził z urazą: - Jak to możliwe, żeby Vernon okazał taką nielojalność?

Odpowiedź stanęła w drzwiach w osobie samego Vernona w skórzanej marynarce. Był wielki, zły i zdenerwowany.

- Co się tu, u diabła, dzieje? - wykrzyknął, zmierzając szybkim krokiem do magazynu.

- Co tu robisz, do cholery?

Zamarł, kiedy Gerard odsunął się trochę, ujawniając obecność Quigleya.

- O... Miles... nie spodziewałem się... Wyczuł coś złowróżbnego w naszym bezruchu. Ostrożnie przeniósł wzrok z Quigleya na Gerarda i wreszcie na mnie: mój widok był dla niego szokiem o wymiarach kataklizmu.

Rozdział dziewiętnasty



Wyjaśnijmy to - zaczął Gerard rzeczowo, kiedy wszyscy weszliśmy do kantorka. - Moim zdaniem mechanizm oszustwa wygląda następująco.

Mówił bez pośpiechu, głosem pozbawionym emocji, jak księgowy przedstawiający nieciekawy audyt, co miało zdecydowanie uspokajający wpływ na Quigleya, choć niekoniecznie na Vernona.

- Ze wstępnej analizy faktur dostępnych tu na miejscu wnioskuję, że wydarzenia rozwijały się w następującej kolejności. Może jednak przy okazji powinienem wyjaśnić panu - zwrócił się bezpośrednio do Vernona - że wykrywanie i wyjaśnianie oszustw komercyjnych jest moim stałym i codziennym zajęciem.

Niewielkie, czujne oczka Vernona wpatrywały się obojętnie w Gerarda, pod wielkimi opadającymi w dół węsami usta co chwila wykrzywił grymas, zaciskały się i rozluźniały pod wpływem napięcia. Przysiadł na biurku, przy którym tak twórczo przygotowywał dokumenty, złożył ręce na piersi, jakby skierowane przeciw niemu oskarżenia nie dotyczyły go w najmniejszym stopniu. Jednak na jego czole znowu pojawiły się krople potu. Uznałem, że może być wdzięczny losowi choćby za to, że nie przesłuchuje go teraz jego niebezpieczny przyjaciel Paul Young.

- Dostawca zaproponował panu następującą kombinację - mówił Gerard. - Pan jako odpowiedzialny za trunki w firmie miał składać u niego duże zamówienia i w zamian za to dostawać niezłą prowizję. Czyli łapówkę. Miał pan sprzedawać dostarczony przez niego towar, jakby stanowił część regularnych zapasów firmy. Jednak to, co dostarczał, nie zgadzało się z opisem na fakturze. Pańska firma płaciła za whisky Bell's i za dobre wina, a otrzymywała trunki niższej jakości. Pan na pewno o tym wiedział. To znacznie zwiększało pańskie dochody.

Quigley stał przy drzwiach, kołysał się na piętach, jakby odseparowując się od całej sprawy. Gerard, siedzący na jedynym krześle, zdecydowanie dominował nad sytuacją.

- Dostawca wybrał nazwę szanowanej firmy, z którą pan dotychczas nie współpracował, i przysyłał towary ze stemplem „Vintners Incorporated”. Otrzymywał pan od

tego dostawcy normalnie wyglądające faktury na firmowym papierze, więc dział księgowości spokojnie wysyłał czeki. Być może dopuścili się zaniedbania, nie sprawdzając, czy adres wydrukowany na fakturze jest rzeczywiście adresem „Vintners Incorporated”, co, jak panowie słyszeliście, właśnie przed chwilą sprawdziłem przez telefon, ale niewątpliwie firma pana Quigleya ma do czynienia z dziesiątkami dostawców i zazwyczaj nie sprawdza każdego z nich. - Zamilkł na chwilę i zwrócił się do Quigleya: - Zawsze radzę firmom, żeby sprawdzały na bieżąco. To takie proste. Kiedy adres raz wprowadzono do systemu komputerowego tak jak u pana, rzadko jest później sprawdzany. Komputer bez pytania wysyła płatności. Faktury mogą być rutynowo płacone, a towar w ogóle nie dostarczony. - Zwrócił się z powrotem do Vernona: - Ile razy to się zdarzyło?

- Bzdura - odparł Vernon.

- Vernon - odezwał się Quigley, a był to raczej wyraz rozczarowania niż niedowierzania. - Vernon, jak mogłeś? Tyle lat pracowałeś dla naszej rodziny.

Vernon obrzucił go spojrzeniem, w którym kryła się również pogarda. Vernon mógłby zachować lojalność wobec ojca, pomyślałem, ale pod rządami syna stał się popychadłem.

- Kto jest dostawcą? - spytał Quigley.

Zauważyłem, że Gerard się wzdrygnął; nie zadałby takiego pytania wprost, spróbowałby subtelniej wyciągnąć potrzebne nazwisko.

- Nikt - odpowiedział Vernon.

- On przyjedzie tu dzisiaj po południu - powiedziałem. Vernon instynktownie wstał i opuścił ręce.

- Ty cholerny szpiegu - powiedział z nienawiścią.

- A pan się go boi - dodałem. - Nie chce pan wylądować na cmentarzu tak jak Zarac.

Przyjrzał mi się badawczo. - Pan się nie nazywa Peter Cash - oświadczył zniechęcony. - Wiem, kim pan jest. Pan jest tym wężącym cholernym handlarzem win. Beach, pieprzony Beach.

Nikt temu nie zaprzeczył. Ale też nikt go nie zapytał, skąd wie o jakimś cholernym wścibskim handlarzu win o nazwisku Beach. Mógł się o tym dowiedzieć jedynie od Paula Younga.

- Kto to jest Peter Cash? - pytał zdezorientowany Quigley.

- On powiedział ludziom z administracji toru, że się nazywa Peter Cash - wyrzucił z siebie Vernon. - Z ubezpieczeń. - Niemal splunął tym słowem. - Nie chciał, żebyśmy się dowiedzieli, kim jest.

- My? - wtrącił Gerard.

Vernon mocno zacisnął usta pod osłoną wąsów.

- Domyślam się - zacząłem powoli - że zjawił się pan dzisiaj tak wcześnie, żeby zabrać wszystkie skrzynki „Vintners Incorporated” i zniknąć stąd, zanim o drugiej zjawi się pański dostawca.

- Bzdura - rzucił Vernon, jednak bez zbytniego przekonania, a Quigley pokręcił głową niemal z desperacją.

- Niewykluczone, że pan Quigley odstąpi od oskarżenia, jeśli zechce pan odpowiedzieć na kilka pytań - powiedział do Vernona Gerard bardzo poważnym tonem.

Quigley zeszywniał. Szepnąłem mu „udziałowcy” i poczułem, że opór znika. Na ustach Gerarda pojawił się cień uśmiechu, kiedy mówił:

- Na przykład, panie Vernon, jak bliskie były pana związki z Zarakiem z „Silver Moondance”?

Milczenie. Pot na czole Vernona zbierał się w krople, a on sam potarł wąsy wierzchem dłoni, wyraźnie zdenerwowany. Przez jakiś czas widać było, że toczy wewnętrzną walkę, aż wreszcie zwyciężyły wątpliwości.

- Skąd mogę wiedzieć? Jak mogę być pewny, że nie ściągnie tu posiłków, jak tylko coś powiem? - Okazało się, że ma na myśli Milesa Quigleya. - Trzymaj gębę na kłódkę i nie pakuj się w kłopoty, to moja zasada - stwierdził Vernon.

- Byłaby to mądra rada, gdybyśmy byli z policji - zauważył Gerard. - Ale nie jesteśmy. Cokolwiek powie pan nam, nie zostanie zapisane i wykorzystane jako dowód. Pan Quigley może dać panu zapewnienie, a pan może temu zaufać.

Pan Quigley sprawiał wrażenie, jakby zdrada Vernona obudziła w nim najpierw pełen urazy smutek, a następnie mściwą wściekłość, jednak pamiętając o dorocznym zebraniu udziałowców, doszedł do wniosku, że jeśli teraz przełknie tę żabę, oszczędzi sobie później większej korporacyjnej niestrawności.

- W porządku - rzekł sztywno. - Nie wniosę oskarżenia.

- Pod warunkiem, że uznamy odpowiedzi za szczere - dorzucił Gerard.

Vernon się nie odezwał. Gerard spokojnie powtórzył pytanie o Zaraca i czekał.

- Znałem go - powiedział w końcu Vernon, wyraźnie urażony. - Przyjeżdżał tu po wino, jeśli im zabrakło w „Silver Moondance”.

- Wino od pańskiego dostawcy? - pytał Gerard. - Z etykietami „Vintners Incorporated”?

- Tak, oczywiście.

- Dlaczego oczywiście?

Vernon się zawahał. Gerard znał odpowiedź. Bada go, pomyślałem.

- Larry Trent był jego bratem - rzucił.

- Bratem Zaraca?

- Nie, oczywiście, że nie. Mojego... no... mojego dostawcy.

- Jego nazwisko?

- Paul Young. - Ta odpowiedź sprawiła Vernonowi mniej kłopotu. Zbyt płynnie, pomyślałem. Kłamie.

Gerard nie naciskał. Powiedział jedynie: - Paul Young jest bratem Larry'ego Trenta, czy tak?

- Przyrodnim.

- A czy znał pan Zaraca, zanim ten Paul Young namówił pana do udziału w przekręcie?

- Tak, znałem. Przyjeżdżał tutaj po wino, co się czasem zdarza restauracjom, i powiedział, że zna dobry numer, bez ryzyka, dla kogoś na mojej funkcji. Gdyby mnie to interesowało, to mnie wprowadzi.

Gerard zastanawiał się chwilę.

- Czy „Silver Moondance” brała zwykle wino prosto od... Paula Younga?

- Tak.

- Znał pan Larry'ego Trenta?

- Spotkałem go - głos Vernona brzmiał obojętnie. - Obchodziły go tylko konie. Brat był cholernie dobry dla niego, pozwalał mu się przechwalać, że lokal należy do niego, dawał mu mnóstwo forsy na opłacenie trenerów i na zakłady. O wiele za dobry, tak mówił Zarac.

Przypomniało mi się, jak Orkney Swayle mówił, że Larry Trent był zazdrosny o brata; brata, który dawał mu tak wiele. Smutny świat, paradoksalny.

- Jakie związki łączyły Larry'ego Trenta i Zaraca?

- Obaj pracowali dla jego brata. Dla Paula Younga. - Znowu wyczuwało się pewną obcość nazwiska. Gerard ponownie nie naciskał.

- Jak równy z równym?

- Chyba nie publicznie.

- Dlaczego Paul Young zabił Zaraca?

- Nie wiem - odpowiedział niewyraźnie Vernon, bardzo poruszony. - Nie wiem.

- Ale wie pan, że go zabił?

- Jezu...

- Owszem - kontynuował Gerard - wie pan i może nam pan powiedzieć.

Vernon nagle zaczął mówić, jakby powodowany wewnętrznym przymusem: - Powiedział, że Zarac chciał „Silver Moondance”. Chciał dostać ten lokal. Albo go dostanie, albo... Rodzaj szantażu.

Vernon oblewał się potem; był równocześnie przerażony, oburzony, pełen współczucia i szczery, zaczynał też doświadczać oczyszczającej ulgi, jaką daje wyznanie.

Obserwowałem go zafascynowany. Gerard powiedział jakby od niechcenia: - Usprawiedliwił przed panem to morderstwo?

- Wytłumaczył je. Przyjechał tu rollsem załadowanym alkoholem z „Silver Moondance”. Powiedział, że Zarac pomagał mu pakować. Obracał trzy razy. Tyle tego było. Za trzecim razem przyjechał zupełnie inny. Był rozpalony... podekscytowany... bardzo silny. Powiedział, że dowiem się o śmierci Zaraca i mam trzymać gębę na kłódkę. Powiedział, że Zarac chciał mieć nad nim władzę, a do tego nie mógł dopuścić... a później dowiedziałem się, jak go zabił... porzygałem się... Zarac nie był złym facetem... Jezus, nigdy nie chciałem być zamieszany w morderstwo. Nie chciałem. To miał być tylko łatwy przekręt za dobre pieniądze...

- A od jak dawna ciągnie się ten przekręt?

- spytał spokojnie Gerard.

- Około piętnastu miesięcy.

- Cały czas wino i whisky?

- Nie, na początek tylko wino. Whisky to sześć ostatnich miesięcy.

- Zawsze Bell's?

- Tak.

- I dokąd jechała ta fałszywa Bell's stąd?

- Dokąd? - Zrozumienie pytania zabrało Vernonowi chwilę czasu. - Och, cały czas sprzedawaliśmy ją tutaj w barach. Czasami i w łóżach.

Jechała także na inne imprezy sportowe, które obsługiwał Quigley, na wesela i tańce. Wszędzie.

Twarz Quigleya zmartwiała; wyglądało to niemal jak komediowy szok.

- Wszędzie, gdzie pańskim zdaniem nikt nie zauważy różnicy? - spytał Gerard.

- No chyba tak. Większość ludzi nie zauważy. Nie w takim zadoczonym miejscu. Jest zbyt dużo innych zapachów. Zarac mi to powiedział i miał rację.

Kelnerzy od win byli cynikami, wiedziałem o tym. Pomyślałem też, że gdyby nie obsesyjna niechęć Orkneya do firm gastronomicznych i jego odmowa przyjęcia tego, co firma zazwyczaj proponuje, mógłbym pewnie odkryć Rannoch/BeH's w jego łoży.

- Czy wie pan, jaką whisky sprzedawał pan w butelkach Bell's? - pytał Gerard.

Vernon miał taką minę, jakby nigdy się nad tym nie zastanawiał.

- To była szkocka.

- A słyszał pan o młodzieńcu nazwiskiem Kenneth Charter?

- Kto? - dopytywał się Vernon, zaskoczony.

- Wróćmy do Paula Younga - zaproponował Gerard, nie okazując rozczarowania. -

Czy razem z panem zaplanował kradzież w sklepie pana Beacha?

Vernon nie był na tyle skruszony, żeby nie obrzucić mnie jadowitym spojrzeniem.

- Nie, niezupełnie. On tylko pożyczył jedną z naszych furgonetek. Dałem mu kluczyki.

- Co takiego? - wykrzyknął Quigley. - Tę skradzioną furgonetkę? Quigley... Quality House Provisions. Z biurka, przy którym siedział Gerard, wziąłem jeden z drukowanych cenników i przeczytałem nagłówek: Crisp, Duval i Quigley Ltd, której filią było Quality House Provisions. Furgonetka Quigleya na zapleczu mojego sklepu!

- Oni mieli zamiar ją odstawić z powrotem - bronił się Vernon. - Nie spodziewali się, że ten cholerny facet napatoczy się w niedzielę po południu. - Spojrzał na mnie z nienawiścią.

- Oni powiedzieli, że mógł zauważyć numery, więc mieli trochę przetrzymać tę furgonetkę i potem nam oddać. Kiedy przestanie być gorąco, gdzieś ją podrzuca. Kazali mi zgłosić jej kradzież, ale nie zdążyłem, policja zjawiała się w biurze, zanim zdążyłem kichnąć.

- Oni - powtórzył spokojnie Gerard. - A kim są ci oni?

- Pracują... u Paula Younga.

- Nazwiska?

- Nie znam.

- Niech pan jeszcze raz spróbuje.

- Denny. To wszystko, co wiem. Jeden ma na imię Denny. Powiedziano mi tylko, że Denny odbierze furgonetkę. Mieli przywieźć wina ze sklepu do mnie, żebym je obejrzał, ale się nie zjawili, chociaż czekałem do dziewiątej. Potem się dowiedziałem, że on się zjawił. - Vernon gwałtownym ruchem głowy wskazał na mnie - i coś się wydarzyło, co ich spłoszyło, więc nigdy się tu nie pojawili. Później słyszałem, że i tak wzięli nie to, co trzeba, więc całe zamieszanie na nic się nie przydało.

- Nikt panu nie powiedział, co ich spłoszyło? - spytał Gerard.

- Nie, poza tym, że spanikowali, bo wydarzyło się coś, czego nie przewidzieli, ale nie dowiedziałem się, co to było.

Uwierzyliśmy mu obydwaj z Gerardem. Nie stałby tak beztrosko przed nami, wypierając się wszelkiej wiedzy, gdyby wiedział, że wydarzyło się to, że obaj zostaliśmy postrzeleni.

- Jak dobrze pan ich zna? - pytał Gerard.

- Wcale. Denny prowadzi furgonetkę dostawczą, która przywozi tu towar. Ten drugi czasami też się pojawia. Nigdy nie są rozmowni.

- Jak często przywożą towar?

- Mniej więcej raz na tydzień. To zależy.

- Od tego, ile pan sprzeda?

- Tak.

- Dlaczego nie użyli swojej furgonetki, żeby okraść sklep pana Beacha?

- Jest bardzo duża... na drzwiach ma napis Vintners Incorporated... była w warsztacie czy coś...

- Może pan opisać Denny'ego i jego kumpla? Vernon wzruszył ramionami. - Są młodzi.

- Włosy?

- Nic szczególnego.

- Czarne kędzierzawe afro?

- Nie. - Vernon był stanowczy, ale lekko zaskoczony. - Zwyczajne.

- Skąd są? Skąd przywożą wino?

- Nie wiem. Nigdy nie pytałem. Nie powiedzieliby. Nie są przyjacielscy. Pracują u Paula Younga... to wszystko, co wiem.

Tym razem znacznie łatwiej wypowiedział nazwisko Paula Younga. Przyzwyczał się, pomyślałem.

- A kiedy poznał pan Paula Younga?

- Zaraz na początku. Jak powiedziałem Zaracowi, że mnie to interesuje. Jego szef miał mnie sprawdzić i przyjść wytłumaczyć, o co mu chodzi. I przyszedł. Powiedział, że będzie nam się dobrze pracowało i na ogół tak było.

Dopóki Vernon nie rozkręcił interesu na boku, okradając swojego pana, ale zauważyłem, że tego jakoś nie wyznaje.

- A jak naprawdę nazywa się Paul Young? - spytał Gerard. Otwarte drzwi konfesjonu nagle się zatrzasnęły.

- Nazywa się Paul Young - powiedział krótko Vernon. Gerard pokręcił tylko głową.

- Paul Young - upierał się Vernon. - Tak się nazywa.

- Na pewno nie.

Pot spływał z czoła Vernona na skroń i dalej na szczękę. - Powiedział mi, że policja widziała go w „Silver Moondance”, kiedy tam poszedł niczego nieświadomy po śmierci brata, i takie nazwisko im podał, bo nie chciał być pytany w sprawie alkoholu. Mówił też, że teraz będą go szukać w związku ze śmiercią Zaraca. Będą szukać Paula Younga, który nie istnieje, podał po prostu pierwsze nazwisko, jakie mu przyszło do głowy... Powiedział, że gdyby kiedykolwiek ktoś przyszedł tu pytać o niego, choć był pewien, że to się nie zdarzy, ale gdyby... to mam mówić o nim Paul Young. Mój Boże, tak właśnie go nazywam i nie podam jego prawdziwego nazwiska, bo mnie dopadnie i zabije... wcale nie żartuję, jestem tego pewien. Pójdę do więzienia, ale wam nie powiem.

Mówił to z absolutnym przekonaniem i zrozumiałym strachem, mimo wszystko byłem troszkę zaskoczony, kiedy Gerard nie naciskał.

Powiedział tylko: - W porządku. - I po chwili: - No to by było wszystko.

Przez jedną szaloną chwilę Vernon myślał, że mu się upiekło, wyprostował się, niemal wracał do swojej pewnej siebie arogancji.

W tym samym momencie Quigley sprowadził go na ziemię, mówiąc z napuszonym oburzeniem:

- Vernon, masz mi natychmiast oddać klucze. - Wyciągnął rękę i powtórzył: - Natychmiast.

Vernon bez słowa wyciągnął z kieszeni pęk kluczy i oddał mu.

- Od jutra możesz sobie szukać innej pracy. Dotrzymam słowa. Nie wniosę oskarżenia. Ale nie dostaniesz referencji. Zawiodłem się na tobie, Vernon. Nie rozumiem cię. Ale musisz odejść, bez dyskusji.

- Mam czterdzieści osiem lat - powiedział Vernon bezbarwnym głosem.

- I miał pan tu dobrą pracę do końca życia - wtrącił Gerard. - Sam pan to zaprzepaścił.

Zdawało się, że po raz pierwszy Vernon pomyślał realnie o swej wątpliwej przyszłości. Zmarszczki wokół jego oczu pogłębiły się.

- Ma pan rodzinę? - spytał Gerard.

- Tak - rzekł cicho.

- Bezrobocie jest lepsze od więzienia - stwierdził surowo Gerard, co niechybnie mówił już wielu zdemaskowanym oszustom. Na pewno wszyscy trzej, Quigley, Vernon i ja, usłyszeliśmy stalową twardość w jego głosie. Trzeba się rozliczać ze swoich czynów i ponosić za nie odpowiedzialność. Trzeba stawić czoło konsekwencjom. Stałe przebaczenie niszczy ducha...

Vernonem wstrząsnął dreszcz.

Za zgodą Quigleya po odejściu Vernona załadowaliśmy z Gerardem do jego mercedesa (podstawionego pod zielone drzwi) skrzynkę „Vintners Incorporated” z butelkami whisky Bell’s i po jednej skrzynce każdego wina od tego dostawcy. W istocie Gerard i Quigley obserwowali, jak ładowałem skrzynki. Powrót do normalnego zajęcia, pomyślałem, wzdychając. Przerzucąłem jednak większość ciężaru na wózek widłowy, folgując trochę moim gojącym się mięśniom.

- Co mam zrobić z resztą? - pytał bezradnie Quigley. - Jak sobie poradzimy z Jesiennym Karnawalem bez Vernona? Nikt nie zna systemu. On tu pracował tak długo. System to on... bo on go wymyślił.

Ani Gerard, ani ja nie zaproponowaliśmy żadnego rozwiązania. Quigley przystąpił do niezwykle starannego zamykania swojego skarbcza, włączył alarm, a my ruszyliśmy w powrotną podróż do zewnętrznego świata.

- Co mam zrobić? - pytał Quigley, zamykając zielone drzwi. - Myślę... o tym morderstwie?

- Vernon opowiedział swoją wersję tego, co powiedział mu Paul Young, co bez wątplenia jest tylko jedną z wersji prawdy. A to nie jest wiedza z pierwszej ręki - odpowiedział mu Gerard.

- Mówi pan... że mogę nic nie robić?

- Niech pan postąpi zgodnie ze swoją oceną - powiedział zyczliwie i niezbyt pomocnie Gerard.

Uznałem, że chyba po raz pierwszy w życiu Quigley zważył w swoją ważność, ogarnięty uczuciem niepewności i wahania.

- Tony i ja poinformujemy policję, że Paul Young może się tu pojawić w każdej chwili. Od tego momentu wszystko zależy od nich - dodał Gerard.

- Przecież on ma tu być o drugiej - poprawił Quigley.

- Może podejrzewać Vernona o to, co Vernon rzeczywiście zamierzał zrobić, czyli zmyć się z całym łupem, zanim dotrze tu Paul Young. Tak więc Paul Young może się tu zjawić w każdej chwili.

Gerard zdawał się tym zupełnie nie przejmować, ale był w tym całkiem odosobniony. Quigley postanowił pożegnać nas możliwie jak najprędzej, a ja miałem wielką ochotę pójść w jego ślady.

- Nie wejdzie do środka, bo ja mam wszystkie klucze - stwierdził Quigley. - Panie McGregor, chyba muszę panu podziękować. To wszystko wcale mi się nie podoba. Mogę się tylko spodziewać, że po odejściu Vernona nie będziemy już mieli żadnych kłopotów.

- Też mam taką nadzieję - zgodził się Gerard ironicznie. Obserwowaliśmy obaj, jak Quigley odjeżdżał, pod wpływem owej nadziei już z wyprostowanymi plecami i brodą wysuniętą do przodu.

- Może mu się uda, a może nie - powiedział Gerard.

- Nie chcę być tutaj, kiedy zjawi się Paul Young.

Gerard uśmiechnął się nieznacznie. - Lepiej nie. Wsiadaj, najpierw podjedziemy po twój samochód, a potem poszukamy budki telefonicznej.

Po przejechaniu mniej więcej pięciu mil zatrzymaliśmy się w niewielkim miasteczku, Gerard zatelefonował z budki przed pocztą. Podałem mu numer telefonu, który dał mi Ridger, i słuchałem krótkiej rozmowy.

- Niewykluczone - mówił Gerard do policjantów - że mężczyzna znany jako Paul Young pojawi się przy wejściu do firmy gastronomicznej pod trybunami na torze wyścigowym Martineau Park. Może to nastąpić w każdej chwili. - Przez chwilę słuchał, po czym powiedział: - Nie, żadnych nazwisk. Do widzenia.

Z uśmiechem odwiesił słuchawkę. - W porządku. Obowiązek spełniony.

- Do pewnego stopnia.

- Wszystko jest względne. - Był bardzo pogodny, choć nie wyglądał dobrze. - Wiemy, gdzie jest szkocka Kennetha Chartera.

- Część szkockiej.

- Wystarczy.

- Ale nie wiemy, gdzie była od opuszczenia cysterny do dostawy przez Vintners Incorporated.

- Tak jak mówiłeś, w rozlewni.

Opierał się o samochód, rękę miał na temblaku, wyglądał na kruchego i bezbronnego, jak przychodzący do zdrowia angielski dżentelmen na niewinnej przejażdżce w niedzielny poranek. Miał lekko rozbawioną minę, choć w oczach czaiła się stanowczość.

- Wiesz coś, czego mi nie powiedziałaś - stwierdziłem zniechęca.

- Tak sądzisz? A czego to dotyczy?

- Znalazłeś tę rozlewnię!

- Jakaś rozlewnię znalazłem. W każdym razie mamy punkt wyjścia. Pomyślałem, że pojedę tam po południu i rozejrzę się. Wstępny rekonesans.

- Dzisiaj niedziela. Nikogo tam nie będzie.
- Czasami jest to korzystna sytuacja.
- Chyba nie masz na myśli... włamania?
- Zobaczymy. To zależy. Czasami jest dozorca. Jestem dobry jako inspektor rządowy.

Nawet w niedzielę.

- A gdzie to jest? - spytałem lekko zszokowany.

- Mniej więcej dwadzieścia pięć mil od centrali Kennetha Chartera. - Uśmiechnął się nieznacznie. - W piątek po południu doszliśmy w biurze do wniosku, że twój pomysł, żeby najpierw obejrzeć rozlewnie, do których cysterny Chartera dostarczały wino, jest dobry, ale niesłuszny. Jest pięć takich rozlewni. Najpierw sprawdziliśmy wszystkie, okazały się absolutnie pewne i solidne. I potem w pewnym momencie wczorajszej nocy... wiesz, jak różne rzeczy pływają się człowiekowi po głowie w takim półśnie... przypomniałem sobie, że jedna z tych rozlewni ma dwa powiązania z Charterem, niejedno, i niewykluczone, że może to drugie powiązanie jest ważniejsze, niż nam się zdawało.

- Mianowicie?

- No... nie chciałbym, żeby to zabrzmiało zbyt zdecydowanie.

- Na miłość boską...

- Już dobrze, powiem ci. Zaraz na początku sprawdzania rozlewni ustaliliśmy, że jedna z nich należy do człowieka o nazwisku Stewart Naylor. Ta rozlewnia znajdowała się na samym początku listy dostarczonej nam przez Chartera, więc sprawdziliśmy ją jako pierwszą.

- Stewart Naylor? - Zamyśliłem się. - Czy nie jest on wymieniony w notesie Kennetha juniora? Tak... to ojciec, który gra w gry wojenne... ojciec Davida Naylora.

- Brawo. Do Stewarta Naylora należy firma Bernard Naylor Bottling. Założona przez dziadka. Stara szacowna firma. Obudziłem się ze słowem Naylor iskrzącym się w głowie jak brylant. Wczesnie rano zadzwoniłem do Kennetha Chartera i zapytałem o przyjaźń jego syna z Davidem Naylorem. Powiedział, że jego ojca Stewarta zna od lat, nie są bliskimi przyjaciółmi, ale znają się od dawna z powodu wspólnych interesów i wzajemnej sympatii synów. Kenneth Charter twierdzi, że David jest jedynym pozytywem w leniwym życiu juniora, który tylko dzięki temu nie zszedł na złą drogę. Gry wojenne zdaniem Kennetha Chartera to strata czasu, zdecydowanie jednak lepsza od waczenia kleju.

- To jego słowa? - spytałem rozbawiony.

- Tak, chłopcze.

- Naprawdę myślisz...

- Kenneth Charter tak nie myśli. Twierdzi, że to chwywanie się słomki. Jego zdaniem Bernard Naylor Bottling to doskonała firma. Nie znaleźliśmy jednak żadnych innych tropów, a sprawdzaliśmy rozlewnie w całym kraju. Cały nasz personel ma już odruchy wymiotne na sam dźwięk słowa rozlewnia. Trzy dni ciężkiej pracy całkiem bezowocne. Wiele rozlewni przestało funkcjonować. W jednej jest teraz biblioteka, winnej magazyn obuwia.

- Czy Stewart Naylor mógł mieć nieślubnego brata przyrodniego?

- Każdy może mieć nieślubnego brata przyrodniego. To zdarza się nawet najlepszym.

- Chodzi mi...

- Wiem, o co ci chodzi. Kenneth Charter nie wie o istnieniu brata. - Wzruszył ramionami. - Rozlewnia Naylora to dość wątpliwy trop. Albo strzał w dziesiątkę, albo powód do przeprosin. Pojadę, żeby się o tym przekonać.

- Teraz?

- Jak najbardziej. Jeśli przypadkiem Stewart Naylor i Paul Young to jedna osoba, dziś po południu albo będzie jechał do Martineau Park, albo stamtąd wracał, na pewno nie będzie się czał między butelkami.

- Czy spytałeś Kennetha Chartera, jak on wygląda?

- Tak... zwyczajnie, powiedział.

Ci wszyscy zwyczajni mężczyźni... - A czy jest głuchy? Gerard zamrugał. - O to zapomniałem zapytać.

- To zapytaj. Zadzwoni teraz, zanim pojedziesz.

- A jeśli Stewart Naylor jest głuchy... nie jedź?

- Tak jest. Nie jedź. Gerard pokręcił głową.

- To byłby dodatkowy powód, żeby jechać!

- To rzucanie się w rzekę Limpopo.

- Być może. Ale tylko być może. Nic pewnego. Wrócił jednak do budki telefonicznej i zadzwonił najpierw do domu, a potem do biura Kennetha Chartera, ale nikt nie odebrał telefonu.

- To by było na tyle - powiedział spokojnie. - Jadę.

- Czy byłeś kiedyś w rozlewni? - spytałem zdesperowany. - Będziesz wiedział, czego szukać?

- Nie.

Popatrzyłem na niego. On popatrzył na mnie. W końcu powiedziałem: - Spędziłem rok w rozlewniach w Bordeaux.

- Naprawdę?

- Tak.

- Więc powiedz mi, czego mam szukać.

Pomyślałem o pompach i maszynach. Pomyślałem o kadziach i ich możliwej zawartości. - Jestem ci potrzebny, prawda? - spytałem z nadzieją.

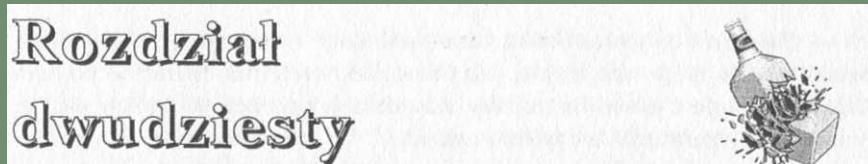
- Byłbym bardzo zadowolony z twojej obecności. Ale nie będę prosił. To już niemal wykracza poza konsultację... może nawet zdecydowanie.

- Nie rozpoznasz wina, nawet jeśli w nie wpadniesz, prawda? Ani szkockiej?

- Nawet nie ma o tym mowy - przyznał potulnie.

- Jasna cholera. Jesteś skończonym draniem. Uśmiechnął się.

- Przypuszczałem, że pojedziesz, jeśli ci powiem.



Wywiesiłem na drzwiach sklepu kartkę: „Nieczynne z powodu choroby personelu. Bardzo przepraszamy. Otwieramy w poniedziałek o 9.30”.

Jestem szalony, pomyślałem. To wariactwo.

Jeśli nie pojedę, pojedzie tam sam.

W tym momencie urwały się moje myśli. Nie mogłem pozwolić, żeby pojechał sam, podczas gdy ja miałem akurat tę wiedzę, która była potrzebna. Tym bardziej że on czuł się zmęczony i chory, a ja czułem się dobrze, niemal tak silny jak zwykle.

Usiadłem przy biurku i napisałem kartkę do sierżanta Ridgera z informacją, że powiedziano mi, bym poszukał whisky z „Silver Moondance” w rozlewni Bernarda Naylora, więc jadę tam z Gerardem McGregorem (podałem jego adres), żeby to sprawdzić. Zakleiliśmy tę notatkę w kopercie, na której napisałem instrukcje dla pani Palissey; jeśli nie będzie miała ze mną kontaktu do dziesiątej rano, ma odnieść tę kopertę na policję i dopilnować, żeby ją otworzyli.

Postawiłem kopertę na kasie, gdzie musi się rzucić w oczy, i miałem nadzieję, że pani Palissey nigdy jej nie przeczyta. Rozejrzałem się po raz ostatni po sklepie, zamknąłem drzwi i odjechałem, starając się nie zastanawiać nad tym, czy jeszcze kiedykolwiek wrócę.

Chwilami myślałem, że Kenneth Charter musi znać tego człowieka. Że Stewart Naylor jest w porządku. A chwilami ufałem nocnemu olśnieniu Gerarda. Intuicja jednak istnieje. Rozwiązania można znaleźć we śnie.

Prawdopodobnie wszystko to okaże się zwykłą przejażdżką, niewartą melodramatycznych listów do policji i tych wszystkich dywagacji. Pojedziemy do rozlewni, nie będziemy się włamywać, znajdziemy tam pełno dowodów legalnej prosperity i spokojnie wrócimy do domu. Nie będzie to kolejna niedziela krwawych koszmarów.

Zgodnie z umową spotkałem się z Gerardem na parkingu, bo tymczasem pojechał do domu, żeby zostawić w garażu zdobycze z Martineau Park. Stamtąd pojechaliśmy w kierunku Londynu jego mercedesem, tyle że tym razem ja siedziałem za kierownicą.

- Założmy, że jesteś Stewartem Naylorem - zaczął Gerard. - Założmy, że całe życie uczyłeś się, jak prowadzić rodzinny biznes w postaci rozlewni i nagle z powodu zmiany francuskich przepisów okazuje się, że rzeka wina przemienia się w strumyczek.

- Łuk - powiedziałem i skinąłem głową.

- Co takiego? Ach, tak. Kenneth Charter mylił się w istocie. To kusza wykończyła łuk... ale mniejsza z tym. Kusze, strzelby czy coś innego, w każdym razie nie z własnej winy wypadasz z interesów. Kenneth Charter potwierdził dziś rano, że wozi do rozlewni Naylora ledwie jedną piątą tego, co kiedyś, choć nadal jest to dużo. Więcej niż gdziekolwiek indziej. Mówi, że po tym się orientuje, że interesy Naylora idą dobrze, podczas gdy inni ledwie zipią.

- Ciekawe...

- W istocie. Założmy, że jesteś Stewartem Naylorem i gorączkowo poszukujesz czegoś, co mógłbyś nalewać do butelek... sok pomidorowy, płyn do mycia, cokolwiek... ale przekonujesz się, że wszyscy w twojej branży gonią za tym samym. Perspektywa bankructwa unosi swój paskudny łeb i wpatruje się w ciebie wzrokiem pełnym pogroźek. - Zamilkł, bo mijiałem ciężarówkę, po czym kontynuował: - Wcześniej zakładaliśmy, że w tym momencie pojawia się w samą porę jakiś oszust, proponując ocalenie w zamian za nieuczciwość i że nasz osaczony rozlewnik to przyjmuje. Założmy jednak, że wcale nie było tak. Założmy, że Stewarta Naylora wcale nie trzeba było namawiać, bo bez żadnej pomocy wymyślił ten oszukańczy przekręt...

- Który polegał na kupowaniu wina zamiast rozlewania cudzego wina w butelki. Nawet lepiej niż przedtem opłacało się rozlewać je do butelek, przyklejać etykiety i sprzedawać. - Zmarszczyłem brwi. - I na tym etapie zostajesz zdemaskowany i oskarżony.

- Chyba że masz przyrodniego brata, który lubi konie. Umieszczasz go... za pieniądze z banku... w „Silver Moondance” i wstawiasz mu swoje wino do sprzedaży. Sprzedaje się dobrze i mniej więcej dwudziestokrotnie drożej niż ty za nie płacisz, nawet jeśli doliczysz koszt butelek. Pieniądze zaczynają płynąć... i w tym momencie padasz ofiarą syndromu zachłanności.

- Syndromu zachłanności?

- Uzależnienie - wyjaśnił Gerard. - Pierwszy krok to krok gigantyczny. Decyzja. Wąchać kokainę czy nie. Pożyczyć pieniądze ze zbiórki świątecznej, tylko ten raz. Sprzedać pierwszy sekret. Zaprojektować etykietę z nieistniejącym chateau i przykleić na butelkę napełnioną winem z rzeki. Pierwszy krok jest gigantyczny, drugi o połowę mniejszy, a przy szóstym kroku jest to już nawyk. Załóżmy, że nasz Stewart Naylor zaczyna kombinować, że znalezienie innych punktów zbytu podwoi lub potroi zyski.

- W porządku. Załóżmy.

- W tym momencie musimy założyć istnienie pomocnika zwanego Zarac, którego umieszczamy korzystnie jako głównego kelnera w „Silver Moondance”. Jednym z jego obowiązków jest zorientowanie się w możliwościach ekspansji, toteż w odpowiednim czasie dociera do Vernona w Martineau Park. Melduje o tym Paulowi Youngowi... Paul Young czy Stewart Naylor... idzie do Vernona i nagle interes z podrabianym winem rusza pełną parą, podwaja się wręcz. Teraz napływa tyle pieniędzy, że ich ukrycie staje się problemem. Nie szkodzi. Przyrodni brat Larry jest specem od koni. Wystarczy przekazać braciszкови żenującą gotówkę, a on ją przyoblecze w końskie ciało, wyśle do Kalifornii i znowu przeobrazi, o ile to możliwe z zyskiem, i wpłaci do banku. Jak należy przypuszczać, z nadzieją, że pewnego dnia ją podejmie i będzie się spokojnie wygrzewał na słońcu. Z mojego doświadczenia wynika, że ten ostatni rozdział rzadko się realizuje. Uzależnienie od przestępstwa staje się do tego stopnia częścią osobowości przestępcy, że nie potrafi przestać. Przyłapałem licznych szpiegów przemysłowych, bo nie potrafili się wyzwolić od swego ulubionego skradania się z kamerą.

- Posprzątaj i zmiataj - podsumowałem.

- Jak najbardziej. Niemal nigdy tak się nie dzieje. Wracają po drugi kęs, i trzeci, i jeszcze troszkę... no i wychodzi o jeden za dużo.

- A więc Stewart Naylor objął swoją pomysłowością szkocką?

- Hm. Załóżmy, że kiedy pewnego dnia syn przychodzi odwiedzić rozwiedzionego ojca, przyprowadza ze sobą przyjaciela, Kennetha juniora? A może przyprowadza go często? Stewart Naylor dość dobrze zna ojca juniora... cysterny Kennetha Charterera woziły wino do rozlewni Naylora przez wiele lat. Może uzależniony od przestępstwa Stewart przypatruje się juniorowi i przypomina sobie, że cysterny Charterera wożą nie tylko wino, ale również dżin i szkocką, i że chociaż dochody z wina są niezłe, to przy szkockiej staną się astronomiczne...

- Nie mógł jednak wprost zażądać od juniora sprzedania informacji o trasach cystern, o docelowych punktach dostawy i całym rozkładzie jazdy. Junior mógłby się nagle oburzyć i pognać do domu, żeby wszystko wygadać...

- Ale uważa, że junior dojrzał do aktu drobnej zdrady, pewnie słyszał jego utyskiwania na trudne stosunki z ojcem.

- Więc wysłała Zaraca, żeby go pozyskał - powiedziałem. - Może wysłała go do klubu bilardowego Diamond? Albo do dyskoteki? W tego typu miejsce? A Zarac mówi: mały, tu jest niezła forsa. Daj mi klucze od cysterny, podaj mi jej trasę, a ja dam ci więcej gotówki. Trzy miesiące później znowu płaci. I znowu. A potem mówi: mały, daj mi klucze od jeszcze jednej cysterny, bo ta pierwsza jest już za bardzo trefna...

- Niby dlaczego nie?

- No właśnie.

- W każdym razie Zarac miał silne atuty, kiedy doszło do szantażu - stwierdził Gerard. Skinąłem głową. - Tak silne, że nie wyszły mu na dobre. Dojechaliśmy do końca autostrady, skręciliśmy w węższe ulice, żeby dostać się na Ealing.

- Wiesz, jak znaleźć tę rozlewnię? - spytałem. - Czy pytamy policjanta?

- Jest plan - wyjaśnił zwięźle Gerard, wyciągając ze schowka plan miasta. - Zobaczymy. Gdy dojedziemy do szosy, jedź wolno i rozglądaj się.

- W porządku.

- Ale nie zatrzymuj się, miń ją. Kiedy zobaczymy, jak to wygląda, podejmiemy decyzję.

- Rozumiem.

- Jeśli po przejechaniu mili skręcisz w lewo, będziemy mniej więcej o pięć mil od celu. Będę pilotował.

- Dobrze.

Na dużym skrzyżowaniu skręciliśmy w lewo w dwupasmową ulicę na - uśpionym przedmieściu, gdzie w niezliczonych piekarniach skwierczały pieczenie na niedzielny obiad.

- Jutro dostaniemy profil tej szkockiej, którą zabraliśmy z Martineau Park - powiedział Gerard.

- Iz próbki pobranej przeze mnie z butelki z „Silver Moondance”.

- Powinny być takie same.

- Będą.

- Jesteś tego absolutnie pewny. Uśmiechnąłem się szeroko. - Jasne.

- No to powiedz, co cię tak śmieszy?

- Hm... wiesz, że cysterny za każdym razem wyruszały ze Szkocji z pięćdziesięcioośmioprocentowym alkoholem? I że w firmowej wytwórni Rannoch zostałyby rozcieńczone wodą do czterdziestu procent?

- Owszem.

- Czy masz pojęcie, ile wody do tego potrzeba?

- Nie, oczywiście, że nie mam. Ile?

- Jakieś dwa tysiące siedemset galonów. Licząc na wagę, ponad dziesięć ton.

- Wielkie nieba!

- No więc Rannoch bardzo ostrożnie podszedłby do tej wody. Użyliby jakiejś czystej wody źródlanej, nawet jeśli nie pochodziłaby ze szkockiego jeziora. Ale przysięgłbym, że skradzione ładunki Chartera zostały rozcieńczone zwykłą wodą z kranu.

- To źle?

Roześmiałem się. - Oczywiście, że źle. Każdy szkocki destylator dostałby ataku. Twierdzą, że jakość szkockiej zależy wyłącznie od miękkości i czystości wody z jezior. Kiedy w sklepie spróbowałem po raz drugi szkockiej z „Silver Moondance”, w posmaku czułem słaby zapach chemikaliów. Zdarza się nie najgorsza woda z kranu, ale czasami jest straszna. Herbata z niej jest ohydna. Spytaj mieszkańców tej dzielnicy.

- Tutaj? - wykrzyknął.

- Zachodnia część Londynu słynie ze złej wody.

- Coś podobnego!

- I to też wyjdzie w profilu.

- Woda?

- No... oczyszczające środki chemiczne. W czystej szkockiej w ogóle nie powinny się znajdować.

- Ale czy woda z kranu nie zepsuje profilu whisky? Chodzi mi o to... czy będziemy mogli udowodnić, że nasze próbki są identyczne z oryginalną whisky wysłaną ze Szkocji?

- Nie martw się. Woda z kranu nie wpłynie na profil whisky, wyjdą po prostu dodatkowe składniki.

- Czy fakt, że szkocka jest rozcieńczona, będzie miał znaczenie?

- Nie. Chromatograf gazowy po prostu pokazuje obecność składników, nie ich ilość.

Zdawało się, że ta wiadomość przyniosła mu pewną ulgę.

- Skręć w prawo na światłach. A czy ten chromatograf gazowy może powiedzieć, skąd pochodzi określona próbka wody z kranu?

- Tego nie wiem.

- Zadziwiające.

- Co cię tak zadziwia?

- Że jest coś, czego nie wiesz.

- No cóż, nie znam chińskich dynastii, nie umiem powiedzieć dziękuję w piętnastu językach, nie znam drogi do tej rozlewni. - I chciałbym od razu zawrócić i pojechać prosto do domu, pomyślałem. Im bardziej zbliżaliśmy się do rozlewni Naylora, tym bardziej rosło moje zdenerwowanie... myślałem o ojcu, tak zwyczajnie odważnym, wyruszającym na pole bitwy, inspirującym swoich podkomendnych... i o tym, dlaczego nie mogę być taki jak on, dlaczego zasycha mi w ustach, a oddech przyspiesza, jeszcze zanim zdążyliśmy dojechać w głąb Ealingu.

- Skręć w lewo. I trzecią w prawo. To nasza droga.

Był absolutnie spokojny. Żadnego napięcia ani niepokoju w głosie, w wyrazie twarzy. Świadomie rozluźniłem zacisk dłoni na kierownicy i bez większego powodzenia starałem się odprężyć do tego stopnia, żeby dorównać Gerardowi.

Niestety. Nawet zęby miałem zaciśnięte, gdy skręciliśmy w trzecią na prawo i powoli posuwaliśmy się do przodu.

- To tu - powiedział rzeczowo Gerard. - Widzisz? Spojrzałem tam, gdzie wskazywał ręką. Dwie bardzo wysokie bramy wjazdowe, zamknięte, usytuowane w bardzo wysokim ceglany murze. Na bramach wypłowią białe litery układały się w słowa; „Bernard Naylor Botding”, a poniżej napisu znajdowała się kłódka wielkości spodka. Nie uda nam się wejść do środka, pomyślałem. Bogu za to dzięki.

- Na końcu skręć w lewo - powiedział Gerard. - Zaparkuj tam, jeśli się da.

Było to jedno z przedmieść zbudowanych przed wprowadzeniem stref, gdzie lekki przemysł usadowił się między domami mieszkalnymi jako integralna część społeczności. Kiedy zaparkowałem mercedesa przy krawężniku w rzędzie samochodów mieszkańców, ruszyliśmy piechotą, mijając okna z koronkowymi firankami i pełne krzaczków frontowe ogródki. Jedzą teraz pieczoną wołowinę, pomyślałem, Yorkshire pudding i sos... dziesięć minut po porze obiadu, a mnie burczy w brzuchu tak, jakby fruwały w nim wszystkie motyle z deszczowych lasów Brazylii.

Szliśmy wolno jak podczas przechadzki, na krótkiej uliczce był prócz nas tylko jeden przechodzień, jakiś starszy mężczyzna cierpliwie czekający na swojego psa przy latarni.

Kiedy dotarliśmy do bram wysokich na ponad dwa metry, pomalowanych zblakłą już w słońcu zieloną farbą, Gerard zatrzymał się na wprost wejścia, odchylił do tyłu głowę, jakby odczytywał napis.

- Na szczycie muru jest tłuczone szkło - powiedziałem. - Na szczycie bram drut kolczasty. I nie mów mi, że potrafisz otworzyć tę półtonową kłódkę.

- Nie ma potrzeby - odparł spokojnie Gerard. - Otwórz oczy. W wielu masywnych bramach demonstracyjnie pozamykanych są niewielkie drzwi zaledwie na szerokość jednej osoby. I tutaj w lewym skrzydle bramy, dokładnie przed nami, jest właśnie taka furtka, zamknięta na całkiem zwyczajny na oko zamek sprężynowy. A jeśli nie potrafię przeprowadzić nas przez tę furtkę, to znaczy, że zmarnowałem najlepsze lata życia.

Przerwał demonstracyjne czytanie napisu na bramie i podjął przechadzkę, spoglądając od niechcenia na niewielką furtkę wyciętą w dużej bramie.

- Palisz? - zapytał.

- Nie - odparłem zaskoczony.

- To zawiąż sobie sznurowadło.

- Jasne. - Zrozumiałem, o co mu chodzi, więc posłusznie się nachyliłem, żeby udawać, że zawiązuję kokardki przy mokasynach.

- Drobnostka - powiedział nagle Gerard nad moją głową.

- Co takiego?

- Wchodź.

Z najwyższym zdumieniem spostrzegłem, że wąska furtka była już szeroko otwarta. Zrobił to bardzo szybko. Teraz chował do górnej kieszeni kawałek przezroczystego plastiku i spoglądał na uliczkę, gdzie pies po raz kolejny zatrzymał swojego pana.

Gerard przeszedł przez furtkę w taki sposób, jakby stale tu bywał, a ja z coraz mocniej bijącym sercem wszedłem za nim. Zamknął za mną furtkę, sprężynowy zamek zaskoczył z trzaskiem. Gerard uśmiechnął się nieznacznie, spostrzegłem, że mimo zmęczenia i złego samopoczucia doskonale się bawi, w co naprawdę trudno mi było uwierzyć.

- Tam mogą być ludzie - powiedziałem.

- Jeśli tak... to ta furtka była otwarta. Ciekawość.

Obaj spojrzeliśmy na bardzo szeroką bramę od środka. Kłódkę na zewnątrz przynajmniej częściowo była na pokaz, bo po wewnętrznej stronie znajdowały się ciężkie pionowe rygle, a na wysokości metra olbrzymia sztaba, tak że największy nawet nacisk od zewnątrz nie mógłby otworzyć bramy.

- Fabryki często wycinają taki otwór w swoich murach obronnych - powiedział Gerard, wskazując ręką furtkę. - Szczególnie tak stare jak ta, zbudowane jeszcze w wieku niewinności.

Znaleźliśmy się na dużym wybetonowanym dziedzińcu, którego całą długość po naszej prawej stronie zajmował wysoki budynek z cegły; miał dwa długie rzędy kwadratowych zakratowanych okienek. Na końcu dziedzińca na wprost nas stał jednokondygnacyjny nowoczesny budynek biurowy o konstrukcji panelowej, a po lewej była wartownia, w której w dni robocze niewątpliwie siedział człowiek kontrolujący ruch ludzi i pojazdów.

Żadnego dozorca. Drzwi do stróżówki były zamknięte. Gerard przekręcił gałkę, ale bezskutecznie.

Przy drzwiach znajdowało się okno, przypominające okienko kasowe, pewnie tutaj w dni robocze urzędował strażnik pilnujący bramy. Gerard przez chwilę zaglądał przez to okienko, a potem znowu zainteresował się drzwiami.

- Zamek zapadkowy - stwierdził, oglądając dziurkę od klucza. - Szkoda.

- To ma jakieś znaczenie? - spytałem. - Chodzi mi o to, że w stróżówce chyba nie będzie nic ciekawego.

Gerard popatrzył na mnie pobłażliwie. - W starych fabrykach często można znaleźć klucze do wszystkich budynków na tablicy w stróżówce. Wartownik wydaje odpowiednie klucze pracownikom.

Obserwowałem w milczeniu, jak wkładał do dziurki od klucza metalowy wytrych, skoncentrowany na tym, by wyczuć wychyłki; w tej chwili niczego nie widział, cała świadomość skupiała się w palcach. A mnie zupełnie zaschło w gardle.

Na terenie zakładu było pusto. Nikt nie biegł do nas przez dziedziniec z żądaniem niemożliwych wyjaśnień. Rozległ się ciężki brzęk od strony drzwi do wartowni, a Gerard z westchnieniem satysfakcji chował stalowy wytrych i ponownie przekręcił gałkę.

- No to mamy je - stwierdził, kiedy drzwi otworzyły się bez problemu. - Teraz się rozejrzemy.

Pomieszczenie, do którego weszliśmy, miało podłogę z drewna, stało w nim krzesło, zegar kontrolny do podbijania kart i zaledwie sześć kart w przegródkach przeznaczonych co najmniej na setkę; gaśnica wyglądająca na nową, na ścianie wisiały też fragmenty regulacji z ustawy o fabrykach, a obok płytka szafa ścienna. Gerard otworzył drzwiczki szafy i okazało się, że słusznie przewidział: były tam cztery rzędy haków z naklejkami, a na wszystkich hakach wisiały oznakowane klucze.

- Wszystko na miejscu - oświadczył z wielką satysfakcją. - Naprawdę nikogo tu nie ma. Mamy całą wytwórnię dla siebie. - Zaczął odczytywać oznakowania kluczy. - Najpierw pójdziemy do biura. Na tym znam się najlepiej. A potem... dokąd?

Ja też odczytałem nalepki na kluczach. - Główny dział. Magazyn butelek. Sala etykiet. Kadzie. Rozdzielnia. Ile mamy czasu?

- Jeśli Stewart Naylor to Paul Young i zrobi to, co obiecał, będzie teraz w drodze do Martineau Park. Jeśli policja tam go zatrzyma, mamy przynajmniej dwie albo trzy godziny.

- Nie mam takiego uczucia.

- Wiem. Zawsze czuje się lęk przy kilku pierwszych wyprawach.

Znowu mnie zatkalo. Zdjął z haczyków te klucze, które były mu potrzebne, i dał znak, żebym zrobił to samo. Potem wyszliśmy z wartowni, zamknęliśmy za sobą drzwi na klucz (niepotrzebnie, jak mi się wydawało) i wyszliśmy na główną część dziedzińca.

Po lewej stronie ukazał się jeszcze jeden duży budynek z cegły i w tym momencie pierzchły wszystkie moje nadzieje, że uda nam się stwierdzić niewinność Stewarta Naylora i ostrożnie się wycofać. W lewym rogu dziedzińca stała szara furgonetka Bedford z brązowymi liniami po bokach, bez numerów rejestracyjnych. Podeszedłem i zajrzałem przez szybkę, ale w środku nic nie było, ani wina, ani kędzierzawych peruk, ani strzelby.

- Wielkie nieba! To ta, prawda? - zawołał Gerard.

- Jeśli nie ta, to identyczna.

Westchnął głęboko i rozejrzał się po dziedzińcu. - Nie ma tu dużej furgonetki dostawczej z napisem Vintners Incorporated. Pewnie jest teraz w drodze do Martineau. Więc chodźmy do biura. Staraj się nie zostawiać żadnych śladów naszej wizyty.

- Dobrze - powiedziałem niepewnie.

Szliśmy po betonie dziedzińca, a mnie się wydawało, że nasze buty robią przy tym przerażający hałas. Gerard przekręcił klucz w drzwiach do budynku biura, jakby był dyrektorem, który przyszedł do pracy w sztuczkowym garniturze.

Według świadectwa kart zegarowych jak na zakład tej wielkości pracowało tu bardzo mało osób. W budynku biurowym było sześć niewielkich pokoi, w czterech nie było nic prócz biurka i krzesła, w dwóch widniały ślady jakiejś działalności biurowej. Dalej następował ciąg zamkniętych pomieszczeń z napisem „Dyrekcja” na drzwiach zewnętrznych. Poniżej na mniejszej tabliczce napisano „Zapukać przed wejściem”.

Weszliśmy bez pukania, posługując się odpowiednim kluczem z wartowni. W środku natknęliśmy się najpierw na przyjemny gabinet, którego ściany obwieszane były kalendarzami, wykresami i plakatami z winnych regionów Francji. Stały tu dwa biurka, dyrektora i sekretarki, obydwa najwyraźniej codziennie używane. W pojemnikach pełno było listów, faktury nadziane na szpikulec, obok kubka z piórami kwitł fiołek afrykański.

Zostawiłem Gerarda nad fakturami, które oglądał z dużą uwagą, a sam poszedłem do następnego pomieszczenia, w którym znajdowało się kosztowne biurko z blatem krytym skórą, zielone skórzane fotele, na podłodze był dywan, w mosiężnej donicy wysoka roślina, obok barek, oprawione w ramki rysunki przedstawiające Bernarda Naylora i jego rozlewnię przed pięćdziesięcioma laty. Do gabinetu przylegała luksusowa łazienka.

Kolejne drzwi z tego bogatego gabinetu prowadziły do pomieszczenia, które kiedyś było pewnie salą konferencyjną, ale teraz całą centralną przestrzeń podświetloną świetlikami w suficie zajmował stół znacznie większy od stołu bilardowego, a na nim model jakiegoś terenu w miniaturze ze wzgórzami, dolinami, równinami i płaskowyżami, wszystko w zieleniach i brązach na podobieństwo ziemi, na dnie doliny wiła się niebieska wstążka w charakterze rzeki.

Przyglądałem się temu z podziwem. Gerard wetknął głowę przez drzwi, spojrzał na stół, zmarszczył brwi i zapytał: - A co to takiego?

- Gry wojenne - odpowiedziałem.

- Naprawdę? - Podszedł bliżej. - Pole bitwy. Rzeczywiście. A gdzie żołnierze?

Znaleźliśmy żołnierzy w szafie pod ścianą, starannie ułożonych na tacach, setki żołnierzy w rozmaitych mundurach, niektórzy ręcznie malowani. Stały tam także rzędy miniaturowych czołgów i lawet armatnich ze wszystkich epok oraz groźnie wyglądające rakiety w wyrzutniach. Były helikoptery transportowe i dwupłatowce z okresu pierwszej wojny, miniaturowe zwoje drutu kolczastego, ambulanse i najrozmaitsze rodzaje niewielkich budynków, niektóre wyglądały na zbombardowane, inne pomalowane były na czerwono, jakby się paliły.

- Nie do wiary - powiedział Gerard. - Jak to dobrze, że wojny nie rozgrywa się za pomocą kości. Wyrzuciłem szóstkę, więc znoszę z powierzchni ziemi twój przyczółek.

Zamknęliśmy szafę i obrzuciliśmy stół ostatnim zaciekawionym spojrzeniem. Lekko pociągnąłem ręką po najbliższym łańcuchu górskim. Góry się poruszyły.

Trochę przestraszony podniosłem je, żeby odstawić na miejsce, i z pełnym zaskoczeniem zobaczyłem wydrażone wnętrza. Podniosłem kilka kolejnych wzgórz. To samo.

- Co to? - spytał Gerard.

- Góry w środku są białe.

- I co z tego?

- Widzisz, z czego są zrobione?

Podniosłem cały łańcuch wydrążoną częścią do góry, żeby mógł zobaczyć twarde białe wnętrze. - To gips - powiedziałem. - Popatrz na brzegi... jak bandaż. Pewnie cały ten pejzaż wymodelowano w gipsie.

- Wielkie nieba!

- Nie chodzi o chirurga laryngologa. Fanatyk gier wojennych też może być. Prosty materiał, łatwy do modelowania, do pomalowania, twardnieje jak skała.

Starannie odstawiłem pagórki i łańcuchy górskie na miejsce.

- Na tym stole musi być dobrych kilkanaście rolek tego materiału. I jeśli nie masz nic przeciwko temu, wolałbym stąd wyjść.

- Dobra. Przypuszczam, że akurat trochę dokupił tego dnia, kiedy pojechał do „Silver Moondance”. Tak się pewnie zdarzyło, że właśnie miał to w swoim rollsie...

Ludzie nie zawijają przypadkiem głów innych ludzi gipsowym bandażem. Żeby to zrobić, muszą mieć naprawdę mściwe myśli i psychopatyczną złośliwość. Paul Young odszedł bardzo daleko od miejsca startu Stewarta Naylora.

Zamknęliśmy drzwi do pokoju gier wojennych, minęliśmy gabinet z zieloną skórą i wróciliśmy do części biznesowej.

- Mają akurat tyle legalnych interesów, żeby robić wrażenie, że jeszcze trochę im brakuje do bankructwa - powiedział Gerard. - Nie mogę znaleźć niczego podejrzanego. Jeszcze miesiąc temu była dostawa za pośrednictwem cystem Chartera. Od tamtej pory nic. Żadnych faktur z Vintners Incorporated, żadnych not dostawczych, nic. To biuro jest dla księgowych i inspektorów. Przygnębiająco czyste, jeśli nie brać pod uwagę licznych próbek charakteru pisma Younga-Naylora. Zobaczmy więc sam zakład.

Zamknął na klucz budynek biurowy i pytająco uniósł brwi, oczekując ode mnie decyzji.

- Spróbujmy tutaj. - Wskazałem na budynek koło furgonetki Bedford. - Zacznijmy od tego.

- Zgoda.

Do wnętrza prowadziły dwie pary podwójnych drzwi osadzonych w długich białych ścianach. Wykonałem próbę z kluczem „kadzie” i „magazyn butelek”, ale dopiero trzeci klucz „rozdzielnia” otworzył jedne drzwi.

Skrzypnęły zawiasy. Moje ciało odpowiedziało rozmaitymi reakcjami: jak to możliwe, żeby oblewać się potem, kiedy równocześnie kompletnie zasycha w ustach. Weszliśmy do budynku i przekonaliśmy się, że jest to magazyn towarów gotowych do wysyłki, już rozlanych do butelek.

Było tu znacznie więcej przestrzeni niż towaru. Jedynie trzy samotne palety załadowano skrzyniami z napisem „House Wine - czerwone” z adresem restauracji w Surrey i cztery palety o tym samym przeznaczeniu z napisem „House Wine - białe”. I nic więcej.

- Papiery tego towaru są w biurze - stwierdził Gerard. - Restauracja kupiła i sprowadziła wino, Naylor rozlał je do butelek. Wygląda to na stałe dostawy.

Wróciliśmy na dziedziniec i zamknęliśmy na klucz drzwi do budynku wysyłkowego.

- Główna hala - powiedziałem, patrząc na wysoki budynek naprzeciwko. - Zobaczmy, jak to wygląda.

Klucz posłusznie otworzył zamek. Budynek był stary, zauważało się to od razu, wybudowany solidnie przez dziadka Naylora, żeby służył paru pokoleniom. Ściany wewnętrzne wyłożone były białymi kafłami niemal na wysokość człowieka, a powyżej pomalowane na kremowo (bardzo dawno). Przy głównym wejściu po lewej na górę prowadziły kręte schodki, a Gerard zdecydował, że najpierw pójdziemy tam, bo jego umysł nastawiony na papiery instynktownie szukał oświetlenia na wysokości. Poszliśmy więc na górę, co w dużej mierze było słuszne.

Przestrzeń na górze była zakurzona i wyraźnie nie używana, ale znaleźliśmy tam zamknięte drzwi, które niby sezam otworzyły się kluczem z nalepką „sala etykiet”.

- Wielkie nieba. Czy zawsze tak to wygląda?

Patrzyliśmy na dużą przestrzeń podłogi zasypaną stertami etykiet, były ich tam w sumie tysiące, w pozornym nieładzie, w którym niewątpliwie kryła się jakaś metoda.

- Prawie zawsze. Rzadko udaje się zamówić akurat tyle etykiet, ile będzie potrzeba. Zawsze trzeba mieć więcej na nieprzewidziane okoliczności. Zazwyczaj gromadzą się stosy tych niewykorzystanych.

- Jak widać.

- Stale używane etykiety są pewnie tam w tych niewielkich szufladach przypominających małe sejfy. Na niektórych szufladach są nalepione etykiety... i takie etykiety są w środku.

- Potrzebne nam St Estèphe i reszta, a także Bell's.

- Mhm.

Obaj zabraliśmy się do poszukiwań, ale ku naszemu rozczarowaniu nie znaleźliśmy żadnej z fałszywych etykiet.

- Potrzebujemy czegoś - powiedział Gerard. - Jakiegoś dowodu. Nie znaleźliśmy go w sali etykiet.

W głębi tej sali znajdowały się kolejne zamknięte drzwi. Zasugerowałem więc, żeby tam zajrzeć, a nuż coś się znajdzie.

Gerard zgodził się, wzruszając przy tym ramionami.

Klucz do „sali etykiet” tym razem nie pasował. Gerard stwierdził, że jest tu kolejny zapadkowy zamek i wydawało się, że całe wieki badał mechanizm swoim wytrychem, ale w końcu drzwi się poddały.

Weszliśmy do pomieszczenia, w którym stała maszyna drukarska, czysta, naoliwiona, sprawna nowoczesna maszyna, na której można drukować nienaganne etykiety.

Część ostatnich prac była jeszcze w nieopiętych arkuszach: niekończące się rzędy etykiety Bell's, o błyszczących barwach, nie dające się odróżnić od oryginału.

Żaden z nas nie powiedział ani słowa. Rzuciliśmy się natomiast do szafek i skrzynek pod ścianami i tam znaleźliśmy wszystko, schludne owalne etykiety St Estèphe, St Emilion, Valpolicella, Macon, Volnay i Nuits St Georges.

- To chateau de Chenonceaux - powiedziałem nagle.

- Co?

- Na tej nalepce St Estèphe. Byłem pewien, że gdzieś to widziałem. A to zamek Chenonceaux nad Loarą, tylko bez mostu.

- Cieszę się, że chociaż sam wiesz, o czym mówisz.

Brał po jednej etykietce z każdego gatunku i czule chował do portfela, który następnie włożył do kieszeni marynarki. Wszystko zostawiliśmy w takim stanie, w jakim zastaliśmy, ale w drodze powrotnej Gerard nie zatrzymał się, żeby z powrotem zamknąć drzwi na klucz, co przyjąłem z wielką ulgą. Znowu zeszliśmy do hallu, a stamtąd do drzwi na lewo, które otwierał klucz z napisem „kadzie”.

Od razu wyczuwało się zapach wina: ciepły różany aromat, jakby człowiek napełnił płuca pachnącym owocem. Gerard podniósł głowę zaskoczony, a ja poczułem się tak, jakbym wrócił do domu.

- Nie myślałem, że tak to wygląda - powiedział.

Niewielka sionka prowadziła do dwóch podłużnych sal, większa po lewej stronie mieściła rzędy dziesięciu olbrzymich okrągłych kadzi przy obu ścianach. Każda kadź pomalowana na ciemnoczerwono miała osiem stóp wysokości, sześć średnicy i była ustawiona osiemnaście cali nad ziemią na grubych ceglanych filarach. Na froncie każdej kadzi były duże zawory do napełniania i wylewania, niewielki zawór do próbowania, licznik do pomiaru ilości i ramka, w którą wsuwało się kartę identyfikującą aktualną zawartość.

- Są olbrzymie - dodał Gerard.

- Cysterna Kennetha Chartera napełnia cztery takie kadzie. W każdej mieści się tysiąc pięćset galonów. Ale można mieć większe.

- Dziękuję.

Uśmiechnąłem się. - Zobaczymy, co jest w środku.

Przeczytaliśmy karty identyfikacyjne. Na większości napisano „pusta”, a licznik ilości wskazywał zero. Na trzech kadziach najbliższych wejścia były napisy „Wino domowe Keely’ego, przywiezione 1 października”, a dalej „Prywatna cuve Dinzaga, przywieziona 24 września”. Dwie sąsiednie kadzie naprzeciwko miały tabliczkę „Linakket, przywiezione 10 września”, a wszystkie kadzie były napełnione jedynie w trzech czwartych.

- Wszystkie figurują w papierach w biurze - stwierdził Gerard z widocznym żalem.

- No to popatrzmy do pustych. Liczniki wskazujące ilość można odłączyć.

Zacząłem od najdalszego krańca, wychodząc z założenia, że jeśli Paul Young składował w Martineau swój łup możliwie najdalej od wejścia, to może robi to również na własnym terytorium. I rzeczywiście. Kiedy odkręciłem zawór próbny, strumyczek na moich palcach miał surowy i ulotny zapach szkockiej.

- Jest! Poszukam butelki i jeśli chcesz, weźmiemy próbkę.

- Później. Sprawdź pozostałe.

- Wszystkie?

- Tak.

Odkręciłem próbne zawory na wszystkich rzekomo pustych olbrzymach, w pięciu znaleźliśmy szkocką, a w trzech wino. Trudno było powiedzieć, po ile galonów jest w każdej kadzi, ale żadnemu z nas nie wydawało się to ważne. Wino, o ile mogłem się zorientować, zlizując je z palców, przypominało starego znajomego St Estephe, a szkocka to była Rannoch zmieszana już z wodą z kranu. Gerard wyglądał jak kot w spizarni, a kiedy wyprostowałem się po odkręceniu zaworu na ostatniej „pustej” kadzi (która rzeczywiście była pusta), oznajmił, że widzieliśmy już wszystko prócz działu butelkowania i zapytał, gdzie on może być.

- Idź za węzami.

Popatrzył na trzy czy cztery węże leżące na podłodze; grube szare plastikowe węże niby olbrzymie dżdżownice grubości nadgarstka, niektóre zwinięte w spirale, inne proste, biegnące między kadziami przez całą długość pomieszczenia.

- Te złączki na końcu węży wchodzą w zawory kadzi. Jeden z węży połączony jest z kadzią oznakowaną jako pusta, w której znaleźliśmy wino. Widzisz? Wino pompuje się z kadzi do rozlewni... więc żeby znaleźć rozlewnię, trzeba iść za węzami.

Wężę wiły się za róg, dochodząc do kolejnej dużej hali, gdzie stały tylko dwie kadzie, obydwie pomalowane na srebrzystą biel, były wyższe, mniej pękate, po ich bokach biegły liczne pionowe rury.

- Czy to białe wino? - spytał żartobliwie Gerard.

- Nie. To kadzie chłodnicze.

- A do czego służą?

Podszedłem do najbliższej kadzi, ale była wyłączona, o ile mogłem zobaczyć, druga też.

- Używa się ich do usunięcia cząsteczek mączących mocne alkohole i białe wino. Jeśli obniżysz temperaturę, cząsteczki stałe opadają na dno, a z wyższych partii wypompowujesz czysty płyn.

Wężę omijały kadzie chłodnicze, biegły przez kolejne szerokie drzwi i tam znaleźliśmy to, czego Gerard szukał: wysoką, jasną i przewiewną halę wysokości dwu kondygnacji, gdzie płyn rozlewano do butelek, korkowano lub zamykano butelki zakrętkami i przyklejano etykiety, a następnie pakowano butelki do skrzynek.

Były cztery odrębne linie produkcyjne do wypełniania, korkowania, nalepiania etykiet i nakładania zakrętek, co dawało znacznie większą moc przerobową niż bieżące zadania przedstawione w dokumentacji. Same maszyny, podobnie jak kadzie i wężę, były nowe w porównaniu z budynkiem zakładu. Było tu jasno, czysto, porządnie, przestronnie, rzucała się w oczy dobra organizacja.

- Spodziewałem się czegoś ponurego w stylu Dickensa - stwierdził Gerard. - Gdzie szukamy?

- W tych wielkich drewnianych skrzyniach powinny być puste butelki, ale mogą też być pełne, które czekają na etykiety. Zajrzyj do nich.

- A te szklane zagrody?

- Maszyny do rozlewania, korkowania i automatycznego etykietowania odgradza się szklaną przegrodą dla bezpieczeństwa, nie włączą się, dopóki nie zamknie się szklanych drzwi. Wygląda na to, że jeden ciąg maszyn jest gotów do pracy. Widzisz korki w tym przezroczystym pojemniku? A wyżej na mostku te cztery kadzie? Wino czy inny płyn przepompowuje się wężami z wielkich kadzi magazynowych w długiej hali do tych kadzi na mostku, skąd siła ciężkości pcha płyn do butelek. Wydaje się, że pompy do tych kadzi są tam na mostku. Mogę wejść na górę i sprawdzić, czy jest coś w tych małych kadziach.

Gerard skinął głową, a ja wszedłem po schodkach. Mostek, biegnący od jednej ściany rozlewni do drugiej, miał około trzech metrów szerokości, z obu stron barierki, a cztery

kadzie rozlewnicze sięgały powyżej mojej głowy, do każdej przymocowana była drabinka, która pozwalała dostać się do zaworu wejściowego na szczycie.

Na mostku były cztery pompy elektryczne, jedna dla każdej kadzi, ale tylko jedna pompa połączona była z węzem. Jeden wąż prowadził z niższego piętra, a kolejny łączył pompę ze szczytem kadzi. Pomyślałem, że w tej kadzi mogę znaleźć St Estephe, przykucnąłem więc u jej podstawy i wypuściłem kilka kropli płynu przez umieszczony tam mały zaworek.

Gerard z hałasem przeglądał butelki w drewnianych skrzyniach, poszukując pełnych. Skrzynie były bardzo masywne, kwadratowe, wysokie na ponad metr, skonstruowane z rzędów deszczulek jak zakratowane bramy. Przez przerwy między deszczułkami widać było błyszczące w środku butelki, w każdej skrzyni były ich setki.

W tym mniej czy bardziej naturalnym dla mnie otoczeniu poczułem się jak w domu i od dziesięciu minut zupełnie zapomniałem o strachu, co było podstawowym błędem, bo dokładnie pode mną odezwał się ostry, donośny i groźący głos:

- Co tu robisz, do jasnej cholery? Cofnij się, podnieś ręce do góry i odwróć się!



Mówił do Gerarda, nie do mnie.

Wyszedł spod mostku i znalazł się w moim polu widzenia, młody, pewny siebie, ubrany w dżinsy i pikowaną kurtkę. W rękę trzymał strzelbę z krótką lufą. Był odwrócony do mnie tyłem, nie widział mnie, a ja siedziałem w kucki na mostku skamieniały, niezdolny się poruszyć, mięśnie miałem zeszywniałe, a skórę i wnętrzności ogarniał ohydny, lepki chłód strachu.

Miałem instynktowną pewność, że to ten facet, który do nas strzelał.

To pewnie Denny. W myślach tak go nazywałem.

Gerard powoli obrócił się w jego stronę i podniósł jedną rękę, bo drugą nadal miał na temblaku. Nie spojrział do góry na mostek. Gdyby to zrobił, pewnie mógłby mnie zobaczyć, mimo że siedziałem za barierką wciśnięty pomiędzy dwie kadzie. Nie zrobił ani nie powiedział niczego, ani teraz, ani później, co pozwoliłoby Denny'emu podejrzewać moją obecność.

- Stań prosto albo cię rozwałę - powiedział Denny. Włączył się inny głos:

- Kto to jest? Czy to Beach?

Sytuacja znacznie się pogorszyła, zbyt dobrze znałem ten głos. Głos Paula Younga. Stewart Naylor.

- To nie jest Beach.

Wyłonił się spod mostku i stanął obok Danny'ego. Widziałem czarne włosy, mocne bary, błysk okularów i aparacik słuchowy za uchem.

- Więc co to za jeden? - spytał Denny.

- Ten, który z nim był. Starszy, siwy, z ręką na temblaku. To on. Nazywa się Gregg czy jakoś tak. Lew tak mówił.

Kim był Lew...

- Po co ten temblak? - pytał Stewart Naylor.

Gerard nie odpowiedział. Po chwili odezwał się Naylor: - Mówiłeś, że postrzeliłeś kogoś w samochodzie pod sklepem Beacha. To był on?

- Nie widziałem, kto to był - wyjaśnił Denny.

- Nie chcę, żebyś go tutaj zastrzelił - powiedział stanowczo Naylor. - Za duże papranie. Trzymaj te swoje cholerne paluchy z dala od spustu. A ty, Gregg, wyciągaj rękę z temblaka, odwróć się do mnie tyłem i połóż obie ręce na górę pojemnika z butelkami. Rób, co ci każę, bo znowu dostaniesz kulkę bez względu na papraninę.

Gerard wykonał polecenie. Muszę coś zrobić, myślałem, ale nic mi nie przychodziło do głowy. Nie potrafiłem myśleć. Słuchałem w beznadziejnym przerażeniu.

Stewart Naylor podszedł do Gerarda i obmacał go dokładnie, szukając broni. Gerard się nie poruszył. Naylor sięgnął mu do kieszeni marynarki i wyciągnął portfel. Cofnął się kilka kroków, żeby zbadać jego zawartość.

- Gerard McGregor - powiedział po chwili. - A gdzie twój kumpel Beach?

- Nie wiem. - Gerard wzruszył ramionami.

- Jak on się tu dostał, do cholery? - powiedział Denny. - To mi się nie podoba.

Z nagłym niepokojem i wściekłością Naylor wykrzyknął: - Pożałuje, że to zrobił.

Obserwowałem to w pełnej rozpaczy. Znalazł w portfelu fałszywe etykiety z góry. Trzymał je w rękę jakby z niedowierzaniem.

- Widział maszynę drukarską - powiedział rozjuszony. - Za dużo wie. Zabijemy go i wyrzucimy. Nie będzie już miał okazji powiedzieć, co wie. Nic nam nie grozi. - Wydawał się o tym przekonany.

Gerard odezwał się zupełnie spokojnym głosem, jakby prowadził uprzejmą dyskusję: - Oczywiście zostawiłem informację o tym, dokąd się udaję. Jeśli nie wrócę bezpiecznie, odwiedzi was policja.

- Zawsze tak mówią na filmach - oznajmił Denny. - I to nigdy nie jest prawda.

Naylor po chwili polecił:

- Denny, przytrzymaj go tutaj. Zaraz wrócę.

Przeszedł pod mostkiem, wyszedł z hali rozlewni, a ja zastanawiałem się, czy nie skoczyć na Denny'ego... ale stał jednak zbyt daleko, bym dał radę. Obróci się, kiedy usłyszysz, że się poruszyłem, i strzeli, kiedy będę się ustawiał na barierce w takim miejscu, żeby doskoczyć do niego jednym ruchem. Na pewno zastrzeli Gerarda albo mnie, zanim zdążymy go obezwładnić i rozbroić. Nie miałem pojęcia, co innego mógłbym zrobić, nie wątpiłem jednak, że ten skok okazałby się fatalny dla nas obojgu, ale niepokoiłem się i skręcałem lekliwie także z powodu podejrzeń, że nie ruszam się tylko dlatego, że się boję... Nie była to ostrożność, tylko zwykłe tchórzostwo. Można było ryzykować życie, by udowodnić sobie, że jest się odważnym... może niektórzy uważali, że warto tak postąpić, aleja do nich nie należałem.

Stewart Naylor wrócił z niewielką paczuszką, którą po drodze zaczął otwierać. Wewnątrz znajdował się szeroki biały bandaż. Zrobiło mi się niedobrze.

Powinienem być skoczyć, pomyślałem. Powinienem być zaryzykować, kiedy miałem szansę. Dlaczego tego nie zrobiłem?

Zdrowy rozsądek, emocje, logika, brawura... kłębią się w mózgu jak splątany gąszcz. Skąd wiadomo, co jest słuszne?

Naylor podszedł do Gerarda i w błyskawicznym tempie przywiązał bandażem nadgarstek postrzelonej ręki do barierki. Ciałem Gerarda wstrząsnął widoczny dreszcz, odwrócił się od skrzyni i starał się wyswobodzić, próbował się uwolnić. Bruzdy na jego twarzy zarysowały się bardziej wyraziście, oczy zapadły się i pociemniały.

On też się boi, pomyślałem. Wie, co to za bandaż. Jest człowiekiem w równym stopniu jak ja... i jest przerażony.

Nie patrzył do góry na mostek.

Muszę coś zrobić, myślałem. Nie miałem broni. Niczego. Tylko Gerard. I gips.

Co miałem... Miałem wiedzę.

Naylor pięścią uderzył Gerarda w twarz, Gerard stracił równowagę i wtedy Naylor przywiązał drugi nadgarstek do szyny i chociaż w tym momencie widziałem tylko plecy, to ciało Gerarda wyrażało desperację tak jasno, jakby krzyczał.

Błagałem w myślach: „Nie, nie, nie rób tego”, a Naylor okręcał bandaż wokół szyi Gerarda.

Moja wiedza...Dwa okręcenia bandaża, trzy. Naylor koncentrował się na swoim zadaniu. Denny też. Stał do mnie tyłem, opuścił lufę karabinu.

Gerard próbował kopać do tyłu, ale nie sięgał nóg Naylora, krzyczał, wrzeszczał, że to, co Naylor robi, jest bezużyteczne, bo ludzie wiedzą, dokąd pojechał, i przyjadą go szukać.

Nie wierzył mu ani Naylor, ani Denny. Z napięciem... z przyjemnością obserwowali zawijanie głowy żywego człowieka... żeby zamienić ją w skałę.

Moją bronią była wiedza.

Poruszyłem się. Mięśnie miałem sztywne. Obszedłem każdą, z której próbowałem St Estephe, i wszedłem na drabinkę.

Gerardzie, nie przestawaj wrzeszczeć, myślałem. Napętnij krzykiem aparacik tego głuchego. Nie przestawaj kopać. Niech patrzą na ciebie.

Chwyciłem nakrętkę łączącą wąż z zaworem na górze kadzi rozlewniczej. Normalnie potrafiłem ją łatwo odkręcić bez klucza. Tym razem spocone dłonie ślizgały się. Musiałem to odkręcić. To jedyna szansa. Musiałem odłączyć wąż od kadzi.

Musiałem uwolnić ten koniec węża.

Wysilałem się na szczycie kadzi jak szaleniec, wreszcie poczułem, że nakrętka się obraca i odkręca do końca. Odczepiłem wąż od kadzi i trzymając jego koniec w rękę, zszedłem po krótkiej drabince, starałem się poruszać możliwie bezgłośnie, ale jednak trochę hałasowałem; mnie te odgłosy wydawały się przerażające, choć nie wywołały żadnych okrzyków z dołu, czego tak się bałem.

Znalazłem się na dole drabiny. Koło pompy Główny długi wąż biegł od pompy w dół na niższą kondygnację, a po niej do wielkiej zbiorczej kadzi w głównej hali. Długi wąż mieszczący niezłą ilość wina.

Włączyłem pompę. Błagałem. Modliłem się. Mdlilo mnie.

Pompa gładko zabrała się do roboty, a jej skuteczność przekroczyła moje najśmielsze marzenia. Wino sikało z węża jak czerwona woda pod ciśnieniem ze strażackiej sikawki. Skierowałem wąż prosto na Naylora, polewając po drodze Denny'ego. Umocowałem sikającą końcówkę między szynami bariery. Sam przeszedłem przez barierkę i wykonałem ten skok, który wydawał się tak nielogiczny, tak niemożliwy, tak absolutnie śmiertelny. Wylądowałem na Dennym, którego oślepiał strumień wina, wyrwałem mu karabin i mocno trzasnąłem go tym karabinem w łeb.

Absolutnie zaskoczony Naylor próbował mnie schwycić. Ogarnęła mnie taka wściekłość na niego, że musiałby dysponować dwukrotnie większą siłą, żeby dać mi radę. Chwyciłem go za ubranie i pchałem tak długo, aż znalazł się pod silnym strumieniem wina,

ciągnąłem go za włosy, dopóki strumień wina nie sikał mu prosto w twarz, na okulary, do wnętrza nosa, w otwarte usta, dopóki nie zaczął się krztusić.

Topię go, pomyślałem.

Może nie powinienem.

Nie mógł złapać tchu. Wymachiwał rękami. Bezradny.

Zaciągnąłem go czy zapchałem do skrzyni, do której przywiązany był Gerard, oparłem go przodem o skrzynię i przytrzymałem w tej pozycji, opierając się na jego plecach.

Naprawdę się dusił. Nie oddychał.

Wyrznąłem go mocno otwartą dłonią poniżej łopatek i powietrze uwięzione w jego płucach wydostało się przez zablokowaną winem krtań, zaczął znowu oddychać urywanymi haustami jak w ataku koklusz, w całych drogach oddechowych powietrze walczyło o lepsze z winem.

Upuścił gipsowe bandaże u stóp Gerarda. Podniosłem mokrą rolkę, różową od wina i odwinąłem kolejne warstwy z szyi Gerarda.

Naylor nie miał przy sobie nożyczek. Bandaż prowadził od szyi Gerarda do jednego nadgarstka, a potem do drugiego. Węzły na rękach były nie do rozplatania.

Coś do przecięcia, żeby tylko go uwolnić.

Stary, tępy scyzoryk. Sięgnąłem po niego do kieszeni i ze zdziwieniem wyciągnąłem ostry, srebrny prezent od Flory. Błogosławiona Flora!

Przeciąłem zwój bandaża na nadgarstkach Gerarda, a potem rozciąłem bandaże przywiązujące nadgarstki do skrzyni. Mimo że nadgarstki miał już wolne, jeszcze przez chwilę nie zmienił ich pozycji, a ja tymczasem chyba ośmiokrotnie owinąłem koniec bandaża wokół nadgarstka Naylora i również przywiązałem go do skrzyni.

Naylor pochylił się nad skrzynią, rzygał, kasłał, szkła okularów miał zalane winem, całym ciałem wstrząsały skurcze przy próbie złapania tchu. Zdawał się nie zauważać, a tym bardziej sprzeciwiać się, kiedy przywiązywałem do barierki jego drugą rękę.

Leżący na podłodze Denny wrócił do życia. Oderwałem wzrok od wiązania węzłów i obserwowałem, jak w jego oczach pojawiają się niepewne jeszcze myśli, wziąłem więc ze skrzyni butelkę i znowu trzasnąłem go w łeb.

Butelka się potłukła. Zauważyłem mimochodem, że była to butelka na bordo. Kawałki szkła wpadły do wina, które nadal rozlewało się po podłodze czerwoną rzeką, wijąc się w kątach, tworząc strumyczki, wylewając się rytmicznym pulsowaniem z otwartej końcówki węża. Zapach wina ogarniał wszystko, mocno zmysłowy, zwracający w głowie.

Tyle wina... Główny zawór na wielkiej kadzi magazynowej musi być otwarty, pomyślałem. Cała kadź pewnie opróżnia się przez pompę. Tysiąc pięćset galonów...

Denny leżał w nim twarzą. Podciągnąłem go na skrzynię, przewróciłem na plecy, podniosłem mu ręce do góry i przywiązałem każdą z nich różowym wilgotnym bandażem do mocnych drewnianych listewek.

Wino wypływało z jego włosów. Jeśli była tam także krew, nie widziałem jej.

Gerard obserwował mnie oparty o skrzynię.

Kiedy skończyłem zasadnicze wiązania, na rolce pozostało jeszcze trochę bandaża. Wzmocniłem więc wiązania na obu rękach Naylora, przymocowując je mocniej do skrzyni, a resztę bandaża wykorzystałem, by zrobić to samo z Dennyem.

Wino uwolniło już częściowo gips, którym nasączone były bandaże, więc moje palce pokrywał jasnoróżowy osad. Wziąłem ze skrzyni pustą butelkę, podstawiłem pod sikający wąż, dopóki nie napełniła się do połowy, i starannie oblałem winem przywiązane ręce, aż bandaże namokły do końca.

Gerard przyglądał się temu przez cały czas bez słowa.

W końcu wszedłem po schodach na górę i wyłączyłem pompę.

Wytrysk ustał. Nagle jedynym dźwiękiem było pracowite dyszenie Naylora, próbującego złapać oddech.

Przez chwilę spoglądałem z góry na scenerię poniżej: na ogrom podłogi zalanej na czerwono, na Denny'ego, który leżał na plecach z rękami związanymi nad głową, na Naylora zwisającego nad skrzynią, na karabin zatopiony w winie, na potłuczoną butelkę bordo... i na butelki w skrzyniach.

Twardniejący gips modelarski można było przeciąć jedynie stłuczonym szkłem.

Zszedłem na dół i systematycznie wysprzątałem wszystkie kawałki szkła w pobliżu Denny'ego i wyjąłem ze skrzyni tyle butelek, by Naylor nie mógł żadnej dosięgnąć.

Odepchnąłem nogą karabin poza zasięg ich obydwu.

Co jeszcze?

Już nic.

Byłem podobnie jak Naylor i Denny od stóp do głów przemoczony winem, marynarka, spodnie, koszula, skarpetki, buty, wszystko ciemnoczerwone na tle ciemnoczerwonej skóry. Jedynie Gerard, choć mocno pochlapany, był stosunkowo suchy.

- Mógłbyś przyprowadzić samochód do bramy? - zapytałem. - Dalej już poprowadzę, ale nie jestem pewien, czy mogę w tym stanie maszerować po tutejszych uliczkach.

- A co z nimi? - Popatrzył na naszych więźniów.

- Przyślemy posiłki. Ja przede wszystkim chciałbym stąd wyjść. Denny ma przecież jakiegoś partnera...

- Fakt. Pójdę po samochód. - Wydawał się wyczerpany i bardzo wyciszony, nie spoglądał mi prosto w twarz.

Denny poruszył się i jęknął. Naylor głośno łapał powietrze. Za kilka minut bandaż na ich rękach przemienia się w różową skałę i trzeba będzie użyć piły, żeby ich uwolnić.

Wyszliśmy, nie zamykając niczego na klucz. Gerard przyprowadził samochód pod bramę, ja usiadłem za kierownicą, przepraszając za plamy, które zostawię na tapicerce. Powiedział, że plamy to sprawa drugorzędna. Poza tym niewiele mówił.

Ponownie, tak samo jak rano, zatrzymaliśmy się przy budce telefonicznej, tylko tym razem ja zadzwoniłem na priorytetowy numer policji, obciążając ich kosztami. Powiedziałem, że mam pilną wiadomość dla nadinspektora Wilsona od Tony'ego Beacha.

Proszę poczekać, usłyszałem. Poczekalem. W słuchawce odezwał się inny, spokojny, dobrze znany głos: - Panie Beach? Czy to pan?

- Tak, panie Wilson.

- Czy to pan skierował nas wcześniej do Martineau Park?

- Niezupełnie.

- To był McGregor, prawda?

- Tak. Skąd pan to wie?

- Człowiek na torze wyścigowym... zastępca kierownika, który asystuje w soboty i niedziele przy otwieraniu bram... powiedział naszemu funkcjonariuszowi, że niejaki pan Beach był wczoraj w dziale gastronomii i dzisiaj przyjechał tam znowu z jakimś McGregorem.

- A jak wam tam poszło? - spytałem.

- Paul Young się nie zjawił, panie Beach. - Mówił to z żalem, częściowo z pretensją.

- Ale ktoś się zjawił?

- Człowiek o nazwisku Lew Smith przyjechał niedawno furgonetką Vintners Incorporated. Nasi ludzie go otoczyli, a towarzyszył im dyrektor obiektu. Lew Smith nie potrafił wytłumaczyć, po co przyjechał, nie był jednak Paulem Youngiem. Wydawało się więc, że nie ma powodów, aby go zatrzymać na podstawie anonimowego telefonu, więc nasi ludzie go puścili. A teraz, panie Beach, czy może pan mi to wytłumaczyć? Dlaczego spodziewał się pan, że Paul Young zjawi się w Martineau Park?

- Panie Wilson, wiem, gdzie Paul Young jest w tej chwili. Chce go pan?

- Panie Beach, proszę sobie nie żartować.

Wy tłumaczyłem mu dokładnie, gdzie znajdzie swoją zdobycz. - Jeśli pójdzie pan na górę, znajdzie pan maszynę drukarską razem z etykietami Bell's i fałszywymi etykietami wina z „Silver Moondance”. W kadziach znajdzie pan kradzioną whisky... jeśli zwróci się pan do destylarni whisky Rannoch, dostanie pan od nich pasujący profil. Szkocką skradziono z cystern należących do firmy Charter Carriers. Przekona się pan, że inny wydział policji prowadzi śledztwo w sprawie tej kradzieży. W biurze Paula Younga znajdzie pan gips modelarski... dowie się pan, że Paul Young jest przyrodnim bratem Larry'ego Trenta i nazywa się Stewart Naylor.

- Panie Beach...

- Do widzenia, panie Wilson. Proszę nie tracić czasu. Lew Smith może tam przyjechać i uwolnić Naylora. Aha, pamięta pan, że Gerarda McGregora i mnie postrzelili złodzieje przed moim sklepem? Znajdzie pan jednego z tych złodziei związanego obok Naylora. A także jego broń. Myślę, że ma na imię Denny. Lew Smith pewnie był jego partnerem. W każdym razie warto to sprawdzić.

Odłożyłem słuchawkę, choć słyszałem, że nadal coś mówi, i wróciłem do Gerarda do samochodu.

- Będą niekończące się pytania - powiedział.

- Nie da się tego uniknąć.

Włączyłem silnik i spokojnie opuściliśmy Ealing.

Przez dłuższy czas żaden z nas się nie odezwał. Nie było śladu euforii z poprzedniej niedzieli, zanim śrut rozpałił nasze ciała, a duch radował się udaną ucieczką. Dzisiejszy dzień był bardziej ponury, ciemny od prawdziwego koszmaru, tak ciemny jak wino.

Gerard poruszył się w końcu na siedzeniu, westchnął i powiedział:

- Cieszę się, że byłeś ze mną.

- Mhm.

Pięć minut później powiedział: - Bałem się.

- Wiem. Ja też się bałem.

Odwrócił głowę, wreszcie spojrzał mi prosto w twarz, a potem znowu patrzył przed siebie przez przednią szybę.

- Ten gips... - Zadrzał. - Krzychałem... jeszcze nigdy w życiu nie okazałem się takim tchórzem.

- Strach w groźnej sytuacji jest normalny. Brak strachu nie jest. Przełknął ślinę. - Bałem się też, że mi nie pomożesz.

- Chodzi ci o to, że nie zrobiłbym tego czy że nie mógłbym zrobić?

- Oczywiście, że nie mógłbyś. - Wydawał się zaskoczony moim pytaniem. - Nie miałoby sensu robienie czegoś bezużytecznego, jak ryzykowanie życia dla gestu.

- Śmierć podczas zdobywania dowodu.

- Właśnie - powiedział trzeźwo. - Zawsze wydawało mi się to szczytem niekompetencji.

- Albo czystym pechem.

- W porządku - powiedział. - Dopuszczam pecha.

Znowu przedłużało się milczenie. Zjechaliśmy z autostrady i zbliżaliśmy się do miejsca, gdzie zostawiłem swój samochód.

- Dasz radę dojechać do domu? - spytałem.

- Naturalnie. Jak najbardziej.

Nie wyglądał lepiej niż w chwili, gdy wyruszaliśmy, ale też nie gorzej. Dalej szary, dalej zmęczony, ale nadal z niewyczerpanymi na pozór zapasami energii.

Znałem go od dwóch tygodni. Mówiąc dokładnie, od piętnastu dni, od chwili gdy robiliśmy tunele pod namiotem na przyjęciu u Flory. Z nim i dzięki niemu na nowo spojrzałem w wiele wewnętrznych luster i zaczynałem rozumieć to, co w nich zobaczyłem. Zawdzięczałem mu bardzo wiele i nie bardzo wiedziałem, jak mu to powiedzieć.

Zatrzymałem samochód tuż przy moim. Obydwaj wysiedliśmy. Staliśmy tak, patrząc na siebie niemal skrępowani. Po tak intensywnych przeżyciach zdawało się, że nie ma odpowiedniego pożegnania.

- Jestem twoim dłużnikiem - powiedział. Pokręciłem głową. - Całkiem odwrotnie. Uśmiechnął się blado, pokornie. - Przyjmijmy remis. Spokojnie usiadł na poplamione winem siedzenie, bardzo krótko pomachał mi ręką i odjechał.

Patrzyłem za nim tak długo, aż zniknął z pola widzenia. Potem z równym spokojem otworzyłem drzwiczki swojego samochodu i zwyczajnie pojechałem do domu.

Słońce przedzierało się przez chmury, kiedy dotarłem do mojego domku, który błyszczał w złotych ukośnych promieniach października.

Wszedłem do hallu i spojrzałem w prawdziwe lustro. Włosy zlepione winem stały na sztorc. Plamy na twarzy i głowie stężały na kolor siny, ale w promieniach słońca nadal wydawały się błyszczeć czerwinią. W tym pełnym blasku pejzażu moje oczy zdawały się jasnoszare.

Uśmiechnąłem się. Zęby mi lśniły. Wyglądam jak czerwony diabeł, pomyślałem. Krwawy czerwony diabeł z tamtej strony koszmaru.

Nagle poczułem rodzaj nerwowego uniesienia.

Szedłem przez wypełniony słońcem dom, krzyżąc głośno: „Emma... Emma”, a mój głos odbijał się od ścian jak echo.

Nie krzychałem z powodu jej braku, chciałem jej powiedzieć... chciałem wykrzyknąć, żeby usłyszała... że chociaż raz w życiu zrobiłem to, co powinienem zrobić, że nie okazałem się tchórzem na trwałe, że nie sprzeniewierzyłem się jej pamięci... ani sobie... ani żadnym własnym aspiracjom... że czułem się podniesiony na duchu i pogodzony ze sobą, zjednoczony z nią i że jeśli od tej pory będę po niej płakał, to tylko z powodu tego, co straciła... całe życie... nienarodzone dziecko... a nie z powodu mojej straty, samotności... poczucia winy.

Rozdział dwudziesty drugi



Fragmenty informacji docierały do mnie w następnych dniach jak resztki z rozbitego statku.

Nadinspektor Wilson przyszedł powiedzieć mi, że policja musiała przepiłować skrzynkę i przewieźć Naylora i Denny'ego do szpitala, gdzie uwolniono ich z niezwykłych kajdanków. Wydawał się mocno ubawiony, a także zadowolony. Wziął butelkę wina na kolację.

Sierżant Ridger powrócił z utarczek z pikietującymi z rozciętym czołem. Powiedział mi, że bary na torze wyścigowym Martineau Park znajdowały się na policyjnej liście zażaleń na rozwodnioną whisky. Powiedział, że pojechalibyśmy tam podczas następnych wyścigów i nasze wędrówki po pubach przyniosłyby sukces. Niechętnie powiedziałem mu, że już przyniosły dzięki pani Alexis.

Pani Alexis zaprosiła mnie na obiad. Poszedłem, bardzo się uśmiełem i wróciłem z propozycją, by wybierać i dostarczać wino do jej restauracji. Wilfred przeżył sadze, a kominiarz został odprawiony.

Gerard dostarczał mi nieustannych nowin, na ogół dobrych.

Profil szkockiej z wielkich magazynowych kadzi pasował do trzeciego ładunku skradzionego z cysterny. Whisky w Martineau Park i w „Silver Moondance” pochodziły z drugiego ładunku. Prawdopodobnie pierwszy ładunek w całości sprzedano i wypito.

Producenci Rannoch odmówili odebrania swojej whisky z powodu wody z kranu. Urząd Cel i Akcyzy domagał się opłat dosłownie od wszystkich. Ubezpieczyciele Kennetha Chartera nalegali, że skoro whisky to marka Rannoch, to firma Rannoch powinna zapłacić.

Rannoch twierdził, że zapłacić powinien Naylor. Kenneth Charter sugerował, żeby wylać whisky do zlewu i zapomnieć o niej, ale nie potraktowano tych sugestii poważnie.

Najlepsza wiadomość była taka, że ubezpieczenie zgodziło się przywrócić w pełni polisy Chartera, a więc flota cystern nie wypadnie z obiegu.

Udział Kennetha juniora pozostał dotychczas nieznanym policji i przy odrobinie szczęścia nadal pozostanie. Junior napisał z Australii do ojca z prośbą o pieniądze, które Kenneth senior wysłał mu wraz z radą, żeby nie wracał, dopóki nie zmniejszy się rodzicielska dezaprobaty.

Misja spełniona, powiedział z satysfakcją Gerard. Deglet's wysłał Charterowi rachunek.

Do biura Deglet's nadeszły również informacje od kalifornijskiego agenta sprzedającego rasowe konie: regularnie sprzedawał konie przysyłane przez Larry'ego Trenta, a pieniądze zgodnie z instrukcją wpłacał na trzy konta bankowe na nazwisko Stewarta Naylora.

Poznał pana Naylora, który raz tam przyjechał, żeby otworzyć konta. Konie były dobre i wygrywały gonitwy dla swoich nowych właścicieli. Nie było tu żadnych przekrętów, nie miał co do tego wątpliwości.

Flora przysłała mi powiedzieć, że wyjeżdżają z Jackiem na miesiąc na Barbados powyrzewać się na słońcu.

- Skarbie, jeździmy co roku, ale znasz Jacka, nawet pięciu minut nie wytrzyma bez ruchu, chociaż tym razem ta noga szczęśliwie trochę go przyhamuje. Oczywiście w zimie połowa środowiska wyścigowego jedzie na Barbados... wiesz, że nazywają je Newmarket nad Morzem?

A później przysłała mi kartkę z informacją, że Orkney Swayle i Isabella mieszkają w tym samym hotelu, ale przecież nie można mieć wszystkiego naraz, prawda, skarbie?

Zadzwoił Miles Quigley, bardzo pewny siebie i zaproponował mi posadę Vernona od zaraz, jako odpowiedzialnego za trunki w jego firmie. Pensja dwukrotnie wyższa niż miał Vernon, powiedział, status dyrektora i miejsce w zarządzie. Odmawiając uprzejmie, pomyślałem, że gdyby zaproponował takie warunki Vernonowi, Vernon mógłby do końca życia okazywać mu lojalność.

Quigley powiedział, że dotrzymuje obietnicy, nie oskarża Vernona, który współpracuje teraz z policją. Współpracuje? - spytałem. Vernon, wyjaśnił Quigley, będzie świadkiem oskarżenia, gadatliwość w zamian za nietykalność. Czy jestem pewien w sprawie pracy?

Byłem pewien, absolutnie pewien, ale mimo wszystko podziękowałem.

Zostanę przy moim sklepie, pomyślałem, bo jest dla mnie odpowiedni. Jego skala jest moją skalą. Pasujemy do siebie.

Pozostanę przy dobroduszej pani Palissey, może nawet pewnego dnia nauczę Briana pisać swoje imię. Będę jadał kolacje Sung Li i składał mu ukłony, będę słuchał moich klientów i sprzedawał im pocieszenie.

Zwykłe życie będzie toczyło się dalej.

Pewnego dnia po zamknięciu sklepu o dziewiątej pojechałem do domu i zastałem zostawioną przez listonosza przesyłkę od matki.

Rzadko do mnie pisała, zazwyczaj posługiwała się telefonem. Notka w paczce była typowo lakoniczna.

Kochanie, przeglądałam jakieś bardzo stare pudła. Znalazłam te drobiazgi twojego ojca. Jeśli ich nie chcesz, to wyrzucić.

Drobiazgi pochodzą z bardzo odległych czasów, pomyślałem, przeglądając je. Para wojskowych złotych spinek. Sprzączka do paska z brązu z herbem jego regimentu. Oprawny w skórę notes z pokrowcem na ołówek, ale bez ołówka.

Przerzucałem stronicę notesu. Zapiski wyłącznie dotyczące takich spraw jak rozkład służby i codzienne dowodzenie oddziałem. Jedyne przypadkiem natrafiłem na stronę, na której zapisał coś innego.

Patrzyłem na tę stronę zahipnotyzowany. Były to bazgroły, *cri de coeur*, pospieszne, niemal pozbawione interpunkcji, zakończone znakiem zapytania. Wiedziałem, że matka nie przysłałaby mi tego notesu, gdyby to przeczytała. Mógł się przyczynić do zniszczenia mitu.

Poczułem, że ojciec jest mi bliższy niż kiedykolwiek. Poczułem się jego prawdziwym synem.

Napisał... nie miał nawet tylu lat co ja teraz i napisał:

Bitwa pewnie już wkrótce. Zasadnicza sprawa to nie pokazać swoim ludziom strachu, ale mój Boże, jak ja się boję.

Dlaczego nie mogę mieć odwagi mojego ojca...

Podczas bitwy, pomyślałem, musiał ją w którymś momencie odnaleźć.